



KOCHANKOWIE
BURZY

Bohaterowie i zdrajcy

ELŻBIETA GIZELA ERBAN

VIDEOGRAF

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ELŻBIETA GIZELA ERBÄN

KOCHANKOWIE
BURZY

TOM 6

Bohaterowie i zdrajcy

V I D E O G R A F

Redakcja

Anna Seweryn

Projekt okładki

Anna Slotorsz

Fotografia na okładce i grafiki na stronach rozdziałowych

© *Ysbrand Cosijn / shutterstock.com | George M. Bruestle / si.edu*

|Kajetan Saryusz-Wolski / polona.pl

Redakcja techniczna, skład i łamanie

Damian Walasek

Przygotowanie wersji elektronicznej

Maksym Leki

Korekta

Urszula Bańcerk

Marketing

Kinga Ucherek

promocja.videograf@gmail.com

Wydanie I w tej edycji, Siemianowice Śląskie 2023

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-100 Siemianowice Śląskie, ul. Olimpijska 12

tel. + 48 600 472 609, + 48 664 330 229

office@videograf.pl

www.videograf.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2022

tekst © Elżbieta Gizela Erban

ISBN 978-83-8293-076-4

*O roku świętych błędów! O roku szaleństwa!
Próżno cię wyklinały rachuby trzeźwości,
Ostało ziarno gniewu w oczach potomności,
Aż kłosem wybijało na polach zwycięstwa.
Twe echa, wielki roku, to sumień kołatka,
Co nie dała do reszty gnuśnić w niewoli.*

Benedykt Hertz, 1863

Rozdział 1

Bawialnia dworku w Zameczku przytulna była i zaciszna. Duży piec z kafli holenderskich promieniował ciepłem, a spoza uchylonych drzwiczek padał na deski podłogi jaskrawy blask ognia. Stara Grabiszyna, niegdyś mamka małego panicza Aleksa, teraz w imieniu hrabiego zarządzająca całym folwarkiem, wniosła przy pomocy służącej dzbanek z wiejską kawą, śmietankę z zapiekany kożuszkim i maślane rogaliki z malinowym nadzieniem. Pamiętała, że mały Oleś niegdyś bardzo je lubił. Nakrywszy do stołu, dygnęła i wyszła, nie chcąc państwu przeszkadzać. Za oknami była mglista i zimna noc marcowa, zaś cały pokój tchnął ciepłem domowego zacisza. Aleks, siedzący przy pięknie rzeźbionym okrągłym stole, pamiętającym zapewne czasy króla Jana III Sobieskiego, wpatrywał się w Ninę wtuloną w kąć małej kanapki.

– No, nie wiem – rzekł, przerywając picie kawy. – Ale ta twoja eskapada budzi coraz większe moje obawy.

Pani wojewodzina uznała za stosowne upomnieć chrzestnego syna.

– Doprawdy, Olesiu, dziwaczysz. Nina jedzie wygodną karetą, posiada autentyczne dokumenty i zabiera z sobą zaufanych ludzi. Z pewnością dotrze do Krakowa bez przygód. Niepotrzebnie się zamartwiasz i straszysz żonę.

– Nie należę do osób lękających się byle czego. – Urażona Nina sięgnęła po kolejny rogalik. Od kiedy nudności przestały ją męczyć, miała większy apetyt.

– No właśnie! – podchwyciła stara dama. – Młodzi bywają egoistami. Zaręczam ci, Olesiu, że Nina cieszy się na tę podróż, którą ty, synku, próbujesz jej obrzydzić.

– Oczywiście. Wszystko, co mówię lub robię, wynika z pobudek egoistycznych – powiedziała Nina zjadliwie, wznosząc oczu ku niebu. Była niezadowolona, że wojewodzina bagatelizowała jej poświęcenie.

– Przede wszystkim Nina nie jedzie na bal, tylko na konsultację do lekarza specjalisty – wtrącił się Jaś dobitnym tonem. Siedzieli z Emilką na

jednym fotelu, objęci w pól i zapatrzeni w siebie.

Aleks przytaknął, odnosząc się z rezerwą do zdania wyrażonego przez starą damę. Gdyby nie zależało mu na zdrowiu żony, przenigdy nie zgodziłby się na tę podróż. Dręczyły go złe przeczucia, a myśl o długim rozstaniu napełniała jego serce przerażeniem. Pamiętał o ostrzeżeniach lekarzy i wyobrażając sobie jej przyszły poród oraz związane z nim śmiertelne zagrożenie życia, był po prostu chory ze zmartwienia. Gdyby jednak, o czym nie śmiał marzyć, Nina urodziła szczęśliwie, to postanowił, że ona i dziecko pozostaną już za granicą.

Uświadomiwszy sobie, że widzą się prawdopodobnie po raz ostatni, nie umiał się z tą myślą pogodzić i zmagał się z rozpaczą. Pragnął teraz pozostać z żoną sam na sam, aby wyznać jej, jak bardzo ją kocha i kim naprawdę stała się dla niego przez krótkie miesiące po ślubie. Jednak zdawał sobie sprawę, że powinien zachować powściągliwość, by zaoszczędzić jej wzruszeń. Nina nie powinna niczego się domyślać.

Wstał od stołu i przysiadłszy na poręczy kanapki, ujął jej delikatną białą rączkę, wpatrując się w lśniące z emocji oczy żony. Zachwycał się jej czarującym uśmiechem, ukazującym perłowe ząbki. Wiedział, że żona cieszy się na tę podróż, lecz nie miał o to do niej ani cienia żalu. Była jeszcze taka młodziutka i spragniona wrażeń. Przed ślubem miał zamiar zapewnić jej cudowną egzystencję, pełną egzotycznych wojaży, wizyt na monarszych dworach i wielkich balów, gdzie jej niepospolita uroda znalazłaby odpowiednią oprawę. Wybuch powstania przekreślił jego plany. Biedna Nina siedziała w pustym pałacu i marnowała swój wielki talent muzyczny, zajmując się gospodarstwem i dzielnie walcząc o utrzymanie zniszczonego majątku, nie zważając na swoje zdrowie. Na szczęście nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zagrożone jest jej życie.

Aleks z obawą liczył dni dzielące ją od porodu, który rozstrzygnie o jej losie. Albo urodzi szczęśliwie i powróci do zdrowia, albo nie urodzi i umrze. Może także wydać na świat martwe dziecko i umrzeć lub urodzi zdrowe dziecko, ale sama zapłaci za to życiem. Rozmyślając o tych potwornych kombinacjach, obawiał się, że nie wytrzyma napięcia i oszaleje. Winił siebie za jej chorobę i cierpiał katusze, wyobrażając sobie, że w tej decydującej o jej życiu chwili on będzie daleko, towarzysząc żonie jedynie myślami, i każde z nich przeżyje swoją mękę samotnie. Bywały

takie chwile, że chciał rzucić wszystko w diabły i jechać z nią do Krakowa, żeby w tej strasznej godzinie nie czuła się samotna i opuszczona.

Martwił się również, wiedząc, że droga, którą miała do przebycia, wcale nie była taka bezpieczna. Wprawdzie działania powstańcze przeniosły się na zachód, podczas gdy Nina miała podróżować na południe, jednak nikt nie mógł przewidzieć, co się jeszcze może wydarzyć. Na szczęście w Krakowie pomoże jej braciszek. Aleks podniósł głowę i spojrzał przyjaźnie na siedzącego w milczeniu zakonnika. W stojącej na stole filiżance stygła jego kawa. Sięgnął po nią i wypił wszystko, pozostawiając na dnie fusy. Nina wzięła dzbanek i ponownie napełniła mu filiżankę mocną, aromatyczną mokką.

– Ach, jakby ta podróż nie była konieczna dla twego zdrowia, nie zgodziłbym się na twój wyjazd – westchnął ciężko.

Nina wymieniła z wojewodziną szybkie spojrzenia. Stara dama sposepniała i spuściła głowę, nie patrząc na chrzestnego syna.

– Olesiu, zachowujesz się dziś jak stara przesądna baba! – Odetchnęła, wyraźnie walcząc o zachowanie spokoju. – Przecież Nina wkrótce powróci razem z dzieckiem i wtedy będziesz się śmiać z dzisiejszych obaw. Sytuacja polityczna uległa poprawie, bo mamy dyktatora i nowy rząd. Czytałam odezwę do szlachty, powołującą ją pod broń. Lada chwila doczekamy pospolitego ruszenia.

Jaś, z całego serca popierający legalny rząd warszawski, potrząsnął głową, a Aleks zaśmiał się ironicznie.

– Pospolite ruszenie szlachty? O, chciałbym to widzieć! – rzekł sceptycznie.

– Nie wierzysz? – upierała się staruszka. – Przecież wszyscy, jak tu jesteśmy, pochodzimy ze szlachty i arystokracji i wszyscy służymy sprawie. Zgodzisz się ze mną?

– Nie! W moim oddziale większość żołnierzy to chłopci, mieszczenie i służba leśna oraz dworska. Tak jest w każdej niemal partii.

Jaś nie wytrzymał i również zabrał głos:

– Proszę zauważyć, że nowy rząd tworzą w większości Biali. Jako tacy nie są reprezentatywni dla całego społeczeństwa. Ale mniejsza o to. Ja wolałbym, żeby jednak Ninka pojechała do Warszawy. Pan doktor Chałubiński zająłby się nią troskliwie.

– No wiesz! – W oczach Niny zapaliły się gniewne ogniki. – Warszawa może być obleżona, bombardowana. Nie mam ochoty zginąć pod gruzami. W Krakowie mogę się zorientować w sprawie kupna broni. Jasiu, zajmij się swoją żoną, dobrze?

– Kiedy, Bogu dzięki, Emilce nic nie dolega, a ty za niecałe trzy miesiące zostaniesz matką. Musisz bardzo na siebie uważać – powiedział to z uśmiechem, ale w głębi serca martwił się o nią.

– Doktorze, zachowaj swoje uwagi dla siebie! – wybuchła Nina z gniewem. – Emilko, bądź łaskawa i przytrzymaj go przez chwilę, dopóki ja nie sięgnę po tę dużą wazę i nie rozbiję jej na głowie tego marudy!

– Bardzo chętnie – zgodziła się Emilka, zachowując powagę. – Ale radzę ci, weź lepiej patelnię, bo ta waza wydaje mi się zbyt cenna.

– Odżaluję, bylebym mogła zamknąć buzię temu mądrali.

– Jeezu! – jęknął Jaś ze zgrozą. – Ożeniłem się z nieczułą sadystką, a moja pacjentka jest niebezpieczna dla otoczenia.

– Dosyć, dzieci, nie kłóćcie się! – Wojewodzina prędko zażegnała sprzeczkę. – Olesiu, którędy Nina pojedzie? Pokaż to na mapie.

Aleks rozłożył na stole dużą mapę, na której sam wyznaczył Ninie trasę podróży. W zeszyciku Nina notowała adresy osób poleconych jej przez męża. Aleks komentował przypuszczalne ceny broni i wskazywał miejsca do magazynowania niebezpiecznego ładunku.

– Nino, pamiętaj, aby sprawdzono, czy amunicja nie jest zleżała lub zamoknięta. Niech pan Piotrowski postara się o trochę szabel dla moich oficerów i kilkanaście sztyletów.

– A z kosztami się nie licz – wtrąciła wojewodzina. – Nie żałuj złota, bo wiosną z pewnością ruszy ofensywa. Do tego czasu Oleś musi mieć broń. Przecież tu chodzi o twoje życie, synku. – Staruszka z matczyną czułością pogładziła jego złote włosy. – A frater – zwróciła się do zakonnika – niech się szykuje do drogi. Tu są pieniądze. – Podała mu sakiewkę pełną złotych imperiałów. – Chyba głodowaliście w tym klasztorze, bo frater taki chudy, aż przykro patrzeć.

– Kiedy ja zawsze byłem taki chudy – skwitował ze śmiechem brat Benon. – Taka już moja uroda. Z panią hrabiną spotkamy się w Krakowie, u państwa Piotrowskich. W razie czego będę w klasztorze Bernardynów. Wobec tego do zobaczenia. – Zarzucił na głowę kaptur i był gotowy do drogi.

– Zaraz! – zawołała wojewodzina. – Do granicy dowiezie fratra moja bryczka.

– Ale kto to widział, żeby ubogi zakonnik rozpierał się w bryczce jak jakiś dziedzic – wzbraniał się braciszek.

– Niech frater ze mną nie dyskutuje! – Wojewodzina stuknęła laską niby marszałkowską buławą.

– Trzeba jechać bryczką, bo chodzi o pośpiech – uciał Aleks stanowczo. – Konie stoją pod laskiem.

Tym razem zakonnik nie ośmielił się protestować. Pożegnał się, wziął przygotowaną paczkę z żywnością i szepnąwszy „Laudetur”, wyszedł.

Aleks spojrzał na zegar i rzekł do Niny:

– Jeżeli zamierzasz jeszcze dzisiaj jechać, to powinnaś prędzej wrócić do Makowa, żeby odpocząć przed podróżą. Na mnie także już pora.

Jaś, zajęty podziwianiem wdzięków żony, podniósł się z fotela, wzdychając.

– Jak trzeba, to trzeba. – Pocałował Emilkę i przeciągnął ramiona, aż chrupnęły stawy.

Nina nieznacznie mrugnęła do męża. Zrozumiał jej niemą prośbę, bo wesoło zwrócił się do Jasia:

– A ty, mój konowale, możesz zostać. Ciężko chorych nie mamy. Wczoraj przysłano mi do obozu dezertera z armii carskiej, kapitana Soszkiewicza. Będę miał z niego pociechę, bo to doświadczony oficer. Musi się tylko zapoznać z ludźmi i terenem. Na razie zastępuje Tadeusza, bo ta jego ręka źle się goi. Zajrzyj do niego, Jasiu, jest u ojca, w Brzezińcu.

Nina wstała i wzięła męża za rękę.

– Chcę się pożegnać z Alkiem. Proszę nam przez chwilę nie przeszkadzać – powiedziała i pociągnęła go do małej, ciepłej sypialni.

Usiedli obok siebie na szerokim łożu przy rozgrzanym piecu.

– Nino, błagam, daj mi natychmiast znać, gdy tylko dojedziesz do Krakowa – odezwał się, przyciągając ją do siebie. – Ja tu chyba oszaleję z niepokoju. A może jednak pojedziesz do Warszawy?

Potrząsnęła głową i oparła nosek o jego policzek. Naraz ta upragniona podróż straciła dla niej cały urok. Serce ścisnęło się boleśnie na myśl, że zostawia go tutaj niemal bezbronny w chwili, gdy Rosjanie już gotują się do ofensywy. Ale właśnie dlatego musiała jechać i śpieszyć się, by powrócić z bronią przed rozpoczęciem działań nieprzyjacielskich.

– Nie zaprzataj sobie mną głowy, bo masz dosyć własnych zmartwień. Powiem ci sekret: w Krakowie spotkam się z Binią. Tylko nie zdradź mnie przed ciotką.

– To naprawdę dobra wiadomość. – Wyglądało na to, że szczerze się ucieszył. – Ucałuj ją ode mnie i uważaj na siebie. Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo cię kocham. Jesteś prawdziwym promieniem słońca w moim ponurym życiu i moim największym skarbem.

– Najdroższy! – Zarzuciła mu ramiona na szyję, całując jego usta z rodzącą się namiętnością.

Jej oczy zrobiły się ogromne i błyszczące, wydawało mu się, że w nich utonie. Czuł łomotanie jej serca i przywarł do jej warg z rozpaczliwym pragnieniem, którego nie mógł powstrzymać. Pomyślał, że gdyby Nina umarła przy porodzie, życie z tą świadomością byłoby trudniejsze od śmierci, bo stanowiłoby dla niego największą karę.

Z drugiego pokoju rozległo się głośne chrząknięcie.

– Wodzu, niech się Nina nie przegrzewa, bo jeszcze nabawi się w drodze jakiegoś zapalenia! – zawołał Jaś.

Nina wydała pomruk niezadowolenia i wolno opuściła ramiona, odsuwając się od męża.

– Jasiu, nie baw się w puszczyka – powiedziała słodko. – Czekać, zrewanżuję się w odpowiedniej chwili.

Aleks opanował się i pożegnał się z żoną pogodnie. Pierwszy wyszedł z domu, a ona patrzyła przez okno, jak lekko wskoczył na konia, przesyłając jej ręką pocałunek.

Młoda pani Borutyńska była przygnębiona.

– Tak mi przykro, Ninko. Powinna być jechać z tobą – szepnęła, całując ją na pożegnanie.

– Kochanie, poradzę sobie doskonale. Bądź tylko szczęśliwa – odpowiedziała z uśmiechem.

Jaś uniósł ją w ramionach i cmoknął w koniec noska.

– Chociaż jesteś małą sekutnicą, daj pysia na pożegnanie. Kotku, dobrze się czujesz? – szepnęła jej do ucha. – Zniesiesz tę podróż?

Odepchnęła go ze śmiechem.

– Emilko, zaopiekuj się tą nieszczęsną figurą. Po ślubie stracił resztkę rozumu.

Nie była zachwycona, dowiedziawszy się, że wojewodzina postanowiła jechać z nią do Makowa. Marzyła, aby choć przez chwilę być sama i dać folgę łzom. W karecie nieznacznie wyciągnęła chusteczkę i podejrzanie cicho wytarła nos. Wojewodzina spojrzała na nią ze współczuciem.

– Nie wstydz się łez przy pożegnaniu męża – powiedziała łagodnie. – Łzy świadczą o uczuciu do ukochanego. Macie teraz takie smutne, nieciekawe życie. Dawniej było zupełnie inaczej. Młoda para jechała w podróż poślubną za granicę i często powracała z odchowanim już dzieckiem. Potem młode małżeństwo prezentowało się rodzinie, a ponieważ w naszej sferze wszyscy są z sobą skoligaceni, podróżowano po całym kraju. Na karnawał młode damy wyjeżdżały do Wenecji lub Paryża. W sezonie zimowym należało pokazać się w Davos, Mentonie czy w Nizy. Na Wielkanoc wypadało udać się z pielgrzymką do Rzymu, a pomiędzy dalekimi podróżami odbywały się prośzone obiady, rauty, polowania i bale. W imieniny pani lub pana domu zjeżdżała się rodzina ze wszystkich stron kraju, a przyjęcia trwały kilka dni lub nawet tygodni. *À propos* krewnych... Nino, przecież ty do tej pory nie poznałaś dalszej rodziny Olesia. Szkoda, że nie byłaś na pogrzebie starej księżnej. Pomimo wcześniejszych niesnasek przyjęto Olesia bardzo serdecznie. Księżna Adelajda, wujenka Olesia, często rozpytuje mnie w listach o ciebie. Mogłabyś do niej napisać parę miłych słów, dam ci adres – zaproponowała wojewodzina.

– Najchętniej, gdy tylko powrócę i gdy Alek wyrazi na to zgodę – powściągliwie odpowiedziała Nina.

– Oczywiście. Twój mąż będzie dumny z twego patriotyzmu.

– Uhm! – bąknęła Nina i pomyślała, że dla celów patriotycznych nie kiwnęłaby nawet palcem w bucie. Wybierała się do Galicji tylko dla Aleksa i na spotkanie z Binią.

Do Makowa dotarły już po zmroku. Kareta i dwie duże bryki miały zajechać o drugiej w nocy. Na odpoczynek pozostało niewiele czasu. Cała służba zajęta była pracą, znosząc i pakując mnóstwo przedmiotów potrzebnych w podróży. W kuchni szalał pan Szymon, przygotowując prowiant na kilka dni dla sześciu osób. Należało liczyć się z możliwością, że po drodze karczmy i zajazdy będą zrujnowane i ogołoczone z zapasów żywności. Zabierano pościele, zastawę stołową, garnki, dywany. Całe gospodarstwo.

Po kolacji wojewodzina wręczyła Ninie gruby plik banknotów i woreczek ze złotymi imperiałami.

– Tu masz pieniądze i listy zastawne oraz złoto. A tu... – Podała Ninie podłużne etui. – ...biżuterię. Bransoleta z brylantami i kolczyki, wenecka robota. Możesz to w Krakowie korzystnie sprzedać. Pamiętaj, nigdy nie trzymaj pieniędzy przy sobie. Ukryj je, ale nie pod siedzeniem, lecz lepiej na koźle stangreta, jeśli mu ufasz.

– Do końca życia będziemy dłużnikami cioci. – Nina z wdzięcznością ucałowała rękę starej damy.

– Nie dziękuj. To dla Olesia i dla sprawy. Kiedy urodzisz syna, dostaniecie ode mnie ciepłą ręką dwa razy tyle, a po mojej śmierci cały mój majątek. Syn Olesia będzie moim prawdziwym wnukiem i spadkobiercą.

– Ale w ten sposób dalsza rodzina cioci może poczuć się pokrzywdzona.

– Masz na myśli Starewicza? – Staruszka zmarszczyła brwi, a jej rysy przybrały zawzięty wyraz. – Miałam kiedyś do ciebie pretensje, że odmówiłaś mu swojej ręki. Teraz mogę ci pogratulować rozwagi. Przynajmniej mój chrzestny syn nie przyniesie mi wstydu. – Położyła rękę na dłoni Niny. – Ty również nie, moje dziecko.

Punktualnie o drugiej w nocy zajechały kareta i bryczki. Wojewodzina osobiście czuwała nad toaletą Niny, pilnując, żeby nie odważyła się założyć gorsetu.

– U kulturalnego mężczyzny dama w błogosławnym stanie budzi opiekuńcze uczucia – obstawała przy swoim zdaniu. – Brzuch musi być widoczny. Nie martw się, jesteś piękna nawet z brzuchem! Jagusiu, proszę uważać, żeby Nina nie krępowała się sznurówką. Jagusia wie, o co mi chodzi.

– Dopilnuję tego! – Niania ucieszyła się, że w starej damie znalazła sprzymierzeńca. – Nino, niczego nie zapomniałaś? Wzięłaś sole, kordiały i krople bobrowe?

– Po co krople? Sole wystarczą. – Nina zerknęła na zegar i sapnęła, powstrzymując się, by nie zakląć. – Nianiu, późno! Czas w drogę.

– A ja ci mówię, bierz! – poparła Jagę wojewodzina. – W podróży różnie bywa. Ktoś może zasłać, a wtedy krople bobrowe jak znalazł.

Jaga pobiegła do domowej apteczki i przy pomocy Kumosi wkładała do torby podróżnej zioła oraz nalewki na rozmaite dolegliwości. Pani ochmistrzyni z Walentym doglądali wynoszenia kufrów i umieszczenia ich na dachu, w tyle karety i na obu bryczkach. Pani Salomea układała w podręcznej torbie przybory toaletowe, stosy chusteczek do nosa i flakony z wodą kolońską, a Mira usiłowała wepchnąć do torby parasol, bo w drodze mogłoby padać.

Nina była ledwie żywa ze zmęczenia, miała zawroty głowy i bolały ją krzyże.

– Nianiu, szybciej, na litość boską! Musimy wyjechać nocą – niecierpliwiła się. – Gdzie zamierzasz włożyć tę torbę? W karecie i na bryczkach każdy kąt zajęty. W drodze powrotnej wszędzie będą skrytki.

– Mogę ją trzymać na kolanach – oświadczyła Jaga z uporem, upychając do torby duży kawał białego płótna.

– Nianiu, zlituj się! – Nina klapnęła na najbliższe krzesło, czując, że nogi puchną jej jak balony od całodziennego chodzenia. – Po co ci tyle płótna? Mira, jesteś gotowa?

– Tak, pójdę tylko po płaszcz. – Panna Lutówna wybiegła z pokoju.

– Zaraz, jeszcze momencik – stękała Jaga, próbując wepchnąć drugi kawał płótna do szczelnie wypchanego kufra. – O Matko Święta, nie chce się domknąć. Paweł, zamiast wytrzeszczać oczy, usiądź na kufrze! No, nareszcie się zamknął. – Niania wydała z siebie westchnienie ulgi. – Mówiłam ci, kotku, że wszystko się zmieści.

Wojewodzina z zainteresowaniem przypatrywała się jej zmaganiom, a potem roześmiała się serdecznie.

– Nino, powinnaś codziennie na klęczkach dziękować Bogu za taką opiekunkę. Słuchaj jej, bo niania zawsze ma rację.

Ucieszona tą niespodziewaną pochwałą Jaga skromnie dygnęła.

– Naturalnie, niania ma rację, ciocia ma rację i zanim skończycie się grzebać, ja zdążę urodzić dziecko! – wykrzyknęła Nina ze złością. – Niechby raz ułożyli szyny kolei żelaznej w naszej guberni. Opowiadał mi Alek, że koleją jedzie się bardzo wygodnie. Nawet nie trzeba zabierać z sobą żywności, bo na dworcach są przyzwoite restauracje. Niedawno czytałam, że na większych stacjach mają nawet dyżury lekarze. Czego to ludzie nie wymyślą.

– Ja także jechałam koleją żelazną do Paryża i przeklełam tę podróż – podchwyciła stara dama. – W wagonach przeciągi, hałas, dym, zaduch. Nie ma to jak własna wygodna karetka i dobre konie. Zresztą w tym stanie nie pozwoliłabym ci jechać koleją! Przy prędkości pięćdziesięciu wiorst na godzinę mogłabyś zasłabnąć. Podobno w Anglii koleje jeżdżą o wiele szybciej, ale ja temu nie daję wiary. Taka prędkość mogłaby zabić pasażera.

Do buduaru weszła Mira, owinięta szalami i gotowa do drogi. Pani Salomea, wojewodzina i pani ochmistrzyni odmówiły modlitwę do świętego Krzysztofa, patrona podróżnych, i pobłogosławiły odjeżdżające panie krzyżem. Nina powstrzymywała wybuch śmiechu, bo takie ceremonie wydały się jej okropnie staroświeckie. Pan Bochniak, uczestniczący w pożegnaniu, osobiście sprawdził, czy pojazdy są odpowiednio załadowane i czy nie grozi im przewrócenie na górskiej drodze. Nina poprosiła panią Salomeę o zaopiekowanie się Grotem, który biegał niespokojnie, obwąchując kufry i skomlać. Przytuliła setera i pocałowała na pożegnanie.

Siedzący już na koźle Stach, cały otulony ceratowym płaszczem przeciwdeszczowym z kapturem, niecierpliwie oglądał się na ganek, z całej siły powstrzymując rwące się do biegu konie. Pomiędzy konie cugowe sprytnie wprzęgnięto młode konie robocze, ze względu na ciężar ładunku broni i amunicji w drodze powrotnej. Powożący brykami Stach, Tomek i Maciek mieli przy sobie ukryte rewolwery otrzymane w podarunku od samego naczelnika. Prócz broni palnej trzech stangreci trzymali długie bicz z ciężkimi rękojeściami wypełnionymi ołowiem. Była to straszna broń, którą posługiwali się po mistrzowsku.

Żegnane płaczem i głośnymi błogosławieństwami panie wsiadły do karety i pojazdy natychmiast ruszyły, zmierzając ku bramie wjazdowej. Nina raz po raz oglądała się na ukochany dom, niknący za lipową aleją. Zaspany Świtała zamknął za nimi wrota i mruknąwszy na pożegnanie: „Niech Bóg prowadzi“, poszedł spać.

Stangreci mlasnęli biczami nad grzbietami koni i powozy potoczyły się po wiejskiej drodze, świecąc ślepiami zapalonych latarni. Konie, dobrze wykarmione przed podróżą, biegły miarowym kłusem. Ciemna noc uniemożliwiała przypatrywanie się mijanym widokom, toteż Nina wsparła głowę o ramię Jagi i próbowała drzemać, raz po raz poprawiając się na siedzeniu, bo cierpły jej nogi.

Po kilku godzinach jazdy rozboleł ją krzyż i plecy. Wyobraziła sobie z przerażeniem, że może podjęła się zadania przerastającego jej siły. „Naprawdę trzeba być skończoną idiotką, żeby w siódmym miesiącu ciąży ruszać w taką drogę – rozmyślała, bezskutecznie starając się wygodniej usadowić na kanapce. – O Boże, trzewiki mnie cisną, bo mam spuchnięte nogi. Nie dojadę nawet do Bodzentyna. Wszystkiemu winna wojewodzina, to był jej plan! Gdyby nie nabiła mi głowy jakimiś wymysłami, po broń pojechałby braciszek. Zawsze to mężczyzna i przemycał już karabiny dla powstańców. Co kobietę w moim stanie może obchodzić jakaś broń? Powinnam teraz myśleć o urodzeniu zdrowego dziecka i wypoczynku. – Syknęła zdenerwowana, wyciągając przed siebie obolałe stopy. – Och, teraz leżałabym we własnym łóżku i smacznie spała. Złośliwy babsztyl! Wycięła mi paskudnego psikusa i rozdzieliła z Alkiem, bo o to jej chodziło!”.

Zbuntowana, zboleła i zła kręciła się niespokojnie na siedzeniu. Naraz przyszło jej na myśl, że owszem, braciszek mógł zakupić broń, lecz sam jej transport przez tereny objęte działaniami powstańczymi był ryzykowny i trudny. Wszyscy mężczyźni, młodzi i starsi, byli z reguły podejrzani o przynależność do partii powstańczych, a pikiety kozackie na rogatkach kontrolowały każdy wóz. Wcześniej czy później Rosjanie dobiorą się Langiewiczowi do skóry i załatwiwszy się z nim, gorliwie zajmą się wyszukiwaniem oraz likwidowaniem mniejszych oddziałów partyzanckich. W takim razie chłopcom na Łysej Polanie groziłoby śmiertelne niebezpieczeństwo!

Ogarnął ją lęk i cała podróż przestała mieć dla niej posmak przygody, stając się palącą koniecznością; sprawą życia i śmierci. Niby wiedziała o tym i przedtem, ale więcej myślała o spotkaniu z Binią i zobaczeniu dawnej stolicy Polski niż o właściwym celu swojej podróży. Dopiero teraz, w czasie męczącej drogi, zrozumiała, jak ważne zadanie ma do spełnienia. Od powodzenia tej misji zależało życie wielu ludzi, a przede wszystkim męża. Wobec zagrożenia jego życia jej spuchnięte nogi i bolący krzyż nie miały żadnego znaczenia.

Po wschodniej stronie niebo pojaśniało. Z ziemi podnosiły się białe welony mgieł. Wstawał świt pogodnego marcowego dnia. Przejechali już Dolinę Bodzentyńską, omijając osiedla, i zaczęli się zagłębiać w puszcze porastającą stoki Pasma Klonowskiego. Na nierównej kamienistej drodze górskiej kareta chwiała się i podskakiwała, uginając na resorach. Koła

trafiały raz po raz na wymyte deszczami jamy. Aleks, wyznaczając trasę podróży, celowo wybierał mniej uczęszczane trakty, gdyż tam rzadko spotykało się patrole. Zresztą nie tylko patrole bywały niebezpieczne... Pan Bochniak opowiadał, że pomiędzy Kielcami a Piotrkowem zbierały się kilkutyśne bandy zdemoralizowanego chłopstwa, atakując podróżnych. Chłopi przewrócili powóz pani Skórkowskiej, dziedziczki jednej z okolicznych wiosek, jadącej z dziećmi. Kobieta cudem uniknęła śmierci z rąk rozjuszonej bandy. Chłopi porwali także dziedzica z Wójcina i zawieźli go do Piotrkowa na posterunek policji, żądając za jego głowę nagrody pieniężnej w kwocie pięciu rubli srebrem.

Nina westchnęła. Zmęczona jazdą w dusznej karecie uchyliła okno i zaczerpnęła w płuca ostre poranne powietrze. W nocy był przymrozek i kałuże pokrywały tafelki lodu. Gałęzie ogromnych jodeł powleczone były cienką warstwą szronu.

– Nino, zamknij okno, bo się przeziębisz. – Jaga obudzona chłodnym powiewem otworzyła oczy i poruszyła się na kanapce.

– Muszę odetchnąć, bo duszno tutaj.

– Źle się czujesz? Kotuniu, jeszcze możemy zawrócić...

– Nic mi nie jest – odburknęła Nina.

Jaga zamilkła, nie chcąc jej denerwować, lecz w głębi duszy się niepokoiła. Mira, wtulona w kąt karety, przykryła się wraz z głową pledem i podwinąwszy pod siebie nogi, mocno spała. Nina wychyliła głowę i wpatrywała się przed siebie, próbując przebić wzrokiem kłębiące się mgły.

– Nina, ja ci mówię, że złapiesz katar! – ponownie ostrzegła niania.

– Już zamykam. Czekał, na drodze stoi jakiś konny i patrzy w naszą stronę. – Nina otworzyła okienko za plecami stangreta i zadała mu pytanie: – Stachu, czy to aby nie kozak?

Stary stangret ściągnął rozbiegane konie i wyteżył wzrok, bo w cieniu wielkich drzew było jeszcze zupełnie ciemno.

– Widzi mi się, że to nie kozak – odpowiedział po jakimś czasie. – Nie ma piki ani papachy. Nie. – Potrząsnął stanowczo głową. – To nie kozak, bo koń wysoki, nie kozacki podjezdek.

– W takim razie kto to może być? Może jakiś dragon? Wygląda na to, że na nas czeka. – Nina sięgnęła w fałdy krynoliny i z kieszeni wydobyła pistolet. Zgrzytnął odwodzony kurek.

– Nina, rozum straciłaś?! – Wystraszona Jaga chwyciła ją za rękę. – Schowaj ten pistolet albo go wyrzuć. Jak Moskale znajdą przy tobie broń, zaraz cię aresztują lub zabiją.

– Zostaw mnie, nianiu! – syknęła Nina przez zaciśnięte zęby. – Stachu, czy on tam jeszcze stoi?

– Tak... Nie, laboga, ruszył ku nam kłusem! – zawołał stangret z niepokojem. – Co mam robić, jaśnie pani?

– Nie wiadomo, czy to nie zasadzka. Może ich tam wielu ukrywa się w lesie. Bez mojego rozkazu nie atakujcie. Jeżeli podjedzie i zechce otworzyć drzwi karety, ja strzelę, a wtedy puszczajcie konie galopem. Musimy im umknąć.

– E, na jednego to szkoda kuli – prychnął Stach pogardliwie. – Jak podjedzie bliżej, zdzieję go bez łeb biczem i z konia zwałę. O, już i Maciuś, i Tomek nadjeżdżają!

Samotny jeździec stępa zbliżał się ku nim. Nina zatrzasnęła okienko i usiadła z mocno bijącym sercem, trzymając palec na cynglu. Gdyby intruz próbował wdrzeć się do karety, zdecydowana była go zastrzelić. Trzy pojazdy zaczęły zwalniać i stanęły w głębi gęstego lasu. Zmęczone wyboistą drogą konie parskwały głośno, wyrzucając z piersi obłoki pary. Jeździec zwolnił i krok za krokiem podjeżdżał do karety.

– Stachu, dlaczego stoimy? – dopytywała się Nina, pukając w przednie okienko.

– O Maryjo Święta! – rozległ się głośny okrzyk Stacha, lecz nie było w nim strachu, tylko zdumienie i radość.

W następnej chwili ciemna postać przysłoniła okienko, a znajomy głos ostrzegł wesoło:

– Promyczku, nie celuj do mnie z pistoletu, bo zostaniesz wdową.

– Alek! – Westchnęła z najgłębszą ulgą i otworzyła drzwi, stawiając stopę na wysuniętych schodkach.

Zeskoczył z konia, a ona w jednej chwili znalazła się w jego mocnych, ciepłych ramionach.

– Napędziłem wam strachu, co? – Śmiał się, ostrożnie stawiając żonę na ziemi.

– O Boże, miałam grzeszny zamiar wyprawienia własnego męża na tamten świat – szepnęła, otaczając jego szyję ramionami i oddając pocałunki. – Ale skąd ty się tu wziąłeś o tej porze?

– Zateśniłem za tobą i postanowiłem raz jeszcze cię zobaczyć. Wiedziałem, kiedy będziecie tędy przejeżdżać, bo sam wyznaczyłem wam trasę. – Przyjrzał się jej badawczo i pogładził czule blady policzek żony. – Mój biedny ptaszku, męczysz się, zamiast spać spokojnie. Wygodnie ci chociaż? – Zajrzał do karety i przywitał się z Jagą. – Nianiu, Nina musi bardzo cierpieć, siedząc bez ruchu tyle godzin. Może rozścielimy na siedzeniu kołdry i poduszki? Część podróży odbędzie w pozycji leżącej. Jak niania uważa? Taka pozycja jest moim zdaniem mniej męcząca.

– Pan hrabia ma rację. Ja też tak sądzę – poparła go Jaga. – Nie będzie narażona na wstrząsy karety.

Nie zważając na nieśmiałe protesty Niny, niania wydobyła ze schowka puchowe kołdry, poduszki i pledy, przygotowując z pomocą Aleksa coś w rodzaju pośłania.

– No, spróbuj teraz, czy będzie ci wygodniej. – Aleks uniósł ją w ramionach i położył na kanapce.

Wyciągnęła się i westchnęła z ogromną wdzięcznością.

– Jest mi jak w niebie. Aleczku, jesteś taki kochany... Jedź z nami jeszcze kawałek.

Obudzona głośną rozmową Mira, usiadła i z uśmiechem skinęła głową Aleksowi.

– Nino, nie namawiaj pana hrabiego, to niebezpieczne. Nie wiadomo, czy w pobliżu nie ma jakiegoś patrolu dragonów lub kozaków. Patrz, już jasno.

– Słusznie. Panna Mira jak zwykle rozsądna. – Aleks przyznał jej rację. – Zaraz znikam. Do zobaczenia, mój słodki promyczku. Drogie panie, proszę, uważajcie na moją żonę. Do widzenia, chłopcy! A pilnujcie, żeby paniom jakaś krzywda się nie stała.

Trzej stangreci wydali pożegnalny okrzyk i trzasnęli batami.

Nina patrzyła przez okno, jak mąż wsiadał na konia i stał w miejscu, śledząc wzrokiem oddalającą się karete. Posyłała mu pocałunki dłonią, a kiedy straciła go z oczu, położyła się i ukryła twarz w poduszce, nie życząc sobie, żeby ktokolwiek widział jej łzy. Wyrzucała sobie, że jest złą, podłą żoną i nie zasługuje na takiego cudownego męża. Gruby piernat i puchowe poduszki skutecznie łagodziły wstrząsy. Spoczywała wyciągnięta wygodnie, zdjąwszy obuwie i ułożywszy stopy powyżej głowy. Jaga przytuliła się do niej i zasnęła, cicho pochrapując. Mira, znudzona

monotonną jazdą przez gęsty las, także zaczęła drzemać. Wsłuchując się w ich regularne oddechy, Nina przymknęła powieki i zapadła w głęboki sen.

18 marca wojska generała Langiewicza stoczyły pod Grochowiskami krwawą bitwę z armią pułkownika Czengierego. Powstańcy walczyli z niesłychanym męstwem, dorównując odwagą starym, doświadczonym w bojach żołnierzom rosyjskim. Żuawi śmierci pod dowództwem pułkownika Rochebrune'a brawurowym atakiem odrzucili natarcie nieprzyjaciela. Kosynierzy Dąbrowskiego roznieśli na ostrzach kos rotę pułku smoleńskiego. Oba wojska zmagaly się z równą determinacją aż do zmroku, ale bitwa pozostała nierozstrzygnięta w decydujący sposób.

Rosjanie, zmęczeni i przygnębieni dużymi stratami, wycofali się z pola walki. Polacy byli skrajnie wyczerpani. Brakowało amunicji i żywności, bo tabory zostały odcięte od oddziałów. Żołnierze, głodni i spragnieni, padali z nóg. Z krwawego poboju rozlegały się głuche jęki i krzyki rannych oraz przeraźliwe kwiki poranionych koni. Ludzie i zwierzęta na próżno oczekiwali pomocy lub kuli, która skróciłaby ich mękę.

Jeszcze tej samej nocy generał Langiewicz zwołał naradę wojenną. Nie bawiąc się w subtelności, zakomunikował wstrząśniętym oficerom, że w tych warunkach dalsza walka nie ma sensu. Zaproponował podzielenie armii na mniejsze oddziały dowodzone przez oficerów sztabowych. Sam postanowił udać się do Krakowa, aby tam domagać się pomocy, którą mu przyrzeczono, kiedy obejmował dyktaturę. Ale jego argumenty nie przekonały oficerów. Szef sztabu, pułkownik Bentkowski, stary żołnierz i były powstaniec wielkopolski, określił zachowanie wodza naczelnego jako coś wstrętnego, hańbiącego. Była to rzecz niesłychana, żeby głowa państwa powstańczego, dyktator i wódz naczelny w jednej osobie porzucał swoich żołnierzy w krytycznym momencie, nie przejmując się ich losem. Pułkownik Czachowski widocznie przewidział, co się święci i obawiając się ogólnej paniki, zaraz po bitwie przepadł ze swoim oddziałem doborowych żołnierzy, żeby dalej walczyć na własną rękę. Po odjeździe dyktatora niedobitki powstańczej armii ogarnęła anarchia. W oddziałach zapanowało zupełne rozprzężenie. Ludzie, porażeni klęską i utratą wodza, opanowani panicznym strachem myśleli tylko o jednym – przedostać się za Wisłę, do bezpiecznej Galicji.

Wiadomość o przegranej bitwie pod Grochowiskami i upadku dyktatora dotarła do podróżujących pań w drodze do Chmielnika. Nina do końca życia była przekonana, że tylko cudem udało się im dotrzeć do Wisły. Mijane miejscowości były po części spalone, splądrowane i wyludnione. Mieszkańcy miasteczek i wiosek w popłochu uciekli do lasów. Kareta i bryczki toczyły się między kolumnami wojska, nie wiedząc, co mają przed sobą. Zabrane z domu zapas chleba był na wyczerpaniu i Jaga postanowiła kupić kilka bochenków w jakimś zajeździe. W pobliżu Buska przystanęli przy żydowskiej karczmie. Pejsaty Żyd obojętnie przyglądał się nadjeżdżającym eleganckim powozom, nie ruszając się nawet z miejsca. Spytany o żywność, apatycznie wzruszył ramionami.

– Chleb? Jaśnie państwo chcą kupić chleba? Uwa, ja bym też zjadł chleba. Moja kobieta też by zjadła. Moje dzieci są głodne, ony już dawno chleba nie widziały. Skąd u mnie chleb? Przyszły wojaki pana Langiewicza, zjadły chleb ze słoniną i poszły se, zabierając jeszcze siano i słomę. Kozaki ukradły zboże, wypiły wódkę i dla zabawy rozbiły wszystkie jajca i rozsypały worki z mąką. Potem zabrały kury i gęsi. Biedny Żydek Szymcha zdechnie z głodu i jego dzieci też zdechną. Ale kogo obchodzi karczmarz Szymcha? Co panów powstańców obchodzi jego głodne dzieci?

Z wnętrza karczmy wyszła chuda Żydówka. Jej wielkie oczy miały wyraz bolesnej rezygnacji. Spódnicy matki trzymało się kurczowo pięcioro malców. Ich blade twarzyczki ściągnięte były głodem i strachem. Przerażone, spoza spódnicy matki nieśmiało zerkały na lśniącą karete i siedzące w niej damy. Pomimo nędzy i brudu były ładne, miały ogromne czarne oczy i gęste krucze loki. Litując się nad ich niedolą, Nina wręczyła Żydówce kilka srebrnych rubli. Jaga wydzieliła z zapasów nieco żywności i pół bochenka chleba. Obdarowana kobieta przypadła do stopni karety, wykrzykując podziękowania i szlochając tak głośno, jakby spotkała ją wielka krzywda.

W Busku wszystkie sklepiki były na głucho zamknięte, bo czego nie zabrało wojsko, przezorni sklepikarze ukryli, oczekując lepszych czasów. Za Wiślicą zatrzymał ich zbrojny patrol dragonów. Żołnierze podejrzliwie przypatrywali się karecie i brykom. Zapewne nie podobały się im zuchwałe miny stangretów. Oficer długo sprawdzał dokumenty, wypytując, dokąd jadą i po co. Kazał otworzyć kufry, ale rzuciwszy okiem na leżące na

wierzchu niemowlęce koszulki, zmierzył wzrokiem przegiętą figurę Niny i machnąwszy dłonią, kazał im jechać dalej.

Przenocowali w małym dworcu dzierżawcy i rano ruszyli ku Opatowcu i Wiśle. Do miasteczka przybyli w sam dzień świętego Józefa Opiekuna. Był ponury i chłodny poranek marcowy. Po niebie płynęły granatowe chmury, z których chwilami padał deszcz ze śniegiem. W miasteczku roіło się od gromad zdemoralizowanych żołnierzy armii Langiewicza. Przeklinając dyktatora i powstanie, zrozpaczeni próbowali dostać się na prom i przepłynąć na drugą stronę rzeki, do Galicji. Łatwość przekraczania granicy wynikała z likwidacji komór celnych w Michałowicach, zniszczonych przez powstańców, jak również z tolerancyjnego stosunku władz austriackich wobec uchodźców z zaboru rosyjskiego.

W pobliżu Opatowca nie było Rosjan, czasami tylko w oddali ukazał się mały patrol kozacki, ale natychmiast zniknął, nie szukając zwady z dobrze uzbrojonymi i zdeterminowanymi żołnierzami polskimi, okupującymi brzeg Wisły. Odważni i bitni powstańcy z oddziałów Langiewicza, teraz ogarnięci paniką, gotowi byli na wszystko, byle tylko bezpiecznie unieść głowy i przedostać się do Galicji. Panowało ogólne przekonanie, że wraz z upadkiem dyktatora powstanie się zakończyło i dopiero teraz rozpocznie się rzeź ludności cywilnej.

Trzy kobiety z bezradnym przerażeniem patrzyły na uchodzące w popłochu resztki armii powstańczej. Ku rzece ciągnęły watahy pijanych żołnierzy, pędziły jakieś wozy taborowe, przewracając się na błotnistej drodze i wysypując swój ładunek do rowu. Czasami byli to ranni, pozbierani z pobojuwiska, których próbowano przewieźć za granicę do szpitala. O innych rannych i ciała zabitych Polaków nikt się nie zatroszczył. Po bitwie chłopci, zmuszani przez władze rosyjskie, zakopywali trupy poległych w bezimiennych mogiłach.

U przeprawy stały tłumy mężczyzn, złych, niespokojnych i gotowych do agresji. Rzeka, szara i wezbrana topniejącymi w górach śniegami, toczyła bystre, mętne fale. Prom i kilka dużych łodzi bez przerwy krążyły po Wiśle, przewożąc powstańców, konie i sprzęt. Po drugiej stronie widać było nieruchome sylwetki konnych huzarów węgierskich, strzegących przeprawy. Przewożone na promach konie rżały z przerażenia, odpowiadały im wierzchowce huzarów. Na brzegu stał długi sznur wozów oczekujących

na swoją kolej, przygotowanych do wjazdu na prom. Były to resztki taboru armii Langiewicza.

– Na litość boską, co zrobimy? – zastanawiała się głośno Nina. – W tym miejscu nawet przez trzy dni nie doczekamy się przewiezienia.

– Nikt nie przewidział, że dyktatura Langiewicza będzie miała tak dramatyczne zakończenie – powiedziała zmartwiona Mira.

Nina rozglądała się bezradnie, szukając gdzieś pomocy, lecz zewsząd napotykała obojętne i zimne spojrzenia zrozpaczonych byłych powstańców, których już nic wzruszyć nie mogło. Stach zeskoczył z kozła i poszedł zobaczyć, jak szybko posuwa się załadunek na prom, lecz rozwścieczeni mężczyźni gotowi byli roznieść go na ostrzach bagnetów. Musiał stamtąd prędko rejterować.

– Nie mamy tu na co czekać – rzekł do Niny. – Albo spróbujmy gdzie indziej, a nie uda się, trza będzie wracać do domu. Ci ludzie nie dopuszczą nas do promu. Nie będę tu stał, bo jaśnie paniom nie przystoi słuchać, jak chłopcy przeklinają.

Nina skinęła głową i kazała zawrócić do miasteczka. Wychyliwszy się z okna, zaczęła przechodzącego mieszczanina.

– Przepraszam... – odezwała się stłumionym głosem. – Czy mógłby nam pan doradzić, gdzie moglibyśmy prędzej przeprowić się za Wisłę? Tu żołnierze nie dopuszczają nas do promu, a ja chciałabym jak najszybciej dojechać do Krakowa.

Przechodzień spojrział z litością na jej umęczoną twarz i pokiwał głową.

– Na pani miejscu nie czekałbym tutaj. W Ujściu Jezuickim również znajduje się komora celna i jest tam prom. Trzeba jechać wzdłuż brzegu Wisły i przeprowić się na wprost Ujścia. Może tam będzie łatwiej.

Nina podziękowała i kazała Stachowi ruszać. Była już wycieńczona i przygnębiona ostatnimi wydarzeniami, których nikt się nie spodziewał. Wyobrażała sobie, co przeżyje Aleks, kiedy dotrze do niego wiadomość o klęsce pod Grochowiskami. Będzie szalał z rozpacz i niepokoju, nie wiedząc, czy żonie udało się dostać na drugi brzeg Wisły i dojechać do Krakowa. Ostatnio nie czuła się dobrze. Miała zawroty głowy, bolał ją kręgosłup i odczuwała bóle w dole brzucha. Wolała nie wspominać o tym, aby nikogo nie martwić.

Jechali bardzo wolno, bo droga zawałona była ciężkimi wozami i konnymi. Czasami jakiś młody powstaniec pochylał się na koniu i zaglądał

ciekawie do wnętrza karety. Na widok Niny głośno gwizdał z podziwu. Zirytowana, jednym szarpnięciem zaciągnęła firanki.

– Jak sądzisz? – zwróciła się do panny Lutówny. – Czy to już koniec powstania?

– Na panu Langiewczu powstanie się nie kończy. W Warszawie jest legalny rząd – odparła Mira zdecydowanym tonem. Była bardzo blada, lecz nie upadała na duchu, wierząc niezłomnie w zwycięstwo zbrojnego wybuchu. – Znajdą się inni, lepsi dowódcy.

– Mira, powiedz mi, co udowodnimy, przedłużając tę masakrę? Nigdy nie miałam zaufania do pana Langiewicza, a jego klęska pod Grochowiskami może uniemożliwić nam dotarcie do Krakowa i transport broni. Zresztą czy warto starać się o broń, jeżeli wszystko się wali? Boże, tak bym chciała znowu być w Makowie... – westchnęła, przecierając dłonią czoło. – Jestem podobna do ślimaka, który umiera pozbawiony swej muszli.

Rada mieszczanina okazała się dobra. Naprzeciw Ujścia ludzi było o wiele mniej, a duże promy kursowały częściej. Kilkunastu konnych oczekiwało u przeprawy na swoją kolej, stało tam również kilka wozów, lecz w porównaniu z tłumem w Opatowcu tutaj mogło się wydawać niemal pusto. Stach zajechał na koniec kolejki i odetchnął. Nina wysiadła z karety, żeby rozprostować nogi, i jakiś czas pozostać sama. Jaga z pomocą Miry przygotowywała posiłek, składający się tylko z kanapek z wędliną oraz soku owocowego, bo nie było gdzie zagrzać wody na herbatę. Nina nie odczuwała głodu, a chwilami było jej niedobrze, miała szum w głowie i marzyła o filizance mocnej kawy ze śmietanką. Ta długa podróż i niewygody ogromnie ją zmęczyły. W nocy prawie nie sypiała, bo na noclegach dokuczały im pchły.

Patrzyła na szeroko rozlaną rzekę, a porywisty wiatr szarpał długą woalką przypiętą do kapelusza i kołysał krynoliną, aż musiała przytrzymać ją dłonią. Powietrze było wilgotne i przeraźliwie zimne. Po zachodniej stronie nieba na krótką chwilę pokazało się słońce. Jego purpurowe promienie odbijały się w falach Wisły i mogło się wydawać, że rzeka toczy krwawą wodę. Zewsząd napływały ciemnogrnatowe chmury, wróżąc długotrwałą słotę. Po podmokłych łąkach brodziły już pierwsze bociany, stawiając z wysoka cienkie, długie nogi.

Nad brzegiem, na pożółkłej trawie, rozsiadło się kilku powstańców. Mieli na głowach brudne konfederatki i otulali się strzępami podartych

mundurów. Rozmawiali, popijając wódkę z jednej butelki. Prawdopodobnie nie była to pierwsza butelka, bo już byli nietrzeźwi. Nie krępując się, głośno przeklinali Langiewicza, życząc mu rosyjskiej kuli w łeb. Wspominali bitwę pod Grochowiskami, dzieląc się wrażeniami ze szczególnie dramatycznych momentów. Byli pijani, zobojętniali na wszystko i ubarwiali relacje ordynarnymi okrzykami. Nina z pewną obawą obserwowała ich szare, umęczone twarze i złe, przekrwione z braku snu oczy. Obecność nadchodzącej damy wcale nie wpłynęła na zmianę ich zachowania.

– Mówię wam... – bełkotał krępy powstaniec z krwawą szramą przez policzek, z trudem przewyciężając płaczący się język. – Na moich oczach zabiło Jurka! Granat wyrwał mu z brzucha wszystkie bebechy! Wyglądał jak wypatroszony wieprzek. Cały byłem zalany jego juchą. Ups... – Czknął głośno i machnął ręką. – Panowie, koniec z wojenką, mam wszystko w dupie i wracam do domciu. Langiewicz nas zdradził, sobacza jego mać!

– Nie klnij, jakaś pani tu idzie – ostrzegł go drugi mężczyzna, widać nieco trzeźwiejszy.

– Co za pani? Sram na wszystkie panie. Nie musi tędy łązić! – Pijak z wściekłością cisnął pustą już butelkę do rzeki. Naraz upadł twarzą na ziemię i głośno zapłakał: – Jezu, Jurka zabiło! Zabiło go na śmierć! Flaki mu wywlekło, a on jeszcze żył i patrzył na mnie, jakby prosząc o ratunek. Boże, co ja teraz powiem Wandzi i jego dzieciom?

Zarumieniona ze wstydu Nina pośpiesznie zawróciła i odeszła. Nie miała wcale pretensji do tych nieszczęsnych, zrozpaczonych chłopców. Na pewno dali z siebie wszystko, lecz pozbawiono ich nawet nadziei, że przelana przez nich tak szczerze krew nie poszła na marne.

„Właściwie, po co ja jadę do Krakowa? – zadała sobie pytanie, zasiadając na dużej kłodzie wyrzuconej przez wodę. – Czy nie szkoda kupować broni, wyrzucając pieniądze wojewodziny i marnując moje zdrowie? Przecież za te pieniądze mogłabym wspomóc gospodarzy makowskich i zakupić mnóstwo potrzebnych rzeczy. Powiedzmy, że przywiozę Alkowi broń, a on znowu pójdzie walczyć do wiadomego końca. Ci biedni żołnierze z pewnością bili się dzielnie, a jednak porzucono ich i tak okrutnie zawiedziono nadzieję na zwycięstwo. Och, byle dalej od tego piekła! Tylko szaleńcy nie uciekają z tonącego okrętu i idą z nim na dno”.

Tak rozmyślając, przypatrywała się przeprawie. Co jakiś czas prom zawracał, zabierając nowe gromady, konie i jakiś sprzęt obozowy. Nadjeżdżały wozy załadowane żołnierskim dobytkiem, pośpiesznie ewakuowano ambulanse z rannymi. Młodzi lekarze w fartuchach poplamionych krwią zmieniali opatrunki, a nawet przeprowadzali zabiegi. Ranni krzyczeli głośno, a gdy ambulans przejechał, na drodze pozostawały krwawe koleiny. Uwagę Niny zwrócił długi wóz drabiniasty, szczelnie przykryty płachtami. Spod płótna wystawały sztywne ręce i gołe stopy. Wóz eskortowało kilku konnych powstańców. Widocznie nie chcieli pozostawić martwych przyjaciół i zabierali ich zwłoki do Galicji. Nina odmówiła szeptem modlitwę za umarłych.

W pobliżu kłody, na której siedziała, przystanąło paru jeźdźców. Zeskoczywszy z wierzchowców, podeszli do brzegu, wpatrując się w rzekę. Jeden z nich, młody żołnierz z wymykającymi się spod konfederatki ciemnymi włosami, wydał się Ninie znajomy. Mogłaby przysiąc, że niedawno go widziała. Napotkawszy jej badawczy wzrok, powstaniec prędko odwrócił się do niej plecami. Do brzegu przybiła duża łódź i mężczyźni wsiedli, pozostawiwszy konie pod opieką jakiegoś cywila. Oczekujący swojej kolejki żołnierze wygrażali im pięściami i głośno przeklinali. Ciemnowłosy powstaniec, wskazując do łodzi, potknął się i konfederatka spadła mu z głowy. Podniósł ją i głęboko wcisnął na czoło, ale Nina już go poznała. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w odpływającą łódź, przycisnąwszy obie dłonie do mocno bijącego serca. Młody powstaniec nieznacznie dał jej znak, nakazujący milczenie. W jego dużych czarnych oczach Nina dostrzegła lśniące łzy. Ciężko dysząc, odprowadzała ich wzrokiem pełnym oburzenia i gniewu.

Panna Pustowójtówna i dyktator Langiewicz! Uciekał tchórzliwie, pozostawiając na pastwę losu niedobitki swojej armii. Hańba! Miała ochotę splunąć za nim z pogardą. Gdyby krzyknęła i wskazała ich palcem, prawdopodobnie jego własni żołnierze rozdarliby swego generała na sztuki. Ale w oczach panny Pustowójtówny dostrzegła wyraz takiej beznadziejnej rozpacz, że opanowała się i już spokojnie śledziła oddalającą się łódź. Nie miała prawa potępiać tych ludzi. Przecież sama dręczyła Aleksa, zarzucając mu, że walczy i uparcie odmawia ucieczki za granicę. Również i ona marzyła, aby wyrwać się z tego piekła. Nie wolno jej było potępiać dyktatora, nie znając motywacji, która skłoniła go do podjęcia tak

dramatycznej decyzji. Bliska załamania nerwowego wstała z kłody i wróciła do karety. Wcisnąwszy się w kąt, zasłoniła twarz woalką, udając, że drzemie.

Przeprawili się dopiero o zmierzchu. Pierwsze wprowadzono na prom konie, trzymane przez stangretów przy pyskach. Na wszelki wypadek miały na oczach opaski, aby się nie spłoszyły. Wchodziły na prom ostrożnie, parskając i chrapiąc ze strachu. Stach, Maciek i Tomek dodawali im otuchy, klepiąc je po szyjach i przemawiając spokojnym głosem. Potem zjechała wolno kareta podtrzymywana linami. Nina stanęła na przedzie promu, patrząc zamyślona, jak wolno oddala się brzeg będący granicą zaboru rosyjskiego. Zapadał zmrok i tylko na zachodzie pomiędzy chmurami świeciły jeszcze wieczorne zorze niby łuna dalekiego pożaru. Prom, energicznie popychany drągami, szybko posuwał się naprzód. Rzeka w tym miejscu była szeroka, ale po pewnym czasie wszyscy poczuli silny wstrząs i Nina pierwsza wyskoczyła na brzeg, podając rękę Jadze. Mira wysiadła tak pechowo, że obiema nogami wpadła do lodowatej wody, na szczęście płytkiej.

Dwóch konnych huzarów towarzyszyło paniom aż do komory celnej. Dokoła budynku koczowały gromady uciekinierów zza granicy. Wszyscy byli bardzo podekscytowani, dzieląc się półgłosem uwagami na temat jakiegoś zajścia mającego niedawno miejsce. Mira zaczęła otyłego jegomościa, pytając, co się wydarzyło. Grubas miał wodniste oczy, a na jego brzuchu zwisał złoty brelok od zegarka, widoczny spod rozpiętego płaszcza. Syty i pewny siebie sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

– To panie nic jeszcze nie wiedzą? – zdziwił się, wydymając wargi. – Ależ niedawno mieliśmy tu widowisko, że palce lizać. Na komorze celnej capnęli tego gagatka Langiewicza i jego kochanicę! No, ale im się ucieczka nie udała, bo jakaś dobra dusza wskazała ich władzom austriackim. Bóg nas ustrzegł przed tym awanturnikiem!

Kochanica? Nina poczuła bolesny ucisk w sercu. Biedna dziewczyna nie zasłużyła sobie na taki ordynarny epitet. Oczami duszy ujrzała drobną postać żołnierzyka z karabinem w rękach, odważnie brnącą przez wzburzone nurty Łosośny. Jej pomysłowość i siła woli uratowały wówczas wiele ludzkich istnień. Służyła ojczyźnie najlepiej jak umiała. Jako adiutant dyktatora obowiązana była iść za swoim dowódcą. Na emigracji z

pewnością nie czekały na nią luksusy, lecz uczciwa nędza i obelgi wdzięcznych rodaków. Kochanica!

Nina zacisnęła pięści, walcząc z chęcią spoliczkowania tego tłustego bydlaka. Langiewicz również nie zasłużył sobie na miano awanturnika. Zadanie, które wziął na siebie, po prostu go przerosło. Był próżnym człowiekiem, nieudolnym wodzem i nie potrafił sprostać tej powinności. Z własnej winy padł ofiarą perfidnej intrygi, lecz kiedy inni siedzieli w ciepłych domach, on dzielnie walczył. Nie można było go winić za wszystko, co się wydarzyło. Mężnie stawiał opór wrogowi, a rodacy zapłacili mu za to czarną niewdzięcznością.

„Jezu – pomyślała z goryczą – jeszcze wczoraj był bożyszczem tłumów. Wielbiono go jak bohatera, damy nosiły na sercu jego portrety i na dźwięk jego nazwiska dostawały patriotycznych spazmów. Dzisiaj rodacy plują nań i szkalują. O, jesteśmy strasznym narodem. Zazdrościmy każdemu w chwili powodzenia i cieszymy się złośliwie w momencie upadku. Żadnego z narodowych bohaterów czy wieszczów nie ominęły krzywdzące pomówienia, każdego znieważono i obrzucono błotem. Nawet wrogowie tak źle nam nie życzą, jak my, nienawidząc się, źle życzymy sami sobie”.

Grubas nie zauważył niekorzystnego wrażenia, jakie jego słowa wywarły na słuchaczach, i śmiejąc się, mówił dalej:

– Langiewicz bratał się z Czerwonymi, paktował z Moskalami, a teraz posiedzi sobie w pudle. Dobrze mu tak!

Zanim Nina ze ściśniętego wściekłością gardła zdołała wykrztusić słowo, uprzedziła ją Mira:

– Możliwe, że dla pana nie istnieje nic świętego, ale dla prawdziwych Polaków osoba pana generała Langiewicza kojarzyć się będzie zawsze z walką o niepodległość ojczyzny. Nie wolno go panu obrażać! – krzyknęła, następując na niego z parasolką w dłoni. Wyglądało na to, że miała ochotę jej użyć.

Lecz Ninie jej słowa nie wystarczyły. Pieniła się ze złości, gotowa w porywie pasji wydrapać grubasowi oczy.

– Jak śmiesz, ty nędzniku, drwić z nieszczęścia człowieka, którego nie godzien jesteś osądzać?! – wrzasnęła. – Sprzedaliście polskiego generała zaborcy za austriackie srebro, jak Judasz sprzedał Jezusa. Obrażając generała, znieważylesz wszystkich rodaków walczących w powstaniu! Jesteś podłym chamem i nędzną kreaturą, godną najwyższej pogardy! Nie waz się

znieważać panny Pustowójtówny, bydlaku! Za plucie jadem na tę wspaniałą dziewczynę i dobrą Polkę należą ci się baty. Łotr! Precz mi z oczu! – prychnęła jak rozwścieczona kotka.

Mężczyzna nie zamierzał puścić obelg płazem i już otwierał usta, aby wszcząć awanturę, ale zamknął je w tej samej chwili, zauważywszy za plecami młodej damy groźne postaci trzech stangretów uzbrojonych w ciężkie bicze. Doszedł do rozsądnego wniosku, że lepiej z nimi nie zadzierać, i mruknąwszy coś pod nosem, cofnął się i przepadł w tłumie gapiów, zaciekawionych głośnym zajściem.

– Pójdę za draniem i skuję mu mordę! – odezwał się Maciek. Miał zaciśnięte zęby, a na ustach wilczy uśmiech. Zmrużonymi złowrogo oczami szukał w tłumie grubasa, gotowy sprać go na kwaśne jabłko za obrazę generała. – Ot, galicyjskie ścierwo! Powstańców nie szanuje.

Nina powstrzymała go, nie chcąc ściągnąć na siebie uwagi celników. Nie uniknęła jednak tego, bo jej uroda oczarowała oficerów. Kontrola celna odbyła się szybko i sprawnie. Tytuł hrabiowski i jej urok osobisty zrobiły na celnikach jak najlepsze wrażenie.

– Cieszę się, że miałem zaszczyt poznać panią hrabinę. Życzę miłego pobytu w Krakowie. – zegnał ją z wyszukaną uprzejmością oficer węgierski i już z własnej inicjatywy rozkazał dwom huzarom pomóc w załadunku kufrów na bryki.

Jechali wolno brzegiem rzeki, bo pogoda była fatalna i padał deszcz ze śniegiem oraz wiał porywisty zimny wiatr. Podróżowali przez część nocy, zatrzymując się dopiero w Woli Batorskiej. Był tam duży porządny zajazd, więc Nina postanowiła dać dłuższy odpoczynek zmęczonym ludziom i koniom. Sama gotowa była jechać do Krakowa nawet bez przystanków, lecz konie były bardzo przemęczone, a biednej Jadze tak spuchły nogi, że Nina uznała, iż niania koniecznie powinna poleżeć jeden dzień w łóżku. Na skutek zimnej kąpieli w Wiśle Mira się rozchorowała. Kichała jak z moździerza, ucinając co jakiś czas kawał płótna, bo chusteczki już nie wystarczały.

Dopiero trzeciego dnia wyruszyli w dalszą drogę. Słota minęła i słońce świeciło już zupełnie po wiosennemu. Uchyliwszy okno w karecie, damy przyglądały się mijanym wsiom i miasteczkom, większym i zasobniejszym niż świętokrzyskie. Nie mogły się nadziwić, że napisy na szyldach i tablicach są w języku polskim. Teraz podróż nie była już tak męcząca i monotonna. Nie musieli obawiać się patroli, a w łagodnym powietrzu pachniała nagrzana słońcem ziemia. Ptaki świergotały radośnie na bezlistnych jeszcze gałęziach drzew. Od szarych pól szedł zapach poruszonej roli, gotowej do siewu.

Patrząca przez okno Nina aż do bólu zatęskniła za Makowem. Jakże tam musiało już być pięknie... Zaprażyła dosiąść Mignon i wyjechać w pole, by poczuć woń swojej ziemi, zatęskniła za widokiem ukochanych Gór Świętokrzyskich. Pragnęła przechadzać się parkowymi alejami z idącym przy nodze Grotem, obserwując przemiany dokonujące się w przyrodzie. Pocieszała się jedynie nadzieją ujrzenia Krakowa, dawnej stolicy potężnej Rzeczypospolitej, miasta nierozzerwalnie związanego z najświetniejszym okresem w dziejach narodu. Wyobrażała sobie, że zobaczy wielkie, tętniące życiem miasto i na samym wstępie spotkał ją zawód...

Nad Krakowem unosiły się poranne mgły, przez które przeświecało błękitne niebo. Minęli senne rogatki i jechali wąskimi, brudnymi uliczkami, gęsto zabudowanymi brzydkimi, odrapanymi kamienicami czynszowymi, gdzie znajdowała schronienie miejska biedota. W tych obskurnych ruderach, przeważnie żydowskich, trudno było dopatrzeć się piękna. Zawiedziona Nina ze złością zatrzasnęła okno. Stach machnął batem nad grzbietami koni. Przyśpieszyły biegu i po jakimś czasie wjechali na ogromny rynek. Kareta podskoczyła kilka razy na kocich łbach i stanęła.

Nina pierwsza wysiadła i rozejrzała się z ciekawością. Tak, to miejsce było właśnie takie, jak je sobie wyobrażała. Nad rynkiem górowały strzeliste gotyckie wieżycy kościoła Mariackiego, a skąpany w promieniach rannego słońca plac otaczały prastare kamieniczki i magnackie pałace. Nad ich głowami piętrzyły się spadziste dachy i zęby renesansowej attyki. Z dachu Sukiennic wykrzywiały się ku nim paszcze maskaronów i fantastycznych gargulców.

– Spójrzcie tylko, moi kochani. – Mira, wchodząc w rolę nauczycielki, wskazała palcem piękną budowlę. – To słynny pałac Pod Baranami, siedziba hrabiów Potockich.

Trzej stangreci dosyć pobieżnie obejrzeni budynek, nie okazując entuzjazmu.

– E, tam! Nie trza jeździć aż do Krakowa, żeby barany zobaczyć – trzeźwo i rozsądnie stwierdził Maciek.

Tomek miał niewyraźną minę i wolał się nie odzywać. Mira była rozczarowana reakcją swoich uczniów.

– Ależ chłopcy, widzicie przed sobą przepiękny pałac, w którym bywali wielcy Polacy. Naczelnik Kościuszko, książę Józef Poniatowski i inni. W tym pałacu zapadały ważne decyzje polityczne.

– A mnie się najlepiej podoba nasz Maków, a potem zamki w Kurozwękach i Chęcinach. To dopiero zamczyska! – upierał się Maciek.

– To są zamki obronne, a nie reprezentacyjne pałace – cierpliwie tłumaczyła Mira, siąkając nos. – Gdy tylko poczuję się lepiej, zaraz pokażę wam Zamek Królewski i inne zabytki. Oj, Boże! – Posłała Ninie zbolale spojrzenie i znowu wysiąkała nos. – Ale sobie dogodziłam.

– Może to i piękne – odezwał się Stach – ale ja bym wolał zająć do jakiejś gospody i coś przegryźć, niż gapić się na stare domy. Koniska także głodne, rzemienie żują.

Nina nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Brak egzaltacji i realizm chłopski zawsze budził jej szacunek i zrozumienie.

– Stach ma rację. Na wszystko przyjdzie pora, teraz musimy poszukać hotelu, bo może Binia już tam czeka – powiedziała stanowczo.

Zaczepony mieszczanin wskazał im ulicę Floriańską. Okazało się, że byli dosłownie o kilka kroków od celu. Nina pogratulowała sobie przezorności, bo hotel pękał w szwach. Miasto pełne było uciekinierów z ogarniętej powstaniem Kongresówki. Ze wszystkich stron przybywali ziemianie,

wypłoszeni widmem chłopskiego buntu, i żołnierze z rozbitych oddziałów powstańczych.

W krakowskich hotelach miały swoje przedstawicielstwa państwa Europy Zachodniej, obserwujące teatr wojenny. Tu także mieli siedziby dziennikarze gazet zagranicznych węszący za sensacyjnymi wiadomościami. W każdym hotelu przebywali też agenci tajnej policji carskiej, śledzący uważnie poczynania delegatów Rządu Narodowego.

Hotel Pod Różą znajdował się w pięknej starej kamienicy, owianej legendami. To tu mieli się spotykać słynni kochankowie: Honoriusz Balzac i pani Ewelina Hańska. Wielką sień szczelnie wypełniał wielojęzyczny tłum, szturmujący spoconego i zasapanego hotelarza. Na widok wchodzących nowych gości właściciel bezradnie rozłożył ręce.

– Ogromnie mi przykro, ale nie mam już wolnych pokoi i miejsc w stajni – uprzedził.

– Nie otrzymał pan mojej depeszy? – zdziwiła się Nina, niemile zaskoczona.

Ujrawszy jej wizytówkę, hotelarz wypogodził twarz zawodowym uśmiechem.

– Najmocniej przepraszam, jaśnie pani hrabino – powiedział, składając jej ukłon. – Oczywiście, pokoje są już przygotowane na pani przyjęcie. W stajniach jest miejsce dla koni. Chłopak zaraz wskaże drogę. Czy można wziąć kufry?

– Tak, dziękuję. – Nina upewniła się też, że stangreci otrzymali wygodny pokój, i dodała: – Może zechce pan sprawdzić, czy przyjechała już pani Bibiana Świerczyńska ze Świerszczyn w Księstwie Poznańskim? Miała zamówiony apartament obok mojego.

– Natychmiast zobaczę. Trudno spamiętać wszystkich gości. – Hotelarz otworzył wielką księgę i twierdząco skinął głową. – Owszem, dama przyjechała wczoraj wieczorem. Wicek, masz tu klucze i zaprowadź jaśnie panie do numerów.

Nina zarumieniła się z radości, nie mogąc doczekać się chwili spotkania z Binią.

– Nianiu, Miruniu, rozgośćcie się w pokojach, a ja pójdę się przywitać z Binią. Potem do was razem przyjdziemy. Nianiu, zamów śniadanie do pokoju.

Unosząc oburącz ciężką krynolinę, weszła na pierwsze piętro i zapukała niecierpliwie w masywne drzwi.

– Kto tam? – spytał cienki kobiecy głos i w uchylonych drzwiach ukazała się pyzata buzia młodej pokojówki.

– Pani Świerczyńska u siebie?

– Jaśnie pani zmęczona, odpoczywa i nikogo nie przyjmuje. – Służąca zmierzyła ją nieufnym wzrokiem i zamierzała zamknąć jej drzwi przed nosem.

– Odsuń się, mnie przyjmie. – Nina energicznie odepchnęła dziewczynę i weszła. – Biniu!

W odpowiedzi rozległ się radosny pisk i z drugiego pokoju wybiegła Bina w papilotach na włosach i jedwabnym szlafroczku. Widocznie niedawno wstała z łóżka. Przez moment wpatrywała się w Ninę szeroko otwartymi oczami i naraz z głośnym płaczem rzuciła się jej w ramiona.

– Ninka! O Jezu, siostrzyczko najmilsza! Wprost nie do wiary, jeszcze wypiękniałaś! Daj, niech cię ucałuję. Moja najmilsza, tak się za tobą stęskniłam. Boże, to naprawdę ty? – Odsunęła Ninę na długość ramienia, spojrzała na nią przez łzy i znowu ją przytuliła. – Kochanie, nareszcie razem. Ach, napatrzeć się na ciebie nie mogę!

Całowały się, szlochając ze szczęścia.

– Rzeczywiście wyglądam przepięknie z tym wystającym brzuchem! – Nina otarła łzy, nie wypuszczając Bini z objęć. – A ty, moja jedyna, zawsze jak piętnastoletnia panienka. Ani odrobiny powagi. – Ucałowała siostrę z czułością.

Binia wcale się nie zmieniła. Dwukrotne macierzyństwo nie zdeformowało jej smukłej figurki. Niebieskie oczy śmiały się jak dawniej, figlarnie. Była tą samą uroczą jasnowłosą panienką z Sarnik.

– Najmilsza moja! – Śmiała się, nie przestając popłakiwać. – Nawet przy nadziei wyglądasz cudownie. Hrabia musi za tobą szaleć. Dalej przebywa w partii? Zdrowy? To kiedy się spodziewasz? A jak u moich rodziców? – zasypała Ninę pytaniami. – Wejźmy do pokoju. Ach, jak to dobrze, że miałaś taki wspaniały pomysł!

Nie przestając wypytywać o wszystko naraz, wprowadziła Ninę do dużego, wygodnie urządzonego pokoju, zarzuconego częściami damskiej garderoby. Jednym ruchem zrzuciła z kanapki stos sukien, kopnęła je pod szafę i umieściwszy na niej Ninę, usiadła przy niej. Zaczęły mówić

jednocześnie, zamilkły, spojrzały sobie w oczy, wybuchły śmiechem i znowu padły sobie w ramiona. Obie były rozdygotane i długo siedziały na kanapce, mocno objęte, oplakując kilkuletnią rozłąkę.

– Najpierw mi powiedz, kiedy spodziewasz się dziecka? – Binia nadal nie mogła oderwać oczu od twarzy Niny, zachwycając się jej urodą.

– Chyba w maju. Jak wiesz, z tym nigdy nic pewnego. Przywiozłam z sobą nianię i pannę Lutównę. To taka dobra dusza, z pewnością się polubicie. Moja ty złota, tak się cieszę, że znowu jesteśmy razem. Alek przesyła ci ucałowania. Był bardzo zadowolony, że się spotkamy, i przyrzekł mi dyskrecję przed ciotką Marią. Walczy w powstaniu i bardzo rzadko się widzimy.

Binia wyprawiła pokojówkę po owoce, a gdy zostały same, Nina szczerze wyznała, w jakim celu przybyła do Krakowa. Binia wcale nie była zdziwiona, tylko westchnęła i pogładziła ją po policzku.

– Jesteś najlepszą żoną, jaką hrabia mógł sobie znaleźć, ale ta twoja impreza wcale nie jest łatwa i bezpieczna. Wiem o tym, bo wiele dam z Wielkopolski także przewozi broń dla walczących partii. Musisz się uzbroić w cierpliwość, bo słyszałam, że w Krakowie niełatwo o broń.

Wymieniwszy pierwsze zwierzenia, przeszły do apartamentu Niny, bo Binia pragnęła przywitać się z Jagą i poznać pannę Lutównę. Po śniadaniu Nina postanowiła wybrać się do państwa Piotrowskich i sprawdzić, czy braciszek Benon rozmawiał już z kapitanem o zakupie broni. Mira czuła się tak źle, że zaraz po posiłku położyła się do łóżka. Jaga także była zmęczona po podróży i pragnęła odpocząć. Poszły więc z Binią piechotą do rynku, bo na samą myśl o zamkniętej karecie Nina dostawała dreszczy.

– Wyobraź sobie, kochanie – opowiadała Binia po drodze – że jechałam tu trzy dni! Te ciągłe przesiadki były koszmarne. Dym, hałas, sadze... Dotarłam do Krakowa czarna jak kominiarz po dniu ciężkiej pracy. Byłam zupełnie ogłuszona tym ciągłym turkotem kół. Aha, słuchaj, złotko! – Zatrzymała się raptownie na środku ulicy, chwytając Ninę za rękę. – Powinniśmy chyba spać w jednym pokoju, prawda? Mamy przecież sobie tyle do opowiedzenia. Pokażę ci fotografie moich chłopców. Kazałam je zrobić specjalnie dla ciebie przed samym odjazdem. Spójrz, kochanie, co to za cudaki.

Weszły właśnie na zatłoczony barwnymi kramami rynek. Było południe i z wieży kościoła Mariackiego rozległ się srebrny głos trąbki grającej hejnał.

Stada gołębi wleciały nad dachami domostw, spłoszone dźwiękiem dzwonów. Jednakże okrzyk zdumienia, który wyrwał się Bini, spowodowany był widokiem dwóch mężczyzn w bardzo oryginalnych ubiorach. Mieli na sobie białe jedwabne koszule i czarne kamizelki z wyszytym na piersiach dużym białym krzyżem. Szerokie szarawary wpuszczone były w miękką cholewkę wysokich butów. Czarny surdut bez kołnierza i turecki czerwony fez na głowie oraz czarno-biała chusta na szyi dopełniały całości tego egzotycznego stroju. Sprawiali wrażenie dziwaczne i marsowe, bo za pas wetknęli pistolety, a przy boku zwieszały się im szable. Obie damy przystały, przypatrując się im z zainteresowaniem.

– Widocznie to jakieś poselstwo przybyło ze Wschodu, pewnie z Turcji – półgłosem zauważyła Bini.

Stojąca w pobliżu tęga kwiaciarka w krakowskim stroju, z wiadrem pełnym żółtych żonkili, roześmiała się serdecznie.

– Oj, wielmożne panie chyba z daleka – odezwała się poufale, z krakowska zaciągając. – Przecie to nie obce, jeno chłopaki od Rochebrune’a! Żuawy śmierci!

– Doprawdy? – Nina nie spuszczała pełnych podziwu oczu z rozmawiających spokojnie mężczyzn. – Ale dlaczego oni są tak dziwnie poubierani?

– Bo pułkownik Rochebrune to Francuz. Przyjechał gdziesik z Afryki, gdzie żołnierze tak się właśnie noszą. Przykazał poszyć naszym chłopakom takie samiutkie ubiory. Ale dla mnie nie ma jak ułan! Talia wcięta, mundur piękny i chłopak jak malowanie. A w tych szerokich gaciach to nawet nie widać, czy on cienki czy spasiony. Oj, poginęło tych biedaków wielu pod Miechowem i pod Skałą, a potem pod Małogoszczą i Grochowiskami. Żałoba u nas, bo to przecie kwiat młodzieży. Podziwiajcie se, wielmożne panie, bo nigdzie tego nie zobaczycie. Wiadomo, Kraków! – zakończyła z dumą.

Żuawi, posłyszawszy, że o nich mowa, przerwali natychmiast dyskusję i odwrócili się ku damom. Puszyli się jak dwa koguty, posyłając paniom przeciągłe spojrzenia i uśmiechy, a one zarumieniły się i pośpiesznie ruszyły ku Sukiennicom, gdzie był postój fiaków. Ze zdumieniem przypatrywały się spacerującym po rynku mężczyznom w konfederatkach na głowach, z karabinami przewieszonymi przez ramię. Ich zawadiackie

zachowanie nie robiło żadnego wrażenia na austriackich policjantach, zachowujących stoicki spokój i dobroduszną pobłażliwość.

– Jezus Maria! – przejęta Nina wydała okrzyk. – Nikt mi u nas nie uwierzy, jak powiem, że widziałam uzbrojonych przyszłych powstańców spacerujących w jasny dzień po rynku!

– U nas, w Wielkopolsce, taki widok także jest nie do pomyślenia. Wielu młodych mężczyzn poległo, zastrzelonych przez Prusaków przy przekraczaniu granicy. Porozmawiamy jeszcze na ten temat. A gdzie mieszkają ci państwo Piotrowscy?

– Alek mi mówił, że za wawelskim wzgórzem, nad samą Wisłą.

– To dosyć daleko. Boże, jakie to piękne... – westchnęła Binia, oczarowana starymi kamieniczkami otaczającymi rynek. – Widzisz tamtą kamienicę na rogu Floriańskiej? To dom Pod Murzynami. Niegdyś należał do rodziny Zborowskich. Czytałam, że gościli w niej królowie. Podobno król Henri de Valois przybył na wesele Andrzeja Zborowskiego w szatach koronacyjnych, bo właśnie tego dnia przyjmował na rynku hołd od miasta Krakowa. Kronikarze wspominają, że nie tylko tańczył, ale poczynił sobie bardzo frywolnie z damami, budząc ogólne zgorzelenie.

– Aha, pamiętam, jak nas tego uczyła nasza kochana Gosselinka. – Nina się rozejrzała. – Spójrz, a tamta kamienica, ta z taką wspaniałą attyką, była miejscem zaślubin Maryny Mniszchówny z Dymitrem Samozwańcem, przyszłym carem Rosji. A ten pałac jest własnością margrabiego Wielopolskiego. Popatrz tylko, jaki zadbany! Jutro pójdziemy na mszę do katedry wawelskiej.

Słuchająca jej uważnie Binia naraz zrobiła wielkie oczy i mocno trąciła Ninę łokciem. Na wprost nich szedł niepozorny młody mężczyzna, skromnie ubrany. Nosił okulary o bardzo grubych szklach. Zamyślony, szedł z pochyloną głową i o mało nie wpadł na obie damy.

– O, najmocniej przepraszam! – wykrzyknął zażenowany.

– Nino, szybko, złóżmy mu ukłon – szepnęła podniecona Binia.

Młody człowiek zmieszał się ogromnie i wytrzeszczył swoje krótkowzroczne oczy, zaskoczony widokiem dwóch ślicznych, strojnych w aksamity i futra dam, które dygnęły, składając mu niemal dworski rewerans. Szybko się odklonił i czerwony z zakłopotania poszedł dalej, nawet się nie obejrzawszy.

– Biniu, kto to był? – zagadnęła półgłosem zaintrygowana Nina.

– To był pan Stefan Bobrowski, naczelnik Warszawy i członek Rządu Narodowego – odpowiedziała przejęta spotkaniem Binia.

– Ten pan? Niemożliwe! – Nina potknęła się i przystanąła. – Co on tu robi w Krakowie? Znasz go?

– Spotkaliśmy go raz w Paryżu, na pewnym przyjęciu. Potem o jego działalności opowiadał nam pan Guttry⁰¹, który u nas czasami bywa.

Nina obejrzała się, lecz Bobrowskiego już nie było.

– Ja także wiele o nim słyszałam od Emilki, bo żona Jasia była łączniczką rządu. Wyrażała się o nim w samych superlatywach. To wspaniała dziewczyna i Jaś idealnie trafił. Ale co on robi w Krakowie?

– Kto, Jaś?

– Nie, Bobrowski.

– Tego nie wiem. Chodźmy, Ninko, bo trafimy u tych państwa na obiad, a to przecież nie wypada.

Wsiadły do fiakra i przez ulicę Grodzką pojechali w stronę Wawelu. Stary powóz podskakiwał na bruku, a wąsaty woźnica cmokał na zmęczoną klacz i poganiał ją batem. Wyjechali z ulicy Kanoniczej i niespodziewanie wyrosła przed nimi góra zamkowa, otoczona potężnymi murami fortecznymi. Ze strzelnic wyglądały paszcze dział skierowane na miasto. W czasie rewolucji krakowskiej z wawelskiego wzgórze Austriacy bombardowali dawną stolicę Polski. Tylko wspaniały renesansowy kształt Zamku Królewskiego na Wawelu i wyniosłe wieże katedry przypominały przechodniom, że była to niegdyś rezydencja królów przesławnej Rzeczypospolitej. Władze austriackie uczyniły z zamku cytadelę, strzegącą ustalonego porządku.

– Czy można zwiedzić Wawel? – spytała Binia woźnicę.

– Tylko katedrę, dalej nie puszczają, bo tu są ichnie koszary – mruknął, strzykając przez zęby brunatną śliną, gdyż nieustannie żuł tytoń.

– Jakieś święto dzisiaj, że tyle ludzi stoi pod Wawelem? – zainteresowała się Nina, widząc pod basztą twierdzy gromadzących się przechodniów.

Ludzie krążyli niespokojnie i zadzierając głowy, spoglądali w okna fortalicji, inni oglądali się na stojącą w pobliżu kamienicę. Między nimi stało kilku policjantów, pilnując porządku.

– Jaśnie panie to chyba nie z Krakowa. – Właściciel fiakra obejrzał się na swoje pasażerki. – Przecie tu, na Wawelu, Austriaki zamkły naszego dyktatora, Langiewiczza.

– Langiewicza?! – obie młode kobiety wykrzyknęły te słowa niemal jednocześnie. – Na Wawelu?!

– A jakże. W tej kamienicy, naprzeciwko góry zamkowej, siedzi panna, co u niego w wojsku służyła. Ten dom nazywa się Stary Telegraf. – Woźnica był zdziwiony nieświadomością obu dam, bo już cały Kraków wiedział o nowej zniewadze zaborców, osadzających w twierdzy wawelskiej, jak na urągowisko, byłego dyktatora powstania, drwiąc sobie z uczuć społeczeństwa polskiego.

– To panna Pustowójtówna również aresztowana? – zmartwiła się Nina. – Mój Boże, to taka dzielna dziewczyna i wspinała Polka. Nie pisałam ci, że ona i Langiewicz byli na początku lutego w Makowie.

– Znasz ich osobiście? O, to ja już dopilnuję, żebyś mi wszystko opowiedziała z detalami – oświadczyła Binia.

Dom państwa Piotrowskich stał na odludziu, przy drodze prowadzącej do Tyńca. Budynek był prawie niewidoczny spoza wysokiego parkanu i gęstego żywopłotu, nad którym zwieszały się gałęzie drzew ogrodowych. Nina z uznaniem obejrzała dom.

– Dobrze położony, prawda, Biniu?

– Idealnie! – przyznała Binia z zapałem.

Nina kazała fiakrowi zaczekać, nie wiedząc, czy zastały pana Piotrowskiego w domu. Wsiadły i podeszły do furty. Stał za nią duży pies i kiedy Nina energicznie pociągnęła za sznur dzwonka, brytan zaczął ujadać, z wściekłością rzucając się i szczerząc długie kły. Binia cofnęła się pośpiesznie. Spojrzały na siebie z popłochem, wyobrażając sobie, co by pozostało z ich pięknych krynolin, gdyby zwierzęciu udało się wydostać na zewnątrz. Na odgłos dzwonka z domu wyszła niemłoda kobieta w białym fartuszkach i odciągnęła psa od furty.

– Państwo Piotrowscy w domu? – zagadnęła ją Nina. – Przyszliśmy z wizytą. – Podała kobiecie złożony bilet wizytowy z hrabiowską koroną.

– A w domu, gdzieżby. Zara jaśnie paniom otworzę, ino zamknę tego zbója do komórki. Niechże się jaśnie panie nie boją, ten pies „nic nie mówi”! To dobre bydło, ino dla postrachu tak szczeka – wyjaśniła służąca pogodnie, zamykając piekłącego się zwierzaka w drewnianej szopce.

Otworzywszy furkę, poprowadziła obie panie alejką pomiędzy krzaczkami agrestu i porzeczek w stronę domu. Budynek był duży, jednopiętrowy, z małą oficynką i porządną wozownią. Nina pomyślała, że trudno byłoby

wymarzyć sobie lepsze miejsce na kryjówkę konspiracyjną. Na ich spotkanie wyszła pani w średnim wieku, elegancko ubrana, i rzuciwszy okiem na bilet, przyjęła gości nadzwyczaj uprzejmie.

– Spodziewaliśmy się przyjazdu pani hrabiny, bo wczoraj był tu braciszek Benon i uprzedził, że pani hrabina już zmierza do Krakowa – kobieta mówiła miękkim czeskim akcentem i wskazała im drogę do salonu. Był to jasny, ładnie umeblowany pokój z dużymi oknami wychodzącymi na ogród.

Na kanapce siedział szpakowaty starszy mężczyzna z bujnymi bokobrodami. Odłożył czytany „Czas”⁰² i powstał, składając damom ukłon. Nina obrzuciła go bystrym spojrzeniem i uznała, że wygląda na solidnego człowieka. Pan Piotrowski był niegdyś oficerem armii carskiej. Zdegradowany za udział w nielegalnej organizacji wojskowej i zesłany na Sybir, uciekł i długo tułał się po świecie. Na koniec osiadł w Krakowie i ożenił się z córką zamożnego czeskiego kupca. Prowadził interesy teścia i działał w konspiracji, całym sercem oddany sprawie narodowej. Aleks ufał mu całkowicie.

– Poczytujemy sobie z żoną za zaszczyt, mogąc gościć w naszym domu panią hrabinę – oznajmił z galanterią. Po wzajemnych prezentacjach zaczął wypytywać o podróż.

Siedząc obok Bini na kanapce, Nina rozglądała się dyskretnie po pokoju pełnym egzotycznych przedmiotów zebranych w czasie podróży po świecie.

– Nikt nie mógł przewidzieć klęski dyktatury Langiewicza – westchnęła.
– Do Galicji dotarliśmy cudem. Czy pańskim zdaniem po upadku Langiewicza powstanie wygaśnie? Czy w tej sytuacji jest sens kupowania broni? – odważyła się zadać mu to pytanie, patrząc na niego z niepokojem.

– Oczywiście. Pan Langiewicz nie miał, na szczęście, wpływu na działania powstańcze w innych regionach kraju. Powstanie trwa. Udało mi się dostać dla pana hrabiego kilkanaście sztuk znakomitych sztucerów belgijskich, z transportu broni idącego z Wielkopolski. Nie mam wprost słów uznania dla ofiarności tamtejszych obywateli. – Kapitan złożył ukłon Bini. – Nie licząc się z kosztami, dostarczają walczącym oddziałom doskonałą, nowoczesną odtylcową broń palną, o jaką u nas bardzo trudno. Nie zapłaciłem ani grosza, bo poczciwi poznaniacy z góry pokryli wszelkie koszty transportu. Teraz oczekuję sygnałów z Tarnowa, Przemyśla,

Rzeszowa i Jarosławia, bo tu, w Krakowie, znalazło się tylu chętnych do kupna broni, że musielibyśmy na nią długo czekać.

– Mnie przede wszystkim zależy na czasie – oświadczyła Nina. – Obecnie mąż więcej jest zainteresowany kupnem broni krótkiej. Pragnie mieć nowoczesne rewolwery i amunicję do nich. Potrzeba mu również naboju do karabinów kupionych przez pana w ubiegłym roku. Przydałoby się też kilkanaście szabel dla oficerów i sztylety. Ale to pozostawiam już panu do oceny.

Pan Piotrowski skierował na nią spojrzenie bystrych ciemnych oczu.

– Broni nigdy nie jest za wiele. Karabiny mogą leżeć ukryte do czasu nowego transportu – stwierdził rozsądnie. – Braciszek ma szansę zakupu kilkudziesięciu rewolwerów, ale będzie problem z przetrzutem broni przez granicę.

Nina w kilku słowach wyjaśniła mu cel swojej podróży i plan przewiezienia broni w karecie i w bryczkach, prosząc o polecenie jakiegoś zaufanego majstra, który podjąłby się zrobienia skrytek. Pan Piotrowski chrząknął zakłopotany.

– Pani hrabina podjęła się przewozu broni przez granicę? A pan hrabia wyraził zgodę na takie ryzyko? – W jego oczach Nina dostrzegła błysk przerażenia.

– Mąż jest przekonany, że wyjechałam w celu konsultacji u lekarza specjalisty, a przy sposobności, żebym doręczyła panu pieniądze na kupno broni. To wszystko. Nie przewidział klęski pod Grochowiskami i dalszych jej konsekwencji. W obecnej sytuacji broń można przewieźć przez granicę wyłącznie fortelem.

Pan Piotrowski milczał, rozważając jej słowa.

– To prawda – przyznał. – Ale taka impreza połączona jest ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. – Zerknął wymownie na jej figurę.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie mam wyboru – rzekła spokojnie. – Oddział męża jest prawie bezbronny, a wiosną ruszy ofensywa wojsk rosyjskich. – Ściągnęła brwi, patrząc na kapitana w obawie, że może on odmówić jej pomocy.

Jednak pan Piotrowski z czcią ucałował jej rękę.

– Niech mi wolno będzie wyrazić podziw dla odwagi i patriotyzmu pani hrabiny. Mając takie kobiety, przetrwamy wszelkie burze. Nie rozumiem

tylko, dlaczego pan hrabia potrzebuje tak pilnie broni. Przecież w ubiegłym roku zakupiłem dla niego wiele karabinów i amunicji.

Nina zadrżała i szukając odpowiednich słów, wspomniała o tragedii, która wydarzyła się w czasie noclegu w chłopskiej osadzie. Wszyscy słuchali jej z najwyższą uwagą, nie przerywając nawet okrzykiem, tylko panie głośno wzdychały, a Binia wahała się. Dopiero kiedy skończyła mówić, słuchacze wyrazili swoje oburzenie i gniew.

– Obym się mylił – rzekł pan Piotrowski ponuro – ale z tego, co widzę, mam przeświadczenie, że powstanie upadnie, zduszone rękami polskiego chłopca. Potrafili przecież utopić całą Galicję we krwi i unicestwić rewolucję krakowską, niosącą im wyzwolenie i swobodę. Partyzantka nie może istnieć bez pomocy miejscowej ludności. Żołnierz musi mieć miskę ciepłej stawy, kąt do spania i pewność, że rodak nie wyda go nieprzyjacielowi. O, błędy przeszłości zemściły się na nas okrutnie! Moskale mogą sobie poszukać nowego Szeli!

Nina roześmiała się z goryczą.

– W Kongresówce niemal każda wieś ma swojego Szelę! Chłopi lubią pieniądze, a Rosjanie płacą pięć srebrnych rubli za głowę żywego lub martwego powstańca. Są bardzo hojni, bo ileż rzeczy można za te pieniądze kupić! – Przygryzła usta i umilkła.

Pani Piotrowska rozplakała się i prędko wyszła z pokoju.

– Przepraszam, gdzie się pani hrabina zatrzymała? – zmienił temat pan Piotrowski.

– W hotelu Pod Różą.

– A dlaczego nie u nas? Pokoje są już przygotowane. Braciszek wspomniał, że pani hrabina będzie naszym gościem.

Nina zarumieniła się zakłopotana.

– Ale ja przyjechałam z całym dworem – tłumaczyła. – Mam przy sobie przyjaciółkę, nianię oraz trzech stangretów, a także konie i trzy pojazdy. Nawet nie śmiałybym kłopotać państwa, dlatego postanowiłam zatrzymać się w hotelu.

– Pani hrabina raczy darować, ale ja się stanowczo na to nie zgadzam! – Kapitan wstał i przeszedł się po pokoju. – W każdym hotelu gość z terenów zaboru rosyjskiego jest dokładnie sprawdzany przez agentów policji carskiej. W tej sytuacji nie mogę ręczyć za powodzenie całej sprawy. Bałbym się nawet przystąpić do działania, żeby nie narażać znajomych

osób. Proszę zaufać memu doświadczeniu. Czy jesteście panie pewne, że nikt za wami nie jechał?

– Absolutnie pewne – odpowiedziała Binia. – Nino, w takim razie ja pozostanę w hotelu, a ty koniecznie przenieś się do państwa.

– Ależ nie ma takiej potrzeby. – Uśmiechnął się. – Dom jest duży i może wszystkich gości pomieścić. Konie i powozy także znajdą tu miejsce. Proponuję, żeby panie przenocowały w hotelu, a z samego rana przeniosły się do nas, nie pozostawiając nigdzie nowego adresu.

Nina lubiła swobodę, ale miała dużo zdrowego rozsądku i nie upierała się, rozumiejąc, iż kapitan dobrze radził. Spytała, kiedy pan Piotrowski spodziewa się zakupić broń.

– Za dwa, może trzy tygodnie albo i miesiąc. Nie wcześniej, bo Austriacy zaczynają nas przyciskać.

– Wielki Boże! – Nina wybuchła śmiechem. – Nie mogę wprost uwierzyć w swobodę, jaką się tu cieszyacie. W ciągu jednego miesiąca straciłam dwa folwarki i zanoszę się na to, że do końca powstania nie zostanie mi ani jeden krowi ogon. Nasze majątki w Hrubieszowskim przepadły. Czuwamy po nocach, by nie dać się zaskoczyć kozakom. Codziennie płoną miasta i wsie, a tysiące ludzi traci życie lub mienie.

Pani Piotrowska powróciła do pokoju, a za nią służąca wniosła gorącą kawę, ciasta i owoce.

– Słyszeliśmy od uciekinierów, że dzieją się u was straszne rzeczy. Ale tu także mamy godzinę policyjną, a powstańców powracających do domu osadza się w więzieniach. Nie, w żadnym zaborze nie jest słodko – powiedziała pani Piotrowska, nakrywając mały stolik do kawy białą serwetą.

Serdecznie zaproszone panie zgodziły się zostać na obiedzie i zasiedziały się do późna, słuchając wspomnień kapitana. Pani domu zasiadła do fortepianu i grała piosenki powstańcze, nieznane jeszcze po drugiej stronie Wisły. Nina dostała od niej nuty do hymnu Ujejskiego: „W górę serca i czoła! Noc się czarna odsłania”. Binia żaliła się na zaostrzone rygory wobec Polaków od czasu, kiedy szefem rządu pruskiego został Otto von Bismarck. Pomiędzy rządami pruskim i carskim zawarta została ugoda, zwana konwencją Alvenslebena, na mocy której oba państwa zobowiązały się do udzielania sobie wzajemnej pomocy przy ściganiu przestępców politycznych, ekstradycji uchodźców i zwalczaniu partii powstańczych. Na

ziemiach Księstwa Poznańskiego zapanował terror niemal tak bezwzględny, jak w zaborze carskim. Pomimo to Wielkopoleanie walczą o przetrwanie, zachowanie polskości i pomagają wojującym braciom.

– Słyszałem o tej konwencji – rzekł pan Piotrowski, zdejmując okulary i starannie przecierając szkła. – Podobno oburzyła ona cesarza Napoleona III. Rząd Narodowy ma twarde orzechy do zgryzienia, bo Francja uzależniła pomoc militarną od ogłoszenia pospolitego ruszenia, czyli ogólnego powstania narodowego. Są już ulotki wzywające społeczeństwo do walki. To nasza odpowiedź na zarzuty Anglików, którzy oskarżają naszą szlachtę o brak patriotyzmu.

– Ależ to podłe! – wykrzyknęła Bini, podskakując na kanapce. – Czy wiecie państwo, że pan hrabia Raczyński i pan hrabia Działyński ofiarowali na rzecz powstania miliony talarów, zaciągając długi hipoteczne na swoich majątkach? Jeśli powstanie upadnie, utracą wszystko, bo nie zdołają przecież spłacić pożyczki w terminie. Prusacy skonfiskują im majątki!

Do hotelu powróciły o zmierzchu. Jaga przywitała je wymówkami i nie dała się przebłagać nawet Bini, której także się oberwało. Nina w milczeniu przyjmowała jej oskarżenia i dopiero gdy Jaga się wysapała, odważyła się stanąć we własnej obronie.

– Nianiu, ja nie przyjechałam tu dla rozrywki, ale po broń i amunicję. Musimy tu jakiś czas pozostać, więc należy urządzić się wygodnie. Państwo Piotrowscy zaprosili nas do siebie. Omówienie wszystkich szczegółów przeprowadzki zabrało nam trochę czasu. Przepraszam, że martwiłaś się o nas.

Jaga popatrzyła na jej zmęczoną twarz, ociężałą figurę i złagodniała.

– Bałam się, że przydarzyła się wam zła przygoda. Jak ty się czujesz?

– O, zupełnie dobrze! – Nina uśmiechnęła się najśłodziej, jak tylko potrafiła. Kłamała, bo od jakiegoś czasu miewała wewnętrzne bóle, do których nie przyznawała się nikomu. Miała nadzieję, że wypoczynek pomoże jej odzyskać siły.

Jakby w przeblysku jasnowidzenia Jaga spojrzała na nią przenikliwie.

– Kiedy zamierzasz się udać do lekarza?

– Kochanie, to przecież jeszcze nic pilnego. – Nina odwróciła się, rozpakowując swoje przybory toaletowe. – Mam przed sobą dużo czasu.

Jaga westchnęła, wiedząc z doświadczenia, że na upór wychowanki nie ma lekarstwa. Panna Lutówna była tak mocno przeziębiona, że sama zaproponowała Ninie, żeby zamieszkała z siostrą, obawiając się ją zarazić. Wieczorem jak niegdyś ułożyły się obie na szerokim łóżu małżeńskim, a Nina po raz pierwszy od momentu wyjazdu z domu poczuła się szczęśliwa.

– Masz inną pokojówkę – zauważyła. – A gdzie Zuzia?

– O, wyszła już za mąż i ma córeczkę.

Binia zapamiętanym przez Ninę ruchem usiadła na łóżku z podkurczonymi pod siebie nogami, nakrywając się połową aksamitnej kołdry. W migotliwym świetle świecy jej drobna, delikatna twarzyczka wydawała się tak samo młodzieńcza, jak za panińskich czasów. Przez chwilę wydało się Ninie, że są jeszcze w Sarnikach. Lada moment rozlegnie się skrzypienie drewnianych schodów i na progu stanie ciotka Maria, by skarcić je za nocne rozmowy i niepotrzebne wypalanie świecy. Jednakże bolący krzyż i ociężałość ciała przywróciły ją do rzeczywistości. Czasy pierwszej młodości bezpowrotnie minęły, a ona wkrótce zostanie matką. Binia sięgnęła do szuflady nocnego stoliczka i wyjęła safianowy portfel, przysuwając bliżej świeczkę.

– To moi chłopcy – powiedziała, podając Ninie twarde kartoniki fotografii. – Widzisz, jaki Zygmunt już duży? Kochane dziecko, takie ciche i spokojne. Za to Aleks nie wdał się w brata, bo złośnik i ciągle krzyczy o jedzenie.

Uśmiechała się z macierzyńską dumą, podając kolejne fotografie. Jedną z nich, grupową, przedstawiała całą rodzinę Świerczyńskich. Siedząca na środku Binia trzymała na kolanach młodszego synka. W szerokiej falbaniastej krynolinie, przypominała nieco kwoczkę z kurczęciem. Za to Edward wyraźnie się postarzał. Utył, włosy miał już przerzedzone, z głębokimi zakolami. Na jego twarzy malował się wyraz błęgiego zadowolenia.

– Mam nadzieję, że i ja urodzę syna – westchnęła Nina, dotykając brzucha. Przyjrzała się pospolitej, nieciekawej fizjonomii Świerczyńskiego.

– Nie możesz go pokochać? – spytała, przysuwając się bliżej Bini i obejmując ją.

Młoda kobieta skuliła się, podciągając wyżej kolana.

– Nie potrafię – odpowiedziała cicho. – Nigdy mu nie wybaczę, że w noc poślubną wykopał pomiędzy nami przepaść. Oboje kochamy nasze dzieci,

ale nawet w tym nie jesteśmy zgodni. Edward życzy sobie mieć dużą rodzinę, zapominając, że ja nie mam na to zdrowia. Zaproponowałam mu separację od łoża. O mało mnie wtedy nie uderzył! Oskarżył mnie przed księdzem, że jestem złą żoną i złą katoliczką, bo nie chcę wypełniać obowiązków małżeńskich. Ksiądz zagroził, że nie udzieli mi rozgrzeszenia, wobec tego przestałam się spowiadać. Edward pragnie, żebym urodziła córkę, i zmusza mnie do uległości. Wyniosłam się więc z sypialni do buduaru. Wtedy zrobił mi okropną scenę, krzycząc, że mam kochanka. – Binia opowiadała o swoim życiu zwyczajnym tonem, bez cienia goryczy lub złości, jakby mówiła o kimś obcym.

„Wielki Boże – pomyślała Nina z gniewem. – Ten nędznik wyrządził jej okropną krzywdę, za którą nikt go nie ukarał”. Była bliska płaczu, wyobraziwszy sobie ponurą małżeńską egzystencję Bini.

– Moja ty najdroższa, jedyna! – zawołała, całując gładki policzek siostry. – Nienawidzę twego męża. Uważam, że jest niegodziwym egoistą i wcale nie zasługuje na taką cudowną istotę jak ty!

– Naprawdę tak myślisz? – Binia podniosła spuszczone powieki i spojrzała na nią nieśmiało. – Bo Edward powiedział, że ja jestem nienormalna. Uważasz, że nie miał racji?

Nina gwałtownym ruchem usiadła na łóżku, wznosząc zaciśnięte pięści. Miała ochotę skląć Świerczyńskiego jak święty Michał diabła.

– Co za nędznik! – wrzasnęła, nie umiając pogodzić się z tak jawną niesprawiedliwością. – On sam jest nienormalny, gwałcąc w noc poślubną młodą żonę. Na twoim miejscu zamieniłabym mu życie w piekło. Ty nawet nie wiesz, nie potrafisz sobie wyobrazić, jak on strasznie cię skrzywdził. Okradł cię z najwspanialszych uczuć i wrażeń, jakich doznaje kobieta w ramionach ukochanego mężczyzny. – Przywołała w pamięci twarz Aleksa i na wspomnienie jego zmysłowych pieszczot wygięła się cała, porwana dreszczem pożądania.

Binia pociągnęła noskiem i wsparła głowę o ramię siostry.

– Widzisz, dla Edwarda życie zamyka się w czterech ścianach pokoju dziecinnego i kancelarii, przy obliczaniu zysków. Może to i pozytywne cechy charakteru, ale nie w nadmiarze. Ja mam dopiero dwadzieścia lat, a on przekroczył już czterdziestkę. Jest ospały i mało aktywny. Niekiedy mam ochotę na jakąś rozrywkę, zabawę czy sąsiedzką wizytę, ale on tłumaczy mi, jak komuś głupiemu, że wstaje o świcie i pod wieczór jest

zmęczony. Naturalnie, wcale nie musi wstawać tak wcześnie, bo mamy dobrego rządcę, ale on robi mi na złość, idąc spać z kurami. Czasem chciałabym z kimś porozmawiać, pośmiać się, ale mój mąż siedzi wtedy z otwartymi ustami w fotelu i głośno chrapie! Powinien się ożenić z jakąś przywidłą wdówką i siadywać z nią przy piecu, ciesząc się, że kury dobrze się niosą. Och, kochanie! – Objęła Ninę za szyję i rozpłakała się zawodząco. – Wieczorami podchodzi do mnie z wymownym uśmiechem, bierze mnie za rękę i mówi: „No, mateczko, czas do łóżka”. A ja wtedy żałuję, że się urodziłam. Staram się siedzieć jak najdłużej, wymyślam jakieś roboty, modląc się, żeby on tymczasem zasnął. Ale przeważnie nie śpi i czeka na mnie.

– Podły, lubieżny satyr! – prychnęła Nina, mając ochotę rozbić coś na drobne kawałki. Gdyby jakimś cudem Świerczyński znalazł się w pobliżu, byłoby mu naprawdę ciepło.

– Może nie powinnam tego mówić, ale przed tobą nie chcę mieć tajemnic. – Binia uspokoiła się i spojrzała jej w oczy. – Postanowiłam zemścić się na mężu i wziąć sobie kochanka. Mieliśmy przystojnego sąsiada, który mi się podobał, a ja chyba jemu, bo często się spotykaliśmy. Pewnego dnia pojechaliśmy konno na spacer do lasu. Byłam już zdecydowana na zbliżenie, ale kiedy mnie zaczął całować i próbował rozebrać, wyobraziłam sobie, że może się okazać takim samym brutalem jak Edward, a z nim każde zbliżenie to tylko ból... Wyrwałam się więc, wskoczyłam na konia i uciekłam. Zapewne pomyślał sobie, że oszalałam, bo więcej już go nie zobaczyłam. Sprzedał majątek i wyjechał.

Nina słuchała jej skarg z sercem przepełnionym żalem, nienawiścią i pogardą do człowieka, który złamał siostrze życie i okrutnie ją skrzywdził.

– Złotko, zrobiłaś bardzo źle! – powiedziała stanowczo. – Przypomnij sobie rodziców. Pamiętasz, oni zawsze mieli sobie coś do powiedzenia, często się całowali i nawet w dzień zamykali się w sypialni. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za kobietę rozpustną, kiedy ci powiem, że zbliżenie z ukochanym mężczyzną jest dla kobiety niewyobrażalną rozkoszą.

Binia oblała się rumieńcem i popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę? Więc nie są to powieściowe wymysły?

– Nie, to prawda. Każde nasze zbliżenie z Alkiem jest dla mnie najgłębszym przeżyciem i tego nie da się opowiedzieć. Krzyczę w jego ramionach, nie z bólu, lecz z rozkoszy. W tym jest coś tak przeszywającego,

że traci się świadomość. Francuzi nazywają tę chwilę małą śmiercią i mówią, że w tym momencie nawet anioły przysyłają twarze skrzydłami, zazdroszcząc nam tej chwili. Ty, moja biedna, obawiasz się nocy, my z Alkiem kochamy się często w dzień, bo tak bywa w każdym dobrym małżeństwie. Biniu! – wybuchła z pasją. – Rzuć tego łajdaka! Rozwiedź się! Och, zrób coś nareszcie dla siebie! Przyjedź z dziećmi do Makowa, wychowamy je razem.

Binia spojrzała na nią wilgotnymi od łez oczami i smutnie potrząsnęła głową.

– On mi nie odda dzieci, a ja bez moich synów nie odejdę. Natychmiast zerwałabym wszystkie więzy, ale muszę myśleć o przyszłości dzieci. Boże, nie mogę się stamtąd wyrwać! – wykrzyknęła i upadła twarzą na poduszki.

Nina pobladła ze złości i serdecznego współczucia.

– Najmilsza, wybacz, że wyrażę się wulgarnie, ale mam wielką ochotę pojechać do Świerszczyn i osobiście wygrzmocić po pysku twojego małżonka! – syknęła z wściekłością.

Już świt bielił ściany pokoju, a one jeszcze szeptały, zwierając się sobie z najbardziej intymnych doznań, o których nigdy nie wspomniałyby przy konfesjonale. Na koniec zasnęły uszczęśliwione, że znowu są razem.

Obudziło je bicie dzwonów w kościele Mariackim i pukanie do drzwi. Pokojówka przyniosła na tacy świeżo parzoną kawę ze śmietanką, maślane rogaliki, wędlinę i kilka gatunków sera. Jeszcze w peniuarach narzuconych na nocne koszule usiadły na szerokim marmurowym parapecie okiennym i popijając kawę, obserwowały uliczny ruch. Od Bramy Floriańskiej ciągnęły gromady odświętnie ubranych mieszczan, idących do kościoła Najświętszej Panny Marii na niedzielne nabożeństwo. Dzień był prawdziwie wiosenny i od rana świeciło słońce. Właśnie od strony kościoła nadchodził oddział żuawów śmierci, wracających po mszy do koszar. Szli równym, sprężystym krokiem i przed samym hotelem z ust chłopców wyrwała się wesoła żołnierska piosenka:

*Nie masz to wiary, jak w naszym znaku,
Na bakier fezy, do góry wąsy!
Śmiech i manierek brzęk na biwaku,*

*Do bitwy idzie się, gdyby w pląsy!
Lecz gdy bój zawrze, to nie na żarty.
Miecz lub karabin do ręki bierzem.
Bo Polak w boju, kiedy uparty,
Staje od razu starym żołnierzem.
Marsz, marsz, żuawy, na bój, na krwawy.
Święty, a prawy, marsz, żuawy, marsz!*[03](#)

– Jak oni ślicznie śpiewają. – Binia wychyliła się z okna, podziwiając marsowy oddział. – Kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś Aleksa, od razu poczułaś gwałtowny wybuch namiętności? Mam na myśli ten dzień, kiedy się w nim zakochałaś.

– O Boże, tak! Wydawało mi się, że płonę, i wiedziałam, że to mężczyzna, który jest mi przeznaczony. Byłam tego pewna.

Młodzi żołnierze dostrzegli w oknie hotelu dwie śliczne damy, przypatrujące się im z ciekawością. Nie namyślając się, zaczęli przykładać dłonie do serca, posyłając paniom uśmiechy i całusy. Zarumienione i roześmiane poczuły się znowu beztroskimi panienkami, skorymi do flirtów i kokieterii. Nina zeskoczyła z parapetu, wyjęła z wazonu czerwoną różę i figlarnie rzuciła ją wiarusowi prowadzącemu oddział. Nie zwalniając marszu, pochwycił kwiat i przycisnął go do ust.

– Jezus Maria, chyba padnę trupem! – Usłyszały raptem za sobą drżący z oburzenia głos niani. – Jak wam nie wstyd? Matki dzieciom, mężatki i suszą zęby do żołnierzy! Precz mi z tego okna! Ubierajcie się, bo czas do kościoła. Bezwstydnice! W samych peniuarach wylegują się w oknie i flirtują. No, już ja was dziś przypilnuję!

Miała taką srogą minę, że obie grzesznice na serio się zlekły, iż Jaga złapie trzepaczkę i przypomni im dziecięce lata. Spojrzały na siebie z popłochem, posłusznie zeskoczyły z okna i zaczęły się ubierać, nie pisnąwszy nawet słówka.

– Paskudnice! – grzmiała Jaga, bynajmniej nieułagodzona ich pokorą. – Wpół nagie wywieszają się z okna, jakby wstydu nie miały. Dzięki Bogu, że jeszcze dziś się stąd wyprowadzamy, bo nie śmiałabym ludziom patrzeć w oczy. Niedługo zaczną was palcami wytykać. Doczekałam się na stare lata! – Rozwścieczona ujęła się pod boki, mierzając winowajczynię szparkami zmrużonych oczu.

– Ależ nianiu, przecież my wcale... – zaczęła Nina, chcąc się usprawiedliwić, ale Jaga nie pozwoliła jej dokończyć zdania.

– Nie dyskutuj ze mną! – powiedziała surowo. – Zastanowię się, czy nie powiadomić o twoim zachowaniu pana hrabiego. O, z pewnością nie będzie zachwycony manierami żony. Otworzyła drzwi i zawołała pokojówkę: – Broniu, uczesz swoją panią. Nina, siadaj, splotę ci warkocze. Ufff, co ja z wami mam! Samo utrapienie.

Obie młode kobiety wykonały bez protestów jej polecenia. Binia zerkała na Jagę z nieudawanym strachem, poddając się potulnie jej tyranii, ale w oczach Niny zapaliły się iskierki znamionujące bunt. Gotowa już była wierzgnąć jak źrebak, ale na razie milczała, czekając cierpliwie, aż niania się uspokoi.

Mira źle się czuła i zamierzała przed południem poleżeć. Jaga postanowiła iść na sumę do kościoła Mariackiego. Kiedy wszystkie były już ubrane, niania wyprostowała się z godnością i oznajmiła:

– Mam nadzieję, że nie zrobicie mi wstydu po raz drugi. A teraz proszę, idziemy do kościoła Najświętszej Panny Marii.

Tym razem Nina już nie wytrzymała.

– Nianiu, chcemy z Binią zwiedzić katedrę wawelską. Jeżeli masz ochotę, chodź z nami. A tak na marginesie: zwracam ci uwagę, że obie dawno już wyrosłyśmy z krótkich majtek i jesteśmy dorosłe. Odpowiadamy za swoje czyny.

Wystraszona Binia otworzyła usta, a Jaga zaczęła sapać jak bizon gotujący się do ataku.

– Nino, idziemy wszystkie do kościoła Mariackiego! – powtórzyła, patrząc na swoją wychowankę wzrokiem, jakim patrzyłaby na parszywą owieczkę.

– Ależ proszę bardzo, idź – uprzejmie zgodziła się Nina. – My pójdziemy do katedry. Gdy wrócimy, chcę, żeby wszystko było przygotowane do przeprowadzki.

W jej głosie zadźwięczały metaliczne nutki, a wzrok stwardniał i stał się lodowaty. Binia obserwowała ją pełna podziwu, bo sama nie odważyłaby się sprzeciwić niani. Przez krótką chwilę Jaga i Nina patrzyły sobie w oczy.

– A róbcie, jak chcecie! – skapitulowała niania i wyładowując miotającą nią złość, wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

Poszły do katedry piechotą, podziwiając po drodze przepiękne gotyckie i renesansowe kamieniczki i pałacyki. Na wspaniałych budowlach znać było żąb czasu. Mury rysowały się, odpadały tynki, wilgoć i grzyb kończyły dzieło zniszczenia. Część murów obronnych waliła się, wcale nierestaurowana. Władzom austriackim nie zależało na tym, by zachować piękno starej stolicy Polski. Pomimo niedzielnego ruchu Kraków był tylko sennym prowincjonalnym miastem, zgnusniałym i zamierającym. Jedyne kościoły i klasztory były zadbane i odnawiane.

Minęły monumentalną fasadę świątyni Piotra i Pawła, z grobem księdza Skargi, oraz kościół Świętego Andrzeja, ufundowany przez księcia Władysława Hermana w podzięcie za syna Bolesława, zwanego potem Krzywoustym. Po drodze wstąpiły do franciszkanów, by pomodlić się przy grobie błogosławionej Salomei. Binia przypomniała szeptem, że w tym klasztorze młodzianka królowa Jadwiga Andegaweńska spotykała się potajemnie ze swoim w dzieciństwie poślubionym małżonkiem, Wilhelmem Habsburgiem⁰⁴.

– Trudno uwierzyć, że był czas, kiedy małżeństwo królowej Polski z Habsburgiem Polacy uważali za mezalians – odszepnęła Nina.

– Prawda? Ale kto dzisiaj ośmieli się przypomnieć o tym cesarzowi Franciszkowi Józefowi? – Binia uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

Minęły średniowieczne kamieniczki na ulicy Kanoniczej i ujrzały przed sobą wawelskie wzgórze. Jakiś czas szły wolno stromą drogą prowadzącą do katedry i na zamek. Nina, mająca bujną fantazję, wyobraziła sobie wspaniałe orszaki królewskie podążające tą drogą. Przez zniszczoną, lecz jeszcze piękną renesansową bramę weszły na plac katedralny. Podniecone niecodzienną przygodą, wskazywały sobie wyrze na murach herby dynastii królewskich i znaki herbowe najpierwszych rodów Korony, Litwy i Rusi. Pomędzy nimi Nina z dumą dostrzegła herb Nałęcz, którym od wieków pieczętowała się rodzina ojca, oraz Wieniawę, herb ich matek.

Pełne skupienia i zadumy weszły do ciemnej katedry. Było jeszcze wcześnie, ale kościół pełen był ludzi. W lewej bocznej nawie znalazły małą ławeczkę, wciśniętą pomiędzy ścianę a potężną kolumnę. Usiadły i rozejrzały się onieśmiałe i zarazem podniesione na duchu świadomością, że oto znajdują się w miejscu uświęconym obecnością zmarłych monarchów polskich, spoczywających snem wiecznym w podziemnej krypcie świątyni. Zagrały organy i z zakrystii wyszedł ksiądz w

przepyszny ornat, suto haftowany złotymi nićmi. Ale jego kazanie nie zrobiło na obu paniach pozytywnego wrażenia. Mówił z ambony chłodno, a jego oracja pozbawiona była jakichkolwiek akcentów politycznych. Można było przypuścić, że za Wisłą panuje błogi spokój, nie leje się polska krew, a powstańcy nie giną w rozpaczliwej walce o wolność ojczyzny. Nina, przyzwyczajona do bojowych, namiętych kazań w kościołach zaboru rosyjskiego, nie mogła wybaczyć księdzu, że nie chce lub nie umie wstrząsnąć sumieniami słuchaczy i obudzić w nich ducha.

– Oj, przydałby się tutaj nasz kochany staruszek proboszcz – tchnęła Bini do ucha. – Ten by ich zaraz rozruszał.

Dosyć nudne nabożeństwo dobiegło końca i świątynia opustoszała. Wyszły z ławki i zaczęły zwiedzać katedrę. Obie dobrze знаły piękne, zabytkowe kościoły w Warszawie, Gnieźnie i Poznaniu. Bini w czasie podróży poślubnej miała okazję zobaczyć niemające sobie równych bazyliki Rzymu, Wenecji i Paryża. Ale w tej katedrze było coś takiego, co zapierało im dech w piersi i przyspieszało bicie serca. Prostowało karki i zmuszało do podniesienia z dumą głowy. Z religijną czcią dotykały wspaniałych marmurowych sarkofagów królewskich, zachwycając się swojską prostotą grobowca Władysława Łokietka, spokojem rysów Władysława Jagiełły i majestatem przepięknych gotyckich tumb grobowych Kazimierza Wielkiego i Kazimierza Jagiellończyka. Długo stały przy grobowcu Władysława III Warneńczyka⁰⁵, urzeczone jego mistyczną pięknnością i chwałą ostatniego, tragicznego krzyżowca, poległego pod Warną śmiercią rycerską.

– Trzeba tygodni, żeby wszystko tutaj obejrzeć – stwierdziła Bini, kiedy oglądały spoza krat renesansową kaplicę Zygmuntowską, wzniesioną na wzór bazylik włoskich przez budowniczych z Italii. – Wiesz – dodała szeptem – przyrzekłam sobie, że gdy moi synowie dorosną, przywiozę ich tutaj, aby poczuli się dumni, że urodzili się Polakami.

– Ja także przyjadę tu jeszcze z moim synkiem – oznajmiła Nina. Była zupełnie pewna, że da mężowi męskiego potomka i przyszłego dziedzica Makowa. – Aż trudno uwierzyć, że ród Jagiellonów zasiadał w średniowieczu na tronach niemal połowy Europy i dał początek wielu dynastiom królewskim – zauważyła z zadumą.

Katedra wawelska była chyba największą nekropolią w Europie, gromadząc w swoim wnętrzu szczątki władców Królestwa Polskiego i

Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jednak nie udało się im zejść do podziemia, bo krypta była zamknięta. Lecz największe wrażenie zrobiła na nich główna część katedry, znajdująca się za srebrną trumną świętego Stanisława. Doznały niezwykłego przeżycia, wchodząc do purpurowo-złotego sanktuarium, tonącego w tajemniczym półmroku. Niegdyś po obu stronach ołtarza stały dwa trony okryte purpurą i gronostajami. W tym miejscu monarchowie otrzymywali z rąk arcybiskupa gnieźnieńskiego namaszczenie olejami świętymi, a potem koronę, berło i jabłko – symbole władzy królewskiej. Szkarłatny mrok sanktuarium przecinała błyskawica królewskiego miecza koronacyjnego – Szczerbca, kreślącego znak krzyża na cztery strony świata. Zasiadający na tronie polskim królowie byli jednocześnie wielkimi książętami Litwy, Rusi, książętami Prus, Mazowsza, Inflant *et cetera*... Ostatni król Polski, Stanisław August Poniatowski, koronował się w Warszawie, abdykował w Grodnie i zmarł w Petersburgu, gdzie został pochowany. Nie był godzien, by spoczywać pod dachem katedry wawelskiej i nigdy nie dostąpił tego zaszczytu.

W szkarłatnym sanktuarium gromadziła się cała świetność ogromnego państwa. Srebrne głosy trąb, dźwięk bijącego dzwonu Zygmunt i chóry włoskich śpiewaków głośiły chwałę królewską i oręza polskiego. Srebrzyły się zbroje rycerskie, mieniły barwami tęczy klejnoty, strusie pióra, ubiory ze złotogłowiu. Pod wysokimi sklepieniami świątyni drżały jeszcze może echa organów i hucznych okrzyków uniesienia. Rzeźbione orły i Pogonie oraz każdy kamień posadzki przemawiały do młodych kobiet głosem wieków i wielkiej, świetnej historii. W tym miejscu także z niezwykle skomplikowanym ceremoniałem żegnano zgasłych władców, patrząc ze zgrozą, jak rycerz w zbroi jadący na rumaku symbolicznie z hukiem zapada się pod posadzkę katedry.

Nina, wsparta o cokół marmurowej kolumny, przymknęła oczy, próbując zatrzymać pod powiekami cudowny obraz przeszłości. Binia złożyła ręce jak do modlitwy i wodziła zachwyconym wzrokiem po ołtarzach i tablicach upamiętniających wielkie wydarzenia z dziejów Polski. Urodziły się obie w niewoli i cały czas wmawiano im, że należą do narodu pozbawionego własnej historii, nędznego i zacofanego. Żywy organizm państwa poćwiartowano na trzy odrębne części, narzucając każdej z nich innego władcę, inny język i inną wersję historii ojczystej. Wyrosły, stykając się codziennie z pogardą tej ziemi i jej mieszkańców, w terrorze i ucisku, bo

taki był obraz ówczesnej rzeczywistości. Tymczasem tutaj spod wyniosłych gotyckich sufitów zwieszały się chorągwie krzyżackie, zdobyte pod Grunwaldem i pod Koronowem, chorągwie tureckie spod Chocimia i Wiednia, buńczuki tatarskie i wołoskie spod Obertyna⁰⁶ i sztandary kozackie spod Beresteczka, chorągwie szwedzkie spod Kirchholmu oraz tyle innych znaków chwały oręża polskiego. Pod wpływem głębokiego wzruszenia Nina zdjęła z szyi sznur pereł i zawiesiła je przy ołtarzu Czarnego Krucyfiksu, jako wotum, prosząc Boga o opiekę nad mężem. Binia ofiarowała duży złoty krzyż, modląc się o zdrowie synów.

– Dopóki stać będzie ta katedra i zamek, nikt nie zdoła stłumić w nas pragnienia wolności, bo te kamienie krzyczą! – powiedziała głośno i głęboko westchnęła.

Uklękły przed Czarnym Krucyfiksem, z którego według legendy miał przemówić Pan Jezus do królowej Jadwigi, i dziękowały Bogu, który sprawił, że znalazły się w tym cudownym miejscu. Wyszły z katedry pełne nabożnego skupienia i zamyślenia.

Wracając do hotelu, podeszły do kamienicy Starego Telegrafu. W zakratowanym oknie na parterze Nina zobaczyła bladą, znękaną twarz panny Pustowójtówny, wyglądającej na ulicę z nieopisaną tęsknotą. Zatrzymała się i zawołała półgłosem:

– Panno Henryko!

Pustowójtówna uśmiechnęła się słabo i skinęła jej dłonią. Była przygnębiona i apatyczna, jej czarne oczy przygasły.

– Proszę powiedzieć, czego pani potrzebuje? – Nina wspięła się na palce, żeby ją lepiej widzieć.

Więźniarka wydeła usta, jakby dmuchała.

– Rozumiem, papierosy! Czy wolno panią odwiedzać?

Panna Pustowójtówna przecząco potrząsnęła głową.

– To oburzające! – zdenerwowała się Binia, a jej łagodne niebieskie oczy rozbłysły gniewem. – Jak można więzić kobietę z dobrego domu niby pospolitą zbrodniarkę? Nie uczyniła nic złego, walczyła tylko o wolność ojczyzny.

– A to jest właśnie najcięższa zbrodnia – szepnęła Nina, dając pannie Henryce znak, że jeszcze powrócą.

Była niedziela i sklepy zamknięte, ale kawiarnie były czynne i tam zakupiły papierosy, słodczyce, ciasta i owoce, a także bukiet biało-

czerwonych róż. Wróciły pod Wawel i oddały paczkę na wartowni, dołączając do niej serdeczny bilecik. Czekały pod oknem do chwili, aż żołnierz doręczy więźniarce prezenty. Panna Pustowójtówna podbiegła do okna, dziękując, przesyłając im dłonią pocałunki, i przyciskała usta do na wpół rozkwitłych pąków róż. Obiecały, że przyjdą następnego dnia i przyniosą wszystko, czego może potrzebować uwięziona kobieta.

W hotelu przyjęła je Jaga, jeszcze bardzo obrażona na swoją wychowanekę. Manifestowała to w wymowny sposób, otaczając przesadną troskliwością pannę Lutównę.

[01](#) Aleksander Guttry – jeden z przywódców poznańskich demokratów.

[02](#) „Czas“ – dziennik wydawany w Krakowie od 1848 roku, organ konserwatystów w opisywanym okresie.

[03](#) Słowa *Marsza żuawów* napisał Włodzimierz Wolski, twórca libretta do opery *Halka* Stanisława Moniuszki.

[04](#) 15.06.1378 roku w Hainburgu w Austrii czteroletnia Jadwiga poślubiła ośmioletniego księcia Wilhelma Habsburga. Po wyborze Jadwigi na tron polski małżeństwo zostało unieważnione, a królowa poślubiła księcia Władysława Jagiełłę, który został królem Polski.

[05](#) Władysław III Warneńczyk (1425–1444) – w wieku dziewięciu lat król Polski i wielki książę litewski. Syn Władysława Jagiełły i Sonki Holszańskiej. Od roku 1440 – król węgierski.

[06](#) Miasto pod Stanisławowem na Ukrainie. W 1531 roku miejsce wielkiego zwycięstwa wojsk polskich pod wodzą hetmana Jana Tarnowskiego nad Wołochami. Wołosi to nazwa używana od XIV do XVIII wieku na określenie rumuńskiej ludności Mołdawii i Wołoszczyzny.

Po południu wyprowadziły się z hotelu, nie pozostawiając adresu i pilnując, aby nikt nie szedł ich śladem. Dom państwa Piotrowskich okazał się bardzo wygodny, zaś gospodarze tak serdeczni, że Nina błogosławiła męża, który polecił jej się tutaj zatrzymać. Od początku były trudności z kupnem broni i amunicji, więc należało uzbroić się w cierpliwość. Nazajutrz po przeprowadzce przyszedł braciszek Benon i powiadomił Ninę, że wyjeżdża na kilka dni z Krakowa, aby rozejrzeć się w pobliskich miastach, gdzie znajdowały się duże garnizony.

Czas szybko mijał na zwiedzaniu Krakowa i okolicy. Kraków posiadał kilka naprawdę eleganckich sklepów, mających towary prosto z Wiednia i ze Lwowa. Panie ogarnęły szafy zakupów i codziennie wracały obładowane paczkami. Kupowały prezenty dla przyjaciół, a dla siebie nowe toalety, kapelusze i wytworne drobiazgi. Mira wyzdrowiała, więc pan Piotrowski zaproponował paniom wycieczkę do małej osady góralskiej, niedawno odkrytej przez doktora Chałubińskiego. Wieś nazywała się Zakopane i już zaczynała być modna w towarzystwie.

Do Zakopanego przyjechali w samo południe. Karetą stanęła na środku piaszczystej wiejskiej drogi. Panie wysiadły i zaczęły się rozglądać. Binia widziała już Alpy i Apeniny, ale ani Nina, ani Mira nigdy jeszcze nie były w wysokich górach. Toteż z rozchylonymi z podziwu ustami przypatrywały się ogromnym sinawym turniom pokrytym śniegiem. Dzień był słoneczny, ale spoza gór już wypływały ciemne puszyste obłoki, wróżąc zmianę pogody. Nad osadą niby gigantyczna zapora górował liliwooolowiany masyw Czerwonych Wierchów. Nie potrafiły wyrazić swoich doznań, porażone majestatycznym pięknem i grozą natury.

Oryginalnie ubrani górale namawiali panie do obejrzenia, podobno ślicznego, jeziora górskiego, wspaniale położonego pośrodku skalnych olbrzymów, lecz z uwagi na zdrowie Niny przestano tylko na Gubałówce, dokąd górale wnieśli panie w lektykach. Ze szczytu roztoczyła się przed nimi cudowna panorama wysokich Tatr w całej swojej krasie. Nakupiły owczych serków, pięknie haftowanych kozuszków, różnych innych drobiazgów i powróciły do Krakowa syte wrażeniami.

Pod koniec miesiąca pogoda nagle się popsuła. Zaczął padać deszcz ze śniegiem, było zimno i wilgotno. Nina rzadziej wychodziła do miasta, czasami tylko odwiedzała pannę Pustowójtównę, zanosząc jej książki, papierosy, bieliznę i domowe przysmaki. W wozowni zaufani stolarze i

makowscy stangreci przygotowywali w karecie i w bryczkach tajne schowki. Po obiedzie wszyscy domownicy zasiadali przy herbacie w saloniku. Nina grała Mozarta, a Binia i Mira śpiewały pieśni pana Moniuszki i piosenki powstańcze:

*Zgasły dla nas nadziei promienie,
Zanim zorza zaświeci nam blada.
Stańmy jako upiorów gromada,
We krwi wroga ugasić pragnienie.*

W przerwie koncertu pan Piotrowski opowiadał ciekawie o latach spędzonych na Sachalinie. Czasami przychodził braciszek Benon, w obecności dam zmieniając się w dowcipnego i wykwintnego [viveura07](#).

Wybierając się do Krakowa, Nina naiwnie wierzyła, że uda się jej załatwić wszystko w ciągu paru dni. Tymczasem mijały kolejne dni i tygodnie, a ona ciągle siedziała w mieście, coraz bardziej zniecierpliwiona i zła. Martwiła się, że z Makowa nie przyszło potwierdzenie nadanej przez nią depeszy, tęskniła za domem i wszystkimi, których kochała. Brakowało jej Grota i codziennych odwiedzin w stajni u Mignon.

Pod koniec marca braciszekowi nareszcie udało się zakupić rewolwery i broń znalazła się w piwnicach domu. Zaraz jednak okazało się, że amunicja proponowana przez handlarzy jest złego kalibru i należy rozglądać się za inną. Zirytowany dalszą zwłoką pan Piotrowski osobiście wyruszył do Lwowa, by u tamtejszych handlarzy zakupić właściwe naboje.

Pewnego dnia przyszedł do Niny stary Aaron, zaufany faktor wojewodziny. Oznajmił, że handlarze mają na sprzedaż prawie nowe karabiny oraz pasującą do nich amunicję. Było tych dobrych nowoczesnych sztucerów około czterdziestu sztuk. Oferta Ninę zainteresowała, lecz jednocześnie zastanawiała się, w jaki sposób zdoła taki ładunek przemycić przez granicę. Stary Żyd patrzył na nią wyczekująco, kręcąc na palcach długie pejsy.

– Ny! – Cmoknął. – Czy stary Aaron może coś doradzić jaśnie oświeconej pani hrabinie?

– Oczywiście, chętnie posłucham, co Aaron ma do powiedzenia.

– Tu są takie osoby, co une żyją ze szmuglu bronią. Une chętnie podejmą się dostarczyć trefny towar na miejsce, jakie im jaśnie pani hrabina wskaże.

Ale to będzie kosztować...

– Ile? – spytała krótko i rzeczowo.

– Uny chcą siedem tysięcy rubli!

Na owe czasy była to ogromna kwota. Nina milczała, nie wiedząc, czy się zgodzić. Nie wszyscy Żydzi byli tak uczciwi i patriotycznie wychowani, jak Josel czy Aaron. Nie każdemu można było zaufać. Zdarzali się oszuści zamieniający po drodze dobrą broń na stary szmelc i zleżałą, zawilgoconą amunicję. Bywało, że zakupiona za wielkie pieniądze broń trafiała wprost w ręce Rosjan, a odbiorca, zadenuncjowany przez handlarza, wędrował na Sybir, a nawet na szubienicę. Zresztą polscy handlarze bronią nie byli wcale lepsi. Bezwzględnie okradali powstańców, dzielili się pieniędzmi, stając się w krótkim czasie bogaczami, o ile przedtem żandarmeria narodowa nie wpakowała im kuli w łeb lub sztyletu w serce. Wprawdzie Aaron całym swoim majątkiem zaręczał, że interes jest czysty, i zaklinał się na życie swoich wnuków, że karabiny dotrą na miejsce przeznaczenia, ale Nina wahała się, bojąc się ryzyka i utraty pieniędzy wojewodziny. Powiedziała Aaronowi, że musi się jeszcze zastanowić.

Pan Piotrowski powrócił ze Lwowa z kwaśną miną i zalecił jej cierpliwość, ale ona nie chciała już czekać, pragnąc za wszelką cenę powrócić do Makowa. Tego samego dnia pod wieczór przyszedł braciszek Benon i Nina obu panom opowiedziała o propozycji Aarona. Zakonnik wysłuchał jej z zadowoleniem.

– No, no, musieli Żydkowie zwęszyć dobry interes. Ile chcą za transport?

– Siedem tysięcy rubli!

– Aż tyle? – Braciszek wysoko uniósł brwi. – O, widzę, że chcą panią oskubać! To starzy geszefciarze.

– Ja się na tym nie znam i wolałam sama nie decydować – przyznała się Nina otwarcie.

– Na szczęście my coś o tym wiemy, prawda, panie Piotrowski? – Braciszek błysnął zębami w szerokim uśmiechu. – Otóż przeciętny dostawca bierze za karabin *in loco* obóz dwadzieścia pięć do trzydziestu rubli srebrem. Bezpośrednio z fabryki dostawa karabinu kosztuje siedemnaście rubli, plus dwa ruble za transport.

– Oho! – mruknęła Nina. – Wygląda na to, że mają mnie za idiotkę!

– Dała im pani jakąś zaliczkę?

– Nie. Powiedziałam, że się zastanowię, a tak naprawdę zamierzałam poradzić się panów w tej kwestii.

– Bardzo rozsądnie – pochwalił ją pan Piotrowski.

Braciszek, przysunąwszy się bliżej, ściszył głos do szeptu:

– Znakomicie się składa, bo ja pilnie muszę przejść przez granicę. Proszę skontaktować mnie z Aaronem, ja z nim pomówię. Możemy kupić te karabiny. Oczywiście za rozsądną cenę. Pojadę z transportem i dopilnuję, żeby broń trafiła na miejsce przeznaczenia.

Nina rozpromieniła się z radości.

– Och, jak to dobrze! Dam braciszkowi pieniądze. Aaronowi można zaufać, to bardzo porządny i uczciwy człowiek. Braciszek wie, gdzie należy złożyć broń, aby nie zdekonspirować leśnego obozu?

– Wiem. Na tym wzgórzu, za dąbrową. Tak mi polecił sam pan naczelnik. W takim razie nie należy sprawy odkładać. Postaram się wytargować dobrą cenę i na razie zapłacę im tylko połowę. Drugą ratę otrzymają po przybyciu na miejsce. Proszę jutro nadać depeszę do Makowa, że cioci się polepszyło i wybiera się w drogę.

– O, mój Boże! – jęknęła Nina rozpaczliwie. – A ja muszę tu siedzieć i czekać na tę przeklętą amunicję do rewolwerów. Mężowi bardzo zależy na broni krótkiej.

Braciszek spojrzał na nią i naraz klepnął się w czoło:

– *À propos* rewolwerów... Po co mamy płacić dwa razy, kiedy można za jednym zamachem przewieźć przez granicę całą broń. Rewolwery i te sztucery, które pan Piotrowski dostał od poznaniaków. Pani hrabina zajęłaby się tylko przewozem amunicji do broni krótkiej.

Zakonnik potrafił działać bardzo szybko i skutecznie. Następnej nocy załadowano broń na duży prom, który spłynął Wisłą ku granicy. Nina dalej oczekiwała na dostawę naboju. Stała się dziwnie apatyczna i przestała interesować się miastem, całymi dniami przesiadując w pokoju, leżąc na kanapce i czytając książki. Niani i Bini tłumaczyła, że brzydka pogoda działa na nią przygnębiająco, ale nie była to prawda...

Od pewnego czasu czuła się bardzo źle. W dolnej części brzucha i w okolicy bioder odczuwała głucho bóle ciągnące się ku udom. Pobladła, oczy miała podkrążone, a w snach zaczęły nawiedzać ją koszmary. Pomimo złego stanu zdrowia nie myślała udać się do lekarza, zdając sobie sprawę, że poleci jej natychmiast pozostać w łóżku aż do czasu rozwiązania.

Zajmowała z Binią dużą sypialnię i bardzo ją to krępowało, a troskliwość siostry i badawcze spojrzenia niani doprowadzały do rozpacz. Marzyła, by wrócić do domu i spocząć na swoim ogromnym łóżu, za zasłoną jedwabnych firanek. Nade wszystko jednak pragnęła obecności męża, dotyku jego dłoni, pieśczości ust i dźwięku jego głosu.

Noce spędzała, wpiśsiadząc na łóżku, wsparta na wysoko ułożonych poduszkach. Miała duszności, obawiała się zasnąć, bo zaraz nawiedzały ją zmyry. We śnie przychodziła do niej Paula i z przerażającym uśmiejem pochylała się nad nią, jakby oczekiwała na coś, co miało wkrótce nadejść. Z upiornego snu Nina zrywała się z krzykiem, trzęsąc się ze strachu. Obudzona Binią dopytywała się, co jej dolega i tuliła ją do siebie, ocierając zroszone potem czoło i szepcząc do ucha słowa otuchy. Nina uśmiejem się słabo i uspokajała ją, zapewniając, że złe samopoczucie minie wraz ze zmianą pogody. Binią patrzyła na nią nieprzekonana, ale o nic nie pytała, zauważywszy, że siostra nie lubi mówić o swoim zdrowiu.

Niewyspana, dręczona obawami Nina snuła się po pokoju, oczekując ze strachem nadejścia nocy. Bóle w dole brzucha stopniowo się nasilały, a na bieliznie pokazały się krwawe plamy. Nina nigdy nie była wytrzymała na ból. W dzieciństwie najmniejsze skaleczenie wzbudzało jej paniczny lęk i darła się jak opętana na widok kropli krwi. Natomiast teraz prawdziwe cierpienie znośła w milczeniu, nie próbując szukać pomocy. Binią z narastającym niepokojem obserwowała jej ściągniętą bólem twarz i częste przybieranie pozycji skulonej. Niania również zwróciła na to uwagę i zatroskana, cierpliwie znośła jej nagłe zmiany humoru.

– Kotku, na miłość boską, powiedz mi, co ci dokucza. Nie ukrywaj przed nami niczego – błagała, patrząc na wykrzywione bólem rysy wychowanki.

– Ja wezwę lekarza, dobrze?

– Ależ nic mi nie jest! – prychała Nina ze złością. – Mam zgagę i boli mnie głowa. Jestem w siódmym miesiącu i mam prawo czuć się źle.

Bieliznę i prześcieradła poplamione krwią chowała w komodzie, prosząc Boga, żeby pozwolił jej wrócić do domu i raz jeszcze zobaczyć Aleksa i Maków, choćby zaraz potem miała umrzeć.

Tego roku Wielkanoc przypadała piątego kwietnia i w całym domu wrzała gorączkowa praca. Sprzątano, myto okna i przygotowywano świąteczne

prysmaki. W pokojach pachniał wosk pszczele, a z kuchni dochodziły zapachy wanilii, gotowanej szynki i smażonych białych kielbas. Nina była tak osłabiona, że nawet nie wychodziła z domu, a w Wielki Piątek nie poszła do kościoła odwiedzić Grób Pański. W Krakowie urządzano uroczystości pasyjne z przepychem i dbałością o odtworzenie szczegółów męki Chrystusowej. Binia wybrała się w tym celu do katedry na Wawelu, zabierając z sobą Mirę, Jagę i trzech stangretów. Wszyscy powrócili zachwyceni i bardzo wzruszeni wspaniałym widowiskiem.

W Wielkanoc o świcie rozdzwoniły się wszystkie dzwony w kościołach. Nina nie odważyła się pójść na rezurekcję. Siedząc przy uchylonym oknie, słuchała potężnego dźwięku dzwonu Zygmunt, odzywającego się tylko w czasie wielkich uroczystości. Świąconego prawie nie tknęła, czując wstręt do jedzenia. Piła tylko chciwie, aby zwalczyć pragnienie i odczuwaną gorączkę.

W drugi dzień świąt pogoda uczyniła się prawdziwie majowa. Pani Piotrowska zaproponowała wycieczkę do Tyńca. Nina zdecydowała się jechać, czując się nieco lepiej. Karetą była częściowo rozebrana przez stolarzy robiących skrytki, pojechały więc wynajętym odkrytym powozem. Damy ubrały się po wiosennemu, a Nina w nowej ciemnobłękitnej sukni z tafty i kapelusiku z błękitnymi strusimi piórami wyglądała tak pięknie, że oglądali się za nią przechodnie.

Panie zwiedzały podkrakowskie okolice, podziwiając malownicze widoki i wijącą się w meandrach Wisłę. Klasztor w Tyńcu, pozostałość dawnego wspaniałego opactwa benedyktynów, sprawiał jeszcze imponujące wrażenie. Niegdyś było to prawdziwe państwo w państwie, a bogactwo zakonników stało się przysłowiowe. Nawet królowie zadłużali się, zaciągając u benedyktynów pożyczki. Z tegoż klasztoru ruszył do Krakowa na koronację orszak królowej Jadwigi. W prastarych murach szukali też schronienia żołnierze Kościuszki i stąd dumnie pomaszerowali do Krakowa na uroczystą przysięgę Naczelnika, wzniecającą insurekcję.

Mira wspomniała, że w Wielką Sobotę zaniósła pannie Pustowójtównie świąteczne przysmaki, ale już jej nie zastała, bo panna Henryka została uwolniona po złożeniu przysięgi, że więcej nie weźmie udziału w walce. Generała Langiewicza także przewieziono do więzienia na Morawach. Nina słuchała jej jednym uchem, rozpamiętując dziwny i straszny sen, który miała tej nocy. Przyszła do niej Paula, podeszła do łóżka i wlepiając w nią

oczy, powiedziała z tryumfem: „Umrzesz!”, dotykając palcem jej brzucha. Nina zerwała się z jękiem, czując przeszywający ból, i do rana nie zmrużyła już powiek, spodziewając się najgorszego.

Z Tyńca panie powracały pod wieczór. Pogoda była tak cicha i łagodna, jak to bywa w kwietniu. Zieleniły się pola, a w przejrzystym powietrzu kołowały ptaki. W mijanych gajach kwitły leśne kwiaty i śpiewały kosy. Z dala dochodził głos dzwonów bijących na *Anioł Pański*. Damy się przeżegnały i odmówiły krótką modlitwę za poległych pod [Cecorą08](#). Słońce wolno schodziło ku zachodowi, rozpalając na niebie wieczorne zorze. Konie szły dosyć wolno, bo po niedawnych ulewach droga była pełna wyrw i nierówności. Blisko domu przednie koła powozu wpadły w głęboką dziurę. Konie, ponaglone batem woźnicy, szarpnęły z całej siły, aż powóz ugiął się na resorach. Wstrząs był tak silny, że wszystkie panie podskoczyły na siedzeniu.

Nina wydała głośny okrzyk i wpiła się palcami w ramię Bini. Zbladła śmiertelnie, czując w brzuchu powracający ból. Poruszyła sinymi wargami, ale nie zdołała przemówić. Ręce Jagi delikatnie uniosły jej głowę. Poczowała zapach soli trzeźwiących i otworzyła zamglone cierpieniem oczy.

– Kochanie, połóż się na kanapce i podnieś nóżki, o tak! Zaraz poczujesz się lepiej.

Jakże krzepiący był głos niani! Jej mocne, czułe dłonie ułożyły ją troskliwie na siedzeniu. Przerazona Binia ponagliła woźnicę:

– Prędko do domu, pani hrabina zasłabła! Tylko proszę uważać, żeby znowu nie wpaść w jakąś dziurę.

Zajechali przed dom, lecz Nina nie mogła już wstać o własnych siłach. Gryzła dolną wargę do krwi, żeby nie krzyczeć, tymczasem ból narastał z każdą chwilą. Z oficynki wybiegł Maciek i pochwyciwszy hrabinę na ręce, ostrożnie wniósł ją do pokoju i położył na łóżku.

– Żeby to któryś z nas powoził, nie byłoby nieszczęścia! – Zgrzytnął z pasją zębami. – Sakramenckie galicyjskie ścierwo!

Jaga wyprawiła go z pokoju i pośpiesznie rozebrała jęczącą Ninę, ściągając z nóg pantofelki i pończochy.

– Jezu, ja chyba umieram! – stęknęła Nina, wpijając palce w ramę łóżka.

– Nie umierasz, tylko rodzisz, koteczku. Zaraz wezwiemy lekarza i wszystko będzie dobrze – pocieszała ją Jaga, ukradkiem ocierając łzy.

– Pani hrabina ma przedwczesny poród – zauważyła pani Piotrowska. – Trzeba wezwać akuszerkę. Ale to nic strasznego, bo wiele młodych kobiet rodzi przedwcześnie.

Nina położyła obie dłonie na brzuchu i jęknęła głośno.

– Ja wiem, że nie będzie dobrze – wyszeptała drżącym głosem. – Teraz rozumiem, czego obawiali się Alek i Jaś i dlaczego wzywali do mnie profesorów.

Błada i roztrzęsiona Mira stała na środku pokoju, z przerażeniem wpatrując się w przyjaciółkę. Potem skierowała się do wyjścia, nieznacznie skinąwszy na Binię. Na korytarzu poinformowała ją o zagrażającym Ninie niebezpieczeństwie.

– Koniecznie musimy postarać się o najlepszego specjalistę położnika! – w podnieceniu podniosła głos, lecz rzuciwszy okiem w stronę sypialni, natychmiast zaczęła mówić szeptem. – Jaś i profesor z Warszawy obawiali się, że ona nie przeżyje porodu. Nikt jednak nie spodziewał się, że rozwiązanie nastąpi przed czasem. To bardzo komplikuje sprawę i tak już groźną dla jej życia.

– Matko Przenajświętsza! – Bina zrobiła się sina ze strachu. – Jak pani wojewodzina mogła pozwolić jej na ten wyjazd? To przecież zbrodnia! – zawołała ogarnięta wściekłością. – Zaraz napiszę list do profesora, a służąca go odniesie.

Przechodząca pani Piotrowska usłyszała jej ostatnie słowa.

– Ależ droga pani, mamy dziś Wielkanoc – przypomniała. – Profesor z pewnością będzie zajęty w domu.

– Święto?! – syknęła przez zęby Bina z groźnym błyskiem w oczach. – Nina może umrzeć, a on jest lekarzem i ma obowiązek przyjść chorej z pomocą!

Pobiegła do saloniku i zaczęła pisać bilet, myląc się i robiąc kleksy ze zdenerwowania, bo drżały jej ręce. Bała się, okropnie się bała o Ninę, wiedząc z własnego doświadczenia, jak bardzo niebezpieczny dla kobiety i dziecka jest przedwczesny poród.

Przez ten czas Jaga ani na moment nie odstępowała od łóżka Niny, krzątając się i wyjmując z komody czystą pościel. Na dnie szuflady natknęła się na kłęb zwiniętych prześcieradeł i koszul nocnych. Rozwinęła je i osłupiała, wpatrując się w pokryte plamami płótno. Trzymając pokrzwawioną bieliznę, podeszła do łóżka.

– Nina, coś ty zrobiła?! – krzyknęła, wybuchając płaczem. – Dlaczego nie przyszłaś do mnie i nie powiedziałaś, że krwawisz? Może udałoby się nie dopuścić do wczesnego porodu. O Jezu Chryste, dziecko się przy mnie zmarnowało, a ja stara ślepa baba nic nie widziałam! Żeby mnie ta święta ziemia więcej nie nosiła, jak tobie stanie się coś złego! – szlochała.

– Cicho, nianiu – jęknęła. – Przecież ty nie zawiniłaś i nie rób sobie niepotrzebnie wyrzutów.

Po chwili przestała w ogóle zwracać uwagę na zawodzenie Jagi, pochłonięta dzikim bólem rozdzierającym jej łono, jak ciosy noża. To, co się z nią teraz działo, przechodziło wszelkie wyobrażenie o cierpieniu. Wstydziła się krzyczeć, więc gryzła usta do krwi i tak mocno zaciskała palce na krawędziach łóżka, że łamała sobie paznokcie. W krótkich momentach ulgi widziała obok siebie słodką twarzączkę Bini i jej kochające oczy, wpatrzone w nią z miłością i współczuciem.

– Ninko, krzycz! – błagała. – Nie próbuj walczyć z bólem. Nie musisz się wstydić, bo w domu są same kobiety. Proszę cię, siostrzyczko, krzycz!

– Nie! – wycharczała Nina. – To przecież tak bardzo nie boli. Jezu! – zawyła. – Idźcie, zostawcie mnie samą, chcę już umrzeć.

– Dziecko kochane, z pewnością pani nie umrze. – Pani Piotrowska starała się ją pocieszyć, lecz robiła to nieszczerze i Nina natychmiast to wyczuła. – Stangret pojechał już do profesora, a służąca poszła po akuszerkę. Wszystko będzie dobrze – mówiąc to, pomagała kucharce wtaszczyć do pokoju cebrzyk z gorącą wodą.

Nina chciała coś odpowiedzieć, ale przeszywający ból odrzucił jej głowę do tyłu. Wydała chrapliwy krzyk i przegryzła sobie usta, nie czując, że krew spływa jej po podbródku. Miała dziwaczne wrażenie, że jest rodzącą Zosią, a jednocześnie stoi przy jej łóżku i przypatruje się męce. Wtedy zarzekała się, że nigdy nie będzie miała dziecka, bo kobieta w położu przypomina wyjące z bólu zwierzę. Teraz sama stała się takim zwierzęciem, ogłupiałym z męki, nieprzytomnym z niewyobrażalnego cierpienia rozrywającego kości jej bioder.

– Nie! Ja nie chcę! – krzyczała pomiędzy jednym skurczem a drugim. – Boże, nie stójcie tak nade mną, tylko pomóżcie mi, żebym się tak nie męczyła. Ratujcie mnie!

Jaga i Binia na zmianę ocierały wilgotnymi ręcznikami jej spoconą twarz, podawały kojące zioła do picia, Mira zmieniała mokre od krwi

prześcieradła. Posłana po akuszerkę służąca powróciła sama. Kobieta zajęta była przy porodzie i obiecała przyjść za kilka godzin. Stach nie zastał profesora w domu, bo wyjechał na święta na wieś. Binia, wypytawszy stangreta, bardzo zmartwiona weszła do saloniku. Siedział tam pan Piotrowski, cierpliwie znosząc krzątanie kobiet.

– Czy mógłby mi pan polecić jakiegoś dobrego lekarza? – Binia zarumieniła się zakłopotana. – Siostra jest bardzo poważnie chora, obawiamy się o jej życie.

– Tak mi przykro... – Kapitan z bezradną miną rozłożył ręce. – W takim dniu jak dziś jedynie w szpitalu można zastać lekarza. Ale czy zechce przyjść?

– Boże, tak strasznie się boję – szepnęła Binia i wyszła na podwórze.

Zawołała Stacha i wyjaśniła mu, gdzie ma jechać i z kim mówić. Dała mu bilet i kazała się spieszyć. Kiedy dosiadł konia i odjechał, wsparła się o słupek ganku i zanosła gorzkim płaczem. Lekarz nie mógł przyjść, bo miał operację. Akuszerka zjawiła się dopiero późnym wieczorem. Zbadawszy chorą, z rozczarowaniem potrząsnęła głową.

– Przecież to dopiero początek. Pani hrabina może urodzić jutro – zawyrokowała, patrząc z zawodową obojętnością na udręczoną rodzącą.

– Aż jutro? – stęknęła Nina, zdruzgotana tym bezlitosnym wyrokiem. – Nie wytrzymam, umrę do rana.

– E, przecie to jeszcze tak bardzo nie boli. – Akuszerka się uśmiechnęła.

– Chryste, to może boleć więcej?

Oczy rodzącej rozwarły się szeroko, bo ból stawał się nie do wytrzymania. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ta kobieta nie chciała jej pomóc. Upływały godziny, a ona cierpiała. Stękając głucho, przewracała się z boku na bok, z wysiłkiem chwytając powietrze.

– Nino, krzycz! Krzycz, ty idiotko! – rozpaczła Binia, nie mogąc już znieść widoku jej męki. – Siostrzyczko, nie udawaj zucha, każda z nas krzyczy przy porodzie.

– Nie! – stęknęła Nina i ugryzła własną rękę.

Profesor przyszedł rano. Jego mocne owłosione ręce brutalnie obmacywały jej obnażone zbolące ciało. Ale ona nie czuła już wstydu, będąc jednym kłębkim bólu. Z pogryzionych ust spływała krew ze śliną i mieszała się z potem, obficie spływającym jej z twarzy. W jej wykrzywionych okropną męką rysach nie można się było dopatrzeć nawet

śladu urody. Uniosła lekko głowę i popatrzyła na lekarza przekrwionymi oczami.

– Proszę mi dać truciznę – szepnęła. – Przecież ja wiem, że umrę. Nie chcę się dalej męczyć.

Profesor rzucił jej spod krzaczastych brwi ostre spojrzenie.

– Jestem tu, żeby panią ratować, a nie zabijać – mruknął i nacisnął jej zboląły brzuch.

Zawyła, a prześcieradło poczerwieniało od buchającej z niej krwi. Jaga upadła na kolana i skuliła się, zatykając uszy, aby nie słyszeć jej spazmatycznych krzyków. Mira zemdląła i trzeba ją było wynieść z sypialni. Jedna Binia trwała niestrudzenie, w pół żywa ze zmęczenia, wyczerpana, lecz pełna energii i głębokiej wiary, że Nina mimo wszystko przeżyje. Nawet akuszerka odeszła, przekonana, że rodząca umrze.

– Panie profesorze, czy jest nadzieja, że siostra urodzi? – spytała półgłosem Binia, wpatrując się błagalnie w lekarza.

– Dopóki człowiek żyje, zawsze jest nadzieja – odburknął i podniósł się znad łóżka. – Nie ukrywam, że stan pani hrabiny jest bardzo ciężki. Cięża od początku była ryzykowna, bo pani hrabina ma wadliwą budowę miednicy. Dlatego poród jest tak długi i ciężki. Dziecko może być źle ułożone. Zrobię wszystko, żeby matka i dziecko przeżyli, ale potrzebuję jeszcze jednego lekarza, bo ja mam dodatkowe zajęcia. Proszę posłać do szpitala i niech ktoś wstąpi do apteki i wykupi lekarstwa. – Podał Bini kartkę zapisaną ołówkiem.

– Czy dziecko żyje?

– Jak dotąd żyje, ale puls jest słaby, zaledwie wyczuwalny. Jeżeli poród się przedłuży, nie rękę za jego życie.

– Proszę w takim razie za wszelką cenę ratować życie mojej siostry. – Binia zakręciła się i szeleszcząc krynoliną, wybiegła z sypialni.

Nina już zupełnie nie zwracała uwagi na to, co się koło niej działo. Nie bała się śmierci, raczej wyczekiwała jej, jak wybawienia od bólu i upragnionej ciszy. Ale śmierć nie chciała nadejść, a bóle nie słabły. Zrezygnowała z dumy i w miarę upływu czasu jęczała, potem krzyczała i wyła, wrzeszczała aż do ochrypnięcia. Głośno wzywała męża, wierząc, że gdyby tylko ujął ją za rękę, ból zniknąłby bez śladu. Potem w przeblasku świadomości uzmysłowiła sobie, że Aleks jest daleko, i przestała go wołać i myśleć o nim z miłością. Był sprawcą jej tortur, bo zapragnął dziecka, które

teraz odbierało jej życie. Miał doświadczenie i z pewnością wiedział, jak ustrzec ją przed niepożądaną ciążą, ale dla własnych egoistycznych celów naraził ją na śmiertelne niebezpieczeństwo. Od początku musiał wiedzieć, że coś zagraża jej życiu, bo stale nalegał, żeby rodziła w mieście, pod opieką specjalistów. Przypomniła sobie spojrzenia Jasia – uważne, ciepłe i zatroskane. On również zdawał sobie sprawę z nieuchronności jej śmierci! Wszyscy o tym wiedzieli, oprócz niej. A kiedy teraz umiera, mąż jest daleko, chociaż to dla niego naraziła życie, wybierając się w tę męczącą podróż.

Umierała z dala od Makowa, ukochanego domu, i zostanie pochowana w tym obcym, odległym mieście, zamiast spoczywać w krypcie grobowej, obok cioci Teci. Pograżając się w otchłani cierpienia, czuła do męża nienawiść. Jakże była głupia, wiążąc się z mężczyzną, za którym wlokło się ponure widmo Pauli. Wijąc się w mękach, przeklinała jego czułe, namiętne pieścizny, będące jedną z masek, które przybierała natura dla podtrzymania gatunku.

Za oknami wolno wstawał dzień. Drugi dzień jej potwornych cierpień. Niania i Binia co chwilę zwilżały jej popękane wargi, podając chłodną herbatę z cytryną i wycierając całe jej ciało mokrymi ręcznikami. Czasami bóle słabły, a wtedy Nina czuła się jak wniebowzięta. Lecz te cudowne momenty trwały krótko i bóle powracały ze wzmożoną siłą, a ona znowu wyła, w pół oszalała z męki. Miała siną, napuchniętą twarz, przekrwione oczy, a z jej ciała wciąż buchały szkarłatne strugi. Binia pociągnęła za rękaw młodego lekarza, czuwającego przy łóżku.

– Panie doktorze, przecież siostra się wykrwawi na śmierć – powiedziała z rozpaczą. – Czy doprawdy nie ma sposobu, aby powstrzymać krwotok?

Lekarz był młodym mężczyzną, krótka praktyka nie zabiła w nim jeszcze uczuć i potrafił wzruszać się cierpieniem pacjentów.

– To nie takie proste – odparł, trąc czoło i wichrząc sobie czuprynę. – Ciągłe trwa poród. Można by przykładać do brzucha lód, ale ja się obawiam skrzepów. Macie tu lód?

– Zaraz się dowiem. – Binia wyszła i obudziła kucharkę. Kobieta spała tak mocno, że trzeba było nią potrząsnąć. Wstała, ziewając, i poszła do kuchni.

– A jest trochę – rzekła, zasłaniając usta, aby powstrzymać ziewnięcie. – Zara poślę kogoś do miasta i przyniesie nowy.

Lód przyniósł Ninie pewną ulgę i bóle jakby zelżały. Łudziła się, że może jej cierpienia nareszcie się skończą. Młody lekarz nie miał serca, by uświadomić jej, że powinna modlić się o bóle, bo w przeciwnym razie umrze. Binia przyniosła jej z kuchni filiżankę bulionu, ale Nina ze wstrętem odwróciła głowę.

– Już mnie nie będzie bolało? – wyszeptała, patrząc błagalnie na lekarza. Spuścił oczy, nie mogąc znieść jej żebrzącego wzroku.

W południe przyszedł profesor, obejrzał ją, zbadał puls i zmarszczył brwi. Rozpuściwszy w szklance jakiś proszek, podał jej do wypicia. Przełknęła niechętnie lekarstwo, bo bała się tego nieprzystępnego, zimnego człowieka. Bóle wkrótce powróciły, szarpiąc jej ciało na drobne kawałeczki.

Na okrytym różowymi kwiatami drzewku jabłoni usiadł kos i zaniósł się godowym śpiewem. Jaga, tłumiąc łkanie, osuszała ręcznikami długie włosy Niny, tak mokre z potu, jakby była po kąpieli. Obaj lekarze wyszli z pokoju, starając się nie okazywać narastającego zdenerwowania. Binia podeszła do profesora. Zwrócił ku niej złą, zaciętą twarz.

– Panie profesorze, czy nie można jej operować? – spytała łamiącym się głosem, starając się powstrzymać łzy.

– Wyobraża pani sobie, że pozwoliłbym pacjentce umrzeć, gdyby operacja była możliwa?! – wybuchnął rozdrażniony. – W tym stanie nie przeżyłaby zabiegu. Ma za mało krwi i za słabe serce. Zastanawiam się, jakim cudem ona jeszcze żyje.

– Więc nic? Zupełnie nic? – Binia zamarła z przerażenia.

– W tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać. Dziecko jeszcze żyje, ale obawiam się, że już nie zdoła się urodzić. Umrze razem z matką.

Jaga uchyliła drzwi i usłyszawszy ten wyrok, wydała przejmujący jęk. Wróciła do sypialni i runąwszy przy łóżku na kolana, wsparła głowę o stopy Niny i zaczęła się modlić z takim żarliwym błaganiem, jak jeszcze nigdy w życiu. Nina była całym jej światem, treścią życia i jedyną, największą miłością. Pyszniła się jej pięknnością i talentami. Patrzyła z dumą na jej prześliczną buzię, miękła pod spojrzeniem jej wielkich oczu, a słodki uśmiech i jej brązowe loczki, wijące się na smukłym karku, rozczulały ją do łez. Teraz, widząc, jak życie uciekało z jej dziecka, sama czuła, że słabnie i

umiera. Bez Niny jej życie nie miałyby sensu, po prostu nie byłoby po co żyć.

Pod wieczór niebo zachmurzyło się, a powietrze przesycone było wilgocią. Nadchodziła pierwsza w tym roku burza. Zaczął padać ulewny deszcz i miotał falami wody spływającymi po szybach. Ciemne obłoki przeciął jaskrawy wąż błyskawicy i grom zaczął ciężko przetaczać się po niebie. Przed północą profesor ponownie rozpuścił w szklance wody proszek i niemal przemocą wlał lekarstwo do ust Niny. Bóle wyraźnie słabły, a ona na przemian mdlała albo zasypiała. Lekarze patrzyli na siebie z ponurymi minami. Kobiety nie śmiały nawet pytać o stan zdrowia chorej. Profesor na zmianę z asystentem rozcierali jej ziębnięce stopy i dłonie, pobudzali masażem pracę serca, które chwilami przestawało bić. Ale bóle nie powracały i obaj lekarze spojrzeli sobie w oczy. Nadchodziła śmierć...

Nina obudziła się, słysząc bicie zegara. Była pierwsza w nocy. Jej spojrzenie padło na klęczącą przy łóżku Jagę.

– Już nie wrócę do Makowa – powiedziała tak cicho, że niania musiała przyłożyć ucho do jej warg.

– Wrócisz – szepnęła, tłumiąc dziki krzyk rozpacz. – Matka Najświętsza jest miłosierna i nie odbierze mi mojego ukochanego dziecka. Ona wysłucha moich próśb.

– Nianiu, błagam, nie chowajcie mnie w obcej ziemi. Zabierz moje ciało do domu, a jakby nie można było inaczej, weź tylko moje serce. Chcę spocząć w kaplicy grobowej.

Jaga zamierzała zaprotestować, ale spostrzegła, że chora usnęła.

Przeraźliwa jasność błyskawicy obudziła Ninę. Drgnęła i rozejrzała się po pokoju. Za oknami było ciemno, lecz już zbliżał się świt i na ogrodowych drzewach rozświergotały się ptaki. Obaj lekarze drzemali, wyciągnięci w fotelach, i głośno chrapali. Binia siedziała na podłodze, z głową wspartą o krawędź łóżka. Jaga klęczała, obejmując stopy chorej. Bóle zupełnie ustały i wielki ciężar przesunął się w dół brzucha. Nina mogła swobodniej oddychać, choć serce jej biło bardzo słabo. „Wszyscy śpią, a ja umieram – pomyślała bez żalu. – Niedługo cieszyłam się życiem. Boże, pozwól choć mojej duszy powrócić do Makowa”. Nie lękała się śmierci, lecz nawrotu bólów. Myśli powoli odpływały jak fale wody pod wpływem lekkiego

wiatru. Do męża nie czuła już ani nienawiści, ani miłości, stał się jej obojętny, a jego obraz zacierał się w jej pamięci. Poczwała, że leży w wilgotnej pościeli i pomyślała, że oto wykrwawia się na śmierć.

Naraz cały pokój stanął w fioletowym ogniu. Piorun strzelił w wysoką topolę stojącą w ogrodzie, a dom zatrzęsł się w posadach od straszliwego huk. Odruchowo Nina podniosła głowę i spojrzała w okno. W ułamku sekundy, w jednym mgnieniu oka, dostrzegła za szybą ohydny maskę śmiejącą się czarnymi opuchłymi wargami. „Paula przyszła po mnie” – przemknęła jej przez głowę przerażająca myśl. Potworny, rozrywający ciało ból sprawił, że wydała z siebie przeraźliwy krzyk i usiadła na łóżku, odrzucając kołdrę. Wszystko, co dotąd wycierpiała, wydało się jej błahostką w porównaniu z tym, co teraz czuła. Jej ciało wyprężyło się i wygięło, gdy z wytrzeszczonymi oczami zanosiła się krzykiem. Obaj lekarze zerwali się na równe nogi, wymieniając spojrzenia pełne zdumienia i niedowierzania. Jaga i Binia zaczęły głośno płakać, przekonane, że Nina umiera.

– Niech panie stąd natychmiast wyjdą! – rozkazał profesor i energicznie wypchnął kobiety za drzwi, zamykając je szczelnie.

Stały w korytarzu, przytulone do siebie, i nasłuchiwały dochodzących z pokoju krzyków Niny i głosów obu lekarzy. W pewnej chwili jęki ucichły, a z sypialni rozległ się słaby płacz noworodka. Jaga chwyciła się za serce i uklękła, wznosząc oczy ku niebu. Binia zaczęła szlochać z radości.

– Mogą panie wejść. – Profesor otworzył szeroko drzwi.

Binia podbiegła do łóżka i w uniesieniu całowała ręce i czoło Niny.

– Widzisz? Już dobrze! – wołała, śmiejąc się i płacząc. – Nie umrzesz! Boże, jaka w Makowie będzie radość!

Profesor miał jakąś dziwną minę. Skinął na Jagę i szepnąwszy jej coś do ucha, podał jakiś przedmiot owinięty w ręcznik. Niania wydała stłumiony okrzyk i zasłaniając dłonią usta, wybiegła z sypialni. Młody lekarz uważnie obejrzał noworodka, badając czy dziecko ma prawidłową budowę. Noworodek cicho popiskiwał na jego rękach. Nina powoli uniosła powieki i poruszyła się lekko w obawie, że bóle pochwycą ją znowu w swoje kleszcze. Była potwornie obolała, ciężko chora, ale jej brzucha i bioder nie rozdzierały już skurcze. Zdumiona, usłyszała słaby płacz dziecka. Pomimo ogromnego wyczerpania zalała ją fala radosnego podniecenia. Urodziła syna! Wyraźnie słyszała, jak sam profesor powiedział do asystenta: „To

chłopiec”. Aż trudno jej było uwierzyć, że mimo wszystko spełniły się marzenia Aleksa – miał syna. „I nie umarłam! – myślała, kierując do Boga słowa najgorętszej wdzięczności. – Alek będzie bardzo szczęśliwy. Nareszcie ma spadkobiercę”.

Jednak gdzieś na samym dnie serca tkwił jak ostry cień obraz potwornego widziadła ujrzanego za szybą. Zdecydowanie odrzuciła od siebie to okropne wspomnienie, tłumacząc je halucynacją, spowodowaną krańcowym osłabieniem i zażywaniem lekarstwami. Z leciutkim uśmiechem patrzyła, jak promieniejąca Bina z największą ostrożnością spowija dziecko w pieluszki. Noworodek skrzeczał cichym głosikiem, niemającym w sobie nic ludzkiego – głosem mechanicznej zabawki. Nina westchnęła, kiedy do łóżka podszedł profesor i mocno uściśnął jej dłoń. Zapomniała o niedawnej niechęci i spojrzała na niego z wdzięcznością.

– A jednak nie zawiodła pani moich nadziei – powiedział z uśmiechem.

Jego mocna ręka dodawała jej otuchy.

– Mam wobec pana profesora ogromny dług do spłacenia. Dziękuję najmocniej panom.

– Proszę dziękować Bogu, nie mnie. Niewiele mogliśmy zrobić. Pani młodość i wola życia przemogły i zwalczyły śmierć – rzekł szorstko, ale w jego zmęczonych oczach czaiły się wesołe iskierki. Był z niej bardzo zadowolony.

Binia owinęła maleństwo powijakami z atłasu i koronek, z wyhaftowaną jedwabiem hrabiowską koroną. Huśtając dziecko na rękach, z dumą prezentowała je lekarzom.

– Proszę pamiętać, że to wcześniak – ostrzegł profesor. – Musi leżeć dosłownie w wacie.

Do sypialni chyłkiem powróciła Jaga, bardzo blada, z zaczerwienionymi od łez oczami. Wzięła dziecko z ramion Bini i patrzyła na jego malutką twarzyczkę wilgotnym wzrokiem. Asystent profesora wdał się z Binią w fachową rozmowę na temat pielęgnacji wcześniaków.

– Musicie się panie postarać dziecku o mamkę, bo pani hrabina nie ma pokarmu. Kołyskę należy wyłożyć watą i zakryć. Dziecko musi przebywać tylko z mamką. Jest bardzo słabe i nie przeżyje żadnej choroby.

Niną ponownie targnął niepokój. Słowa lekarza uświadomiły jej, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło, a groźba śmierci teraz zawisała nad dzieckiem. Jaga, trzymając maleństwo w ramionach, nie zbliżała się do jej

łóżka. Takie zachowanie niani niemile ją zdziwiło. Przyszło jej na myśl, że Jaga wyszła pośpiesznie z pokoju, nie ucałowawszy jej przedtem. To bardzo dziwne.

– Nianiu... – zaledwie poruszyła ustami, bo gardło miała mocno nadwyrężone krzykiem i bolało ją nieznośnie. – Nianiu, podaj mi mego syna. Myślę, że należy go zaraz ochrzcić. Dajcie mu imiona Aleksander Wiktor. Tak sobie życzył mój mąż.

Jaga posiniała i odruchowo cofnęła się, tuląc do siebie noworodka. Posłała profesorowi rozpaczliwe spojrzenie. Potrząsnął głową i rozłożył ręce w geście bezradności. Niania wolno podeszła do łóżka i delikatnie położyła dziecko przy piersi Niny.

– Pan Bóg dał ci córeczkę – powiedziała głucho.

Wyciągnięte ramiona Niny opadły, a oczy zaokrągliły się ze zdumienia. Przestała się uśmiechać, czując w sercu lodowaty chłód.

– Kłamiesz! – wychrypiała suchymi wargami. – To nieprawda, ja urodziłam chłopca. Sam profesor tak powiedział. Oddajcie mi mego syna! – Uniosła się na posłaniu i zaraz opadła z jękiem na poduszki.

Jaga zasłoniła twarz chusteczką i zaczęła głośno zawodzić. Binia spoglądała kolejno na nią i na Ninę, nie rozumiejąc, o co chodzi. Profesor usiadł na skraju łóżka i wziął w obie ręce bezwładną dłoń Niny.

– Moje drogie dziecko... – odezwał się ojcowskim tonem. – Chcieliśmy pani zaoszczędzić cierpienia. Urodziła pani bliźnięta. Chłopiec, niestety, już był martwy, dziewczynka przeżyła. Mam jednak nadzieję, że uda się nam utrzymać to dziecko przy życiu.

Wyrwała mu dłoń i szklanym wzrokiem wpatrywała się w leżące przy niej dziecko. Było czerwone jak rak, bez włosów, o zdecydowanie brzydkich rysach, trzęsące się jak galareta! Obserwowała piszczące stworzenie osłupiałym spojrzeniem. Jak to? Czy po to przez trzy dni męczyła się jak potępieniec, żeby na granicy śmierci wydać na świat córkę? Przecież dziewczynka nie przedłuży wygasającego rodu Klonowieckich! Wszystkie jej nadzieje i oczekiwanie Aleksa rozwiały się jak mgła. „Mój synek nie żyje! Chryste, od początku o tym wiedziałam. Miałam przecucie, że widmo Pauli nie odejdzie z pustymi rękami. Dlaczego nie umarłam? Lepsza byłaby moja śmierć i tego nieszczęsnego stworka. Przecież nigdy nie ośmielę się pokazać jej ojcu. Jezu, co za wstyd!”. Ogarnięta rozpaczą,

odsunęła ze wstrętem dziecko od siebie. Brzydki noworodek zaczął znowu cichutko płakać.

– Trzeba podać malutkiej trochę lekkiego rumianku – rzekł młody lekarz.

– Pewnie jest głodna. Już dzisiaj musi mieć zdrową, mocną mamkę.

– Ninko, nie pocałujesz córeczki? – spytała niepewnie Jaga.

Twarz Niny wyrażała lodowatą obojętność. W oczach miała zacięty upór.

– Zabierzcie stąd to dziecko – powiedziała głośno i wyraźnie. – Mój syn nie żyje. Biedny Oleś. Rodząc go, widziałam śmierć!

– Panie profesorze, ona majaczy! – zawołała zatrwożona Jaga. – Kociątko, o czym ty mówisz?

Profesor zbadał chorej tętno i kazał asystentowi przygotować lek na uspokojenie.

– Proszę usunąć z sypialni dziecko i pozostawić panią hrabinę samą – polecił. – Nie należy jej denerwować, bo jest jeszcze bardzo słaba i wstrząśnięta po ciężkim porodzie. Mój asystent dziś pozostanie przy chorej. Przepiszę pani hrabinie coś na lepszy apetyt, bo straciła wiele krwi i musi odzyskać siły, a także laudanum na sen. Przyjdę w południe.

Napisał recepty, pożegnał się i wyszedł. Młody lekarz udał się do sąsiedniego pokoju, żeby się przespać. Przy łóżku Niny uklękła Binia i łagodnie gładziła jej zmierzwiłone włosy. Rozumiała siostrę lepiej niż Jaga.

– Kochana moja, to wcześniak, więc nie grzeszy urodą. – Binia najwyraźniej odpowiadała na obawy niewyrażone głośno przez Ninę. – Za kilka miesięcy twoja córeczka będzie normalnym, ślicznym dzieciątkiem, rozkoszną kruszynką. Będiesz z niej dumna. A kiedy dorośnie, stanie się taką pięknością jak jej matka. Oby tylko przeżyła przez najbliższe tygodnie. Aleks z pewnością będzie córką uszczęśliwiony. Ona jest urocza! O, spójrz, rusza paluszkami i tak zabawnie marszczy nosek. Mój Boże, tak bym chciała mieć córeczkę, a rodzę samych synów. To przemiła dziecinka.

Nina odwróciła głowę i zasłoniła się ramieniem.

– Zabierzcie ją stąd! Nie mogę na nią patrzeć. Nie chcę jej widzieć. Mój syn nie żyje...

– Jak ty możesz tak mówić? – oburzyła się Jaga. – Przecież to twoje dziecko!

– Precz! – krzyknęła Nina i zemdlona opadła na poduszki.

Jaga sama ochrzciła dziewczynkę, obawiając się, że mała nie dożyje do wieczora. Nina, nakarmiona, umyta, uczesana i ubrana w piękną batystową koszulę, leżała bez ruchu, wpatrując się w sufit. Nie odzywała się do nikogo i miała taką minę, że nikt nie śmiał do niej przemówić i pogratulować jej urodzenia córeczki. Przygotowując dziecko do chrztu, Jaga spytała ją, jak dać małej na imię, ale spotkała się z całkowitą obojętnością.

– Nazwij ją, jak chcesz. – Nina nie odrywała wzroku od widocznego za oknem błękitnego nieba.

– W takim razie dam jej na imię Aleksandra Wiktoria, dobrze? – zaproponowała Jaga. – Pan hrabia i pani wojewodzina życzyli sobie...

Nina w jednej chwili straciła pozorną obojętność.

– Niech się niania nie waży! – syknęła z wściekłością. – Tylko mój syn miał na imię Aleksander Wiktor i nikt więcej nie będzie nosił tych imion – rzuciła przez zęby i odwróciwszy się plecami, nie raczyła spojrzeć na chrzest córki.

Dopiero Binia poradziła zakłopotanej Jadze, żeby dała dziewczynce imiona matki Aleksa: Józefina Eleonora Izabela, a niania już z własnej inicjatywy dodała jeszcze Helena. Przy pomocy uczynnej pani Piotrowskiej łatwo znaleziono dobrą mamkę, zdrową jak rydz młodą dziewczynę z podkrakowskiej wsi. W mieście na służbie zdarzyło się jej „nieszczęście”, a dziecko się nie uchowało. Dziewczyna pragnęła wynieść się z Krakowa i zapomnieć o niewiernym kochanku. Usłyszawszy, u kogo ma służyć, nie posiadała się z dumy, że będzie karmić małą pannę hrabiankę. Brzydki noworodek ujął ją za serce. Troskliwie zajęła się dziewczynką, karmiąc ją, pieszcząc i nie rozstając się z dzieckiem ani na chwilę. Na pytanie Bini, czy chce wyjechać z Galicji, odpowiedziała rezolutnie:

– A choćby między pogany! Byle dalej od tego psiawiary, co mi życie zmarnił.

– Niech się Rozalka nie martwi, u pani hrabiny będzie ci dobrze.

W odpowiedzi dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i dygnęła, szeleszcząc nakrochmalonymi spódnicami. Kiedy dziecko popłakiwało, Rozalka śpiewała mu piskliwym głosem proste wiejskie piosenki i nosiła na rękach.

– Cichaj, królewianko – przemawiała czule, wpatrując się w czerwoną buzię maleństwa. – Cekaj, jesce bendom za tobom kawaliry latały nikiem psy za kiełbasom! Będzies ślicna kiej ten janioł z ołtaza!

Zmarłego chłopczyka pochowano na cmentarzu Rakowickim. Nina kazała na małym grobie postawić posąg płaczącego anioła z alabastru i do końca życia nie zapomniała o tym miejscu, w którym złożyła wszystkie swoje nadzieje. Ale jednego była absolutnie pewna – nigdy nie pokocha córki! Swoim nieoczekiwanym przyjściem na świat mała przysporzyła jej wiele dodatkowych zgrzyzot.

Zaraz po porodzie Nina wpadła w głęboką depresję. Przeróżające męczarnie, widziadło, śmierć synka i ogromny zawód, którego doznała, dowiedziawszy się, że urodziła dziewczynkę, wstrząsnęły nią, okazując się najcięższymi ciosami w jej krótkim życiu. Płacząc, domagała się, żeby pokazano jej ciało syna, a kiedy lekarz stanowczo odmówił, Nina zaczęła rzucać się na łóżku, wzywając synka, a gorączka niepokojąco wzrosła. Majaczyła, bredząc coś o zjawie, która zabrała jej dziecko. Wezwany natychmiast profesor, zaniepokoił się poważnie jej stanem, obawiając się gorączki połogowej, śmiertelnie niebezpiecznej choroby, na którą umierały setki tysięcy kobiet na całym świecie. Ponieważ o higienie miano wtedy dosyć mgliste pojęcie, o infekcję było bardzo łatwo. Na szczęście gorączka u Niny okazała się na tle nerwowym i prędko spadła. Obawiając się o jej życie, profesor nie wahał się nawet na nią krzyczeć, zabraniając jej płaczu. Zaraz potem wzruszony jej cierpieniem pocieszał ją pocziwie:

– Nie wolno się pani hrabinie tak zamartwiać. Wkrótce powróci pani do zdrowia i może za rok lub dwa urodzi pani zdrowego upragnionego syna. Jeszcze wszystko przed panią – mówiąc to, uśmiechał się, lecz Binia, patrząc na niego bystro, spostrzegła, że w głębi duszy był przygnębiony.

Podał Ninie laudanum, a kiedy zasnęła, spała nieprzerwanie całą noc i dzień. Obudziwszy się, stwierdziła z ulgą, że jej organizm, pozbywszy się ciężaru, powoli powracał do równowagi. Była niespokojna, zastanawiając się, jak Aleks zareaguje na wiadomość o narodzinach dziewczynki. Z pewnością nie okaże jej doznanego zawodu, jednak bez wątpienia ona zawiodła pokładane w niej nadzieje. Ach, gdyby jeszcze miała możliwość zaprezentowania mężowi tłuściutkiej, różowej i zdrowej córeczki, miałyby prawo oczekiwać, że Aleks będzie jej wdzięczny i dziecko pokocha, bo zawsze uwielbiał dzieci. Niestety, brzydota dziewczynki była zdumiewająca! Niegdyś, patrząc na nowo narodzonego synka Zosi, wyobrażała sobie, że nic brzydszego już w życiu nie zobaczy. Owszem, zobaczyła! Jej córka wydała jej się wprost obrzydliwa!

– Co ze mnie za kobieta? – biadoliła do Bini. – Jestem zupełnie do niczego. Ty możesz być dumna, bo dałaś mężowi dwóch zdrowych, ładnych synów. A ja? Alek ożenił się ze mną, mając nadzieję, że dam mu piękne i zdrowe potomstwo. Tymczasem ja urodziłam martwego syna i córkę tak szkaradną, że nigdy nie odważę się pokazać jej ojcu.

Binia, siedząc przy szeroko otwartym oknie, haftowała koszulkę dla młodszego synka. W lekkiej batystowej sukni w kwiaty wyglądała na młodziutką panienkę. Nina czuła się przy niej stara, brzydka i zaniedbana.

– Uznałaś, że jesteś winna śmierci synka, i postanowiłaś poddać się chorobie, biorąc całą winę na siebie? – Binia pochyliła głowę, jakby nie wierząc własnym uszom.

– Nie zależy mi na życiu – ponuro mruknęła Nina. – Nigdy nie chciałam mieć dzieci. Kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, życzyłam sobie poronienia. Nie powinnam słuchać pani wojewodziny i w tym stanie podróżować do Krakowa.

Binia cierpliwie wysłuchiwała jej skarg, nawlekając igłę jedwabną nitką.

– Pojechałaś do Krakowa, aby zakupić dla męża broń. To wymagało wielkiej odwagi. Ręczę ci, że twój mąż będzie szczęśliwy, wiedząc, że przeżyłaś poród i dałaś mu córeczkę. A że na razie mała nie jest piękną? Poczekaj, z czasem wyładnieje. Boże, jakbym chciała, żeby była moja! Teraz ciesz się życiem, bo tylko krok dzielił cię od śmierci. Ja również miałam ciężki poród, ale takich męczarni nawet sobie nie wyobrażam.

W drzwiach pokoju stanęła Jaga, trzymając na rękach niemowlę, owinięte szczelnie w kocyki. Zmierzyła Ninę pełnym potępienia wzrokiem.

– No i czego ty się znowu mażesz? Istna fontanna! – odezwała się ostro, zauważywszy łzy na policzkach Niny.

– Mam mnóstwo powodów do płaczu. – Wytarła wilgotną twarz batystową chusteczką i pociągnęła rzewnie noskiem. – Co ja powiem Alkowi?

– Pokażesz mu córeczkę! Módl się, żeby to biedne dziecko przeżyło, bo jest bardzo słabe. I proszę cię, przestań chlipać, bo z tymi podpuchniętymi oczami wyglądasz doprawdy nieciekawie. – Jaga powiedziała to twardo, bez śladu współczucia.

Znała na wylot swoją wychowanekę, bo łzy momentalnie wyschły w oczach Niny, a ona sięgnęła po lusterko, posyłając niani spojrzenie pełne

wyrzutu. Jaga zbliżyła się do łóżka i położyła dziecko na kołdrze.

– Jesteś matką i powinnaś choć raz dziennie zająć się swoim dzieckiem. W ogóle się o nią nie troszczysz. Nie zamierzam sama wszystkim się zajmować! – wypowiedziała te słowa, patrząc zimno na Ninę. Jej łagodne i kochające oczy teraz były nieprzyjazne i pełne jakby odrazy. Spoglądała na swoją wychowankę jak na obcą osobę.

Nina odruchowo się cofnęła, mocniej wciskając w poduszki. Jeszcze nigdy niania tak się nie zachowywała.

– O co ci chodzi? – Ponownie pociągnęła nosem, szepcząc łzawym tonem. – Jestem taka nieszczęśliwa, a ty jeszcze na mnie krzyczysz. Pewnie żałujesz, że nie umarłam.

– Nie jesteś nieszczęśliwa, tylko głupia! – Zwykle Jaga nie potrafiła spokojnie patrzeć, jak usta Niny przybierają kształt podkówki, a długie rzęsy zaczynają ociekać łzami. Zapominała o gniewie i obsypywała biedną płaczkę pieścizotami. Tym razem jednak żałosa mina wychowanki nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. – Powiedziałam, przestań się nad sobą użalać, bo wezmę trzepaczkę! – zagroziła surowo. – Więc co mam zrobić z tym dzieckiem?

Nina pobladła i odsunęła się od małej ze wstrętem.

– Po to wynajęłam mamkę, żeby się nią zajmowała. Płacę jej za to! – odpowiedziała wyniośle. – Proszę więc zabrać dziecko i oddać je Rozalce. Na sam widok tego stworzenia robi mi się niedobrze!

– Oj, żeby cię Bóg za to nie pokarał! – Jaga gniewnie pogroziła jej palcem. – Nie chciałaś mieć dzieci, to nie trzeba było wychodzić za męża. A więc nie chcesz się nią zająć?

– Nie – Nina wymówiła to słowo cicho, przez zaciśnięte zęby i z taką zawziętością, że Jadze słowa zamarły na ustach. – Pan Bóg już mnie pokarał, zabierając mi syna, mogę więc nie mieć i córki.

Binia uznała, że sytuacja wymaga jej interwencji.

– Nianiu, Ninka jest jeszcze zbyt słaba, żeby zajmować się maleńką. Profesor nalegał, aby dzieckiem opiekowała się tylko mamka. Rozalka to dobra dziewczyna i przywiązała się do małej.

Jaga, nie odzywając się więcej, zabrała niemowlę i nie obdarzywszy nawet spojrzeniem swojej wychowanki, wyszła z sypialni. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego rodzona matka nie zamierza zaakceptować swego dziecka. Nie zdawała sobie sprawy, jak głęboki szok przeżyła Nina,

ocierając się o śmierć. Zgon synka był dla niej osobistym dramatem, a brzydota córki głęboko ją upokorzyła. Uważała, że jest do niczego, i cierpiała na kompleks niższości. Ale Rozalka naprawdę szczerze przywiązała się do małej i tuląc do siebie kwilące niemowlę, podsuwała jej dużą, jędrną pierś. A kiedy dziecko chciwie ssało, stwierdzała z zadowoleniem:

– Żerna jest, to się uchowa!

Wszystkie damy, prócz Niny, wzruszone były troskliwością dziewczyny.

– Wiesz, Ninko – śmiała się Binia – odnoszę wrażenie, że twoja córka będzie miała w Rozalce drugą Jagę. Dziewczyna uwielbia Żizi.

– Kogo? – zdziwiła się Nina. – Jaką Żizi?

– No, z francuskiego Józefina. Żizi, ładnie, prawda? Wymyśliłyśmy to z Mireczką. – Binia usiadła na skraju łóżka i ucałowała siostrę. – Kochanie, dlaczego jesteś taka smutna?

– Raczej zmartwiona – westchnęła Nina. – Wczoraj kazałam nadać trzecią depeszę do Makowa i jak dotąd nie mam odpowiedzi.

– Nie zapominaj, że mamy powstanie i poczta źle funkcjonuje. Może depesze gdzieś utknęły?

Nina zarzuciła jej ręce na szyję i przytuliła się do niej.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła? Dziękuję Bogu, że mam ciebie. To ty dawałaś mi siłę do przetrwania. Lekarze stracili nadzieję, niania była bezradna, tylko ty jedna wierzyłaś, że przeżyję. Niania prawie się do mnie nie odzywa, ale cóż ja jestem winna, że nie potrafię pokochać tego dziecka? Marzyłam, że urodzę synka podobnego do Alka, a kiedy podrośnie, kupię mu kucyka i nauczę go na nim jeździć. Będę się z nim bawiła w makowskim parku, patrząc, jak rośnie i coraz bardziej przypomina ojca. Ale Oleś przyszedł na świat martwy, bo nie mogłam urodzić. Nawet nie mogę przewieźć jego zwłok do Makowa, żeby spoczął przy swoich dziadkach. – Przygryzła usta i zamilkła.

Tym razem Binia miała oczy pełne łez.

– Kochanie, tak bardzo ci współczuję. Ale musisz pomyśleć o trudnym zadaniu, które cię czeka. Przed tobą transport amunicji przez granicę. Czy zastanowiłaś się, że z tak słabym, delikatnym dzieckiem niepodobna wybrać się w daleką podróż? Masz jakiś plan?

Nina potrząsnęła głową, mnąc w palcach ozdobną kopertę na kołdrze.

– Szczerze mówiąc, jeszcze o tym nie myślałam. Chyba zostawię małą z Jagą i Rozalką u państwa Piotrowskich. Tylko nie wiem, czy będę miała okazję po nie wrócić do Krakowa. Ach, same kłopoty!

Binia siedziała głęboko zamyślona, pochyliwszy na ramię jasną główkę.

– Ja ci powiem, co powinnaś zrobić – odezwała się stanowczym tonem. – Zabiorę Żizi do Świerszczyn i wychowam jak własną córkę, dopóki się po nią nie zgłosisz!

Nina zaniemówiła, bo takie rozwiązanie sprawy wcale nie przyszło jej do głowy.

– Ależ Biniu... – Z wrażenia zaczęła się jąkać. – Co powie twój mąż? Ja się wstydzę, ona jest taka brzydka!

– Ach, ty głuptasku! – Binia się roześmiała i pocałowała Ninę w czubek głowy. – Za pół roku twoja córeczka będzie zdrowym i ślicznym dzieckiem. Zresztą nawet teraz jest rozkoszna i bardzo ją kocham.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć... – szepnęła, podnosząc rękę Bini do ust. – Jesteś święta. No, jesteś...

– Jestem twoją siostrą. Zresztą zawsze chcieliśmy z Edwardem mieć córeczkę. Znasz mnie i wiesz, że kocham dzieci. Edward ma wiele wad, ale także uwielbia dzieciaki. Będziemy traktować Żizi jak własną córeczkę. Możesz mi ją spokojnie powierzyć.

Nina po raz drugi rzuciła się jej na szyję.

– Niech cię Bóg błogosławi, moja najdroższa siostrzyczko! To rozwiązuje wiele moich problemów, bo jakby, co nie daj Boże, zagarnęli nas Rosjanie, dziecko byłoby zgubione, bez ratunku!

– Już dawno miałam ci to zaproponować. Jezu, podjęłaś się takiego niebezpiecznego zadania. Drzę na samą myśl o tym, jak strasznie się narażasz.

Nina była jej za tę propozycję nieskończenie wdzięczna. Wyobrażając sobie, że musiałyby zaprezentować dziecko mężowi, czuła palący wstyd. Była przekonana, że wojewodzina z właściwą sobie przekorą jej przypisze winę za śmierć synka, oskarżając ją, że w ciąży krępowała się gorsetem. Nie, za nic! Wolała, żeby krewni i przyjaciele nie widzieli teraz dziewczynki. Może z czasem naprawdę trochę wyładnieje?

Tymczasem nadeszła wczesna wiosna, ciepła i bardzo pogodna. Drzewa w sadzie zakwitły, a na jabłonkach ptaki zakładały gniazda. Nina, leżąc w łóżku, objadała się bez umiaru, pragnąc szybko odzyskać stracone siły. Nieustannie wołała o jedzenie, aż Jaga musiała ją postraszyć, że utyje i nie zmieści się w żadną kupioną w Krakowie suknię. Ale duży apetyt okazał się dla niej zbawienny i prędko wracała do zdrowia, choć profesor nie pozwalał jej jeszcze wstawać z łóżka. Przez ten czas pan Piotrowski jeździł po całej Galicji, starając się o amunicję odpowiednią do rewolwerów. Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczał i powracał z podróży zły, zalecając rozdrażnionej Ninie, aby uzbroiła się w cierpliwość. W tym czasie czuła się jeszcze bardzo słaba i nie miała siły na podróże.

Prócz tego martwiło ją zachowanie Jagi. Niania stała się wobec niej opryskliwa i traktowała ją oficjalnie. Cały swój wolny czas poświęcała dziecku, pielęgnując je razem z mamką. Nina nie chciała się z tym godzić, będąc po prostu zazdrosna o jej uczucia. Dotąd zajmowała niepodzielnie serce Jagi. Cała czułość niani skupiała się wyłącznie na jej osobie. Teraz Jaga obdarzyła miłością nowo narodzoną dziewczynkę i już to samo wystarczyło, żeby Nina czuła do dziecka wzmożoną niechęć. Nie zamierzała dzielić się z nikim miłością Jagi! Niania była dla niej kimś o wiele ważniejszym niż nieżyjący rodzice, a nawet ukochany mąż. Ojciec i matka odeszli z tego świata, gdy była małą dziewczynką i prawie ich nie pamiętała. Jaga była z nią od zawsze. Aleks pozostawił ją samą wówczas, kiedy najbardziej potrzebowała jego obecności. Tylko jedna niania trwała przy niej i była po prostu niezastąpiona. Nie wyobrażała sobie życia bez niej i po cichu skarżyła się Bini, że pewnie niania ma jej już dosyć. Wprawdzie przychodziła codziennie rano, czesała ją i myła, razem z panną Lutówną masowały ciało Niny, dbając, aby znowu miała idealną figurę, ale zaraz po śniadaniu wychodziła, nie pozwalając się zatrzymać. Na próżno Nina przymilała się do niej, uśmiechając się promiennie i prosząc, żeby Jaga trochę przy niej posiedziała. Niania była nieubłagana.

– Jesteś dorosła i niani już nie potrzebujesz. Ta biedna kruszynka ma tylko mnie!

Posławszy jej obojętne spojrzenie, Jaga zamykała za sobą drzwi. Nina utraciła tak wiele krwi i była taka osłabiona, że musiała leżeć, piniąc się z wściekłości na swoje niedołęstwo. Kiedy Binia jechała do miasta po zakupy, a Mira z chłopcami zwiedzali Kraków, nudziła się okropnie, leżąc

sama w sypialni. Przez szeroko otwarte okna wpływał do pokoju zapach kwitnących drzew, a z facjatki dochodził do jej uszu piskliwy głos Rozalki, śpiewającej dziecku smutną wiejską kołysankę:

*Siekiera się okociła, świder jajo zniósł,
Śpijże, Józiu, juz!*



[07](#) fr. bywalec, typ światowca

[08](#) Równina nad Prutem koło miasta Jass w Rumunii. W 1620 roku miejsce klęski wojsk polskich dowodzonych przez hetmana Stanisława Żółkiewskiego w bitwie z Turkami i Tatarami. Żółkiewski poniósł tam rycerską śmierć. „Ja swoim tułowiem do ojczyzny nieprzyjacielowi drogę zawalę!” – historyczne ostatnie słowa hetmana.

Rozdział 2

Dyktatura Langiewicza upadła, a jego mała armia poszła w rozsypkę, lecz powstanie nadal trwało. Nie była to wojna w całym tego słowa znaczeniu, ale uparta, zajadła partyzantka, w najwyższym stopniu dokuczliwa i kompromitująca władze carskie. Sprawa polska stała się w świecie głośna. Francja, uchodząca tradycyjnie za sojuszniczkę Polski i jej orędowniczkę na arenie międzynarodowej, starała się wpłynąć na papieża Piusa IX, aby ujął się za zawsze wierną Kościołowi katolicką Polską. Jednak Ojciec Święty nie tylko nie stanął w obronie mordowanego narodu, lecz w bezlitosnych, ostrych słowach potępił samo powstanie i jego uczestników. Uczynił to w celu przypodobania się carowi! Identycznie postąpił prezydent Stanów Zjednoczonych, Abraham Lincoln, publicznie oburzając się na „buntowników”, spiskujących przeciwko swemu prawowitemu monarsze! Lincoln nie szczędził nieszczęsnym „buntownikom” słów potępienia i sekował⁰⁹ Polaków pragnących walczyć po stronie Unii.

Car Aleksander II był bardzo niezadowolony z rządów swego brata, wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza. Zarzucał mu nadmierną łagodność i pobłażliwość. Rosyjscy nacjonaści wręcz oskarżali księcia namiestnika o nieudolność i sprzyjanie Polakom. Tym samym los wielkiego księcia był przesądzony. Car postanowił wysłać do Polski człowieka gwarantującego szybką pacyfikację ogarniętego buntem kraju. Jego wybór padł na generała hrabiego Berga, Niemca w służbie rosyjskiej. Berg miał siedemdziesiąt dwa lata i słynął z zimnego okrucieństwa. Polskę znał dobrze, bo po upadku powstania listopadowego prowadził z władzami powstańczymi pertraktacje o poddanie Warszawy. Generał przybył do stolicy Królestwa Kongresowego z początkiem kwietnia, z gotowym planem uśmierzenia buntu. Tajnymi raportami podkopywał pozycję księcia namiestnika, szkalując go przed cesarzem.

17 kwietnia rządy Francji, Wielkiej Brytanii i Austrii wręczyły rosyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych, księciu Górczakowowi, noty domagające się natychmiastowego zaprzestania działań wojennych na

ziemiach Królestwa Polskiego. Jednakże noty te nie zawierały konkretnych propozycji, zadowolając się ogólnikami. Wielki książę Konstanty, zagrożony niełaską cara, wraz z margrabią Wielopolskim poszukiwał gorączkowo środka mogącego uspokoić wzburzoną opinię publiczną i w sposób honorowy zakończyć powstanie. Takim rozwiązaniem mogła stać się amnestia gwarantująca powstańcom bezpieczny powrót do domów.

Tymczasem książę Władysław Czartoryski, pełniący funkcję ministra spraw zagranicznych Rządu Narodowego na emigracji, zapewnił cesarza Napoleona III, że powstanie w Polsce się utrzyma, jeżeli Polacy będą mieli choć iskierkę nadziei na zbrojną pomoc sojuszników. Ta iskierka rzeczywiście się tliła aż do tragicznego końca.

W kwietniu spadły na Rząd Narodowy dwa dotkliwe ciosy: na skutek perfidnej intrygi Białych zginął w bezsensownym pojedynku Stefan Bobrowski. Będąc w Krakowie, zarzucił hrabiemu Grabowskiemu oszustwo i bezprawne występowanie w roli delegata rządu. Sąd polubowny, złożony z przedstawicieli Białych, orzekł, że Bobrowski obraził hrabiego Grabowskiego, a obelgę zmyć może tylko krew. Pojedynek wyznaczono 12 kwietnia w miejscowości Łaszczyna koło Rawicza. Bobrowski nie umiał strzelać, poza tym był prawie ślepy. Pierwsza kula wystrzelona przez Grabowskiego ugodziła go prosto w serce. Była to ponura zbrodnia popełniona na człowieku, który od początku stał na czele powstania i był faktycznym jego przywódcą. Na zawsze pozostało tajemnicą, dlaczego Bobrowski zgodził się na ten pojedynek, wiedząc, że nawet nie dostrzeże swego przeciwnika. Kilka dni po jego śmierci został schwytany najserdeczniejszy przyjaciel Bobrowskiego, pułkownik Zygmunt Padlewski, i rozstrzelany w Płocku.

Pewnego ranka Nina, siedząc na łóżku, trzymała w dłoni oprawione w srebrną ramkę lustro i uważnie badała swoje odbicie. Czuła się zdumiewająco lekko i młodo. Z rozkoszą oddychała zapachem rozwijającej się w ogrodzie zieleni i kwiatów. Dziękowała Bogu, że żyje, widzi błękitne niebo usiane białymi obłokami i nie spoczywa pod ziemią na cmentarzu Rakowickim.

Spoglądając w zwierciadło, sprawdzała, czy ciężka choroba nie ujęła jej urody. Obejrzała dokładnie każdy rys swojej twarzy. Była jeszcze bardzo

blada, przez co cera wydawała się tak delikatna, jak z alabastru, a oczy bardziej lśniące i głębokie w oprawie ciemnych rzęs. Stwierdziła z zadowoleniem, że wystarczy, jeśli odrobinę przytyje, a będzie nawet piękniejsza niż przed porodem. Z satysfakcją obdarzyła swoje odbicie uśmiechem pełnym zadowolenia.

Pod oknem sypialni Rozalka ustawiła pod kwitnącą wiśnią szczelnie zakrytą kołyskę i rozwieszała na sznurach upraną bieliznę. Czasami, gdy dziecko zaczynało cicho popiskiwać, mamka natychmiast przerywała robotę, podchodziła do kołyski i pochylała nad nią pełną twarz.

– Cichaj, Józia – mówiła z uśmiechem. – Zara ciebie pokołyszę, ino pieluchy rozwieszę. Słoneczko świeci i pięknie płótno wybieli. Cichaj, królewianko.

Zbudzona ze słodkich marzeń Nina, przez moment zastanawiała się, co to za Józia i dopiero oprzytomniawszy, stwierdziła z niesmakiem, że to jej córka tak ma na imię. Ponieważ myśl o dziecku była dla niej niemiła, prędko starała się zająć czymś innym, nie tak przykrym. Dokoła działo się tyle ciekawych spraw, na które wcześniej, będąc chora, nie zwracała uwagi. Nie było sensu psuć sobie humoru nieudanym dzieckiem, które zresztą wkrótce zniknie z jej życia.

Pan Piotrowski powiadomił ją, że dostawa amunicji jest na dobrej drodze i nastąpi za kilka dni. Naboje miano przywieźć do majątku ziemskiego w pobliżu Gawłuszowic, blisko brzegu Wisły. Naradzając się, wspólnie doszli do wniosku, że nie warto przewozić amunicji do Krakowa jedynie po to, żeby ją stamtąd ponownie transportować przez granicę, nakładając solidny kawał drogi. Pan Piotrowski postanowił nająć prom z zaprzysiężonym przewoźnikiem, popłynąć nim do miejsca, gdzie amunicję magazynowano, załadować naboje na prom i spotkać się z Niną już po drugiej stronie Wisły, pomiędzy Połańcem a Strużkami, przy ujściu rzeczki Czarnej, wpadającej do Wisły. Kapitan zapewniał, że w tym miejscu zarośla i wikliny schodzą niemal do samej wody, a w pobliżu jest mały zagajnik, w którym można ukryć pojazdy. Wyjazd z Krakowa miał nastąpić za kilka dni, pod warunkiem że Nina będzie zdolna do odbycia tak męczącej podróży. Rozmyślając o tym, zżymała się na siebie i z pasją cisnęła lustro w nogi łóżka.

Zdziwiła się, słysząc głośną rozmowę w korytarzu, a po chwili w uchylonych drzwiach stanęła Jaga. Zauważywszy, że Nina nie śpi, weszła z

szelestem obfitych spódnic.

– Myślałam, że drzemiesz. Masz gościa, przyjechał pan Orlewicz – oznajmiła oschle.

Nina najpierw się zarumieniła, ale zaraz śmiertelnie zbladła, wyobraziwszy sobie, że leśniczy przynosi jej złą wiadomość.

– Niech niania zaraz tu pana prosi! – poleciła, podciągając kołdrę pod szyję.

– Chcesz obcego mężczyznę przyjmować w sypialni? – zgorszyła się Jaga. – To nieprzyzwoite. Nigdy na to nie pozwolę!

– Jak więc, twoim zdaniem, mam z nim rozmawiać? Telepatycznie? – zirytowała się Nina.

– Uchylę drzwi i wtedy posłyszysz, co pan Orlewicz ma ci do powiedzenia – oświadczyła nieustępliwie Jaga, będąca równie uparta, jak jej wychowanka.

– Mam z nim rozmawiać o transporcie amunicji przy otwartych drzwiach i oknach? To może lepiej wezwij carskich agentów, niechże i oni sobie posłuchają!

– Nina, zastanów się, jesteś rozebrana, leżysz w łóżku. To nie uchodzi! – upierała się.

– Nianiu, poproś tu pana Orlewicza, bo inaczej szlag mnie w tym łóżku trafi! – wrzasnęła, wyprowadzona z równowagi. – Rób, co mówię, niech diabli porwą salonowe głupoty! Czekam!

Jaga posłała jej spojrzenie wyrażające milczący sprzeciw i zapowiadające dalszą niełaskę. Zdruzgotawszy wychowankę wzrokiem, odwróciła się i wyszła. Zamiast jednak wprowadzić gościa, powiedziała coś do niego i po chwili wróciła do sypialni. Wyjęła z komody świeżą pościel, a dla Niny piękną jedwabną matinkę¹⁰, obszytą drogimi koronkami i łabędzim puszkim. Przetrzepała poduszki i podniosła je tak wysoko, że Nina siedziała aż po podbródek zasłonięta kołdrą. Dopiero wtedy Jaga zdecydowała, że można gościa zaprosić do pokoju.

Orlewicz od progu ogarnął Ninę spojrzeniem pełnym uwielbienia i zachwytu. Nigdy nie wydawała mu się tak piękna. Jej drobna twarzyczka w oprawie brunatnych warkoczy zdawała się niemal dziecinna i tak prześliczna, jak jakieś wyrafinowane dzieło genialnego artysty.

– Na Boga, panie Stanisławie, czy stało się coś złego? – zapytała jednym tchem, wkładając w to pytanie cały miotający ją lęk.

– Proszę się uspokoić. Przybyłem do Krakowa, bo pan naczelnik ogromnie niepokoi się brakiem wiadomości od pani hrabiny – odpowiedział i usiadł na wskazanym krześle, stojącym w pewnym oddaleniu od łóżka.

Odetchnęła i natychmiast przybrała minę cierpiącego anioła, przypomniawszy sobie, że młody mężczyzna jest w niej zakochany. Jego spojrzenia były aż nadto wymowne. Pomyślała, że przyjemnie znowu być piękną i adorowaną. Posłała mu lekki uśmiech, unosząc kąciki ust. Wiedziała, że przy tym na jej policzkach tworzą się dwa urocze dołeczki, zdolne usidlić nawet stuletniego staruszka, pod warunkiem że coś jeszcze będzie widział.

– To znaczy, że moje depesze nie dotarły do Makowa? – zmartwiła się, wyciągając do niego śnieżnobiałą rączkę, którą Orlewicz z namaszczeniem ucałował. – Więc mąż nic nie wie, że urodziła mu się córka?

Miała szaloną ochotę wypróbować na nim siłę swoich wdzięków, ale rzuciwszy okiem za siebie, opadła na poduszki i mina jej zrzędła. U wezglowia łóżka stała Jaga, niczym westalka strzegąca świętego ognia, i obserwowała ich z nieprzeniknioną miną. Niania również pamiętała, że Orlewicz niegdyś starał się o rękę Niny. Młody mężczyzna z trudem usiłował ukryć swoje uczucia, oblewając się panińskim rumieńcem i starając się nie patrzeć na obiekt swej miłości.

– Raczy pani hrabina przyjąć moje gratulacje – bąknął, próbując zebrać myśli i powiedzieć coś sensownego. – Wiem, że przed moim wyjazdem z obozu nie dotarła tam żadna wiadomość z Krakowa. Pan naczelnik był tym ogromnie zaniepokojony. Tym większa będzie jego radość, kiedy dowie się, że został ojcem.

Nina momentalnie zapomniała o zalotności i przybrała wyraz głębokiego smutku.

– To nie będzie wesoła nowina, bo nasz nowo narodzony synek oddał ducha Bogu. Po tak ciężkiej stracie urodzenie córki nie stanowi dla mnie żadnej pociechy. – Sięgnęła pod poduszkę, wyciągnęła spod niej chusteczkę i otarła wilgotne oczy.

Jaga chrząknęła groźnie i już zamierzała zrobić jakąś uwagę, lecz Nina ją uprzedziła:

– Nianiusiu, pan Orlewicz z drogi – powiedziała słodziutko. – Może zechcesz zadysponować kucharce, by podano herbatę i jakąś przekąskę?

Jaga zacisnęła usta i mruknąwszy coś pod nosem, wyszła z sypialni z miną niewróżącą nic dobrego. Żeby wyładować przepełniającą ją złość, z całej siły trzasnęła drzwiami. No po prostu nie mogła sobie tego odmówić! Nina wzniosła oczy ku niebu, wysłuchawszy hałasu z anielską pokorą, jakby chciała powiedzieć: „Boże, daj mi cierpliwość!”. Westchnęła i zadała kolejne pytanie:

– Czy karabiny dotarły do obozu?

– Tak, są już na miejscu. Mamy na razie spokój, bo Moskale uganiają się za panem pułkownikiem Czachowskim, który ostatnio napsuł im mnóstwo krwi. Pan naczelnik był tak zaniepokojony brakiem wiadomości od pani, że sam zamierzał wybrać się do Krakowa, ale w porę ja się zjawiłem na Łysej Polanie, bo jadę z Warszawy do Lwowa. Pan naczelnik skorzystał ze sposobności i zobowiązał mnie, abym dowiedział się, co się z panią dzieje.

– Ach tak...

Nina spod rzęs przypatrywała się swemu wielbicielowi. Orlewicz bardzo zmęśniał. Rysy miał ściągnięte zmęczeniem i twarz pociemniałą od trudu. Zapuścił wąsy i wyglądałby bardzo marsowo, gdyby nie wyraz smutku w marzących oczach. Otrząsnąwszy się z chłopięcego zawstydzienia, jął opowiadać jej o powstańczym życiu w leśnym obozie. Nina słuchała go jednym uchem, zajęta inną myślą.

– Jak długo zatrzyma się pan w Krakowie? – przerwała mu w pół słowa.

– Tylko na jeden dzień. Jutro już muszę jechać do Lwowa.

– Dam panu list do męża. Może go pan oddać kurierowi jadącemu do Porajów. Panna Lasewiczówna postara się doręczyć list mężowi. Przekonałam się, że teraz nie można ufać poczcie, bo korespondencja nie dochodzi do rąk adresata.

– Pani hrabinie zależy na pośpiechu, prawda? – Orlewicz się ożywił i nieznacznie przysunął krzesło do łóżka. – W takim razie dam list kurierowi jadącemu do naszego leśnego obozu. Pojutrze pan naczelnik list otrzyma. Ach, przecież pani hrabina nie wie o ostatnim sukcesie pana naczelnika! Przed tygodniem udało mu się rozbić konwój moskiewski. Zdobyto trochę broni palnej oraz kilka tysięcy rubli.

– Wielki Boże! – krzyknęła Nina, nie zauważywszy, że kołdra zsunęła się nisko, odsłaniając jej piersi, doskonale widoczne poprzez cienki batyst koszuli i koronki matynki. – Atakowali, nie mając broni palnej?

– Mieli trochę karabinów, ale to głównie kosynierzy rozstrzygnęli walkę, rozprawiając się z eskortą konwoju – powiedział, zmuszając się do spuszczenia oczu i walcząc z chęcią wpatrywania się w obraz, który odsłoniła kołdra.

Nina zbladła i miała ochotę zerwać się z łóżka, ubrać i popędzić do Makowa, choćby po śmierć.

– Mąż nie dał panu dla mnie listu?

Skrzywił się i z ubolewaniem potrząsnął głową.

– Przepraszam, oczywiście, że mam list, ale zagadałem się i zapomniałem oddać go pani.

List Aleksa był krótki i pełen rozpaczliwego niepokoju:

Jedyna moja!

Nie dajesz znaku życia i sam już nie wiem, co mam o tym myśleć. Przekląłem chwilę, kiedy wyraziłem zgodę na Twój wyjazd. Staram się nie dopuszczać do siebie myśli, że coś Ci się przytrafiło. Promyczku mój słodki, czy jesteś zdrowa? Drzę, wyobrażając sobie, w jakich okolicznościach podróżowałaś przez tereny, które po upadku Langiewicza zamieniły się w istne piekło. Czy szczęśliwie dotarłaś do Krakowa? Dlaczego nie depešujesz, jak się uprzednio umówiliśmy? Jak się czujesz i co powiedział Ci profesor?

Nie tylko ja zamartwiam się o Ciebie, bo Janek i Tadeusz codziennie przychodzą do mego szatasa i patrzą na mnie pytająco. Denerwują się i klną, gotowi jechać do Galicji, gdy tylko im zezwolę. Matka chrzestna aż się pochorowała ze zmartwienia, a kochane panie z Makowa i Sarnik pocieszają mnie, mając nadzieję, że lada chwila dostaniemy od Ciebie wiadomość.

Błagam Cię, natychmiast daj mi znać przez pana Orlewicza, jak się czujesz. A może jesteś chora? Umieram z niepokoju i tęsknoty i z zamierającym sercem oczekuję od Ciebie wiadomości! Oby tylko były pomyślne.

Kocham Cię, Nino.

A.

Na drugiej stronie jego listu były dopiski Jasia i Tadeusza. Obaj przesyłali jej ucałowania od cioci Salusi, Emilki i Zosi oraz wszystkich przyjaciół.

Starannie złożyła list i wsunęła go do szufladki nocnego stolika. Ponownie sięgnęła po chusteczkę, udając, że sięka nos. Nie chciała, by Orlewicz widział, że płacze. Ale on odwrócił głowę, wpatrując się w kwitnącą jabłoń widoczną za oknem. Dopiero kiedy odchrząknęła, spojrzał na nią.

– Jednego nie rozumiem, panie Orlewicz... – Nina rzuciła mu badawcze spojrzenie. – Przecież braciszek, dotarłszy do obozu, musiał powiedzieć mężowi, że bezpiecznie dotarłam do Krakowa. Tymczasem mąż pisze mi, że nie wie, czy zdołałam dojechać do Galicji. Jak mam to rozumieć?

– Bardzo prosto. Braciszek miał jeszcze inne zadanie, ważne, zlecone mu w Krakowie. Musiał je wykonać i w leśnym obozie wcale nie był, pozostawiając wiadomość u proboszcza, że broń jest złożona w wiadomym miejscu.

– Rozumiem... – szepnęła zdenerwowana, bo list męża wzniecił w jej sercu burzę uczuć.

– Ale tym razem – dodał Orlewicz – postaram się, żeby pan naczelnik nie czekał długo na wiadomość od pani. Wprawdzie nasi mają już broń palną, ale ciągle brakuje im amunicji do rewolwerów.

Pomiędzy ciemnymi brwiami Niny pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Z tym mamy niejakie trudności. Proponowano nam kupno naboju innego kalibru. Na szczęście amunicja jest już w drodze. To zaledwie kwestia kilku dni.

Orlewicz rozpogodził się i znowu nieznacznie przysunął krzesło do łóżka.

– To świetnie! Sprawa jest tak pilna dla pana naczelnika, że postanowił sam eskortować transport od granicy aż do obozu.

– Wykluczone! – krzyknęła Nina, podskakując z wrażenia na łóżku. – Przecież to szalenie niebezpieczne! Słyszałam, że kozacy i dragoni znowu patrolują cały teren przygraniczny.

– Właśnie dlatego pan naczelnik zdecydował się osobiście dopilnować, żeby amunicja bezpiecznie trafiła do naszych rąk. Specjalny kurier będzie czekał na informację o wyruszeniu transportu z Krakowa. Do pani należy tylko podać datę wyjazdu o kilka dni wcześniej, żeby pan naczelnik zdążył dotrzeć do granicy.

Nina była tak wzburzona, że o mało głośno nie zaklęła. Jej poświęcenie i daleka droga, którą odbyła, okazały się zupełnie niepotrzebne. Braciszek nadzorował transport broni, a sam Aleks mógł ją transportować od granicy do obozu. Skutkiem tej uciążliwej dla niej podróży był przedwczesny poród

i śmierć synka. Choroba o mało nie wyprawiała jej na tamten świat i przyczyniła obcym ludziom wiele kłopotu. Ale nikt nie mógł z góry przewidzieć takiego rozwoju sytuacji.

Orlewicz milczał, nie ośmieliwszy się przerywać jej zamyślenia. Dopiero kiedy podniosła na niego oczy, pełne niepokoju, przemówił ściszonego tonem:

– Pan naczelnik prosił, aby pani hrabina zechciała powiadomić go, ile pozostało pani pieniędzy po opłaceniu wszelkich należności.

– Po co mu taka wiadomość? – Wzruszyła ramionami, wpatrując się w niego ze zdumieniem.

– Pan naczelnik życzy sobie, żeby pani hrabina po szczęśliwym rozwiązaniu udała się z dzieckiem do Francji i przebywała tam aż do zakończenia powstania – wyjaśnił uprzejmie Orlewicz.

Nina zakrztusiła się ze złości.

– Mąż życzy sobie, żebym nie wracała do domu? – Przy tych słowach jej głos nieznacznie się załamał. – Ale nic mi o tym nie pisze.

– Powtarzam, co mi powiedział przed moim wyjazdem. Stanowczo na to nalegał.

Teraz już było dla niej zupełnie jasne, dlaczego Aleks tak łatwo zgodził się na jej podróż do Krakowa. Tutaj mogła wsiąść po prostu do pociągu i bez żadnych trudności dojechać do samych granic Francji. Troszczył się, żeby starczyło jej pieniędzy na drogę i pobyt za granicą. „O, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo!” – pomyślała, pochyliwszy nisko głowę. Nie zamierzała zdradzić się przed Orlewiczem, że wkrótce zamierza powrócić do kraju.

– Hm... Na razie jestem chora i o żadnej podróży nie może być mowy – oświadczyła, robiąc zboląłą minę.

Rozmowę przerwało im wejście Jagi, za którą służąca niosła na tacy herbatę, kanapki i ciasta. Niania dopilnowała, żeby dziewczyna nakryła stolik, ustawiła na nim talerzyki i filiżankę oraz dzbanek z herbatą.

– Czy podać coś jeszcze? – Jaga zwróciła się do Niny oficjalnym tonem, jakim przemawiała jedynie wówczas, kiedy w jej mniemaniu wychowanka popełniła niewybaczalny grzech.

– Nie, dziękuję. To wszystko – odpowiedziała równie oficjalnie, przekonana, że niania nie oprze się chęci podsłuchiwania pod drzwiami i przez cały dzień będzie się na nią dąsać.

Jaga obrzuciła ją szybkim spojrzeniem i błyskawicznie podciągnęła kołdrę po sam nos wychowanki. Potem z godnością wymaszerowała z pokoju, pozostawiając uchylone drzwi.

Orlewicz posilał się, w przerwach opowiadając Ninie o życiu w leśnym obozie.

– W porównaniu z innymi oddziałami nasi chłopcy żyją sobie jak paniska! Mają co jeść i nie kapie im za kołnierz. Wiosna nadchodzi ciepła i sucha, więc wszyscy rwą się do walki. Ale pan naczelnik powiada, że bez amunicji niewiele się nawojują, tylko ściągną na siebie uwagę Moskali. Tymczasem pan pułkownik Czachowski rozbił pod Stefankowem¹¹ duży oddział nieprzyjaciela. Pan naczelnik zaklął ze złości i powiedział, że jak dalej tak pójdzie, to dla niego pozostaną same ogryzki!

Nina oblała się rumieńcem wstydu. „To przeze mnie” – ta myśl tak ją rozdrażniła, że zasłoniła twarz chusteczką i rozpłakała się z bezsilnej wściekłości na siebie. Orlewicz spojrział na nią z przerażeniem.

– Pani hrabino, jakże tak można? – Zerwał się z krzesła i przyklęknął przy łóżku, ujmując jej rękę. – Boże, pewnie powiedziałem jakieś głupstwo. Najmocniej przepraszam!

Poczuła na dłoni jego gorące usta. Kilka razy podniósł jej rękę i ucałował. Obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem i wolno cofnęła dłoń. Speszył się swoim zuchwalstwem i usiadł na krześle.

– To może ja zostanę w Krakowie i sam dopilnuję wszystkiego? – zaproponował. – Dokumenty powiezie do Lwowa inny kurier... – Urwał i z zapartym tchem czekał na jej odpowiedź.

Jego propozycja wcale nie spodobała się Ninie. „Do licha, on gotów zepsuć mi cały plan!” – pomyślała z gniewem.

– Nie. Proszę nawet o tym nie myśleć. Wszystkim zajmie się pan kapitan Piotrowski – oznajmiła lodowatym tonem. – W Krakowie roi się od moskiewskich agentów. Jeżeli mąż osobiście wybiera się do granicy, to proszę mnie pouczyć, jak mam zawiadomić kuriera. Muszę mu powiedzieć, w którym miejscu transport przekroczy granicę.

– Oczywiście – przyznał Orlewicz. Był doświadczonego konspiratorem i nie upierał się przy swoim zdaniu. – Kurier będzie czekał codziennie w kościele franciszkanów, przy kaplicy błogosławionej Salomei. To wysoki mężczyzna z długą blizną przez prawy policzek. Powie mu pani: „Już

świta”, na co odpowie: „Z Bożą pomocą”. Aha, będzie czekał między godziną dziesiątą a jedenastą. Proszę zapamiętać.

– Nie zapomnę. – Nina skinęła głową i uśmiechnęła się uszczęśliwiona, że sprawa ruszy z miejsca.

Orlewicz z widocznym żalem spojrział na zegar.

– Zasiedziałem się. Muszę poszukać sobie jakiegoś lokum, bo przyszedłem tu wprost z drogi. – Z ociąganiem wstał z krzesła.

– Proszę nie korzystać z hotelu – ostrzegła Nina. – Ulokujemy pana w oficynie.

– Nie chciałbym nadużywać uprzejmości pani hrabiny – rzekł z wahaniem. – Zazwyczaj zatrzymujemy się w hotelu Saskim, który jest zupełnie pewny, ale obawiam się, że nie znajdę tam miejsca, bo po aresztowaniu generała Langiewicza zjechało z Warszawy mnóstwo ważnych figur.

Do sypialni weszła Jaga, nawet nie racząc zapukać, i zebrała na tacę naczynia. Zwykle robiła to służąca. Niania miała zimną i wyniosłą twarz i Nina obawiała się, że będzie dziś z nią miała ciężką przeprawę. Pomimo to zrobiła dobrą minę do złej gry.

– Nianiu, bądź łaskawa i zaprowadź pana Orlewicza do pana Piotrowskiego. Powiedz mu, że proszę, aby zechciał udzielić panu gościny na jedną noc.

Jaga mruknęła coś pod nosem, nie zamierzając nawet obdarzyć jej spojrzeniem.

– Czy mógłbym zobaczyć córeczkę pani hrabiny? – spytał nieśmiało Orlewicz, zatrzymując się w progu.

Nina ściągnęła brwi. Nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek oglądał małą. Była zbyt brzydka, aby się nią chwalić.

– To niemożliwe – powiedziała, przywołując na usta nieszczerze skrzywienie imitujące uśmiech. – Dziecko jest wcześniakiem i z polecenia lekarza opiekuje się nią tylko mamka. Nawet ja jej nie widuję.

– Bardzo żałuję, bo miałem nadzieję, że opowiem o niej panu naczelnikowi. – Orlewicz skłonił się i wyszedł.

Nina natychmiast zabrała się do pisania długiego listu do męża, opisując swoją pechową podróż, straszliwy poród i śmierć synka. Parę razy przerywała, żeby otrzeć z oczu łzy, ale i tak spadały na papier, rozlewając się w ciemne smugi. Pomyślała, że powinna list przepisać, ale zaraz

zmieniła zdanie. Mąż powinien wiedzieć, jak bardzo jest jej ciężko. Zanim skończyła, do sypialni weszła Jaga. Bez słowa podeszła do łóżka i stanąwszy w nogach, wpatrywała się w wychowankę oskarżycielskim wzrokiem. Przez jakiś czas Nina udawała, że tego nie widzi, ale po chwili spojrzenie niani zaczęło działać jej na nerwy. Ręka jej zadrżała, zrobiła duży kleks i przerwała pisanie.

– Stoisz nade mną jak ten kat nad grzeszną duszą! – zawołała ze złością. – Czym znowu zasłużyłam na twoją niełaskę?

– Przeszkadzam ci? Niedawno prosiłaś, żebym przy tobie siedziała.

– Owszem, ale widzisz przecież, że teraz piszę list.

– Napiszesz mężowi, jak traktujesz jego dziecko? – Jaga wzięła się pod boki, patrząc na nią z góry. – Wstydzisz się własnej córki, bo jest nieładna? Ja również nie grzeszę urodą i może przyjdzie czas, że i mnie będziesz się wstydziła. Stara, zrzedliwa niania nada się tylko do lamusa.

– Jezus Maria! – Nina chwyciła się za serce. – Czego ty ode mnie chcesz? Wyobrażasz sobie, że nurzam się w rozpuście, bo rozmawiam z Orlewiczem w cztery oczy? Bóg mi świadkiem, że nie w głowie mi romanse. Rozmawialiśmy o śmiertelnie poważnych sprawach. Masz mi za złe, że nie pochwaliłam się córką? A jest się czym chwalić? Mała jest szkaradna i nic na to nie poradzę. A Orlewicz ma długi język. Kiedy pani wojewodzina oraz ciotka Maria wezmą go w obroty, wypapla wszystko. Wyobraź sobie, jakie będą miały używanie! Już słyszę wojewodzinę, jak ubolewa: „Biedny Oleś, dla niej popełnił mezalians, a ona nawet nie potrafiła urodzić mu ładnej córki! A synek był martwy”. Nie rozumiesz tego?

– Nie, nie rozumiem! Jeszcze nigdy nie spotkałam matki, która wstydziłaby się własnego dziecka. Ty także po urodzeniu nie byłaś piękną, czerwona jak rak, pomarszczona i wrzeszcząca jak opętana. Ale rodzice byli tobą zachwyceni!

– Ale ja byłam normalnym brzydkim dzieckiem! – Głos Niny podniósł się niebezpiecznie do najwyższej skali. – Nianiu, ty jesteś ślepa? Nie widzisz, że wydałam na świat potworka?

– Milcz! – Jaga tupnęła i spiorunowała ją wzrokiem. – W życiu nie spotkałam podobnej idiotki. To jest normalne dziecko, tyle że za wcześnie się urodziła. Podrośnie i będzie taka, jak inne dzieci.

– Chciałabym w to wierzyć – mruknęła zawzięcie Nina. – Poza tym to dziewczynka, a Alek pragnął syna. – Głęboko wciągnęła powietrze i szepnęła zdławionym głosem: – I był chłopiec, ale go śmierć zabrała.

Jaga popatrzyła na nią z politowaniem.

– A gdyby ten chłopiec był równie brzydki, jak twoja córka, to też nie chciałabyś go znać?

– Nieprawda! Mój Oleś z pewnością był śliczny! – powiedziała Nina z przekonaniem.

Jaga tylko w milczeniu pokręciła głową. Nie miała serca, by jej powiedzieć, że chłopiec był jeszcze brzydszy od dziewczynki. Tak brzydki, że szybko ukryła jego maleńkie ciało, by zaoszczędzić Ninie okropnego wstrząsu.

– Masz rację, był bardzo ładny... – Głos Jagi ścichł, stłumiony wzruszeniem. – Ale ja nie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że nie wracam z tobą do Makowa. Jadę razem z Binią i dzieckiem do Świerszczyn.

Nina wstrzymała oddech, a w jej oczach odmalował się strach i niedowierzanie. Pewna była, że się przesłyszała.

– Co ty mówisz? – wyjąkała z krzywym uśmiechem. – Niemożliwe, nie możesz mnie opuścić...

– Mówię zupełnie poważnie. Wracam w swoje strony. Nie zostawię tej biednej kruszynki samej. Ona ma tylko mnie. – Jaga oświadczyła to twardym, zdecydowanym głosem.

Nina wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek Jaga zechce ją opuścić. Wszyscy, ale nie ona! Nie, tak tylko mówi... Mężnie przełknęła łzy i opanowała rozdygotane nerwy.

– Dlaczego chcesz mnie zostawić? To wcale nie ma sensu. Nie powinnaś być taka zawzięta. Dziecko nie jest samo. Ma własną mamkę, a przede wszystkim Binię, która się nim zachwyca. Ja się nie zgadzam... Nie pozwalam ci! – Poderwała się z łóżka, ale zaraz opadła na nie bezsilnie.

Boże, czy to możliwe, że powróci do domu sama, bez niani? Prawdopodobnie nie zobaczy jej nigdy więcej. Ta myśl przejęła ją nagłą rozpaczą. Czuła, że coś ściska jej serce i że cała się trzęsie z przerażenia. Wszyscy mogli ją opuścić, nawet Aleks, może jakoś by to przeżyła, ale nigdy nie niania. Nie potrafiła wyobrazić sobie rozstania...

– Nie pojedziesz! – wrzasnęła z rodząca się furia, waląc pięścią w materac.

Jaga obojętnie wzruszyła ramionami.

– Krzykiem mnie nie zatrzymasz, więc nie podnoś na mnie głosu. Podjęłam decyzję i jej nie zmienię. Dziecko mnie potrzebuje.

– To ja jestem twoim dzieckiem i mnie jesteś potrzebna! – zaczęła krzyczeć Nina, już cała czerwona z gniewu i rozpacz. – Nie dam ci na drogę pieniędzy!

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy – odpowiedziała spokojnie Jaga. – Mam przy sobie tysiąc rubli w złocie. Wystarczą mi do końca życia. A tobie nie jestem już potrzebna. Dorosłaś, stałaś się wielką panią i coraz bardziej przypominasz mi ciotkę Marię. Podobnie jak ona jesteś uparta i nieznośna. Zawsze musisz mieć rację. Stara już jestem i nie mam ochoty znosić twoich kaprysów. Nie próbuj więcej mnie przekonywać. Wyjeżdżam!

Nina wydała żałosny jęk i schowała głowę pod kołdrę. Zawsze tak robiła, kiedy ktoś ją skrzywdził lub gdy czegoś bardzo się obawiała. Zaczęła płakać, najpierw po cichu, pociągając nosem, potem coraz głośniej i spazmatycznie. Jaga słuchała tych łkań ze zmienioną twarzą. Westchnęła ciężko i w milczeniu wyszła z sypialni.

[09](#) przestarz. prześladować kogoś, dręczyć, dokuczać

[10](#) Strojny kaftanik nakładany na nocną koszulę.

[11](#) 22.04.1863 roku oddział pułkownika Czachowskiego w sile 180 strzelców i 200 kosynierów rozbił 2 kompanie piechoty nieprzyjacielskiej i 60 kozaków (tu dla celów powieściowych cofnęłam ją nieco w czasie).

Pomimo stanowczych protestów profesora Nina z niezłomnym uporem zaczęła wstawać z łóżka. Z pomocą Bini i Miry ponownie uczyła się chodzić, nie zważając na osłabienie. Przed wyjazdem odbył się chrzest dziewczynki w katedrze wawelskiej. Chrzestnymi rodzicami małej zostali pan Piotrowski, Binia oraz panna Lutówna i Maciek, ponieważ Nina życzyła sobie, żeby jej córka miała ojca chrzestnego chłopca-powstańca. Z radością uświadomiła sobie, że jej dziecko nie jest poddanką cara i urodziło się w wolnym mieście. Binia, pragnąc zostać z Niną jak najdłużej, postanowiła wyjechać z Krakowa tego samego dnia, co ona. Dziecko nadal było bardzo słabe i Binia obawiała się dla niego długiej podróży koleją. Jednak było to lepsze rozwiązanie niż uciążliwa i niebezpieczna droga kareta wioząca amunicję. Nina spisała u notariusza testament i wręczyła siostrze woreczek z klejnotami wojewodziny i niebagatelną sumką w złotych rublach. Dała jej również pełnomocnictwo do banków francuskich, na wypadek, gdyby oboje z Alekssem nie przeżyli powstania. Binia wzbraniała się wziąć od niej pieniądze, tłumacząc, że ich nie potrzebuje, a mała będzie miała w Świerszczynach wszystko, czego zapragnie, ale Nina przemocą wcisnęła jej do ręki sakiewkę.

– Ja wiem, ty jesteś aniołem, ale Edwardowi może się nie spodobać utrzymywanie cudzego dziecka. Być może ja i Alek nie dożyjemy końca tej masakry, więc mała na zawsze pozostanie u ciebie. Będzie dziedziczką wielkiego majątku i kapitałów w bankach. W testamencie zaznaczyłam, że do chwili jej pełnoletności jesteś jej jedyną prawną opiekunką. Nie rozpieszczaj jej zanadto. Ma być wychowana praktycznie i rozsądnie.

Binia spojrzała na nią z wyrzutem.

– Chyba żartujesz? Mam być dla niej taka, jak moja matka wobec ciebie?

Zakłopotana Nina uśmiechnęła się i pogładziła ją po ramieniu.

– Przepraszam. Przecież wiem, że u ciebie będzie jej jak w rajku. Ty potrafisz obdarzyć ją miłością matczyną, na którą ja nie umiem się zdobyć.

– Przestała się uśmiechać, a jej oczy zamglily się smutkiem.

Jedynie Bini zwierzała się ze swoich zmartwień i obaw. Miłość i łagodność siostry miały na nią dobroczynny wpływ. Mogła się szczerze wyżalić, wiedząc, że zawsze znajdzie zrozumienie.

W miarę jak zbliżał się dzień wyjazdu, stawała się coraz bardziej zdenerwowana i zrozpaczona decyzją Jagi. Niania niewzruszenie trwała przy swoim postanowieniu zamieszkania w Świerszczynach. Wszystkie

prośby i błagania Niny zbywała, nie chcąc jej nawet słuchać, i odchodziła, pozostawiając ją w desperacji. W głębi serca Nina czuła do niej wielki żal i urazę. Podejrzewała, że Jaga musiała się bardzo zmienić, pozostawiając ją tak obojętnie własnemu losowi. Przecież zdawała sobie chyba sprawę, jak śmiertelnie niebezpieczna droga wkrótce ją czeka.

Z kolei Jaga, kochając Ninę matczyną miłością, współczuła jej i żałowała z całego serca. Nie sypiała po nocach, wyobrażając sobie z dreszczem zgrozy tę straszną drogę, którą Nina miała do przebycia wówczas, kiedy jej już przy niej nie będzie. Ale pokochała także biedną dziewczynkę, tym bardziej że rodzona matka nie darzyła jej uczuciem. Postanowiła resztę swego życia poświęcić małej, nie uświadamiając sobie, że jej decyzja powzięta została pod wpływem emocji.

Przed wyjazdem panie załatwiały ostatnie sprawunki. Nina nie zapomniła o nikim. Wiedziała, że podczas jej choroby chłopcy przychodzili pod drzwi jej sypialni, przynosząc pierwsze wiosenne kwiaty. Za własne pieniądze trzej stangreci zakupili mszę na intencję jej wyzdrowienia. Te drobne dowody przywiązania Nina zachowała we wdzięcznej pamięci, rewanżując się prezentami. Wszyscy trzej otrzymali od niej zrobione na zamówienie wysokie lśniące buty i nowe czamary z dobrego sukna, szamerowane jedwabnymi sznurami. Stach dostał pieniądze i sam kupił sobie prezent: porządny płaszcz podbity futrem i materiały na suknię dla żony i dzieci. Tomek na własne życzenie wybrał w księgarni kilka książek z poezją Mickiewicza, Ujejskiego i Słowackiego. Maciek otrzymał od niej dodatkowo piękny sztylet z rękojeścią wysadzaną opalami, z którym się odtąd nie rozstawał.

Ostatnie dni pobytu chłopcy spędzali na zwiedzaniu miasta. Panna Lutówna, nie wychodząc z roli nauczycielki, oprowadzała ich po Krakowie, pokazując najciekawsze zabytki i opowiadając o wspaniałej historii królestwa polskiego. Tylko Stach stanowczo odmówił chodzenia.

– Chłopaki niech ta se idą – oświadczył Mirze. – Ja wolę sobie usiąść na słoneczku, kości wygrzać i fajkę zapalić. Wielkie mi mecyje, Kraków! Widziałem już Moskwę, Petersburg, Paryż i insze inszości.

Pan Piotrowski zakończył pertraktacje w sprawie kupna amunicji oraz jej odbioru z magazynu. Jeszcze tego samego dnia z Krakowa wyruszył kurier, wioząc Aleksowi wiadomość. Kapitan obliczył, że zdąży on z pewnością zawiadomić naczelnika, zanim Nina wyjedzie, podążając ku granicy.

W przeddzień podróży przyszedł profesor, raz jeszcze zbadać swoją pacjentkę. Konsultacja trwała tak długo, że stojąca pod drzwiami Binia niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę i odmawiała pacierze. Kiedy lekarz nareszcie wyszedł, poprosiła go o chwilę rozmowy.

– Jak pan profesor znajduje moją siostrę? – zagadnęła, siadając w saloniku i wskazując mu fotel.

Rzucił jej przenikliwe spojrzenie spod nastrzępionych brwi.

– Czy mogę być z panią zupełnie szczery?

– Oczywiście. Nie jestem histeryczką.

– Zauważyłem to i polegam na pani dyskrecji. Ile lat liczy sobie pani hrabina?

– W czerwcu skończy osiemnaście.

– Aha... – mruknął. – To prawie dziecko. Uważam, że miała niebywałe szczęście, przeżywszy ten poród. Dzieci były źle ułożone w łonie, na domiar złego nastąpił krwotok. Wyznaję, że nie miałem nadziei na uratowanie jej życia. Okropnie cierpiała i straciła synka. Odniosłem wrażenie, że jego śmierć była dla pani hrabiny ciężkim ciosem.

– Bardzo to przeżywa – przyznała Binia. – Oboje z mężem oczekiwali chłopca. Na szczęście Nina jest młoda, szybko wróci do zdrowia i może mieć jeszcze dzieci.

– Hm... – bąknął lekarz z powątpiewaniem.

Jego zachowanie nie spodobało się Bini. Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Mam wrażenie, że jest jeszcze coś, o czym pan profesor nie wspomniał.

Milczał, wpatrując się w dywan.

– Panie profesorze... – wyszeptała przejęta lękiem.

– Przykro mi, ale pani hrabina już nigdy nie zostanie matką – rzekł półgłosem, nie patrząc w jej stronę. Z uwagą przypatrywał się swoim wielkim dłoniom, nie podnosząc głowy. – Wprawdzie na razie pani hrabina nie przejawia uczuć macierzyńskich, ale to minie z wiekiem, a wtedy... możecie państwo być świadkami dramatu.

Binia odchyliła głowę, wsparła ją o zagłówek fotela i splótła kurczowo palce rąk. Na czoło wystąpiły jej drobne kropelki potu.

– Czy pani źle się czuje? – Profesor pochylił się. Jego głos napływał jakby z oddali.

– Nic mi nie jest, przepraszam. – Odetchnęła głęboko i uniosła powieki. – Czy Nina wie o tym?

– Obowiązkiem lekarza jest chronić pacjenta przed wstrząsami. Ja jej tego nie powiem.

– Dziękuję. Pan profesor jest pewien swego rozpoznania?

– Absolutnie. Nie mogę w ogóle pojąć, jak zdołała zajść w ciążę. – Profesor wstał i złożył Bini sztywny ukłon. Potem wziął położony na krześle cylinder i wyszedł.

Siedziała, nie mogąc otrząsnąć się z poczucia klęski. Wyrok wydany na Ninę tak spokojnie i beznamiętnie ogłuszył ją jak cios w splot słoneczny. Lepiej знаła charakter Niny niż ona sama. Na razie była jeszcze przerażona męką porodową i przygnębiona zgonem synka, ale Binia kobiecym instynktem przewidywała, że z czasem pamięć o cierpieniach zblednie i rozwieje się, a Nina z miłości do męża znowu zapragnie dać mu syna. Wyobrażając to sobie, Binia przestała nad sobą panować i rozplakała się, nie mogąc pogodzić się z tak jawną niesprawiedliwością losu. Okrutna śmierć zabrała małego Olesia, pozostawiając Ninie niechcianą dziewczynkę. Niespodziewanie zatęskniła za swoimi chłopcami. Nawet myśl o karesach męża nie była dla niej hamulcem przed powrotem do domu.

Westchnęła, otarła łzy i wolno podniosła się z fotela. Weszła po drewnianych schodach na piętro. W małym pokoiku Jaga pakowała swój kufer przed jutrzejszą podróżą. Binia wkroczyła do środka, szczerze zamykając drzwi.

– Rozalki nie ma? – spytała, rozglądając się.

– Siedzi z malutką w sadzie. Słonko grzeje i nie ma obawy, że dziecko się przeziębii. – Jaga popatrzyła bacznie na Binię, zauważywszy, że jest ona czymś bardzo zmartwiona. Była blada i miała zaczerwienione oczy.

– To dobrze. – Usiadła na dużym kufrze, nie spuszczać z niani swoich niebieskich oczu. – Proszę mi obiecać, że ta rozmowa pozostanie na zawsze między nami.

– Przyrzekam. – Na twarzy Jagi odmalował się nagły niepokój.

– Dziękuję. – Binia odetchnęła swobodniej i gestem zaprosiła Jagę, aby usiadła przy niej. Chrząknęła i zaczęła niepewnym głosem: – Niania wychowała Ninę i mnie, okazując mi więcej serca niż rodzona matka. Bardzo się ucieszyłam, kiedy niania zdecydowała, że pojedzie ze mną do Świerszczyn. Kto ma nianię w domu, ten ma skarb... – Binia zamilkła i nerwowo zaczęła kręcić w palcach guzik przy staniku sukni.

– Dziecko, mów ze mną otwarcie, ja zrozumieję – powiedziała cicho.

Nie wiedziała, jak ma zacząć. Obawiała się, żeby nie być źle zrozumianą. Jaga mogła pomyśleć, że ona nie chce jej zabrać do Świerszczyn.

– Śmierć Olesia była dla Ninki ciężkim przeżyciem – zaczęła okrężną drogą. – A rozstanie z nianią do reszty złamie jej serce.

– Nie wierzę... – Jaga mocno ściągnęła brwi. – Nina jest egoistką, krzywdzi własne dziecko, a ja nie mogę na to spokojnie patrzeć. Wolę wyjechać.

– Wydaje mi się, że niania sądzi Ninę za surowo. To dlatego, że niania jest na nią rozżalona. – Binia nie zamierzała wysłuchiwać krytyki siostry. – Ona jest bardzo nieszczęśliwa, ale serce ma złote. Czy niania nie widzi, jak cała służba jest jej oddana? Chłopcy skoczyliby za nią w ogień! Owszem, czasami bywa uparta, ale i niania zachowuje się wobec niej nieco apodyktycznie.

– Jak? – Jaga ze zdumienia otworzyła usta.

– Apodyktycznie, to znaczy stara się niania narzucić jej swoją wolę.

Jaga poczuła się urażona.

– Bo to wielkie państwo przewróciło jej w głowie! – próbowała się bronić. – Zrobiła się nieznośna i kapryśna. – Nadąsała się, zdając sobie sprawę, że jej oskarżenia mają swoje źródło właśnie w rozgoryczeniu. – Wcale nie dba o własne dziecko. Kiedy urodzi syna, całkiem zapomni o tej kruszynie.

Binia nie wytrzymała i zasłoniwszy dłońmi twarz, wybuchła płaczem.

– O Boże, niech niania tak nie mówi! – szlochała rozpaczliwie. – Przed chwilą pan profesor oznajmił mi, że ona już nigdy nie będzie miała dzieci. Pozostała jej tylko ta dziewczynka. Profesor ostrzegął, że kiedy Nina to w przyszłości zrozumie, może dojść do dramatu! Niania przecież ją zna i wie, jak Nina bierze sobie wszystko do serca.

– Nie! – Jaga uniosła obie ręce, jakby się przed czymś broniła. Przygarbiła się pod ciężarem nagłego nieszczęścia i pobladła. – Nie, ten lekarz musiał się pomylić!

– Niestety... Ale biedna Ninka o niczym nie wie, a kiedy się dowie... Niania zna jej wybuchowy charakter.

– Jezu! – krzyknęła Jaga z rozpaczą. – Co moje biedne dziecko zawiniło, że los je tak nielitościwie prześladowuje? Same nieszczęścia walą się na jej

głównie. Po nocach leży sama i płacze albo ryzykuje życie i zdrowie, aby dostarczyć mężowi broń! Może ta piekielnica naprawdę ją przeklęła?

Binia sceptycznie potrząsnęła głową.

– Wątpię, żeby zmarli mieli jakiś wpływ na losy żywych.

– Kto wie, może mają – wyszeptała Jaga znacząco. – Zachciało się jej pałaców... Los! Dwie rodzone siostry urodziły córki i żadna z nich nie jest szczęśliwa w małżeństwie.

– Co też niania mówi?! – Binia oblała się rumieńcem i spuściła oczy. – Przecież Nina i pan hrabia bardzo się kochają.

– To ona szalenie go kocha! – Wpatrzyła się przed siebie nieruchomym spojrzeniem. – Ale ta miłość nie przynosi jej nic prócz bólu i zmartwienia. Dziękuję ci, moje drogie dziecko, że mi o tym powiedziałaś.

Binia objęła ją i z szacunkiem ucałowała spracowaną rękę Jagi.

– Przepraszam, tak mi przykro, że musiałam nianię zmartwić. Ogromnie żał mi Ninki.

Wzruszona Jaga odpowiedziała na jej uścisk, tuląc ją do siebie.

– To dobrze, że się kochacie. Niech ci Bóg błogosławi, dziecinko. – Pogłaskała jasne włosy Bini. – Jestem pewna, że będziesz dla małej najlepszą opiekunką. Okaż jej dużo serca. Nie ma wyjścia, ja wracam z Niną do Makowa.

W całym domu zapanował szalony ruch. Służba pakowała kufry, paczki z zakupami i resztą garderoby. Wprawdzie Nina nie kochała córki, lecz bardzo dbała, żeby dziecku niczego nie brakowało. Mała dostała przed wyjazdem prawdziwie hrabiowską wyprawkę. Specjalnie dla niej Nina kazała zrobić kolebkę wybitą atłasem i osłoniętą szczelnie jedwabnymi firankami chroniącymi przed chłodem i wzrokiem podróżnych. W przeznaczonych dla niej bagażach znajdowały się stosy koszulek z najcieńszego batystu i webowego płótna, obszywanych koronkami i haftowanych. Nina sama poszyła córce malutkie sukieneczki i mnóstwo koronkowych czepeków.

Pod wieczór wszystkie panie wybrały się do kościoła Na Skałce, modląc się o szczęśliwą podróż dla Niny. Po mszy panie przeszły się jeszcze wzdłuż starych murów obronnych dawnego Krakowa. Nina zrobiła uwagę, że miasto niewiele się rozwinęło po groźnym pożarze, który strawił wiele dzielnic w 1850 roku. Po wczesnej kolacji wszyscy udali się do swoich pokoi, aby odpocząć przed długą podróżą. Nina zaczęła pakować swój

sakwojaż, kątem oka zerkając na Binię, która przeglądała kupione tego dnia upominki dla domowników.

– Jakże ja będę ogromnie tęsknić za tobą, kochana – odezwała się ze smutkiem. – Pocieszam się tylko nadzieją, że latem przyjedziesz do Sarnik.

– Ja także o tym marzę. Wtedy jednak nie będziemy już takie swobodne, jak tutaj. Przyjadę z dziećmi, a Edward umie skutecznie zepsuć mi każdą przyjemność.

– O, nie doceniasz mnie, kotku. Zaproszę was do Makowa. Edward będzie sobie z wujem Ksawerym jeździł na polowania i grał w bezika, a my zamkniemy się w babskim kółku. Poznasz Jasiową Emilkę i z pewnością ją pokochasz.

– Och, byłoby cudownie, ale zawsze pozostanie mi jeszcze noc! – jęknęła Binia, padając na łóżko i rozkładając szeroko ramiona.

– Zaręczam ci, że dostaniecie osobne pokoje. – Nina zaczęła się śmiać. – Mam nadzieję, że twój szanowny małżonek ma na tyle taktu, że nie będzie przełaził przez pokoje pełne nianiek.

– Kto wie, może przelezie. – Binia przewróciła oczami. – Dla chcącego nie ma nic trudnego.

– To dozna rozczarowania, bo ty będziesz spała ze mną! Znowu pogadamy sobie do poduszki.

– Tak? A jak on zechce mnie szukać nawet w twojej sypialni? – Binia udawała, że zastanawia się nad taką ewentualnością.

– Wtedy chwycę *pot de nuit*¹² i rozbiję mu głowę! – oświadczyła Nina z powagą.

Spojrzały na siebie i zapiszczały z uciechy, tarzając się po łóżku.

– Siostrzyczko, jesteś genialna – chichotała Binia. – Najpierw zapowiadasz, że swoją hrabiowską nóżką osobiście kopniesz Edwarda w jego tłusty tyłek, a potem zamierzasz uśmiercić go tak pospolitym naczyniem?

– Uważasz, że takie zachowanie nie uchodzi pani hrabinie? Najmilsza, to Alek jest hrabią, a ja zawsze pozostanę tylko prostą dziewczyną lekceważącą etykietę.

Do pokoju zapukała Jaga, przychodząc wieczorem uczesać Ninę przed snem. Binia mrugnęła do niej i przypomniawszy sobie, że musi coś polecić swojej pokojówce, prędko wyszła z sypialni. Niania wzięła z toaletki dwie srebrne szczotki i energicznie zaczęła szczotkować wspaniałe włosy Niny,

patrzając na nią ukradkiem z miłością i współczuciem. Dłużej niż zwykle i staranniej splatała jej warkocze, układając je pod nocnym czepkiem. Nina siedziała bez ruchu, wsparta na dłoni, i pustym wzrokiem wpatrywała się w lustro. Nawet nie drgnęła, kiedy Jaga mocniej pociągnęła ją za włosy, biernie poddając się wieczornej toalecie. Uparcie odsuwała od siebie straszną myśl, że za kilka godzin rozjadą się w dwie różne strony i być może nigdy więcej się nie zobaczą. Szanując decyzję Jagi, nie prosiła już o nic. Uczesana, posłusznie włożyła podaną nocną koszulę, narzuciła na siebie peniuar i sięgnęła do szuflady stoliczka, wydając pugilares.

– Nianiusiu... – odezwała się drżącym, nieswoim głosem. – Tu są pieniądze dla ciebie i dla dziecka. Dbaj o siebie, bardzo proszę. Binia jest aniołem, ale gdyby pan Świerczyński patrzył na was krzywo, natychmiast wracaj do Makowa. Pamiętaj, tam jest twój dom, w którym ja będę oczekiwać cię z utęsknieniem. Byłaś dla mnie prawdziwą matką i kocham cię. Nie wiem, jak zdołam żyć bez ciebie, ale to już inna sprawa. Proszę, weź te pieniądze.

– Po co mi pieniądze? – Jaga spojrzała na nią, a potem prędko się odwróciła, udając, że poprawia na łóżku poduszki.

– Weź je koniecznie – nalegała. – Ja tylko tak głupio powiedziałam, że nie dam ci pieniędzy, ale ty mnie przecież znasz i dobrze wiesz, że w podnieceniu zawsze chłapnę coś, czego wcale nie myślę. Proszę cię, weź! – Nina z pokorą ucałowała rękę Jagi i podała jej gruby plik banknotów.

– Oj, dziecko, daj mi święty spokój! – Jaga odsunęła jej rękę. – Za to, co dałaś Bini, można by kupić wieś.

– W takim razie dam to Bini dla ciebie. Wiesz, kupiłam ci na drogę piękną jedwabną suknię i taki sam płaszczyk. Znajdziesz to w swoim pokoju. Idź, wypocznij przed podróżą. Dziękuję ci, kochana, za wszystko. Ostatni raz czesałaś mnie przed snem... – Głos odmówił Ninie posłuszeństwa i załamał się w stłumionym szlochu.

Jaga próbowała zachować surową minę.

– Dlaczego ostatni raz? – Uniosła wysoko brwi. – Przecież jeszcze nie umieram.

– Ale my się chyba już więcej nie zobaczymy – powiedziała Nina, podchodząc do okna i opierając głowę o ramę.

Wieczór był cichy i niemal letni. Na jabłoni ptaki układały się do snu, a z krawędzi dachu gruchały gołębie. Jaga odchrząknęła i zrobiwszy kilka

kroków w jej stronę, zatrzymała się za plecami Niny.

– Przypomnij mi rano, żebym kupiła album z widokami Krakowa. Obiecałam go przywieźć pani ochmistrzyni – powiedziała pogodnie.

– Boże, a co mnie obchodzi teraz pani ochmistrzyni? – westchnęła Nina, wzruszając ramionami.

– Ciebie może nie obchodzi, ale ja obiecałam i muszę słowa dotrzymać.

Nina poczuła skurcz w gardle. Nieśmiała nadzieja zaświtała w jej sercu, ale obawiała się nowego zawodu.

– Nianiu...? – Spojrzała przez ramię na Jagę.

– Co „nianiu”? Ty teraz do niczego nie masz głowy, a przecież nie wypada mi przyjechać do domu z pustymi rękami – odpowiedziała Jaga kłótliwym tonem, zabierając się do wyjścia.

– Nianiu! – wrzasnęła Nina wniebogłosy, rzucając się jej na szyję.

Tarmosiła ją i całowała, piszcząc tak przeraźliwie, że do pokoju wpadła roześmiana Binia, a za nią przerażona Mira, nie wiedząc, co znaczą te krzyki.

Tej nocy Nina spała kamiennym snem i obudziła się o świcie wypoczęta, z uśmiechem na ustach. Binia także wstała wcześniej i obie, ubrawszy się, wyszły, aby kupić u kwiaciarek na rynku bukiety dla pani Piotrowskiej. Po drodze wstąpiły do prastarego kościółka Świętego Wojciecha. Miał kształt rotundy i zbudowany z kamiennych głazów po setkach lat zapadł się ze starości w ziemię. Wewnątrz było tylko kilka ławek i prosty, surowy ołtarz. Usiadły obok starego mieszczanina w ciemnym surducie. Kilka sędziwych kobiet w czerni odmawiało półgłosem różaniec. Po chwili do kościółka wszedł siwy zakonnik z długą brodą i w spranym habicie. Przyklęknął przed ołtarzem i zaczął odprawiać cichą mszę. Jego drżący ze starości głos głucho rozlegał się pod niskim sklepieniem rotundy. Na wypowiedane przez niego łacińskie słowa liturgii zgodnie odpowiadali ludzie uczestniczący w nabożeństwie. Kiedy uniósł w obu dłoniach hostię, wymawiając sakramentalne słowa: „Ecce Agnus Dei”, Nina pochyliła się w tak głębokim pokłonie, że czołem dotknęła posadzki. Pod wpływem nagłego wzruszenia przestała niemal myśleć, na mgnienie oka stanąwszy w obliczu nieskończoności.

Jeszcze nigdy żadne nabożeństwo nie zrobiło na niej tak głębokiego wrażenia i nie wzbudziło takiego modlitewnego uniesienia. Pokornie pochyłona, modliła się żarliwie: „O Panie Jezu miłosierny, Twojej świętej opiece powierzam moje dziecko. Błogosław jej, chroń przed złymi mocami i pozwól zdrowo wyrosnąć. Polecam Twojej łasce nas wszystkich, wyruszających w daleką drogę. Spraw, żebyśmy spotkali się z Alkiem i szczęśliwie dotarli do Makowa”. Kiedy msza dobiegła końca, podniosła się z klęczek, czując w duszy spokój i pogodę.

Po powrocie do domu obie z Binią siedziały jeszcze przy stole, jedząc późne śniadanie, gdy do pokoju wpadł pan Piotrowski, powiewając krakowskim „Czasem” jak sztandarem bojowym.

– Sensacja! – krzyknął czerwony z emocji. – Prawdziwie rewelacyjna wiadomość najwyższej wagi! Posłuchajcie, drogie panie... Car ogłosił amnestię dla wszystkich powstańców! Każdy, kto do połowy maja zda broń, będzie mógł bez przeszkód powrócić do domu. Proszę przeczytać. – Podał gazetę Ninie.

Wydarła mu ją z rąk i jednym rzutem oka pochłonęła treść zamieszczonego na pierwszej stronie manifestu carskiego. Potem z westchnieniem najgłębszej ulgi opadła na krzesło. Na mocy tego postanowienia Aleks może wrócić do domu, nie obawiając się restrykcji władz! O Boże wielki, dzięki Ci! Już nigdy więcej nie zadrzy ze strachu przed najazdem kozaków czy wojska. Nie ujrzy nad dachem pałacu czerwonego kura... Nikt już nie wrzuci płonącej głowni do wnętrza domu, zamieniając go w ognisty stos. Gdy tylko Aleks powróci, oboje poświęcą się odbudowie zniszczonych folwarków, pojedą do Kaniówki i podźwigną majątki na Hrubieszowszczyźnie. Banki wypłacą im pieniądze i znowu będą bogaci, żyjąc spokojnie i bezpiecznie. Co wieczór będzie zasypiać, tuląc w ramionach męża. Co za szczęście!

Obiema rękami przycisnęła do piersi gazetę i przymknąwszy powieki, starała się utrwalić w pamięci cudowny obraz przyszłej egzystencji.

– Czy to sprawdzona wiadomość? – odezwała się Binia, obawiając się dla Niny okropnego zawodu.

– Najpewniejsza! Prasa austriacka również opublikowała treść manifestu – zapewnił kapitan. – Ot, ciekawość, jak nasi zareagują na tę amnestię.

– Pan ma jeszcze jakieś wątpliwości? – Nina posłała mu zdumione spojrzenie. – Przecież to jedyna szansa na honorowe wyjście z tej krwawej

jatki! Dalsza walka jest szaleństwem i im szybciej zostanie zakończona, tym lepiej dla wielu ludzi, którzy mogliby w niej zginąć.

Binia się nie odzywała, ale Mira miała ponurą minę. Ona całym sercem popierała walkę zbrojną. Pan Piotrowski także nie wydawał się całkowicie przekonany.

– Nie wolno nam z góry zakładać, że powstanie nie ma szans. Posiadamy przecież gwarancję Francji. Jeżeli potrafimy się utrzymać jeszcze przez dwa, trzy miesiące, interwencja zbrojna stanie się faktem. Przecież aż trzy mocarstwa uznały nas za stronę walczącą, nie rebeliantów. A to oznacza, że i car musi postrzegać nas jako żołnierzy, a nie bandę opryszków.

Nina spojrzała na niego z nieukrywaną ironią.

– Pan jeszcze wierzy w obietnice władców, którzy tylekroć łudzili nas przyrzeczeniami pomocy, ale nigdy nie dotrzymywali słowa? – Z gniewem odsunęła filiżankę z kawą i pochyliła się w stronę kapitana. – A gdzie była Francja, kiedy palono nasze miasta i mordowano bezbronną ludność? Nie, w tym przypadku bardziej wierzę carowi. Stłumienie powstania leży w jego interesie i tylko głupcy mogą taką okazję odrzucić.

Była zupełnie pewna, że Aleks, mając do wyboru beznadziejną walkę albo legalny powrót do domu, skorzysta z prawa łaski. Musiałby być szaleńcem, marnując taką okazję, a on jest przecież mądry i potrafi myśleć realnie. Poderwała się z krzesła i zaczęła biegać po pokoju, wymachując białą serwetką.

– Koniec zmartwień, możemy powrócić do normalnego życia! – wołała cała w rumieńcach i uśmiechach. – Janek będzie mógł zrobić doktorat i poświęcić się medycynie, ratując ludzkie życie, a nie odbierając je innym. Może w lecie wybierzemy się razem do Wenecji w spóźnioną podróż poślubną? Nie wiem, czy opłaca się jeszcze wieźć do kraju tę amunicję?

Usiadła na swoim miejscu, nie zwróciwszy uwagi na milczenie reszty towarzystwa. Odetchnęła, ponownie wzięła do rąk gazetę i zaczęła głośno czytać kolumnę drobnego druku:

– W manifeście piszą: „Car, w trosce o przyszły byt kraju, gotów jest puścić w niepamięć wszystkie zaszły, godne ubolewania wypadki. Pragnąc położyć tamę rozlewowi krwi, bezcelowemu dla jednych, bolesnemu dla drugich, udziela całkowitego, zupełnego przebaczenia wszystkim powstańcom, którzy złożą broń i wrócą do obowiązku posłuszeństwa”. – Zadyszała się i zamilkła. – No i co na to państwo powiecie? – spytała,

zaglądając kolejno w oczy siedzących przy stole osób. – Przecież to zupełnie przyzwoite warunki. Każdy Polak może je przyjąć bez ujmy na honorze. Nie ma obelg, pogrózek, a nasi są nazywani powstańcami, a nie bandytami i buntownikami.

Podniosła głowę i rozejrzała się płomiennym wzrokiem, śledząc wrażenie, jakie wywarła na obecnych treść manifestu. Aleks powróci do domu z podniesioną głową. Wróci! Miała wrażenie, że jej serce nie wytrzyma tego szalonego podniecenia i umrze z radości.

– A nasza święta sprawa? – odezwała się Mira dramatycznym tonem. Była blada jak kreda i trzęsła się cała, sprężona jak do skoku.

– Do wszystkich diabłów! – wrzasnęła Nina, ogarnięta dziką furją. – Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że żadna wojna nie jest święta. Jest grzeszna, bo pozbawia ludzi życia. Jest brudna i potworna! Tym, którzy dają rozkaz do walki, chodzi jedynie o przechwycenie władzy i zdobycie wielkich pieniędzy. Oto cel godny, aby dla niego ginęli niewinni ludzie, aby płonęły miasta i wsie! O tak, przyświecają nam szczytne hasła, ale powód, dla którego mordujemy się wzajemnie, jest niski i podły. Wojna jest największym nieszczęściem, jakie może spotkać człowieka. Musimy skorzystać z tej jedynej szansy, bo drugiej już nie otrzymamy!

– Nie, nie masz racji! – zawołała Mira z zaciętrzewieniem. – My nie walczymy dla władzy i dla pieniędzy. Jedynym naszym celem jest oswobodzenie ojczyzny i wywalczenie niepodległości. Pragniemy być wolni!

– To są tylko frazesy, Miruniu! – uniosła się Nina. – Słuchamy pięknych haseł, a nie widzimy, że ktoś nami manipuluje, posyłając tysiące wspaniałych chłopców na śmierć z gołymi rękami. – Wykonała gwałtowny ruch, przewracając przy tym filiżankę z kawą. – O, przepraszam – mruknęła.

Pan Piotrowski nie lubił kłótni. Odchrząknął i powstał od stołu.

– Proszę pamiętać, że car potrafi wiele obiecywać, lecz rzadko tych obietnic dotrzymuje – zauważył rozsądnie.

– Ale nie tym razem! – odpowiedziała Nina ostro. – Zhańbiłby się przed światem.

– Jesteś przekonana, że gdy nasi złożą broń i znajdą się w domach, car nie zemści się na nich? Powstanie w Polsce musiało go głęboko upokorzyć, a

władcy tego nie przebaczą. – Binia położyła rączkę na zaciśniętej w pięść dłoni siostry, leciutko ją poklepując.

– Nie! Nie uwierzę, żeby car złamał słowo dane Polakom na oczach całej Europy. Boże, możemy jednym skokiem wyjść z impasu i zacząć normalne życie! Och, wam, żyjącym w spokojnej Galicji czy w Wielkopolsce, nawet się nie śni w koszmarnych snach, co to strach i upadająca świadomość, że jest się kobietą, z którą każdy żołdat może zrobić, co zechce. Śpiewacie sobie w salonach: „Poszli nasi w bój bez broni”, ale nie widzieliście zdziczałych z głodu i nędzy powstańców, gonionych widłami przez ciemne chłopstwo lub tułających się po lasach w poszukiwaniu broni albo dobrego dowódcy. Ludzie są już zmęczeni beznadziejną walką. Czy wiecie, że niejaki kapitan Wisner rozkazał zakopać setki broni palnej, za którą ktoś zapłacił ze składek narodowych lub własnych pieniędzy?

– To wszystko prawda – rzekł pan Piotrowski. – Ale czy wolno nam przyjąć łaskę od cara?

– A czy wolno nam taką szansę zlekceważyć? – odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Sapnęła i rozejrzała się dokoła wzrokiem pełnym gniewu i determinacji. Na twarzach siedzących przy stole osób malowało się przygnębienie, tak różne od jej entuzjazmu. Nawet Jaga patrzyła na nią z naganą. Wszyscy oni byli zwolennikami powstania, a myśl o amnestii wydała się im nie do zniesienia. W nagle zapadłej ciszy Nina poczuła się jakoś niezręcznie. Aby tego nie okazać, roześmiała się drwiąco.

– Car? Wielka szkoda, że nie byliście państwo w Warszawie dwudziestego szóstego maja tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego roku. Cała elita polska słała się carowi do nóg. A kiedy Najjaśniejszy Pan, cesarz, samowładca Wszech Rosji i król Polski, pojawił się na tarasie, stolica zatrzęsała się od okrzyków: „Niech żyje król! Niech żyje cesarz!”. Nie oszukujmy się, bo wiadomo, że duża część społeczeństwa polskiego uważa Aleksandra II za prawowitego władcę Polski, a powstanie za bunt przeciwko monarsze! Nawet papież tak uważa! – Nina umilkła i starała się opanować emocje.

Nagle opadło z niej całe uniesienie. Poczowała się zmęczona i zrezygnowana, bo знаła już gorzki niezrozumienia. Starannie złożyła gazetę i schowała ją do torebki. Pan Piotrowski wstał i ucałował jej rękę,

dając tym do zrozumienia, że nie wziął sobie do serca jej burzliwych wypowiedzi.

– Nino, już najwyższy czas, żeby Binia zaczęła się ubierać – przypomniała Jaga. – Pociąg nie będzie czekał.

Binia odjeżdżała przed południem. Karetą już miała tajne skrytki, więc pan Piotrowski wolał wezwać fiakry. Makowscy stangreci z lekceważeniem obejrzeliby wynajęte powozy.

– Ja to bym się nawet wstydził jechać czymś takim – zawyrokowało wyniośle Stach, spluwając z pogardą. – Nie ma to jak nasze koniska i porządna kareta.

Nina wysłuchiwała tych krytycznych uwag z filozoficznym spokojem i wręczywszy mu pieniądze, kazała iść z chłopcami na piwo i słynne krakowskie obwarzanki. Państwo Piotrowscy żegnali Binię ze łzami, bo przez kilka tygodni pobytu w Krakowie umiała zaskarbić sobie sympatię wszystkich domowników. Mira nabawiła się rano szalonej migreny, więc tylko Nina i Jaga oraz pan Piotrowski odwozili Binię na dworzec kolei żelaznej.

W poczekalni pierwszej klasy pasażerowie oczekiwali na dzwonek, żeby wejść na peron. Pociąg stał już pod parą, bagażowi ładowali do wagonu pocztowego kufry podróżnych. Pan Piotrowski znalazł się bardzo elegancko, wręczając Bini bukiet róż i pudło kandyzowanych owoców. Nina nie odstępowała siostry ani na moment, przeżywając bardzo boleśnie ponowne rozstanie. Przez te kilka tygodni więzy pomiędzy nimi zacieśniły się jeszcze mocniej. W czasie porodu głęboka wiara siostry, że wszystko skończy się dobrze, mobilizowała Ninę do walki o życie. Binia równie głęboko przeżywała rozstanie, pocieszając się tylko nadzieją, że zobaczą się już w lipcu, kiedy odwiedzi Sarniki. Ogromnie wzruszone, zamieniały z sobą ostatnie słowa, spoglądając na siebie przez mgłę z łez.

– Najmilsza, uważaj na siebie – szepnęła Binia, składając na policzku Niny kolejny pocałunek. – Boże, tak okropnie lękam się o ciebie. Ja wracam spokojnie do domu, a ty ryzykujesz życie. A może ta amunicja nie będzie wcale potrzebna? Kto wie, może nasi przyjmą warunki amnestii? Mimo wszystko uważam, że powstanie było koniecznością, żeby trochę potrząsnąć carem. Dać mu do zrozumienia, że jesteśmy dalej groźni. Amnestia jest dowodem, że sława o potędze wojskowej Rosji jest przesadzona. Gdy tylko walki ustaną, będziemy się mogły wzajemnie

odwiedzać. Przyjedziecie z Alekssem do Świerszczyn, poznasz moich synków. A nie zapomnij oddać mamci mego listu. Jest w tej czerwonej torebce, w której trzymasz grzebień i lusterko.

– Muszę cię naprawdę bardzo kochać, ryzykując rozprawę z ciotką. – Nina uśmiechnęła się krzywo. – Jest groźniejsza od wawelskiego smoka. Obawiam się, że ściągnę na siebie gromy oburzenia. Mróz mi chodzi po kościach, jak wyobrażę sobie ryk wuja i minę cioci, kiedy wręcę jej twój list – zażartowała. Naprawdę obawiała się dzikiej awantury, jaką urządzi jej ciotka Maria, dowiedziawszy się o ich potajnym spotkaniu.

Popatrzyły sobie w oczy i obie parsknęły śmiechem, bardzo nieszczerym, gdyż obie doskonale wiedziały, co potrafi ciotka, gdy wpadnie we wściekłość.

– Tylko nie mów mamci prawdy – ostrzegła Binia. – Napisałam, że gdy wspomniałaś w liście, że wybierasz się do Krakowa, postanowiłam zrobić ci niespodziankę. Mam nadzieję, że do lipca mamie już złość minie...

– Możesz zawsze na mnie liczyć i wcale nie musisz mieszkać w Sarnikach, tylko w Makowie. – Nina objęła ją i przytuliła do piersi. – Jezu, chyba umrę z tęsknoty za tobą! Błagam, nie przejmuj się Edwardem. Młodość to podobno czas błogosławiony i zbyt krótki, aby marnować go na samotne łyż. – Pochyliła się Bini do ucha. – Jeżeli spotkasz mężczyznę, który będzie ci się podobał, nie miej skrupułów i nie wahaj się. Edward nie zasłużył na twoją wierność małżeńską. O, gdyby tak dostał mi się w ręce, byłoby mu naprawdę ciepło.

Rozległ się dzwonek i wyszły na peron, a Nina po raz pierwszy w życiu zobaczyła lokomotywę parową. Potwora z żelaza, buchającego dymem. Dostrzegła ziejące ogniem palenisko i czarnego od sadzy palacza, wrzucającego łopatą węgiel. Wzdrygnęła się, podejrzewając, że już do końca życia nie pozbędzie się uczucia lęku na widok lokomotywy.

Postarała się, aby Binia miała zarezerwowany osobny przedział, gwarantujący wygodną i spokojną podróż. Poza tym nie życzyła sobie, żeby obcy ludzie gapili się na jej nieudane dziecko. Rozległ się drugi dzwonek i siostry z płaczem rzuciły się sobie w objęcia. Jaga także płakała, rozstając się z dziewczynką, i błogosławiła ją na drogę. Z ramion Niny trafiła Binia w objęcia Jagi, a wreszcie pan Piotrowski pomógł jej wspiąć się po wysokich schodkach do wagonu. Za panią szła, niosąc kołyskę, pokojówka, a za nią Rozalka z małą. Dziewczyna rozdziawiła buzię, przypatrując się

pociągowi ze strachem. Dziecko tak szczelnie owinięte było w puchowe piernaciki, kapkę i kocyki, w obawie przed przeziębieniem, że wcale nie było widać twarzyczki.

– Ninko, natychmiast po przyjeździe do domu, wyślij mi depeszę. Inaczej oszaleję z niepokoju. – Binia wychyliła z okna wagonu jasną głowę.

– Obiecuję. – Nina podeszła do okna i uściśnęła mocno jej rękę. – A ucałuj od kochającej ciotki swoich malców. Och, jakże ja będę za tobą tęsknić! Nigdy nie zapomnę, że zawdzięczam ci życie!

Uśmiechnięta twarzyczka Bini nagle przybrała wyraz zakłopotania. Wychyliła się mocniej z okna i przyciągnęła Ninę do siebie.

– Kochanie, zapomniałaś pożegnać się z córeczką! – wykrzyknęła. – Wejdz, jeszcze zdążysz przed odjazdem.

Nina zadreptała w miejscu niezdecydowanie. Nie miała najmniejszej ochoty widzieć raz jeszcze swego nieudanego dziecka, ale przemogła niechęć i postawiła stopę na wysokim schodku wagonu. W porannym rozgardiaszu ani razu nie pomyślała o małej. Zrobiła niepewny ruch, by wejść do wagonu, ale w tym momencie rozległ się trzeci dzwonek. Konduktorzy z hukiem zatrzaskiwali drzwi przedziałów. Nina prędko zeskoczyła na peron, bo lokomotywa gwizdnęła przeraźliwie, a z wysokiego komina buchnął czarny dym. Spod kół z sykiem wydobywała się para, przysłaniając twarzyczkę Bini. Pociąg ruszył z miejsca, przesuając się przed oczami Niny. Goniła wzrokiem jasną głowę siostry, przesyłając jej dłonią pozdrowienie. Kiedy ucichło dudnienie kół o szyny, wyjęła chusteczkę i otarła mokre policzki.

– Niech cię Bóg prowadzi, moje najdroższe kochanie – szepnęła.

Wychodząc z peronu, miała przykre uczucie niesmaku. Było jej nieprzyjemnie, że Jaga i pan Piotrowski byli świadkami tej sceny. Przyszło jej na myśl, że może zginąć, nie pożegnawszy swojej córki pocałunkiem. Nie była nawet pewna, czy słaba dziewczynka dojedzie żywa do Świerszczyn. Ale wyobraziwszy sobie, że musiałyby dotknąć ustami brzydkiej buzi dziecka, pomyślała, że jednak dobrze się stało, jak się stało, bo chyba nie potrafiłaby się do tego zmusić. Och, nie powinna się tym zadręczać i niepotrzebnie zawracać sobie głowy. Bogu dzięki, każda minuta zwiększa odległość dzielącą ją od dziecka. Zepchnęła na samo dno serca wyrzuty sumienia i pewnym krokiem zmierzała do wyjścia.

Idąc przez poczekalnię, mimo woli zerknęła w lustro wprawione w ścianę i poczuła radość na widok swego odbicia. Znowu była smukła jak trzcina i piękna. Będąc w Galicji, zrzuciła żalobę i kupiła sobie mnóstwo modnych toalet, sprowadzonych aż z Wiednia. Szła, poruszając z gracją dzwonem krynoliny z błękitnego jedwabiu, obszytej cennymi koronkami. Szeroka spódnica kołysała się zalotnie, ukazując spod piany krochmalonych sztywno falban halek jej malutkie stóпки. Mijający ją mężczyźni przystawali, odprowadzając wzrokiem promienne zjawisko. Spostrzegła to i uśmiechnęła się swoim dawnym, zniewalającym uśmiechem, ciesząc się, że jest zdrowa, odzyskała dawną urodę i dziś wraca do Makowa.

Przechodzący w pobliżu oficer huzarów węgierskich, ognisty brunet, stanął jak wryty, posyłając jej spod daszka czaka spojrzenie pełne zachwyty. Przypominał trochę majora Wielenina i na to wspomnienie oblał ją rumieniec. Opuściła ciężkie, jakby senne powieki, stwierdzając ze zdumieniem, iż mimo upływu czasu w jej pamięci nie zatarł się nawet najmniejszy szczegół jego twarzy, gestów, mimiki... Pamiętała, że w chwilach emocji miał zwyczaj przygryzać dolną wargę. Nie zapomniała smaku jego ust! Był taki piękny i romantyczny. Jaka szkoda, że nie zobaczą się już nigdy więcej...

Poczuła w sercu głuchy ból, a potem z przerażeniem odepchnęła od siebie obraz Rosjanina, spychając go na samo dno duszy. „Nie chcę, nie powinnam o nim myśleć! Już niedługo zobaczę Alka. Boże, jak to przyjemnie znowu być sobą. Nareszcie pozbyłam się tej okropnej ciąży i będę mogła dosiadać konia. Moja Mignon pewnie stęskniła się za mną. Teraz mogę codziennie wybierać się na konne spacer. Trzeba zająć się majątkiem, bo stanowczo za długo przebywałam z dala od domu. Biedny pan Bochniak sam wszystkiemu nie podoła. Najważniejsze to dojechać do Makowa. Alek zrobi wielkie oczy, kiedy się dowie, kogo będzie eskortować”.

Pan Piotrowski pożegnał panie, obiecując, że spotkają się na obiedzie i poszedł do hotelu Saskiego, ośrodka pomocy dla powstania. Damy wsiadły do fiakra i pojechały na cmentarz Rakowicki. Mały alabastrowy grobowiec pod cieniem ogromnego dębu pokryty był wieńcami i bukietami przywiedzionych kwiatów. Nina po raz trzeci w życiu przeczytała na krzyżu swoje nazwisko i ból żelaznymi kleszczami ścisnął jej serce. Upadła na kolana, modląc się i rozpaczliwie płacząc. Nie potrafiła pogodzić się z

myśla, że musi pozostawić tutaj swojego synka, część własnego ciała. Wyplakawszy się, zaczęła razem z Jagą porządkować grób, strojąc go kwiatami. Nie mogła oderwać się od tego miejsca, gładząc płytę i składając na niej pocałunki w nadziei, że zmarły synek poczuje tę matczyną pieśczętę. Jaga, przejęta jej rozpaczą, niemal siłą podniosła ją z ziemi.

– Nie płacz, dziecko. Losu nie zmienisz, a sobie możesz zaszkodzić. Późno już, musimy wracać.

Ujęła płaczącą Ninę pod rękę i podtrzymała, gdy zachwiała się na nogach. Sowiec opłacony grabarz przyrzekł opiekować się grobem i zmieniać na nim kwiaty. Pani Piotrowska także obiecała, że będzie grobu doglądać. Odchodząc, Nina długo oglądała się za siebie oczami pełnymi słonych łez.

– Mój Boże, jadąc tutaj, nie wyobrażałam sobie, że pozostawię w tym miejscu grób mego syna.

– A z córką się nie pożegnałaś! Nawet nie wiesz, czy żywa dojedzie do Świerszczyn – przypomniała jej Jaga.

– Tak wyszło – westchnęła Nina. – Przykro mi, a ty pewnie myślisz, że brakuje mi instynktu macierzyńskiego? Być może. Gdyby Oleś przeżył, z czasem polubiłabym również córkę, ale po jego śmierci coś we mnie umarło. Zbyt wiele doznałam cierpienia i zawodu. – Przystanęła i prędko zasłoniła chusteczką twarz, wstydząc się płakać na ulicy. Ponownie ogarnęło ją poczucie pustki i zniechęcenia.

– Ale to biedne dziecko nie jest niczemu winne – powiedziała Jaga ze smutkiem.

– Ja także nie jestem winna, że nie potrafię jej pokochać. Po prostu nie mogę.

Zanim wsiadły do fiakra, Jaga zatrzymała się i bokiem zerknęła na Ninę.

– Posłuchaj, dziecko. Czy ja jestem dla ciebie apo... Oj, jak to się mówi? Aha, apodyktyczna?

Nina przystanęła, zdziwiona tym pytaniem.

– Co ci przyszło do głowy?

– Bo wiesz, to Binia powiedziała, że czasem taka dla ciebie jestem. Czy to prawda?

Pomimo rozpaczliwego nastroju Nina parsknęła śmiechem.

– Binia? No popatrz, taka cicha woda, ale swoje powiedzieć umie! O, czasem bywasz nawet bardzo apodyktyczna, ale nie mam ci tego za złe, bo

cię kocham. Dobrze, że mi o tym powiedziałaś, bo jak teraz zaczniesz się na mnie wydierać, zaraz ci o tym przypomnę.

– Ani mi się waź! – Jaga trąciła ją łokciem i zrobiła srogą minę.

Wynagradzając państwu Piotrowskim kłopotliwy pobyt, Nina zrewanżowała się bogatymi prezentami. Pożegnanie z obu stron było bardzo serdeczne. Jednak kiedy karetą ruszyła przed dom, Nina odetchnęła i pomyślała, że nigdy więcej nie chciałaby tu powrócić. Pozostawiała za sobą wspomnienie potwornych mąk, widoku zjawy, śmierci synka i rozpacz.

W karecie było podwójne dno utrudniające wygodne siedzenie. Podróż zapowiadała się bardzo męcząca, ale z tym należało się pogodzić. Nina poleciła Stachowi robić częste postoje dla rozprostowania nóg. Powracali tą samą trasą, przez Wolę Batorską i Ujście, przystając tylko na rogatkach i w karczmach, by napić i nakarmić konie. Drogi obeschły i pogoda uczyniła się cudna, prawdziwie wiosenna. Gdy zatrzymywali się na popas, gdzieś pośrodku zagajnika, słychać było kukanie kukulek, stukanie dzieciółów i śpiew drozda, a spod błękitnej kopuły nieba dochodziło wesołe świergotanie skowronków. Na polach po granice horyzontu szły pługi, chłopcy siali zboża jare. Kobiety, pochylone nad równymi grzędami, sadziły ziemniaki i wczesne warzywa. Wszyscy pracowali pilnie pod nadzorem karbowych i ekonomów, choć w Galicji już dawno pańszczyznę zniesiono.

Jechali wolno, aby nie męczyć koni, mijając po drodze ludne wsie, dwory i wspaniałe wielkopańskie pałace stojące pośród wielkich parków. Pomimo wiosennej pory ta część Małopolski sprawiała wrażenie ubogiej, zaniedbanej i jakby pogrążonej w letargu. Nigdzie nie było widać kominów fabrycznych czy dużych warsztatów rzemieślniczych. Za to Żydów było zatrzęsienie, bo tu nie obowiązywały ostre zarządzenia, jak w zaborach pruskim i rosyjskim.

Na dłuższych postojach panie wychodziły z karety. Nina i panna Lutówna zbierały kwiaty polne, plotły z nich wianki i stroiły nimi przydrożne kapliczki. W drodze nie napotymano najmniejszych trudności. W Galicji tytuł hrabiowski budził szacunek. Konserwatywnym Austriakom przenigdy nie przyszłoby do głowy myśl, że młoda, utytułowana dama ma coś wspólnego z powstaniem za Wisłą. W komorze celnej w Ujściu spotkali

nawet tego samego oficera, który w marcu sprawdzał ich dokumenty. Węgier natychmiast poznał Ninę i powitał ją z wylewną uprzejmością.

– Od rana miałem przecucie, że dziś spotka mnie coś szczególnie miłego! – oznajmił radośnie, podsuwając jej krzesło. – Mam nadzieję, że wkrótce pani hrabina ponownie zawita do Galicji.

Nina posłała mu uśmiech równie promienny, jak świecące za oknem słońce.

– Pod warunkiem że zawsze będę tak mile witana – powiedziała, przeklinając w duszy jego gadulstwo.

Stojący przy komorze celnej podróżni zwrócili na nich uwagę. Pomiędzy nimi mógł być agent policji rosyjskiej. Oficer nie poprzestał na werbalnej uprzejmości, ale zawoławszy żołnierzy, rozkazał im pomóc w przeprawie przez Wisłę, rezerwując prom jedynie dla nich. Przedostawszy się przy pomocy Austriaków na drugi brzeg rzeki, Nina na wszelki wypadek poleciła Stachowi jechać kawałek drogi w stronę Wiślicy, aby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Dopiero upewniwszy się, że są bezpieczni, zawrócili i pojechali wzdłuż brzegu, ku ujściu rzeczki Czarnej, gdzie pan Piotrowski wyznaczył im spotkanie. Strzegli się, aby nie wpaść na patrol, którego należało starannie unikać. Nina, wychylona z okna karety, rozglądnęła się uważnie po okolicy. W pobliżu dostrzegła niewielki las.

– Stachu! – Energicznie zapukała w przednie okienko. – Zatrzymamy się w tym lasku aż do zmroku. Konie muszą dobrze wypocząć, bo potem pojedziemy przez całą noc.

– Oj, będą miały co ciągnąć, biedoty. – Obejrzał się na nią i westchnął. Dostrzegł wąską ścieżynę prowadzącą w głąb lasu i wjechał ostrożnie pomiędzy drzewa, zatrzymując się na niewielkiej polance.

Chłopcy szybko wyprzęgli konie. Puszczone wolno chodziły, szczypiąc świeżą trawę lub z rozkoszą tarzając się po miękkiej murawie. Nina lekko wyskoczyła z karety i przeszła się, dokonując oględzin obu bryczek.

– Musimy opróżnić kufry. Część rzeczy tutaj zakopujemy. Nie jestem pewna, czy amunicja zmieści się w skrytkach – rozmyślała głośno.

– Zmieści się – zapewnił ją Maciek. – Niech jaśnie paniulka zobaczy, jak szelma stolarz sprytnie podwójny dach w karecie zrobił. Można go nawet od strony kozła podnosić do góry.

Dopiero teraz Nina dostrzegła, że atłas, którym były wybite ściany i sufit karety, marszczył się po bokach. Lecz tylko bardzo bystre oko dostrzegłoby

ten defekt. Mira nieufnie obejrzała sufit i prędko wysiadła z karety.

– Mam nadzieję, że ten daszek nie runie nam na głowy w czasie jazdy, wraz z całą zawartością – wyraziła obawę. – Już odzwyczaiłam się od myśli, że coś może nam zagrażać. Chłopcy, wygrzebcie dołek i zapalcie ognisko. – Przeciągnęła ramiona i zabrała się do parzenia herbaty.

– Mój Boże, żeby tak można przenieść cały Maków do Galicji! – rozmarzyła się Nina. – Lecz mimo wszystko cieszę się, że wracamy do domu. Miruniu, przecież ty wcale nie znasz Makowa na wiosnę. To prawdziwy raj! Cały park zamienia się w jeden ogromny bukiet kwiatów.

Nalała do miski trochę wody z termosu i zaczęła myć rzodkiewki kupione po drodze, nie mogąc się powstrzymać, by kilku nie schrupać. Były soczyste i pikantne.

– Mam nadzieję – rozmyślała głośno – że powstanie wkrótce się zakończy, a amnestionowani powstańcy wrócą do domów.

Taka ewentualność nie spodobała się Mirze.

– Jestem przekonana, że powstanie zakończy się dopiero po interwencji wojsk francuskich – oświadczyła autorytatywnym tonem. – Kiedy armia francuska przekroczy granice, okręty floty angielskiej zablokują porty rosyjskie i wtedy nareszcie będzie koniec

– Nawet sam Garybaldi obiecał przyjść i bić Moskali – dodał Maciek, dmuchając na ledwie tłące się patyki. Drewno było wilgotne i źle się paliło, dymiąc jak z komina.

Nina tak gwałtownie obróciła się ku niemu, że woda chlusnęła z miski, a rzodkiewki rozsypały się po ziemi.

– Prędzej uwierzę, że sam Archanioł Michał mieczem ognistym przetrzepie carowi skórę niż w interwencję mocarstw zachodnich! – wykrzyknęła, zirytowana naiwnymi poglądami przyjaciół.

Panna Lutówna się wyprostowała, przybierając zadziorną postawę.

– A skąd ta pewność, że interwencja nie nastąpi? – spytała zaczepnie, urażona sceptyczną wypowiedzią Niny.

– Miruniu, rodacy okrzykną cię geniuszem, jeżeli potrafisz wskazać na mapie choć jedno miejsce, w którym obca armia mogłaby przejść granicę, nie narażając się na zbrojny konflikt z Austrią, Prusami lub z Rosją.

Maciek uznał, że w tym sporze racja jest po stronie Miry, i nie zamierzał zgadzać się ze zdaniem swojej pani.

– W Krakowie ludzie powiadali, że tylko patrzeć, a sam cysorz Napoleon przyjedzie do Polski bić burków!

– Naprawdę? – Nina ironicznie się skrzywiła, wycierając rzodkiewki w serwetkę. – Już to widzę! Przyjedzie na małpie, gdy piekło zamarźnie! Jeszcze jeden polityk się znalazł. To twoja szkoła, Mireczko!

Jaga nie wtrącała się do burzliwej dyskusji, układając na półmiskach wędliny i krojąc chleb na kanapki. Nagle przerwała pracę, usiadła na zwalonym pniu i zaczęła masować spuchnięte nogi, postępując z bólu.

– Jeżeli natychmiast nie skończycie rozprawiać o tych głupotach, wskoczę do Wisły! – zagroziła. – W nocy nie wypoczęłam, bo w karecie twardo i mam dosyć rozważania, co by było gdyby... Boże, taka jestem zmęczona i śpiąca! – Ziewnęła, kreśląc znak krzyża.

Nina spojrzała na jej mizerną bladą twarz, rzuciła kurze udko, które właśnie zaczęła ogryzać, zerwała się i pobiegła do karety. Wyciągnęła stos pleców, kołder i poduszek, układając na kanapce miękkie posłanie.

– Chodź, moja najmilsza – powiedziała z czułością – i połóż się zaraz. – Pomogła Jadze podnieść się z pnia i podprowadziła do karety. Ułożywszy ją wygodnie na przygotowanym posłaniu, okryła Jagę pledem i ucałowała. – Przepraszam, już dawno mogłam o tym pomyśleć.

– Dziękuję. – Jaga wyciągnęła rękę i pogładziła ją po policzku. – Męczy mnie już ta podróż. Marzę, by znaleźć się w domu – powiedziała, przymykając sennie powieki.

– To dla mnie się poświęciłaś, bo mogłaś pozostać w Makowie – szepnęła Nina, patrząc na nią z troską.

Jaga prędko usnęła, a Nina, wyciągnąwszy pozostałe poduszki i pledy, położyła się obok Miry pod rozkwitającym klonem. Do jej uszu docierały jeszcze przez chwilę rozmowy stangretów, prowadzone ściszonymi głosami, aż w końcu wszyscy zasnęli i spali długo, do zmierzchu.

Nina otworzyła oczy obudzona głośnym parsaniem koni zaprzęganych do karety i bryczek. Był już wieczór, a na bezchmurne niebo wschodził księżyc, oświetlając ziemię zimnym tajemniczym blaskiem. W jego srebrzystym świetle drzewa i większe przedmioty były doskonale widoczne.

– Oj, niedobrze... – Stach zmarszczył brwi i rozglądnął się po niebie. – Miesiąc, jucha, świeci tak mocno, że i latarni nie potrzeba.

– Za to przy załadunku nie będziemy musieli zapalać pochodni – zauważyła Mira, pomagając Ninie składać prowizoryczne posłanie.

– Stach ma rację! – Nina syknęła ze złości. – Będziemy z daleka widoczni jak na dłoni. Trudno, ruszajmy! Pan Piotrowski nie powinien na nas czekać.

Młasnęły długie rzemieńne baty i pojazdy ruszyły. Jechali wąską drożyną nad samym brzegiem Wisły. Koła raz po raz zapadały w niewidoczne dziury, a Nina się modliła, żeby przypadkiem nie pękł dyszel, byłoby to prawdziwe nieszczęście. Jednak na umówione miejsce dojechali bez żadnych niespodzianek.

Nina miała nadzieję, że kapitan już będzie na nich czekał, ale okazało się, że nie ma ani promu i pana Piotrowskiego, ani tym bardziej Aleksa. Zaczęła się niepokoić, obawiając się jakiejś złej przygody. Wiosenna noc była krótka, a praca przy przeładunku z pewnością przeciągnie się do północy. Nerwowo krążyła brzegiem rzeki, wpatrując się w stronę, skąd miał przy płynąć prom. W tym miejscu rosły gęste krzewy, wiklina i niewielkie drzewka, schodzące niemal do samej wody. Dawały znakomitą kryjówkę, zarazem jednak zasłaniały widok na drogę. Mogli nie zauważyć, jakby ktoś się zbliżył. Dokoła panowała niczym niezmacona cisza, tylko rzeka czasami plusnęła o brzeg albo ryba rzuciła się w wodzie. Lekki wiatr poruszał gałęziami drzewek, chłodząc jej rozgrzane policzki. Majestatycznie rozlana wielka rzeka płynęła wolno, lśniąc i połyskując srebrzyście w blasku księżyca. Od wody szedł chłód i zapach rybiego tranu. Ciszy wiosennej nocy nie mąciły nawet hałaśliwe zwykle o tej porze żaby.

Nina, patrząc w stronę galicyjskiego brzegu, niecierpliwie uderzała stopą o ziemię. Promu nie było widać. Czekali długo, coraz bardziej zdenerwowani i zniecierpliwieni.

– Jezu, co się stało? – zastanawiała się Nina. – Może kurier nie dotarł do leśnego obozu i Alek nic o nas nie wie? Ale gdzie w takim razie podziewa

się pan Piotrowski? Już dawno powinien być na miejscu. Boże, tyle starań i pieniędzy miałyby teraz pójść na marne?

– Poczekajmy, może jeszcze przy płyną – pocieszała ją Mira, ale i ona nie umiała oprzeć się złym przeczuciom.

Ninę ogarnęła rozpacz. Dopilnowała, żeby mąż otrzymał broń palną... bez amunicji! Równie dobrze mogłaby mu przywieźć wiązkę kijów. „Trzeba mieć mojego pecha, by po tylu staraniach i przygodach znaleźć się po drugiej stronie granicy z pustymi schowkami! Nic mi się nie udało. Straciłam masę pieniędzy, a powstańcy jak byli, tak są bezbronni. No nie, mają karabiny, ale Alkowi tak bardzo zależało na pistoletach. Chryste, jak ja mu spojrzę w oczy? Co powiem? Gdzie diabli ponieśli pana Piotrowskiego?” – zadawała sobie w myślach pytania, na które nie potrafiła odpowiedzieć. Podejrzewała, że kapitan musiał się natknąć w drodze na Moskali i cały transport amunicji wpadł w ręce nieprzyjaciela. Rozglądnęła się niespokojnie, bo lada chwila mogli zjawić się kozacy lub dragoni.

– Jeżeli pan Piotrowski nie przy płynie – odezwała się stanowczym tonem – to Stach odwiezie nianię i Mirę do Makowa, a ja z chłopcami wrócę do Krakowa. Muszę mieć amunicję!

– Ja ciebie nie puszcze! – zaprotestowała Jaga. – Życie ci niemiłe?

– Pojadę! – upierała się Nina, wysuwając do przodu podbródek na znak, że dyskusja skończona.

Lecz w tym momencie Maciek wyciągnął rękę i wskazał coś palcem.

– Płyną – rzekł krótko.

– Gdzie, gdzie? – dopytywali się wszyscy, patrząc w kierunku, który wskazywał.

– A tam, za krzakami. Zmyślne juchy, nie wypłynęli na środek rzeki, ino trzymają się samego brzegu – rzekł Maciek z uznaniem.

Rzeczywiście, po chwili spod nawisłych nad wodą gałęzi wikliny cicho wypłynął prom. Stojący na przodzie człowiek bacznie się rozglądał. Naraz przyłożył dłonie do ust i zagwizdał pierwsze takty *Warszawianki*. Powtórzył sygnał i czekał. Tomek zbiegł nad wodę i odpowiedział mu tym samym sygnałem. Prom wolno przybił do brzegu.

– Na miłość boską! – zawołała roztrzęsiona Nina. – Gdzie się podziewaliście? Myślałam, że umrę ze zmartwienia. Amunicja jest?

Starszy pan bez pośpiechu wyskoczył na brzeg i przywitał się z paniami.

– Owszem, jest. Spóźniliśmy się, bo trzeba było długo czekać we dworze, aż pan dziedzic znajdzie klucze do piwnicy, bo mu się gdzieś zapodziały. Oj, to są spiskowcy od siedmiu boleści! A potem, już na środku rzeki, pękł nam drąg i o mały figiel nie rozbiliśmy się o brzeg. Cały ładunek poszedłby na dno. Zanim Antek przysposobił drugi drąg, upłynęło trochę czasu. Pan naczelnik jeszcze nie przyjechał?

– Nie, i bardzo się tym niepokoję – westchnęła Nina, zaglądając na załadowany drewnem prom.

– Nawet gdyby się spóźnili, to i tak spotkacie się po drodze, bo kurier dostarczył panu naczelnikowi dokładną trasę waszej podróży. No, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Bierzmy się do roboty, bo wkrótce zacznie świtać.

Mężczyźni weszli na pokład i zaczęli odrzucać stosy drewna, kryjące schowek z amunicją. Wyciągnęli skrzynki i przenieśli je na brzeg. Kobiety wysypały z nich naboje prosto do kufrów. Schowki były wszędzie, nawet na koźle, pod siedzeniem stangreta. Pracowali bez wytchnienia, nie odzywając się do siebie. Pot spływał im po twarzach, mimo iż noc była chłodna. Nina, osłabiona ciężką chorobą, poczuła się źle i obawiała się, że może zemdleć, jednak nie przerywała pracy, choć plecy pękały jej z bólu od ciągłego schylania, a dłonie krwawiły od niezliczonych skaleczeń o drzazgi i gwoździe skrzynek. Ale rozsadzała ją radość na myśl, że nie powróci z pustymi rękami i będzie mogła śmiało spojrzeć mężowi w oczy. Swoje zadanie wykonała!

Załadunek zakończono przed świtem. Opuszczono dach karety, kryjąc schowek. Do kufrów ułożono na wierzch odzież i naczynia kuchenne. Stach spostrzegł z pewnym niepokojem, że dach karety lekko się wygiął pod ciężarem amunicji, lecz nie było na to rady. Dach musiał wytrzymać do końca podróży.

– No i po kłopotcie! – zawołał wesoło pan Piotrowski. – Nie było to jak dawniej. Każdy łał sobie kule i byle miał ołów i proch, nie musiał nikogo prosić o łaskę. Czas ruszać w drogę, bo niedługo wstanie dzień. Podróżujcie tylko nocami, a w dzień kryjcie się w lasach.

– Może jednak warto poczekać na eskortę? – zastanawiała się Nina, rozczarowana, że mąż nie przybył na miejsce spotkania.

– Nie wolno pani tu czekać! – zawołał kapitan. – Jeżeli kuriera w drodze zabito, do pana naczelnika nie dotarła wiadomość o transporcie.

– Słusznie. W takim razie natychmiast ruszamy.

Panie nie wsiadły zaraz do karety, bo należało najpierw wyciągnąć pojazdy na twardy grunt. Stach machnął batem, konie szarpnęły, naciągnęły szory, ale kareta nie ruszyła z miejsca, bo koła głęboko zapadły się w piasek. Mężczyźni podparli ją ramionami, pchając ze wszystkich sił, ale ani drgnęła. Stach zeskoczył z kozła i obejrzał powóz ze wszystkich stron.

– Trza będzie zaprząć do karety wszystkie konie, wyciągnąć ją, a potem kolejno obie bryki – zawyrokował i nie czekając na pomoc, jął z pośpiechem wyprzęgać konie z bryczek.

Osiem koni połączonych w jeden zaprzęg potężnie szarpnęło i wyciągnęło karete. Ruszyła wolno i wytoczyła się na polną drogę. W ten sam sposób wydostano dwie bryczki i najgorsze już mieli za sobą. Teraz należało jak najszybciej dojechać do najbliższego lasu i poszukać tam schronienia aż do zapadnięcia ciemności. Mniejsze patrole nieprzyjacielskie nie zapuszczały się w głąb lasów, obawiając się zasadzki.

Na wschodzie niebo pojaśniało. Odezwały się ptaki. Wstawał dzień.

– Gotowe! – oznajmił Maciek, skończywszy zakładać konie do karety i bryczek. – Niech jaśnie panie wsiadają, jedziemy!

Lecz zanim ruszyli, usłyszeli w dali tętent zbliżający się z każdą chwilą.

– Alek! – wykrzyknęła Nina z wybuchem szalonej radości.

Stojący na czatach Tomek jednym skokiem przypadł do karety.

– Kozacy – rzucił struchlałym głosem.

– Chłopcy, pilnujcie, żeby konie nie zarżały – rozkazał pan Piotrowski. – Może nas nie zauważą.

Stangreci pochwycili konie przy pyskach, kładąc im dłonie na chrapach. Przytaili się w półmroku, zakryci gęstymi krzewami rosnącymi przy drodze. Kozacy, nie podejrzewając niczego, jechali swobodnie, głośno rozmawiając. Do uszu czekających w napięciu ludzi docierały ich śmiechy i przekleństwa. Czarne sylwetki jeźdźców przesuwwały się na wzgórzu, na tle jaśniejącego nieba. Boki minęły pojazdy i jechali dalej przez łąki, tak zagadani, że na nic nie zwracali uwagi.

Nina odetchnęła i przeżegnała się, dziękując Bogu za tę łaskę. Niespodziewanie jeden z kozackich koni, być może kobyła, wyczuła ogiera i rzuciwszy się pod jeźdźcem, zarżał potężnie. Ogier wyrwał się z rąk Tomka i odpowiedział równie donośnym rzeniem, aż głos odbity od wody poniósł się echem. Wszyscy zdrętwieli. Kozacy błyskawicznie zawrócili

zwinne koniki i przycwałowali na drogę, z palcami na cynglach karabinków. Ostry, rozkazujący głos zapytał szorstko:

– Wy kto?

– Niech się panie nie odzywają – polecił szeptem pan Piotrowski, a głośno odezwał się po rosyjsku, władając tym językiem biegle i z doskonałym akcentem: – Czego od nas chcecie? Nie widzicie, że karetę ugrzęzła w piasku i nie możemy ruszyć?

– *Ruki wwierch*^{13!} – warknął ten sam głos i z gęstwiny zarośli wynurzył się rosły kozak na kudłatym koniu.

Za nim pokazało się kilku innych jeźdźców. Podjechali do karety, starając się przebić wzrokiem półmrok i zorientować się, z iloma ludźmi mają do czynienia.

– Panowie... – perswadował pan Piotrowski – jesteśmy spokojnymi podróżnymi i chcemy dojechać bezpiecznie do domu. – Nieznacznie odwrócił się do Maćka i szepnął: – Wpadliśmy, ładować broń.

– Nie szeptać tam! Ilu was jest? Wychodźcie na środek drogi z podniesionymi rękami! Dalej! – rozkazał dowódca patrolu i podjechawszy do karety, szarpnął i otworzył drzwiczki, zaglądając do środka. Jego bystre oczy dostrzegły w mroku przytulone do siebie kobiety. Roześmiał się z satysfakcją. – Ot, braciszku, to my baryszenie naszli! No, zapłacicie nam za fatygę. Wychodzić!

Nina zacisnęła dłoń na ramieniu Miry, przygniatając ją do siedzenia. Sama wolno, mechanicznym ruchem zebrała fałdy szerokiej krynoliny i ociągając się, wstała. Czuła rozchodzący się od serca lodowaty chłód. Zacisnęła mocno zęby i rozejrzała się, szukając wzrokiem oficera, by odwołać się do jego honoru. Lecz pośród kozaków oficera nie było. Zrozumiała, co ich czeka, gdy kozacy odkryją prom i domyślą się wszystkiego. Mężczyźni dostaną kulę w łeb, bo będą się bronić do ostatniego naboju. W najgorszym razie powędrują za końskim ogonem do najbliższego miasta i po przesłuchaniu zawisną na szubienicy. Ale one tu zostaną, zdane na łaskę i niełaskę kozaków!

Zagryzła wargę, żeby głośno nie szczełakać zębami, i odezwała się pewnym głosem:

– Przecież dokumenty mamy w porządku. Możecie sprawdzić. Ja znam osobiście generała Uszakowa i pułkownika Czengierego. Poskarżę się im, jeśli nas skrzywdzicie.

Próbowała zagadać kozaka, aby zyskać na czasie. Za ścianą karety usłyszała cichutki szcęk metalu. Chłopcy ładowali pistolety.

– Nu, zobaczymy co z was za ptaszki! Pokażcie te dokumenty. – Dowódca kozaków wyciągnął do niej rękę.

– Kuźma, na rzece stoi prom! – wrzasnął podnieconym głosem jeden z kozaków, zjechawszy na brzeg Wisły.

– A, to wy tacy? Wychodzić, bo strzelamy! Wszyscy na drogę!

Kozacy cofnęli się, celując z karabinków w karecę. Ciągłe jeszcze nie mogli się zorientować, z iloma przeciwnikami mają do czynienia. Sam patrol liczył zaledwie kilkunastu ludzi.

– Niech pan nie strzela! Już wychodzimy! – zawołała Nina błagalnie i stanęła na stopniu karety.

Na razie obie strony trzymały się w szachu i sytuacja była patowa. Kozacy czaili się w zaroślach, a półmrok nie pozwalał im dokładnie rozeznąć się w sytuacji. Podejrzewali, że Polaków może być więcej i czekali, aż się rozwidni, żeby zaatakować. Lecz dowódcę korciły kobiety i podjechał bliżej. Zapalił suche drewnisko i podniósł je do góry, aby przypatrzeć się Ninie. Jego skośne czarne oczy wpiły się w nią, a pod długimi wąsami w okrutnym uśmiechu błysnęły białe zęby. Wpatrywał się w nią długą chwilę i gwizdnął przeciągle.

– Prosto cud krasawica! – mruknął. Wyciągnął rękę i pieszczotliwie dotknął jej policzka.

Pod wpływem tego muśnięcia poczuła, że zamiast serca ma kamień w piersi. Silna męska ręka chwyciła ją za warkocz. Szarpnął tak gwałtownie, że zobaczyła wszystkie gwiazdy. Nieznacznie sięgnęła do kieszeni sukni. Z marmurową twarzą, na której nie malowało się żadne wzruszenie, patrząc kozakowi prosto w oczy, szybko jak myśl wyciągnęła pistolet i nacisnęła cyngiel. Kula trafiła tam, gdzie celowała – w sam środek czoła! Mogło się wydawać, że wszyscy czekali na ten znak. Stach odwrócił się płynnym ruchem i potężnym uderzeniem ołowianej rękojeści bata zwałił z konia stojącego obok kozaka.

– *Hospody!* – ryknął trzeci, trafiony przez pana Piotrowskiego. Rozłożył ramiona i spadł martwy z konia.

Maciek rzucił się jak tygrys na czwartego kozaka, wbijając mu w piersi sztylet po samą rękojeść. W tej samej chwili Tomek zamachnął się długim biczem i ciął nim konia stojącego najbliżej kozaka. Oszalałe z bólu zwierzę

skoczyło czterema nogami w górę i wycięło tylnymi kopytami, wyrzucając jeźdźca z siodła. Kozak nie zdążył wyjąć stopy ze strzemienia i rozbiegany koń pogalopował przed siebie, ciągnąc go za sobą po ziemi. Reszta kozaków jak na komendę dała ognia. Strzelali niecelnie i kule gwizdnęły tylko nad głowami Polaków, nie czyniąc nikomu krzywdy, ale konie zaprzężone do karety i bryczek, przerażone strzałami, zaczęły się rzucać w uprzęży i rzeć. Tomek, ryzykując życie, zaczął je pod gradem kul wyprzęgać. Tymczasem robiło się coraz jaśniej. Wstawał ciepły i pogodny kwietniowy poranek. Lada chwila mogły nadejść kozakom posiłki, zaalarmowane odgłosem strzałów.

– Niech panie wsiadają na konie! – rozkazał pan Piotrowski, obejmując dowództwo. – Uciekajcie, my ich tu zatrzymamy.

– *Pli!* – rozległa się rosyjska komenda i grad kul posypał się na karete, dzwoniąc o stalowe podwozie i przeszywając pudło powozu na wylot.

– Jezu! – stęknął przewoźnik, waląc się na ziemię.

– Uciekajcie! – powtórzył rozkaz kapitan.

– Ja nie potrafię jeździć konno! – zawołała Mira z płaczem. – Spadnę i się zabiję. Dajcie mi pistolet, będę strzelać!

– Ja także nie dam rady jechać konno – powiedziała Jaga. Spojrzała na Ninę i zakreśliła jej na czole krzyżyk. – Uciekaj, ratuj się, moje dziecko najdroższe. Dajcie mi wystrzeloną broń, to będę nabijać. Nina, rusz się!

Przez jedną krótką chwilę Nina toczyła z sobą straszną walkę. Tak bardzo chciała żyć, zobaczyć męża, powrócić do ukochanego Makowa. Wystarczyło wskoczyć na konia i zniknąć w ciemnych zaroślach. Kozacy z pewnością nie będą jej ścigać, może nawet nie zauważą jej ucieczki. Lecz zdawała sobie sprawę, że do końca życia prześladować ją będą twarze niani, Miry i tych cudownych chłopców, którzy zapłacą życiem, osłaniając ogniem jej ucieczkę. Będzie ich widziała w snach i na jawie, w dzień i w nocy. Czy potem odważy się spojrzeć w oczy mężowi, matce Maćka, żonie i dzieciom Stacha? A po najdłuższym życiu czy odważy się spojrzeć bez wstydu w oblicze Boga?

– Nie! – oświadczyła stanowczo. – Ja zostanę. Ale ty, Tomku, uciekaj z końmi i jedź w tę stronę, z której ma nadjechać pan naczelnik.

– Ja nie pojadę! – krzyknął z rozpaczą chłopak i pobladł śmiertelnie, wpatrując się w nią rozbieganymi oczami. – Nie zostawię mojej pani. Lepiej tu zginąć, niż powiedzieć panu, że was pomordowano!

– Tomku, rozkazuję ci w imieniu pana naczelnika, bierz konie i jedź, bo za chwilę zabiją nam zwierzęta! – powiedziała twardym tonem. – To nie jest ucieczka. Zrozum, nawet jak przeżyjemy, nie ruszymy się stąd, mając martwe konie. Amunicja musi dotrzeć do obozu. Postaraj się znaleźć pana naczelnika.

Chłopak spojrział na nią oczami pełnymi łez, potem jednym skokiem znalazł się na końskim grzbiecie i ciągnąc za sobą pozostałe konie, zniknął zakryty drzewami. Słońce wznosiło się coraz wyżej nad linią horyzontu, złocąc czuby drzew.

Nina, leżąc za kołem karety, podziwiała ten cud natury, na który zwykle nie zwracała uwagi. „Jaka szkoda, że nie zobaczę już zachodu słońca i nie dożyję poranka” – rozmyślała z najgłębszym żalem. Wtuliła twarz w gęstą zieloną trawę, lecz zaraz zmusiła się, by podnieść głowę i starannie wycelowwała z pistoletu w lekko poruszającą się gałąź krzaka. Wymierzyła dokładnie i wolno nacisnęła cyngiel. Usłyszała wystrzał, okrzyk bólu i po jej wargach przemknął uśmiech ponurego zadowolenia.

Sytuacja była raczej beznadziejna. W każdej chwili mogły nadciągnąć posiłki kozackie i zakończyć walkę. Zeskoczywszy z koni, pokryli się w zaroślach i strzelali gęsto, haniebnie pudłując. Jak dotąd nikt poza nieszczęsnym przewoźnikiem nie został nawet draśnięty. Zaszyci w krzakach kozacy byli niewidoczni, za to cel mieli jak na dłoni i uparcie dziurawili pudło karety i obie bryczki.

„Za chwilę będzie po nas – pomyślała Nina, z trudem zachowując spokój. – Jeżeli trafią w amunicję, wylecimy w powietrze. Może to i lepiej? Boże, po jakiego licha posłuchałam pani wojewodziny?”. Modliła się, żeby ta męka nie trwała długo, gdyż miała wrażenie, że od początku potyczki minęły wieki. „Czy to nie idiotyczny żart losu, że wyszłam ze śmiertelnej choroby tylko po to, żeby zginąć tutaj za sprawę, która jest mi obojętna?”.

– Na litość boską, niechże się panie ratują, dopóki ich jeszcze powstrzymujemy! – odezwał się ochrypłym głosem pan Piotrowski.

– Nie uciekniemy daleko. Dogonią nas i... Nie, lepiej już zginąć od kuli.

– Nina przełknęła ślinę, zwilżając zaschnięte gardło.

Podczołgała się nieco dalej i pociągnęła Maćka za nogawkę. Obejrzał się na nią niecierpliwie. Twarz miał skurczoną dziką nienawiścią, a w kącikach ust pianę. W jego oczach płonęła wprost zwierzęca wściekłość.

– Maciuś... – szepnęła drżącym głosem. – Daj mi słowo honoru powstańca, że nie pozwolisz, aby mnie wzięli żywą. No wiesz... zrobisz to?

– Nikogo z nas żywcem nie dostaną. Przysięgam na zbawienie duszy, że im mojej jaśnie paniulki nie oddam. – Uniósł wargi w złym grymasie. Na tle ciemnej opalonej twarzy zaśniły białe zęby, ostre i drapieżne jak u dzikiego zwierzęcia. – Ot, tam nasze wybawienie. – Ruchem głowy wskazał wyładowany amunicją dach karety. – Ja nie spudłuję...

Uścisnęła mu rękę, uspokojona i nawet pogodziona z losem. To będzie lekka śmierć, może nawet nic nie poczuje? Pod wpływem ciepłych promieni słonecznych znad rzeki podniosła się mgła i zasnęła brzeg Wisły, przysłaniając drzewa i zarośla. Ranek był tak piękny, że Ninie zrobiło się żal, że musi umierać na wiosnę. Ponownie złożyła głowę na trawie i wdychała jej zapach i woń ziemi, którą ukochała całym sercem. Wtem pan Piotrowski poderwał się i wyciągnął szyję, pilnie nad słuchując.

– Chryste! – wrzasnął w ostatniej rozpaczy. – Kryjcie się, Moskale nadjeżdżają!

Teraz już wyraźnie słychać było pędzące galopem konie i trzask łamanych gałęzi. Jakiś oddział nieprzyjacielski, zaalarmowany strzałami, nadjeżdżał z pośpiechem, łamiąc ciężarem koni zarośla. Nina poczuła, że obejmuje ją mocne ramię Jagi. Odszukała rękę Miry i ścisnęła ją z całej siły, wpijając paznokcie w jej ciało. W nagle zapadłej ciszy usłyszała ufny szept modlitwy niani:

– Kto się w opiekę odda Panu swemu i całym sercem szczerze ufa Jemu, śmieie rzec może: „Mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga”.

Nina nie miała nawet siły, by przyłączyć się do modlitwy. Skuliła się, przymknęła powieki, czekając, aż piki kozackie przygwożdżą ją do ziemi albo usłyszy wystrzał i wyleci w powietrze w obłoku ognia i dymu. Kątem oka dostrzegła, że Maciek wstaje i wolno podnosi rękę z rewolwerem, celując w dach karety. Czekał... Widocznie mściwie pragnął, aby razem z nimi zginęli także kozacy. W zaroślach rozległ się przeraźliwy, mrozący krew w żyłach krzyk i natychmiast rozległy się wściekłe wrzaski, kwik koni i huk strzałów. Z krzaków wypadł oszalały ze strachu koń kozacki, niosąc na grzbiecie zalaną krwią kulbakę.

– Nasi! – ryknął pan Piotrowski z uniesieniem i wyrzucił w górę czapkę.

– Maryjo, Józefie Święty, to nasze chłopaki! – krzyczał wniebogłose Maciek, strzelając na wiwat w powietrze. – A bywajcie, w samą porę!

Stach upadł na kolana i żegnając się, odmawiał głośno pacierz, dziękując Bogu za ocalenie. Jaga i panna Lutówna płakały, nie wstydząc się łez. Nina tak osłabła ze wzruszenia, że nie miała siły podnieść się i leżała z czołem przyciśniętym do koła karety. Modliła się bez słów, samym tylko bezgranicznym porywem wdzięczności. Otworzyła oczy i naraz wzrok jej padł na kozaka, którego sama zabiła. Kula z pistoletu zmasakrowała mu twarz. Z krwawej maski wyłaniały się tylko zęby, wyszczerzone w szyderym grymasie śmierci. Poczowała zawrót głowy i zrobiło się jej niedobrze. Upadła twarzą na trawę, dławiąc się i charcząc. Pusty żołądek kurczył się i podchodził pod gardło. Jak przez watę słyszała tubalne głosy mężczyzn, szloch Miry i radosny śmiech Jagi.

Ktoś przyklęknął obok i czyjaś dłoń delikatnie uniosła jej głowę. Chłodna blacha manierki dotknęła ust. Ufnie pociągnęła długi łyk i krztusząc się, kaszłąc i dysząc, ponownie opadła na trawę, oszołomiona ognistym smakiem wódki. Była tak wyczerpana nerwowo, że nie miała nawet ochoty otworzyć oczu i zobaczyć, kto przy niej klęczy. Spirytus palił ją w gardle jak ogień. Czyjaś troskliwa ręka otarła jej twarz z potu chusteczką zamoczoną w wodzie. Gorące usta dotknęły jej czoła, składając długi, mocny pocałunek. Drgnęła, bo było to bardzo znajome dotknięcie.

– Zdążyliśmy w ostatniej chwili! – Usłyszała głos i natychmiast podniosła powieki, otwierając szeroko oczy.

Aleks był jeszcze bardzo blady, w jego źrenicach tliły się iskierki okropnego lęku. Pochylił się nad żoną nisko, a jego mocne ramiona przygarnęły ją z całej siły do piersi.

– Aleczku – szepnęła, ogarnięta falą nieopisanego radości.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pokrywała namiętymi pocałunkami jego gorące usta i policzki, szorstkie od zarostu. Nie mogła jeszcze uwierzyć, że to nie sen, nie przywidzenie, z którego ocknie się do strasznej rzeczywistości. Powoli uzmysłowiła sobie, że żyje i patrzy w pełne miłości oczy męża. Trzymała go kurczowo przekonana, że zaraz zniknie, kiedy tylko wypuści go z ramion. Wpatrywał się w nią, potrząsając głową. Na jego twarzy malował się niezdecydowany wyraz, i szczęścia, i gniewu.

– Właśnie się zastanawiam, czy mam na ciebie krzyczeć, a może przełożyć cię przez kolano i wlepić kilka klapsów, co? Co ty tu robisz,

młoda damo? Myślałem, że jesteś już we Francji, błagałem cię o to! Dlaczego tak strasznie się narażałaś?

Nina się uśmiechnęła.

– Czy wiesz, że zasłużyłaś na piekielną awanturę? – zrzędził, udając surowość. Potrzęsnał nią. – Wiesz o tym?

– Tak – powiedziała słodko i pokornie. – Kocham cię, mój jedyny. – Gładziła go po włosach, jeszcze nie mogąc uwierzyć własnym oczom. – Krzycz na mnie, bij, ale ja nigdy z kraju nie wyjadę i ciebie nie opuszczę – szeptała, tuląc się do niego.

– Ja też cię kocham, lecz mimo to mam ochotę dać ci w skórę! – Naraz rozejrzał się z błyskiem potwornego przerażenia. Z twarzą białą jak papier skoczył na równe nogi i spojrzał na podziurawione pojazdy. – A gdzie dziecko?! – krzyknął.

– Uspokój się. Mała jest bezpieczna i w tej chwili jedzie z Binią do Świerszczyn. Przecież nie mogłam zabrać jej z sobą w tę podróż. – Nieznacznie wzruszyła ramionami.

Wziął głęboki oddech, a po jego twarzy przemknął cień.

– Należało pozostać z dzieckiem w Krakowie. Dlaczego oddałaś córkę Bini?

Nina podniosła się z ziemi i starannie otrzepała spódnicę.

– Potem ci wszystko opowiem. Jak nas odnalazłeś?

– Tomek nas naprowadził.

– Doprawdy ten chłopak wart jest tyle złota, ile waży! Już drugi raz ratuje mi życie. Wszyscy nasi chłopcy spisali się po bohatersku. Nie wiem, jak zdołamy się im zrewanżować.

Pozwoliła, żeby mąż otrzepał ją z ziemi i żdźbeł trawy i pomógł usiąść na kłodzie zwałonego drzewa. Zerknęła na martwego kozaka i wzdrygnęła się ze wstrętem.

– To ja zabiłam tego człowieka – wyszeptała, ruchem głowy wskazując trupa.

– Kochanie, on nie zasłużył na nic lepszego – powiedział Aleks, a jego rysy przybrały zimny, bezlitosny wyraz. Spostrzegł, że ona patrzy na martwego kozaka z przerażeniem, i rozkazał go uprzątnąć.

Otaczało ich kilkunastu roześmianych młodych powstańców. Między nimi poznała synów dziedziców z sąsiednich dworów, dzierżawców i oficjalistów z makowskich folwarków, gajowych, parobków i

gospodarskich synów. Wszyscy mieli dobre, mocne konie i byli jednakowo ubrani, w granatowe czamary z amarantowymi wypustkami. Na rozkaz dowódcy zeskoczyli z wierzchowców i szybko odciągnęli zwłoki zabitych kozaków, wrzucając je do Wisły. Fale cicho plusnęły i zamknęły się, kryjąc w sobie ciała poległych. Obserwująca tę scenę Nina uznała, że wprawdzie przyjemnie było w panińskich czasach marzyć o czynach Emilii Plater, ale rzeczywistość wcale nie była romantyczna i wolałaby zapomnieć o tym strasznym momencie, gdy twarz żywego człowieka zamienia się w krwawą maskę.

– Boże Świąty, spadliście nam panowie jak z nieba – powiedziała Mira. – Było już z nami krucho.

– Spóźnił się – rzekł Aleks i na wspomnienie strasznego przeżycia ponownie poczuł, że krew zastyga mu w żyłach. – Wpadliśmy przypadkiem na patrol dragonów. Dwóch zabiliśmy, ale pozostałych trzech zdołało nam uciec. Musieliśmy ich ścigać, żeby nie naprowadzili na nas wojska. Idąc naszym tropem, mogli dotrzeć do was. Zapędziliśmy się daleko w las i zabłądziliśmy. Z daleka usłyszeliśmy strzelaninę, potem natknęliśmy się na Tomka. To on zaprowadził nas nad rzekę.

Westchnął i posłał Ninie wymowne spojrzenie.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co przeżyłem, kiedy Tomek powiedział, że ty się tutaj znajdujesz? Przecież mogliśmy nie zdążyć.

Nina artystycznie udała skruchę, której wcale nie czuła.

– No, nie dla wszystkich potyczka zakończyła się pomyślnie – wtrącił pan Piotrowski. – Mamy zabitego przewoźnika.

– Nie, on żyje! – zawołała Mira z radością, klęcząc przy rannym i ostrożnie badając wlot kuli. – Jest poważnie ranny i musi być operowany, ale żyje.

– Okryjcie go pledami! – poleciła Nina. Podeszła do kapitana i wsunęła mu do kieszeni plik banknotów. – To dla tego biedaka – rzekła półgłosem.

– Rozumiem. A teraz najwyższy czas ruszać, bo lada chwila Moskale zwałą się nam na kark – ostrzegł pan Piotrowski. Pożegnał się ze wszystkimi serdecznie, a kiedy rannego wniesiono na prom, natychmiast popłynął w stronę Krakowa.

Dzięki odwadze i sprytowi Tomka żaden koń nie został ranny. Były tylko bardzo przestraszone i chrapały, węsząc zapach krwi. Zaprężone do karety i bryczek, ruszyły posłusznie, ciągnąc z wysiłkiem ciężkie pojazdy. Jaga

spojrzała wymownie na pannę Lutównę i obie przesiadły się na bryczkę, pozostawiając małżonków samych. Zaledwie karetka ruszyła, Nina ponownie znalazła się w ramionach męża.

– Dawno się nie widzieliśmy i niemal już zapomniałem, jaka jesteś piękna. Nigdy jeszcze tak ślicznie nie wyglądałaś – powiedział, nie spuszczając z niej oczu.

Jego dotyk wystarczył, żeby obudzić w niej pragnienie. Ona również na nowo odkrywała jego urodę. Blask bursztynowych oczu, miękkość złotych włosów i smak warg. Całował ją wolno, uśmiechając się, a każda pieszczota, każdy dotyk parzył ją jak ogień. Wodził wargami po jej twarzy i szyi, gładził splecione w warkocze włosy.

– To ty jesteś piękny, Alku – wyszeptwała, dysząc. – Pewnie nigdy żadna kobieta nie powiedziała ci „nie” i nie dała kosza.

Z drwiącym uśmiechem uniósł brwi.

– Kosza? Zwykle nie proponowałem paniom małżeństwa.

– Nie? A co im proponowałeś? – spytała, opuszczając długie rzęsy.

Przeczesał palcami jej włosy.

– Myłaś rano buzię? – zagadnął, raptownie zmieniając temat.

– A cóż to za nietaktowne pytanie! – prychnęła urażona.

– A czy twoje pytania były taktowne? – odciął się i mocno pocałował ją w usta.

Kiedy trochę ochłonęli, ściągnął brwi, zastanawiając się nad czymś.

– Jednego nie rozumiem, słonko... Kurier zawiadomił mnie, że z Krakowa rusza transport amunicji. Ale byłem tak zdenerwowany, że nawet nie spytałem Piotrowskiego, kiedy mi ją dostarczy.

– Przecież ją eskortujesz – rzekła z przekornym uśmiechem. – Po to jechałam do Krakowa.

Wpatrywał się w nią, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Nino, ależ to było szaleństwo! – wybuchnął z gniewem. – Ja bym ci nigdy na to nie pozwolił!

– Wiedziałam o tym i jadąc do Krakowa, użyłam podstępu. Potrzebowałeś broni i amunicji. Nie gniewasz się na mnie, że cię okłamałam?

– Promyczku, powinienem dziękować ci na kolanach. – Przycisnął usta do jej włosów. – Jesteś prawdziwą bohaterką. – Na samą myśl, jak strasznie ryzykowała, przebiegł go zimny dreszcz.

Ukryła twarz na jego piersi i opowiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło. Wspominając śmierć synka, głośno płakała.

– Tak mi przykro, Alku, bo zawiodłam twoje nadzieje – szlochała. – Chciałeś syna.

– Nie wolno ci się o cokolwiek obwiniać. To cud, że przeżyłaś ten poród. Nie umiałem pogodzić się ze świadomością, że możesz przypłacić życiem narodziny naszego dziecka. Ta myśl przez długie miesiące była dla mnie torturą. Kiedy wyjechałaś, a z Krakowa nie nadchodziła żadna wiadomość, byłem bliski obłądu. Dopiero Orlewicz dał mi znać, że żyjesz i szczęśliwie urodziłaś dziecko. Wstyd się przyznać, ale wtedy upiłem się z radości! Więc mamy córeczkę? Jak ona wygląda, ma twoje oczy? Jakie ma włoski i do kogo jest podobna? Całe życie pragnąłem dziecka i ogromnie się cieszę z naszej córeczki. Opowiedz mi o niej!

Jeszcze nigdy w życiu Nina nie czuła się tak upokorzona i nieszczęśliwa. Aleks chciał wiedzieć o dziecku wszystko. Każde jego pytanie było ciosem w serce. Musiała kłamać, bo wcale nie wiedziała, jakiego koloru były oczy ich córki. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że mała jest obrzydliwie łysa i niepodobna do nikogo.

– Oczy? – Udała, że się zastanawia, cierpiąc pod jego uważnym wzrokiem. – Wiesz, ona jeszcze jest malutka, a dzieciom zmienia się kolor oczu. Na razie włosków ma niewiele, ale myślę, że będą jasne, po tobie. Widzisz, ona jest wcześniakiem i trzeba na nią ogromnie uważać, strzec przed przeziębieniem. Na szczęście pani Piotrowska wystarała się o idealną mamkę, która dziecko uwielbia. Martwiłam się, bo przecież nie mogłam małej zabrać z sobą i dopiero Binia wybawiła mnie z kłopotu.

– Nino, przecież ja cię prosiłem, żebyś pozostała za granicą – przypomniał, ściągając brwi.

Przez rozbite kulą okna wpływało do wnętrza karety świeże poranne powietrze, ale ciągle jeszcze czuć było zapach prochu.

– Alek, nie myślałeś tego poważnie!

– Owszem, jak najpoważniej. Miałem nadzieję, że pozostaniesz z dala od tego piekła.

Nina była tak zakłopotana jego dociekliwymi pytaniami o dziecko, że nawet nie zwróciła uwagi na szczególny ton, jakim je zadawał. Mogło się wydawać, że czegoś od niej oczekiwał, jego oczy kryły błysk, którego nie

potrafiła zanalizować. Ale była zbyt zajęta własnymi myślami, żeby zważać na zachowanie męża.

– Zagrażało ci śmiertelne niebezpieczeństwo, a ja nie mogłem ci pomóc. – Dotknął palcem jej policzka i obrysował owal twarzy. – Nadal nie rozumiem, jak mogłem tyle czasu żyć z tym ciężarem. Czekałem na twój poród i o mało nie osiwiiałem od strasznych myśli, które mnie nachodziły.

– Nawet profesor się zastanawiał, jak zdołałam przeżyć ten koszmar. – Zaśmiała się swobodnie, daleka już od wspomnień o porodowych męczarniach. Pragnąc zmienić temat, zaczęła go wypytywać o dom i rodzinę.

– Trzeba się pogodzić z faktem, że nasze majątki na wschodzie uległy doszczętnemu zniszczeniu – powiedział. – Pewien powstaniec z partii Lewandowskiego mówił, że nad Bugiem widział wszędzie spalone wsie i dwory.

– To Kaniówka przepadła? Szkoda mi naszego stada koni.

– Obawiam się, że po powstaniu te majątki już do nas nie wrócą.

Skinęła smutno głową i zamilkła. Nagle poderwała się i poszukawszy torebki, wyciągnęła z niej pomiętą gazetę. Uniosła ku niemu promieniejące radością oczy.

– A może nie będzie tak źle? Kochanie, wiozę ci niewiarygodną, wspaniałą wiadomość! Nie mogłam się doczekać chwili, żeby ci o tym powiedzieć. Przeczytaj tylko ten artykuł! – Podsunęła mu „Czas”, wskazując palcem kolumnę z manifestem cara.

Bez większego zainteresowania rzucił okiem na artykuł i nie czytając go nawet, odłożył gazetę na kanapkę. Nie okazał ani zdumienia, ani radości, jakiej się po nim spodziewała.

– Jak to, nie czytasz? Przecież to dotyczy ciebie. – Wpatrywała się w niego, niemile zawiedziona i zdumiona jego reakcją.

– To mnie nie interesuje.

Uśmiech powoli zniknął z jej ust.

– Alku, przecież ten manifest cara dotyczy całego kraju. Wszystkich walczących i ich rodzin. Nie rozumiesz tego?

– Czytałem go wcześniej od ciebie. Takie obwieszczenia wiszą w każdym miasteczku, a księża, sołtysi i wójtowie mają obowiązek ogłaszać treść manifestu ludności.

– Zdumiewasz mnie. Powiedziałaś to takim tonem, jakby ten manifest cię nie obchodził. – Odsunęła się od niego i zmusiła się, by zachować spokój.

– Bo mnie nie obchodzi – odrzekł obojętnie.

Ogarnął ją lodowaty chłód. Oblizwała suche wargi i z niedowierzaniem patrzyła na męża. Nie wiedziała, co ma sądzić o jego zachowaniu. Dla niej manifest był najradośniejszą nowiną od momentu wybuchu powstania.

– Alek! – Chwyliła go za rękę. – Czy mam rozumieć, że nie chcesz skorzystać z amnestii? – zapytała zmienionym głosem i zaczęła drżeć.

Powędrował spojrzeniem gdzieś przed siebie, wyglądając ze znudzoną miną przez okno. Mogłaby przysiąc, że pragnie ukryć przed nią wyraz oczu, ale gdy odwrócił ku niej głowę, jego rysy nie odzwierciedlały żadnych uczuć, były nieprzeniknione. Wmawiała sobie, że jest to tak ważna decyzja, iż Aleks przed jej podjęciem musi sprawę dokładnie przemyśleć. Był przecież dowódcą powstańczej partii, odpowiedzialnym za los swych żołnierzy. Rozumiała także, że wydanie rozkazu rozwiązania oddziału będzie dla niego bardzo trudne. Mimo wszystko wierzyła, że nie odrzuci tej jedynej, jakże ważnej szansy na powrót do domu. Do niej! W tym momencie miłość do męża wzrosła w jej sercu aż do zapamiętania. Pragnęła przytulić jego głowę do piersi i scałować tę głęboką zmarszczkę widoczną pomiędzy ciemnymi brwiami. Wpatrywała się w niego z mocnym biciem serca, oczekując na jego słowa. Zauważył, że ona patrzy wyczekująco. Momentalnie jego twarz przybrała zimną, stanowczą minę.

– Posłuchaj... – powiedział to szorstko, bez cienia czułości. – Nie zamierzam cię oszukiwać i łudzić próżnymi nadziejami. Dla większej części powstańców propozycja cara jest nie do przyjęcia i nie zamierzamy z niej skorzystać.

Nagle zabrakło jej tchu, a w głowie zawirował rój złośliwych pszczoł, nieznośnie brzęcząc w uszach. Przez jakiś czas słyszała tylko łomot swego serca. Poczula, że się dusi i położyła dłoń na piersiach. Och, była taka głupia i naiwna jak gąska! Jakże mogła uwierzyć, że on się zmieni? Zaprzeczanie samemu sobie nie leżało w jego naturze. Kiedy raz podjął jakąś decyzję, nigdy jej nie zmieniał i był twardy jak kamień! Z trudem zaczerpnęła powietrza i zaczęła mówić, a raczej bełkotać jak osoba niespełna rozumu:

– Alek! Zamierzasz zignorować to wszystko, co ci powiedziałam? – Wpatrywała się w niego z rozpaczą. – Jezus... Nie, ja nie pozwalam! Ja nie

dam ci zginąć. Co ty za nonsensy wygadujesz? Nie chcesz wrócić do domu? Tak bardzo zasmakowała ci ta przeklęta wojaczka? Nie pragniesz sam wychować swojego dziecka? Alek, zastanów się... Przez miłość do mnie i do naszej córeczki. Błagam cię, zwolnij ludzi z przysięgi i wracaj, wracaj do Makowa! Nie waż się odrzucać jedynej, ostatniej szansy na normalne życie.

Zwrócił się ku niej i patrzył na nią z litością. Tego akurat uczucia wcale sobie nie życzyła. Z uporem potrząsnął głową.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. Wysłuchałem twego zdania i nie mam zamiaru go komentować.

To było wprost nie do wiary i Nina zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, żeby kilka miesięcy walki w powstaniu pozbawiło go ludzkich uczuć.

– Nie! – krzyknęła, spazmatycznie chwytając powietrze. – Alku, musimy porozmawiać poważnie. Matko Święta, tylko mi nie mów, że wolisz zginąć, niż honorowo zakończyć walkę i wrócić do domu! Nie mów mi tego, bo zwariuję! Wiozłam tę gazetę z taką radością i nadzieją, że to już koniec naszej udręki. Byłam wprost wniebowzięta na samą myśl, że nigdy więcej nie będę musiała się bać. Bo ja się bardzo boję, Aleczku! Od początku tego przekłętego powstania zabija mnie strach. Lękam się o twoje życie, o nasz Maków. Mam przecucie, że nie przeżyję tej masakry. Śni mi się po nocach, że zsyłają mnie na Sybir, a ciebie wieszają.

– Jestem oficerem gwardii i zostanę rozstrzelany – poprawił ją bezlitośnie.

– Alek, nie drwij! Nie ośmielaj się szydzić z moich słów, bo jeszcze nigdy nie rozmawiałam z tobą w tak ważnej sprawie.

– Nino... – zaczął, ale nie pozwoliła mu skończyć zdania.

– Słuchaj, jeden Bóg wie, co przeżyłam, kiedy poszedłeś do lasu, pozostawiając mnie na łasce losu. Wiedziałeś, jak bardzo jestem chora... Ale poszedłeś! Może nasz synek urodził się martwy, bo przez długie miesiące nie miałam ani chwili spokoju. Bo szalałam z rozpacz i tęsknoty za tobą. Bo zmagalam się z najazdami wojska i ruiną majątków, kiedy ty porzuciłeś mnie dla romantycznej chimery!

Wziął głęboki oddech i usiadł na kanapce wyprostowany.

– Nino, tyle razy rozmawialiśmy na ten temat, że to staje się po prostu nudne – oświadczył spokojnie.

– Nie, pozwól mi dokończyć. Poszedłeś do lasu, by spełnić swój patriotyczny obowiązek. Rozumiem. Wróciłeś tylko po to, żeby mi powiedzieć, że musicie mieć broń. Postanowiłam ci pomóc. Jechałam do Krakowa pewna, że żywa stamtąd nie wrócę. To była ciężka droga... – Umilkła i z trudem pohamowała wybuch płaczu. Po krótkiej przerwie mówiła dalej, z coraz większym uniesieniem: – Nie możesz sobie nawet wyobrazić tych trzech dni potwornych mąk, nieludzkich tortur! Gryzłam własne palce i modliłam się nie o życie, a o śmierć! I nienawidziłam cię. Twojej obowiązkowości, która kazała ci iść do lasu, zamiast być przy mnie w tej okropnej godzinie, gdy ważyły się moje losy. Chciałeś mieć dziecko, więc powinienes być świadkiem moich męczarni. Ale ciebie nie było i nie słyszałeś moich krzyków, mego wycia, nie widziałeś strumieni krwi buchających z mego ciała. Myślisz pewnie, że to zwykła rzecz, każda kobieta rodzi w bólach. O nie! To nie był zwykły poród, ale walka o życie, wymyślna średniowieczna tortura. Wołałam ciebie, ale ty byłeś daleko. Jesteś dobrym patriotą, ale czy równie dobrym mężem? – Przerwała zadyszana i zaraz podjęła dalej: – Te miny lekarzy... Boże, nawet dziecko domyśliłoby się, że skazali mnie na śmierć. A ja tak bardzo pragnęłam żyć! Nie było cię przy mnie, kiedy powiedziano mi, że nasz synek urodził się martwy. Profesor przyznał, że cudem przeżyłam. Wyzdrowiałam jednak i kiedy przeczytałam o tej amnestii, to pragnęłam ptakiem zalecieć do Makowa, żeby ci powiedzieć, iż wkrótce będziemy razem. Omal nie umarłam z radości. Car okazał się uczciwym człowiekiem. Wypełniliście swój patriotyczny obowiązek i możecie z honorem wrócić do domu. Alku, marzę, żeby znowu każdej nocy słyszeć twój oddech przy sobie. Za tę łaskę, za twoje życie będę błogosławić cara! A ty mi mówisz, że nie zamierzasz z amnestii skorzystać?

– Najdroższa moja... – szepnął blady jak ściana, chwytając jej obie ręce. Pomimo zewnętrznego spokoju był równie wzburzony jak ona, tocząc z sobą wewnętrzną walkę.

Szarpnęła się wściekle, lecz nie zdołała wyrwać rąk z kurczowego uścisku.

– Nie mów do mnie tak czule! Powiedz mi, że wrócisz do domu. Tego od ciebie oczekuję!

Wzdrygnął się gwałtownie, a potem, zbliżywszy twarz do jej twarzy, wyrzucił z siebie z okrutną szczerością:

– Nawet dla twego dobra nie zrobię tego. Nigdy! – mówiąc to, patrzył wyzywającym wzrokiem w jej oszalałe z bólu oczy.

W duchu prosiła Boga o piorun, który zamieniłby ją w garstkę nieczułego popiołu. Zachłysnęła się łzami i objęła go, podnosząc ku niemu wykrzywioną grymasem płaczu twarz.

– Aleczku, przecież ja tylko pragnę, żebyś żył dla mnie i naszego dziecka. Nie zabijaj mnie tak bezlitośnie, bo jeśli ty zginiesz, ja pójdę za tobą. Zlituj się nade mną, proszę! – Pochyliła głowę do jego kolan i płakała nad swoją i jego dolą, wiedząc, że błaga go na próżno.

– Nino, uspokój się, to niczego nie zmieni – powiedział cicho, nieznacznie ocierając pot perlący mu się na czole. – Niepotrzebnie się egzaltujesz.

– Alek...

– Dosyć! – uciał stanowczo. – Jesteś bardzo naiwna, wierząc, że car ma dobrą wolę. Zaręczam ci, że krótko po moim powrocie do domu zjawiliby się żandarmi i bez sądu, bez rozgłosu rozstrzelano by mnie w jakimś ciemnym kącie. Czy życzysz mi tego? Nino, ja urodziłem się w Rosji i dobrze znam ich mentalność. To dobrzy, serdeczni ludzie, gościnni i pełni najlepszych chęci. Ale carowie litości nie znają. Dla buntownika kat i sznur! Zrozum, jak bardzo car musi czuć się upokorzony faktem, że zmuszony został przez trzy mocarstwa do ogłoszenia amnestii! Że mit o potędze jego armii okazał się fikcją i on okrył się śmiesznością! Tego nigdy nam nie wybaczy. Co miałbym powiedzieć moim chłopcom, którzy niezłomnie trwali przy mnie na dobre i złe? „Idźcie sobie, gdzie chcecie, bo ja wierzę carowi i wracam do domu”? To tak, jakbym splunął na krew przelaną pod Bodzentynem, Suchedniowem, Małogoszczą, Wąchockiem i na noclegu w chłopskiej osadzie. Tak, jakby ofiara ich krwi była niepotrzebnie przelana.

– Wolisz, żeby tych ofiar było znacznie więcej?

– Nino, ja tego wcale nie wolę, ale nie mam wyboru. Przyjmując amnestię, nie umiałbym zapomnieć o moich chłopcach mordowanych siekierami i widłami. Co noc widziałbym ich głowy topione w gnoju... Zrozum wreszcie, że ten akt łaski wcale nie jest przeznaczony dla nas, tylko dla świata. Żeby zamknąć usta opinii publicznej. Chodzi o to, żeby Europa zapomniała o Polsce chcącej wywalczyć wolność. Owszem, car ogłosił amnestię, ale nie dotrzyma słowa, kiedy tylko złożymy broń. Tak czy

inaczej, musimy walczyć do końca, bo innego wyjścia nie ma. Tyle już razy prosiłem cię, żebyś mnie nie zmuszała, abym postąpił wbrew sobie i stracił dla siebie szacunek.

Kiedy ich oczy się spotkały, wyczytała w jego źrenicach nieugiętą wolę. Skóra napięła mu się na policzkach i szczękach, jak zawsze, kiedy był naprawdę bardzo zły.

– Winszuję! – rzuciła przez zęby. – Mnie i Maków diabli wezmą, ale ty zdołasz zachować dla siebie szacunek. Pozostanie was garstka, bo większość powstańców wróci do domów.

– Mylisz się. Rozmawiałem z moimi chłopcami i dałem im wolną rękę. Oburzyli się na mnie i żaden nie chciał odejść. Ludzie nie wierzą w carskie słodkie słówka. Nie powiem ci, do czego posłużył im carski manifest!

– Ale większość społeczeństwa was nie poparła, bo naród pragnie spokoju – uparcie próbowała go przekonać.

– Co? Spokój w Polsce? – Roześmiał się drwiąco. – Prędzej w piekle zrobi się mroźno! Cały naród nas nie poparł, bo Polacy nigdy nie byli i nie są jednomyślni. Masz najlepszy przykład w naszym małżeństwie: oboje zawsze różnimy się w poglądach! – powiedział już na serio rozgniewany. – Masz tak mało honoru, że przyjąłabyś łaskę od człowieka, który cię policzkuje?

Ale i w jej sercu zaczął budzić się gniew, a spod długich rzęs strzelił zielony płomień – nieomylny znak ogarniającej ją wściekłości. Przygryzła dolną wargę tak mocno, że na języku poczuła słony smak krwi. Z rozgoryczeniem stwierdziła, że prawdopodobnie już do końca życia zdana będzie tylko na siebie. Aż do upadku powstania budzić się będzie z krzykiem, śniąc, że do pałacu wdziera się wojsko i niszczy wszystko, co napotka na drodze. Patrząc na męża z bezsilną złością, przeklinała w duchu jego niezłomny upór. Boże, dlaczego tak bezgranicznie musiała kochać tego mężczyznę? Odsunęła się od niego i gwałtownym ruchem rozłożyła na siedzeniu fałdy krynoliny. Już nie płakała. Gniew wysuszył łzy na rozpalonych policzkach. Siedziała w milczeniu, nastroszona i zacięta, nieprzekonana jego argumentami.

– Nino, spójrz tylko... – Aleks wskazał młodego chłopca kłusującego przy drzwiczkach karety. Siedział niedbale w siodle, mając konfederatkę nasuniętą zawadiacko na jedno oko. – Myślisz może, że on nocami nie tęskni do wygodnego łóżka, do matki czy narzeczonej? Wydaje ci się, że

nie obawia się śmierci? Ale spróbuj mu tylko wspomnieć o amnestii! Masz mnie za idiotę, który na złość żonie uparł się polec bohaterską śmiercią? Nie jestem pozbawiony instynktu samozachowawczego i wcale nie pragnę palmy męczeństwa. Jeżeli uznam, że dalsza walka nie ma sensu, zwolnię moich chłopców z przysięgi i wrócę do domu. Razem wyjedziemy za granicę. Ale wtedy na zawsze pożegnasz się z Makowem, bo więcej tu nie wrócimy. Nie tylko ty jedna wiesz, co to strach. Ja także się boję, czasami trzęsę się cały z przerażenia. Jednak człowiek nie może sobie pozwolić, żeby ośwładnął nim lęk, bo wtedy staje się kreaturą godną pogardy. Po prostu szmata... – Znużonym ruchem podniósł głowę i spojrzał na żonę ciężkim wzrokiem. – Prosiłem cię, żebyś pozostała za granicą. Uniknęlibyśmy tej rozmowy, która dla mnie jest równie przykra, jak i dla ciebie.

– Wyjadę z kraju tylko razem z tobą!

– Kobieto! – krzyknął, wyprowadzony z równowagi. – Czy doprawdy nic z tego, co powiedziałem, nie trafiło do ciebie? Jeżeli dalej zamierzasz dyskutować w tym tonie, to pomyślę, że ożeniłem się nie z tą osobą, z którą powinienem!

Odebrała jego słowa jak policzek.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić? – wysyczała. – Nie pierwszy raz słyszę od ciebie takie stwierdzenie.

Trudno jej było uwierzyć, że kiedyś istniały między nimi ciepło, miłość, śmiech, a jeszcze trudniej, że mimo wszystko była w nim głęboko zakochana, że był ojcem jej dziecka.

– Nigdy więcej nie chcę słyszeć o amnestii, rozumiesz?! – wybuchnęła. – Nie wiesz, co się wydarzyło w Budach Zaborowskich. Rosjanie rozbili tam oddział Dzieci Warszawy. Służyli w nim niedorośli chłopcy, nawet kobiety. Pomordowano ich z takim wynaturzonym okrucieństwem, że nawet oficerowie rosyjscy byli wstrząśnięci. Cała stolica jest w żałobie. Wyrznęli nasze dzieci i na otarcie łez ofiarowali nam amnestię! Niech ktoś ośmieli się powiedzieć o manifeście cara matkom pomordowanej młodzieży, to go rozerwą na strzępy! Ty, niemądra, uparta dziewczyno, zarzucasz mi, że jestem złym mężem, bo poszedłem do lasu, zamiast siedzieć w domu. Cóż, jest na to rada. Rozwiedź się ze mną i ogłoś to w gazecie. Władze carskie z pewnością znajdą się tak rycersko, że pozostawią ci Maków i zwrócą inne

majątki. Na pewno doczekasz wśród nich swego gorącego wielbiciela, który cię obroni.

O, tego już nie mogła słuchać spokojnie i rzuciła się na niego jak tygrysica.

– Uważasz, że jestem niemądra i uparta?! Jak możesz tak do mnie mówić po tym, co przeżyłam, kiedy przed godziną pieściły mnie kozackie kule, a ja gotowałam się na śmierć! To nic dla ciebie nie znaczy, że narażałam dla ciebie dwukrotnie życie?! Już po raz drugi proponujesz mi rozwód! Jeżeli uważasz, że popełniłeś pomyłkę, żeniąc się ze mną, to po powstaniu sama wystąpię o rozwód i odejdę od ciebie, nic nie biorąc, bo nic nie wniosłam prócz miłości. Mogę zrozumieć, że przejąłeś się nową zbrodnią Moskali, ale zastanów się lepiej, jak nazwać tych, którzy nie wahają się posłać bezbronne dzieci na pewną śmierć? I bądź tak łaskaw, nie wypominaj mi przy każdej nadarzającej się okazji pana majora Wielenina. To nie jemu rodziłam dziecko, narażając się na śmierć, i nie dla niego przewożę amunicję. Podziękowałeś mi za to!

Zamknęła oczy i wsparła głowę o poduszki. Boże, jaki on był dla niej niesprawiedliwy i okrutny. Nie oszczędził jej wyrzutów, nie przejmując się tym, że zabrakło dosłownie kwadransa, by zastał tylko ich zwłoki. Próbowwała go chronić, a on w zamian zaproponował jej rozwód, posądzając o interesowność i wypominając jej złośliwie Wielenina. Robił to zawsze, kiedy chciał jej dokuczyć. Po długim niewidzeniu kłócili się, zamiast całować i cieszyć się sobą. Przemogła jednak złość i ujawszy jego rękę, podniosła ją do ust.

– Przepraszam – wyszeptała z pokorą.

– Przepraszasz mnie, lecz w głębi serca czujesz się pokrzywdzona – rzekł lodowatym tonem. – Prosiłem, żebyś pozostała w Krakowie i nie narażała dziecka na przeziębienie, ale ty oddałaś je Bini i wyprawiałaś w daleką drogę, którą może przypłacić życiem.

A więc o to od początku chodziło! Dlatego jego powitanie było takie chłodne! Był obrażony, że ośmieliła się sama zdecydować o losie dziecka. Powiedział to, przed czym drżała od chwili, gdy pociąg ruszył, uwożąc dziewczynkę. Naraz zrobiło się jej niedobrze.

– Ja sądziłam...

– Nie, to ja zawiniłem, zapominając, że jesteś pozbawiona uczuć macierzyńskich! – oświadczył, a jego rysy przybrały odpychający wyraz

wyniosłości. – Pozbyłaś się dziecka, bo go nie kochasz. Ale nie zapominaj, że ja jestem ojcem i też mam w tej sprawie coś do powiedzenia.

Oczy Niny stały się skośne ze złości i głębokiego rozżalenia.

– Naturalnie, jestem pozbawiona wszelkich ludzkich uczuć i rozsądku, poza samouwielbieniem. No, dalej, obrażaj mnie, nie żałuj sobie. Gdybym okazała się dobrą matką, twoja córka wyglądałaby w tej chwili tak, jak ściana tej karety, podziurawiona kulami! Wiesz, bardzo żałuję, że nie umarłam przy porodzie albo nie zostałam zastrzelona. Może moje epitafium byłoby dla mnie bardziej pochlebne! – Wybuchła głośnym, nienaturalnym śmiechem.

Skrzywił się z irytacją.

– Przestań! Gdy tylko warunki na to pozwolą, pojedę i sam odbiorę moje dziecko. Chciałem, żeby córka nosiła moje imię.

– Dałam je synowi.

– Mogłaś dać i córce. Przykro mi, że związałem cię z sobą, człowiekiem uwikłanym w działalność konspiracyjną.

– Dostyc późno sobie o tym przypomniałeś! – Osiągnęli już poziom, gdzie byli w stanie się znienawidzić, rozpaleni gniewem wzajemnych oskarżeń. – Powiem ci coś, co ci się nie spodoba. Sądzisz, że jestem złą Polką, bo nie popieram powstania. Otóż doszłam do wniosku, że ludzie się zmieniają, ale Polak nie zmienia się nigdy, nie umiając wyciągać wniosków i nauki z tragicznej przeszłości. Wasza walka nie przyniesie Polsce wyzwolenia, ale zepchnie ją w przepaść!

Aleks nie odpowiedział, lecz zapukał w okno, a kiedy kareta przystanęła, wysiadł i wskoczył na podanego mu konia. Nie oglądając się, pogalopował przed siebie. Wjechał w gęsty las, gdzie nikt nie mógł go podpatrzeć i zszedł z wierzchowca. Usiadł na trawie i ukrywając w dłoniach postarzałą i ściągniętą męką cierpienia twarz, siedział tak długo, dopóki się całkowicie nie opanował.

Nina wyjrzała za nim, a widząc, że odjeżdża, zgrzytnęła zębami.

– A niech to diabli! – wrzasnęła i z całej siły kopnęła przednią kanapkę.

Zabolały ją palce stóp i z jękiem opadła na poduszki. Nie wiedziała, co dalej robić. Miała wrażenie, że stali z Alekssem na dwóch przeciwległych brzegach wielkiej rzeki.

13 ros. Ręce do góry!

Przez kilka godzin jechali bardzo szybko, obawiając się pogoni. Pod wieczór skręcili w leśną przecinkę i zatrzymali się na polanie, zewsząd otoczonej wysokimi sosnami. W dalszą drogę mieli wyruszyć po północy. Wysłany na zwiady powstaniec wrócił z wiadomością, że w pobliżu jest leśniczówka, a stary gajowy ma syna w partii Jeziorańskiego¹⁴. Mówił, że w pobliżu nie ma kozaków, tylko czasami pokazuje się niewielki patrol dragonów. Leśniczyna, nawet nieproszona, przygotowała dla nich spory pakunek żywności, dodając kilka wiązek siana dla koni, i zaprosiła ich na kolację.

Chłopcy rozpalili ogień z bezdymnego drzewa brzozy i pichcili w kociołku kaszę z mięsem. W gotowaniu pomagała im Mira, przekomarzając się z nimi zalotnie, gdy żartowali sobie z jej strzeleckich zdolności. Nina nie wyjrzała nawet z karety, udając, że śpi. Leżała na kanapce, apatycznie wpatrując się w sufit. Zastanawiała się ze smutkiem, dlaczego, cokolwiek dla Aleksa robiła, wszystko wychodziło źle i obracało się przeciwko niej. Długa rozłąka i śmiertelne niebezpieczeństwo nie tylko ich nie zbliżyły, ale bardzo poróżniły. Obserwowała przez okno, jak mąż myszkował po okolicy, sprawdzając, czy są bezpieczni, i rozmawiał ze stangretami, klepiąc ich po ramionach i serdecznie ściskając im ręce. Tomka przyciągnął do siebie i ucałował, dziękując mu za uratowanie im życia. W odpowiedzi chłopak przygarnął się do niego, a Aleks żartobliwie poczochnął mu jasną czuprynę. Posławszy im ponure spojrzenie, Nina odwróciła się plecami do okna.

Oczekiwała, że mąż przeprosi ją za swoje nieoględne słowa, ale on nie przyszedł. Widocznie wcale nie zależało mu na pogodzeniu się z nią i pewnie uznał, że nauczka się jej należała. Poczuli się bardzo nieszczęśliwi, nie widząc żadnego sposobu na polepszenie ich wzajemnych relacji. Zamiast okazać jej czułość po strasznym wstrząsie, który przeszła, gotując się na śmierć, dopuścił do awantury, jako jedyne rozwiązanie problemu proponując jej rozwód! I to w jakiej brutalnej formie! Z przerażeniem doszła do wniosku, że on może się bez niej obejść, podczas gdy ona nie wyobrażała sobie życia bez niego. Patrząc na niego, miała wrażenie, że cała się kurczy. Jego oczy były takie zimne, a twarz pozbawiona wyrazu. Piękne rysy, które tak bardzo kochała, jakby skamieniały. Zresztą cały wydawał się jak z kamienia.

Przyszło jej na myśl, że ich małżeństwo okazało się nieudane na skutek dużej różnicy wieku, zapatrywań i temperamentów. Jej uparte próby

wyciągnięcia go z powstania były bezcelowe, ponieważ on stanowczo je odrzucał. W złości wypomniał jej nawet Wielenina. Kto wie, może gdyby na miejscu Aleksa był młody oficer, a ona błagałaby go o rezygnację z walki, Wielenin rzuciłby wszystko i spełniłby jej prośbę? Nie, nie... Zarumieniła się i prędko odepchnęła od siebie wspomnienie o pięknym Rosjaninie, przekonana, że wyrządza tym mężowi krzywdę. Jednak obraz jego smagłej twarzy i szafirowych oczu jeszcze długo ją prześladował. Rozgniewana na siebie usiadła na kanapce i wygładziła zmięte spódnice. Czowała się nieświeża, brudna i po prostu brzydka. Od dźwigania skrzynek z amunicją rozboleł ją brzuch i czuła, że znowu krwawi. Nie powinna oddawać się wspomnieniom, zganiła się surowo. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby zatęskniła za mężczyzną, który zawsze stanowił dla niej tajemną pokusę. Zmusiła się, żeby pomyśleć o przyszłości. Liczyła każdy dzień i godzinę, zbliżające ją do ukochanego domu i do ziemi świętokrzyskiej, której oddała swoje całe gorące serce i miłość.

Przez okno zajrzała do powozu Jaga. Nie zrobiła tego wcześniej przekonana, że Nina śpi, i zdziwiła się, widząc ją siedzącą na kanapce i wpatrzoną w sufit.

– Co ci jest, kotku? – zagadnęła, patrząc na bladą, ściągniętą udręką twarz wychowanki.

– Nic mi nie jest, nianiu – odpowiedziała z grymasem niechęci.

– To dlaczego nie wysiądziesz z karety? Taka przyjemna pogoda. Chcesz, przyniosę ci kaszy z mięsem. Musisz być głodna, nic nie jadłaś.

– Dziękuję, nie mam apetytu.

Jaga weszła do karety i usiadła przy Ninie, biorąc ją za rękę.

– Lepiej powiedz mi od razu, o co chodzi. Przecież widzę, że coś cię gryzie.

Nina chlipnęła. Przed bystrym wzrokiem niani nie dało się nic ukryć. Zresztą musiała się przed kimś wyzalić.

– Pokłóciliśmy się z Alkiem – wyznała. – Próbowałam go namówić, żeby skorzystał z amnestii, a on najpierw urządził mi wykład o miłości ojczyzny, a potem nazwał upartą, niemądrą dziewczyną i poradził, żebym się z nim rozwiodła! Był okropnie złośliwy. – Załkała i zwierzała się dalej łamiącym się z bólu głosem: – Oświadczył, że chyba popełnił pomyłkę, żeniąc się nie z tą osobą, z którą powinien. Wyobraź sobie tylko, nianiu! Powiedz, jak on

mógł tak okrutnie się zachować po tym, co przeżyłam? – Z jękiem ukryła zalaną łzami twarz na kolanach Jagi.

Niania patrzyła na nią współczującym, lecz niepozbawionym zaciekawienia wzrokiem.

– Może za bardzo nalegałaś? Przecież wiesz, że pan hrabia nie lubi, gdy ktoś na niego wywiera nacisk. Dziwne, zawsze bywa uprzejmy i opanowany. Chyba wrzeszczałaś na niego, co?

– Prawie nie podnosiłam głosu – powiedziała Nina, nieco mijając się z prawdą.

– Oho, znam cię! O tę amnestię tak się rozgniewał?

– Właściwie to... – Nina chrząknęła zakłopotana i pociągnęła rzewnie noskiem. – Był na mnie zły, że oddałam małą Bini. Imiona mu się nie podobały i w ogóle zachowywał się nieznośnie.

Jaga podniosła jej spleknaną twarz, czerwoną, spuchniętą, i pokiwała tylko głową.

– Wcale mu się nie dziwię. Oczekiwałaś, że cię pochwali?

Nina zerknęła jej przez ramię w okno, bo zdawało się jej, że podchodzi Aleks. To był naprawdę on, ale nie zatrzymał się i poszedł dalej. Westchnęła i spuściła głowę.

– Nianiu, bądź sprawiedliwa – odezwała się, ocierając wilgotną od łez twarz. – Dziecko będzie w Świerszczynach bezpieczne. Zrobiłam to tylko dla jej dobra. – Prędko uciekła wzrokiem przed przenikliwym spojrzeniem Jagi. O, nianię niełatwo było oszukać i nabrać na niewinne miny. Za dobrze znała swoją wychowankę. – Jedynie ty naprawdę mnie kochasz – powiedziała słodko i otarła się policzkiem o ramię Jagi, pragnąc mieć w niej sprzymierzeńca.

– Tylko się do mnie nie przymilaj, bo znam cię jak złe ziele. – Mimo woli Jaga sapnęła wzruszona. – A tak mówiąc między nami, to postąpiłaś głupio. Mądra żona nigdy nie załatwia poważnych spraw w dzień. Od tego jest noc. Przytulisz się, pocałujesz i zrobisz, co zechcesz. A ty zaraz stajesz się ostra jak brzytwa i tniesz. Tak nie można, koteczku.

Nina z pokorą wysłuchiwała jej uwag, wysiąkała nosek i dokładnie powtórzyła rozmowę z mężem. Kiedy umilkła, niania przysłoniła okno karety firankami, bo chłopcy kręcący się po polanie ciekawie zerkali do środka.

– Stało się i nie warto do tego wracać – oświadczyła stanowczo. – Powiedziałaś swoje i nie próbuj ponownie przekonywać pana albo się z nim kłócić. To jest jego życie i ma prawo przeżyć je tak, jak uzna za stosowne. Zapomnij, że uniósł się gniewem. Pamiętasz, jaki był dla ciebie dobry w Makowie? Nosił cię na rękach, zgadywał twoje myśli, obsypywał prezentami. Sądzisz, że łatwo mu wybierać między rodziną a obowiązkiem względem ojczyzny? Głupia ze mnie kobieta, nieuczona, ale moim zdaniem mądrze robi, nie ufając obietcom cara. Pomyśl, jak byś się czuła, gdyby posłuchał twojej rady i wrócił tylko po to, by zostać aresztowany i stracony? Bądź rozsądna i staraj się być dla niego miła. Aha, i przestań się na niego wydzierać! Znam cię od pieluch i dobrze wiem, że gdy coś nie jest po twojej myśli, natychmiast robisz się jędzowata, jak twoja ciotka Maria. Tyle że nie masz jej przebiegłości i mądrości życiowej. Ona potrafi radzić sobie z mężem, a pan Ksawery także nie ma przecież anielskiego charakteru.

– Nianiu! – Porównanie z ciotką było dla Niny obelgą.

– Nie podnoś głosu! – Jaga pogroziła jej palcem. – Bóg widzi, że jesteś do niej bardziej podobna niż rodzona córka. Zrozum, nie powinnaś uzewnętrzniać swoich uczuć i zachowuj się wobec męża uprzejmie, jakby nic nie zaszło. Bądź dla niego spokojna i chłodna.

– Jak to rozumiesz? – Nina przestała się pienieć i zainteresowana przysunęła się bliżej.

– Powinnaś wiedzieć, że panowie nie lubią, jak żony narzucają się im z miłością. Taka kobieta powszednieje, staje się nudna. Twoja świętej pamięci babka marszałkowa wobec swoich mężów zachowywała się jak letnia woda, co nie parzy i nie ziębi. Toteż mężczyźni za nią szaleli. Robiła z nimi, co chciała. O, była cudownie piękna aż do samej starości. Ty jesteś zupełnie do babki podobna, nie tylko z urody, ale czasem i z charakteru.

– To ma być komplement? Przecież babka była skąpa i wcale nie kochała własnych dzieci!

– Zupełnie jak ty! – odparowała Jaga. – Zawsze twierdziła, że dzieci to wydatki. Kiedy pan Ksawery przyjechał z pierwszą wizytą, pani marszałkowa właśnie wybierała się na wista do sąsiadów i pozostawiła go samego w salonie! Dopiero pan marszałek obudził się z drzemki i przyszedł zabawiać go rozmową do czasu, aż panna Maria skończyła toaletę. Na balach pani marszałkowa lśniła od klejnotów, a w panińskim pokoiku obie

panny, Maria i Helena, same cerowały sobie podarte pończochy, bo miały tylko po jednej parze. Nawet od święta panny chodziły w perkalowych sukienkach, jak pokojówki, bo matka powiadała, że zaletą dziewicy jest skromność. Synowi także skąpiła pieniędzy, a kiedy się zabił, spadając z konia, wyprawiła mu pogrzeb jak ekonomczukowi. Córkom nie chciała wypłacić posagów, oświadczając zięciom, że wystarczy im uroda. Dopiero gdy obaj zięciowie podnieśli krzyk i zagrozili sądem, zdecydowała się dać im jakieś grosze. Pan marszałek był dobrym człowiekiem, ale żony bał się jak diabeł święconej wody. Dopiero po śmierci pani marszałkowej zięciowie podzielili się majątkiem. Oj, sroga była z niej pani! Jak zaczęła pokrzykiwać na ganku dworu, to służba chowała się po kątach, a pan marszałek uciekał do stajni!

– Pięknie dziękuję za porównanie, nianiu – powiedziała z przekąsem Nina. – Nie wiedziałam, że jestem takim straszidłem i skąpiradłem.

– Nie, nie... – Jaga uśmiechnęła się z czułością. – Ty jesteś raczej bardzo hojna i ludzie cię kochają. No, dosyć gadania. Wyjdź z tej karety i pospaceruj trochę, ale przede wszystkim zjedz coś, bo źle wyglądasz.

Nina uznała, że nie ma sensu siedzieć w zamkniętym powozie jak sowa. Wysiadła i wzięwszy pannę Lutównę pod ramię, przechadzała się po polanie, udając, że nie patrzy w tę stronę, gdzie przy ognisku siedział mąż. Rozmawiał z żołnierzami i śmiał się z ich żartów. Nie zwracał na nią uwagi i to zabolalo ją najbardziej.

Wieczorem powstańcy poszli do leśniczówki na kolację. Nina pozostała w obozie, choć spostrzegła, że mąż posłał jej jakby wyczekujące spojrzenie. Ale nie zbliżył się do niej i odszedł razem z chłopcami. Położyła się w karecie na kanapce, mając jeszcze nadzieję, że Aleks przyjdzie jej powiedzieć „dobranoc”, lecz on położył się przy ognisku i spał aż do chwili nocnego wymarszu.

Podróż, rozpoczęta tak pechowo, upływała dosyć spokojnie. Raz tylko, za Modliborcami, trafili na mały oddział dragonów. Chłopcy zaczęli się na nich w lesie i z zasadzki powitali ich ogniem tak celnym, że wszyscy Rosjanie polegli, a powstańcom dostały się ich wierzchowce i broń.

Jechali dosyć wolno, bo konie, choć często zmieniane, szybko się męczyły, ciągnąc ciężkie pojazdy. Noce były ciemne, zaczął padać drobny

deszcz, a niebo przykryły grube chmury. Mijając tereny objęte pacyfikacją, patrzyli przejęci grozą na popalone dworki i wsie. Zdarzało się, że okolica była całkowicie wyludniona, jakby jakaś straszliwa zaraza wymiotła stamtąd mieszkańców. Ale to nie choroba, lecz pacyfikacja wyludniła te ziemie. Wojsko karało ogniem oraz mieczem dwory i wsie przyjazne powstańcom. Często w szczerym polu mijali samotną mogiłę bez krzyża i jakiegokolwiek napisu, powoli zarastającą świeżą trawą. Patrząc na te opuszczone groby, Nina myślała ze smutkiem o kobietach, które może do końca życia będą czekały na wiadomość od męża, syna czy brata, a na jego mogile nikt, nawet w Dzień Zaduszny, nie zapali świeczki.

Po trzech dniach męczącej podróży znaleźli się nareszcie w Górach Świętokrzyskich. Aleks zmienił nieco trasę, wybierając rzadko uczęszczane drogi, żeby uniknąć spotkania z patrolami. Nina odetchnęła, bo okolica była już znajoma i łatwiej tu było o kryjówkę w razie zagrożenia. Zagłębili się w puszczy i jechali jeszcze wolniej, gdyż drogi po deszczu były śliskie i grząskie. Ciężkie pojazdy trzeba było wspierać ramionami, chroniąc przed przewróceniem lub runięciem w głęboki wąwóz.

Aleks, obawiając się, żeby nie wytropili ich chłopci będący na usługach Moskali, kluczył, wybierając mało znane górskie ścieżyny. Przebyli bór w Paśmie Orłowskim i zatrzymali się nocą w pobliżu wsi Zbelutki, w której wielu gospodarzy sprzyjało powstańcom, a kilku młodych parobków służyło w oddziale. Nad ranem chłopcy wyprawili się do osady i powrócili obładowani świeżym masłem, serem, chlebami i mlekiem oraz jajkami, bo żywność była już na ukończeniu. Przez całą drogę brakowało im nabiału, a Nina nie mogła już patrzeć na kaszę czy mięso upolowanej zwierzyny.

Przeczekali cały dzień w puszczy i dopiero gdy się ściemniło, ruszyli w dalszą drogę, mijając bokiem Wolę Łagowską, Lechów i Makoszyn. Stopniowo wznosili się coraz wyżej, zagłębiając się w odwieczny bór jodłowy. Czwartego dnia podróży znaleźli się o świcie na małej polance zagubionej w gęstwinie. Czekał już tam na nich mocny wóz i kilku chłopców z leśnego obozu. Amunicję szybko i sprawnie przesypano do dużych skrzynek i wóz zagłębił się w las, eskortowany przez resztę oddziału.

Aleks wracał na Łysą Polanę, lecz nie na długo, bo wkrótce wyruszał do walki. Przez całą drogę zachowywał się wobec żony bardzo powściągliwie i nawet nie próbował zbliżyć się do karety, witając się z nią oziębło i na

dystans. Ani razu nie odezwał się do niej jakimś cieplejszym słówkiem. W nocy kłusował na czele oddziału lub wypuszczał się do przodu, sprawdzając drogę. Na postojach spał wraz z chłopcami przy ognisku albo włączył się po okolicy.

Nina udawała, że nie dostrzega jego oschłego, nieczułego zachowania i uśmiechała się do niego, kryjąc w sercu głęboką urazę. Siedząc w karecie w towarzystwie Jagi i Miry, z poczuciem palącego upokorzenia patrzyła, jak mijają ją bez słowa i spojrzenia. Kiedy wóz z amunicją zniknął pomiędzy drzewami, zrozumiała, że nadchodzi czas rozstania. Jaga mrugnęła na pannę Lutównę i obie wyszły z powozu pod pretekstem rozprostowania nóg. Aleks widocznie obserwował karete, bo widząc, że Nina siedzi sama, podszedł, trzymając konia za uzdę. Otworzył drzwiczki i rzuciwszy cugle Tomkowi, usiadł obok niej.

Wtulona w ką, patrzyła na niego bez słowa. Miała szaloną ochotę zacząć ogryzać paznokcie, jak skarcona pensjonarka, ale się wstydziła, bo mąż tego nie znosił. Zerkając na niego spod rzęs, czuła zarazem radość i rozpacz. Tak bardzo go kochała! Pragnęła wtulić się w jego mocne ramiona i choć przez chwilę zaznać ukojenia. Bolesny skurcz ścisnął jej gardło, ale nie pozwoliła sobie ani na jedną łzę, postanawiając zachować godność. Aleks patrzył na nią w przykrym, przedłużającym się milczeniu, które w końcu stało się dla niej nie do zniesienia. Chrząknęła, bo wydawało się jej, że kiedy przemówi, głos zabrzmie piskliwie i śmiesznie.

– Wracasz do obozu? Myślałam, że wstąpisz do domu przed odjazdem.

– Nie. Na mnie już czas, Nino – odezwał się, biorąc ją za rękę. – Nie wiem, kiedy znowu się zobaczymy, bo ruszam w stronę Opatowa. Prawie dwa miesiące zeszło mi na szkoleniu chłopców i czekaniu na broń. Najwyższy czas włączyć się do walki.

Nie odpowiedziała, siedząc z nisko opuszczoną głową. Długie ciemne rzęsy zasłaniały wyraz jej oczu.

– Nino, gdybym nie wrócił, postaraj się wychować naszą córkę na dobrą Polkę. Pamiętaj, że to moje dziecko i że bardzo ją kocham. Tak jak i ciebie – dodał prędko.

Zbladła, zauważywszy tę krótką przerwę, którą zrobił, zapewniając ją o swoim uczuciu.

– Jestem ci wdzięczna, że mi o tym powiedziałeś. Uważam jednak, że okazujesz mi swoje uczucia w dosyć oryginalny sposób.

– Proszę cię, Nino! – przerwał jej porywczo. – Nie zaczynaj znowu sprzeczki.

– Nie mam takiego zamiaru. Chciałam ci tylko dać do zrozumienia, że twoje uwagi przyjąłam do wiadomości. Wiem, że byłam nieposłuszna, i zostałam przykładnie ukarana. Przez cały czas miałam wrażenie, że jestem nie żoną, lecz przybłędą tolerowaną z łaski. Moją intencją było jedynie wskazanie ci drogi ratunku. Wybacz, jeśli tym zasłużyłam na twoje niezadowolenie.

Niecierpliwie machnął ręką. Dostrzegła, że w jego oczach malował się jakiś dziwny wyraz. Zniecierpliwienie, gniew, a może żal? Ale nie miłość. Westchnęła w poczuciu zagubienia. Nie potrafili się porozumieć nawet w momencie rozstania.

– Nie mam zamiaru dać się zabić – powiedział, przecierając dłonią zmęczoną twarz. – No, pożegnaj się ze mną. Twój problem polega na niezdolności do spokojnego rozważenia sprawy. Kiedy tylko staram się przedstawić ci swoje argumenty, tracisz nad sobą panowanie i to nas dzieli.

– Przepraszam, ale jestem tylko prostą, niewykształconą dziewczyną, niezdolną pojąć twoich wyższych aspiracji. Przykro mi, że uprzykrzyłam ci życie. – Była szczęśliwa, że w tym momencie Aleks na nią nie patrzył i nie widział, jak mocno zaciskała powieki i przygryzała usta, powstrzymując wybuch płaczu.

– Do diabła, kto komu utrudnia życie?! – wykrzyknął zirytowany. – Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny i stwierdzam, że przejawiasz niekiedy paskudny charakter. Jesteś uparta, wybuchowa i czasami doprowadzasz mnie do rozpacz. Nie opowiadaj mi o twoim braku wykształcenia, bo jesteś aż za mądra, ale twój upór staje często na drodze rozsądkowi. I to twoje spojrzenie! – Wskazał na nią palcem. – O, właśnie takie! Wiesz równie dobrze jak ja, dlaczego poszedłem do powstania. Nie żałuję mojej decyzji, niezależnie od ceny, jaką mi przyjdzie za to zapłacić. Ale niegdyś marzyłem, że resztę życia spędzę przy tobie. Chciałem cię kochać, rozpieszczać, obsypywać klejnotami i zachwycać się twoją urodą. – Jego spojrzenie zmiękło i złagodniało. – Kiedy patrzę na ciebie, nie potrafię mieć do ciebie urazy. Darowałbym ci własną śmierć. Za ciebie i nasze dziecko oddałbym serce, duszę i życie. No, nie bocz się na mnie, promyczku. Musiałem się trzymać od ciebie z daleka, bo inaczej moi chłopcy nazwaliby mnie pantoflarzem.

– Lepiej niech myślą, że jestem tylko niekochaną żoną. Udowodniłeś mi, że potrafisz być dla mnie twardy i bezwzględny.

Jego oczy zwęziły się nagle i błysnął w nich gniew.

– Wygląda na to, że życzysz sobie, abym odjechał bez pożegnania. Niech i tak będzie – powiedział cichym, zawziętym głosem i sięgnął ręką do klamki w drzwiach powozu.

– Jezu, nie! – zawołała z rozpaczą. – Alku, co się z nami stało? Tak długo trwała nasza rozłąka, oboje byliśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a teraz ranimy się wzajemnie, zamiast się całować. Boże, pozostało nam tak niewiele czasu! Alek, błagam, powiedz mi, dlaczego nie potrafimy się zrozumieć?

– Bo ty nie chcesz przyjąć do wiadomości, że jestem mężczyzną i sam decyduję o moim losie. – Złożył na jej czole lekki pocałunek.

Ten zimny, beznamiętny dotyk zabolął ją bardziej niż jego krytyczne słowa. Spojrzała mu w oczy.

– Obawiam się, że przestałeś mnie już kochać, a nasze małżeństwo jest nieudane – szepnęła.

– Tego nie powiedziałem!

– Owszem, tak mówiłeś!

– Przepraszam, może coś wymknęło mi się w gniewie, ale tak nie myślę.

– Cieszę się. – Zdecydowana była godzić się na wszystko, byle tylko go udobruchać. – Uściskaj ode mnie Jasia i Tadeusza. Codziennie będę się modlić za wasz szczęśliwy powrót do domu. Wybacz mi, że upierałam się przy tej amnestii.

– Do diabła z amnestią! – mruknął, ujmując w obie dłonie jej głowę. – Pocałuj mnie!

Pochylił się nad nią, a kiedy ona otoczyła jego szyję ramionami, przycisnął ją do siebie i pocałował tak mocno, że natychmiast straciła świadomość i zapomniała o całym świecie, czując w sobie ogień. Zdawało się jej, że cała się rozpływa, stając się częścią jego ciała. Przywarła do niego kurczowo w obawie, że gdy wypuści ją z ramion, upadnie i zemdleje. Na moment oderwał od niej usta, zaczerpnął powietrza i znowu całował ją tak mocno, że czuła na wargach smak krwi. Wciskał ją w poduszki kanapki, przygniatając ciężarem ciała. Oddawała mu pocałunki żarliwie, z całej duszy, zanurzając palce w jego włosach i gładząc silny, opalony kark. Gdy oderwał się od niej, była wpełni przytomna.

– Najdroższy, nie odchodź jeszcze – wybełkotała, wyciągając ręce.

Podniósł jej dłonie do ust i prędko wyskoczył z karety, jakby chciał uciec przed sobą. Upadła bezsilnie na kanapkę i leżała, dysząc, zupełnie otępiła. „Umrę z tęsknoty za nim! – myślała, szcękając zębami jak w ataku febry. – Boże, wystarczyło kilka jego pocałunków, a ja zupełnie zapomniałam o przykrościach, których mi nie szczędził. Mógł ze mną zrobić, co chciał”.

Jaga, wiedzona troską, zaglądnęła do karety i przeraziła się wyrazem twarzy Niny. Potrząsnęła głową, wycofała się bezszelestnie i wsiadła z Mirą do bryczki. Nina przez całą godzinę płakała, nie mogąc się uspokoić, ale nic jej to nie pomogło. Zdawała sobie jasno sprawę, że tych kilka pocałunków wcale nie rozwiązywało ich małżeńskich problemów. Oboje dalej nie potrafili się zrozumieć. Ona z właściwym sobie uporem nie zgadzała się na jego udział w powstaniu, przeczuwając, że kiedyś może zapłacić za to wysoką cenę. On nie rozumiał, że kierowała nią troska o jego bezpieczeństwo i świadomość, że ogromna ofiara krwi jest bezcelowa i daremna.

Wydawało się Ninie, że mąż czasem ją lekceważył. Od dziecka obracał się przecież w kręgach najwyższej arystokracji rosyjskiej i polskiej. Był wykształcony, będąc absolwentem Korpusu Paziów i słynnej Akademii Sztabu Generalnego. Podróżował po Europie i Azji. Tymczasem ona nie ukończyła nawet pensji i braki w wykształceniu próbowała uzupełnić, czytając setki książek, robiąc notatki i przysłuchując się rozmowom mądrych ludzi. Była prostą dziewczyną bez posagu i Aleksa zapewne musiała drażnić jej niewiedza. Może dlatego czasami zachowywał się wobec niej tak szorstko. Z pewnością nie traktowałby jej w ten sposób, gdyby miała tytuł księżęcy lub hrabiowski i wniosła mu duży posag. „Widocznie moje maniery wydają mu się zbyt prostackie – myślała z bólem. – Nie nadaję się na panią hrabinę, cedzącą półgębkiem francuskie frazesy, zimną i nadętą. Prawdopodobnie taka żona bardziej by mu odpowiadała. Jakie to straszne, że ciągle oddalamy się od siebie i na moich oczach nasze małżeństwo się rozsypuje”.

Leżała tak długo, rozmyślając, aż zaniepokojona Jaga ponownie zajrzała do karety.

– Co z tobą, moje kochanie? – spytała czule.

Nina chwyciła ją za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Nianiu, powiedz mi prawdę. Czy ja mam paskudny charakter?

Jaga spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Co ci przyszło do główki? No, aniołkiem to ty nigdy nie byłaś, ale masz dobre, czułe serce i prawdziwie pańską hojność. – Przyjrzała się Ninie uważnie. – Nie pogodziliście się? – spytała zniżonym głosem.

– Nie dał mi żadnej szansy.

Jaga nie skomentowała jej skargi, ale pomyślała z gniewem, że hrabia bardzo krzywdził swoją młodziutką żonę. Biedne dziecko zasługiwało na jego miłość. Nie rozmawiały już jednak więcej na ten temat. Nina zapragnęła jak najszybciej znaleźć się w domu i kazała ruszać. Jednak Stach, ostrożny i przewidujący, nie wyraził na to zgody.

– Ja także, proszę jaśnie pani hrabiny, chciałbym zjeść pierogi ze śmietaną u mojej starej i zobaczyć dzieciaki – tłumaczył cierpliwie. – Ale trzeba poczekać, ruszymy dopiero nocą.

– Dlaczego nie teraz? – spytała gniewnie.

– A niechże tylko jaśnie pani popatrzy na karete i bryczki. Postrzelane jak rzeszoto! Nie daj Boże, natkniemy się na patrol i Moskale zaraz zmiarkują, z kim mają do czynienia. Zamiast do domu trafimy do kozy. Powiedziałem, pojedziemy, gdy się ściemni.

– Dobrze, Stachu. Masz rację i postąpimy, jak radzisz. – Nina ustąpiła, bo szaleństwem byłoby poruszać się tak podziurawionymi pojazdami w jasny dzień.



[14](#) Antoni Jeziorański (1821–1882) – pułkownik, potem generał, naczelnik województwa lubelskiego, podporządkowany Langiewiczowi, przeszedł z nim cały szlak bojowy i razem z dyktatorem znalazł się w Galicji. Po bitwie pod Kobylanką wyparty przez Rosjan do Galicji, uwięziony przez Austriaków. Wyemigrował do Paryża, skąd w 1873 roku wyjechał do Lwowa.

Rozdział 3

Ruszyli dopiero po zmroku i do Makowa zajechali przed świtem. Widok własnej ziemi momentalnie poprawił Ninie posępny nastrój. Poczowała się jak mityczny Anteusz, czerpiący siłę z dotyku Matki Ziemi – gotowa do walki z losem. Wieś jeszcze spała, tylko psy ujadły na przejeżdżające pojazdy. Nina troskliwym spojrzeniem objęła dachy chat ukrytych w kwitnących sadach. Młyn dworski jeszcze nie klekotał, ale w stawie już kapały się gęsi, lecąc z krzykiem po wodzie. Rozkochanym wzrokiem badała każdy skrawek swojej ziemi, podziwiając jej urodę – wzgórze i łąki, porośnięte soczystą trawą, ziołami i wiosennymi kwiatami, oraz cieniste zagajniki. Kiedy stąd wyjeżdżała, na ziemi leżały płyty brudnego śniegu, teraz wiosna była w pełni i jak okiem sięgnąć po obu stronach drogi, obsadzonej szeregami pękających, miotlastych wierzb, ciągnęły się równe zagony pól aż po kres horyzontu.

– Chwała Bogu – szepnęła z radością. – Wszystko po staremu. Widocznie wojsko omijało Maków.

Kiedy stanęli przed bramą wjazdową, uniosła głowę i spojrzała na umieszczony na szczycie herb. Złocista gwiazda na szyi orła zdawała się płonąć w pierwszych promieniach wstającego słońca. Z uwagą i rozrzewnieniem przeczytała łacińską dewizę rodu: „Dum spiro, spero” – „Dopóki oddycham, mam nadzieję”. Uśmiechnęła się przekonana, że ta złota gwiazda będzie jej przyświecać do końca życia. Świtała, obudzony waleniem w żelazną bramę i dzwonieniem, wypadł rozjuszony ze swego domku. Potykając się na ciągnących się za nim troczkach płóciennych gaci, po drodze wciągał kapotę. Rozpogodził się, ujrawszy wyglądającą z okna karety Ninę.

– Rety, nasza jaśnie oświecona paniuleczka wróciła! – wrzasnął uradowany. – A ja jużem se myślał, że to kozunie.

– Nie gadaj dziadu, tylko otwieraj! – upomniał go zniecierpliwiony Stach.
– Nie będziemy tu stali do południa.

– Ojej, zara. Przecie już otwieram – mruknął obrażony odźwierny, zdejmując żelazne łańcuchy i szeroko otwierając obie połowy bramy.

Powozy wolno wtoczyły się w lipową aleję.

– Nareszcie w domu! – Jaga wydała głębokie westchnienie i przeżegnała się pobożnie.

– Teraz tylko spać! – Mira ziewnęła. – Nie mogę uwierzyć, że za chwilę spoczniemy we własnych łózkach.

– Z ust mi to wyjął! – zawołała Nina, nie przestając wyglądać oknem. – Z dała od Makowa czuję się jak ryba wyjęta z wody. Boże, jak tu cudnie!

Lipowa aleja przypominała obrazek wyjęty z bajki. Delikatne liście przepuszczały jeszcze promienie słoneczne, pozwalając im sięgać w tajemnicze zakątki, ukryte w pełni lata w głębokim cieniu. Trawniki fioletowe były od kwitnących właśnie fiołków, odurzająco pachniały magnolie. Kwitły wielkie krzewy rododendronów i azalii, rozchylając białe, różowe, żółte i purpurowe kielichy. Rabaty mieniły się dywanami różnobarwnych bratków, stokrotek, tulipanów, narcyzów i żonkili. Trawniki pokrywała aksamitna szmaragdowa trawa.

Serce Niny uderzyło szybciej, a policzki pokrył lekki rumieniec podniecenia. Tęskniła do tej chwili, będąc w połogu i nie mając już nadziei, że jeszcze zobaczy swój wymarzony Maków. Zaledwie karetka stanęła na podjeździe, wyskoczyła pierwsza i strzepnąwszy niedbale krynolinę, lekko wbiegła po schodach, gładząc w przelocie głowy czuwających przy drzwiach lwów. Nie potrzebowała nawet dzwonić, bo w domu już nie spali. Na turkot kół powozów masywne drzwi nabijane stalowymi gwoździemi otwały się szeroko i na powitanie Niny wypadł z sieni Grot, głośno szczekając i wspinając się na nią łapami w szale radości. Na progu ujrzała rozpromienioną twarz Walentego.

– Nareszcie! – wykrzyknął, patrząc na nią wilgotnymi starczymi oczami, w których wyczytała miłość. – Nie mogliśmy się doczekać naszej ukochanej jaśnie pani, naszego słoneczka i kwiatuszka najmilszego!

Uścisnęła go serdecznie. Walenty nie był dla niej służącym, lecz najwierniejszym, wypróbowanym przyjacielem.

– Boże, jak ja za wami tęskniłam! Niewiele brakowało, abym już nigdy do domu nie wróciła.

– A myśmy się tak modlili i na mszę dawali, prosząc o szczęśliwe rozwiązanie. Bóg się zlitował!

Skinęła głową, rozglądając się po sieni i zachwycając się wielkością i przepychem domu. Już zaczynała zapominać, jaki jest duży i piękny.

– Moskale tu nie zaglądali? – spytała, zdejmując płaszcz i kapelusz.

– Pan Jezus łaskaw, jakoś nas omijali. – Stary kamerdyner z należytym szacunkiem odebrał od niej rzeczy. – Ośmielam się spytać: a gdzie nasza jaśnie panienczka? Wszyscy tak się nią cieszymy...

– Nie mogłam zabrać jej z sobą, bo wiozłam amunicję. – Kątem oka dostrzegła, że staruszek posmutniał, więc dodała: – Mała jest w Księstwie Poznańskim, u mojej siostry, pani Świerczyńskiej. Ale gdy tylko powstanie się zakończy, przywiozę ją do domu. Walenty będzie sobie z nią spacerował po parku i bajki opowiadał.

– Oczywiście, że tylko ja! Młodzi mają pstro w głowie, a na dziecko trzeba uważać – oświadczył z powagą. – Paweł, nie stój z otwartą gębą, tylko biegnij do karety i kufry przynieś. Niech ci Broniek pomoże. – Staruszek bardzo prędko przypomniał sobie o swoich obowiązkach.

Rzenie koni, hałas w sieni i gromki głos Walentego popędzającego lokai dotarły do pokoi na piętrze. Na schodach pokazały się panie, jeszcze w dezabilach, nocnych czepkach i papilotach na głowach. Rozległy się okrzyki radości i podróżniczki powędrowały z jednych ramion w drugie. Obie panie Borutyńskie patrzyły z podziwem na przybyłe damy, ubrane w jasne wiosenne kostiumy, tak bardzo różniące się od żałobnych toalet noszonych w zaborze rosyjskim. Pokojówki z piskiem witały swoją panią, oblewając łzami jej ręce. Przybiegł pan Szymon, kuchciki i reszta służby pałacowej, witając entuzjastycznie panią dziedziczkę.

Nina przyjmowała te oznaki radości z uśmiechem szczęścia i satysfakcji. „Ciekawa jestem, czy jakaś nadęta hrabianka lub sfrancuziała księżniczka byłyby powitane tak serdecznie i szczerze. Bardzo wątpię! To ja jestem panią na Makowie i prawdziwą dziedziczką, nikt inny!” – pomyślała z dumą i jej poczucie kompleksu niższości przynajmniej na pewien czas znacznie zmalało.

– Nino, nie nosisz już żałoby narodowej? – Emilka szeroko otwartymi oczami obejrzała ją od stóp obutych w safianowe pantofelki po piękny kostium wiosenny z jasnozielonego kaszmiru.

– Ależ Emilciu, w Galicji nikt już nie nosi żałoby, z wyjątkiem osób, które kogoś utraciły. Pouczono nas bardzo rozsądnie, że nie uchodzi paradować w kirach, kiedy nasi chłopcy walczą o zwycięstwo. To mogłoby

się okazać złą wróżbą. Jak wam pokażę, moje najmilsze, co przywiozłyśmy wam z Krakowa, to natychmiast pozbędziecie się tych czarnych kiecek!

– Nineczko, wyglądasz prześlicznie. – Pani Salomea mocno ją przytuliła.
– A gdzie małeńka? – Rozglądnęła się po sieni.

– Jest u Bini, w Świerszczynach. – Nina ziewnęła. – Potem wam wszystko opowiemy, tylko pozwólcie nam się wyspać.

– Wyobraźcie sobie, stoczyliśmy bitwę z kozakami! – zawołała Mira. – Było już z nami krucho. Mamy mnóstwo historii, ale jesteśmy strasznie śpiące.

– Idę spać i proszę mnie nie budzić! – oświadczyła Jaga i podreptała do swego pokoju.

Mira była głodna i postanowiła zjeść śniadanie, lecz Nina marzyła tylko o wypoczynku i samotności. Wzięła gorącą kąpiel w swojej wspaniałej łazience i słuchając jednym uchem radosnej relacji Ulisi o nowinkach domowych, nałożyła nocną koszulę i nareszcie spoczęła w swoim wielkim i miękkim łóżu, przysłoniętym jedwabnymi firankami. Ulisia powiesiła rozrzucone ubrania w garderobie, dygnęła i na palcach wyszła z pokoju, przykładając palec do ust. Nina, spoczywając wśród atlasów, koronek i haftów, zrozumiała, czego jej tak bardzo brakowało w Krakowie... Przyzwyczała się do przepychu, ciszy wielkich sal, spiżowego bicia zegarów i atmosfery wykwintu oraz całkowitej swobody. Przyszło jej na myśl, że ten status społeczny zawdzięcza mężowi, i w jednej chwili powróciły wspomnienia przeżytych tu szczęśliwych chwil po ślubie.

Z westchnieniem pomyślała, że rozstali się z urazą, a jego szalone pocałunki niczego pomiędzy nimi nie naprawiły. Oboje byli uparci, stanowczy i nieustępliwi. W konsekwencji ciągle dochodziło do zadrażnień i scysji. Każde z nich wierzyło w swoją rację i winę składało na drugą osobę. Nie potrafili zdobyć się na kompromis, który zażegnałby istniejące napięcia. Przez krótki czas trwania ich małżeństwa Aleks, zajęty konspiracją i walką, nie miał okazji poznać dostatecznie dobrze charakteru młodziutkiej żony. Ona również nie potrafiła spojrzeć na niego z dystansu, zawsze przepełniona sprzecznymi uczuciami. Nie rozumiała, jak ten rozsądny człowiek mógł się kierować emocjami, nie zdając sobie sprawy, że powstanie było błędem, który będzie miał tragiczne następstwa dla narodu. W tej sytuacji nieporozumienia urastały do rangi problemów, a małżonkowie byli z siebie wzajemnie niezadowoleni.

Na domiar złego Aleks szedł walczyć, a Nina zastanawiała się, kiedy męża zobaczy i czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczy. Kusiło ją, by pojechać do leśnego obozu, lecz podejrzewała, że jej wizyta raczej nie sprawiłaby mu przyjemności. Pewnie doszłoby do kolejnej kłótni, a on znowu zraniłby ją jakimś szorstkim słowem. Kiedy miał zły humor, potrafił być okrutny nawet wobec żony.

Przymknęła powieki i przywołała w pamięci jego obraz, uśmiech, pieszczoty i czuły szept, którym uspokajał ją, kiedy zrywała się w nocy z krzykiem, dręczona koszmarami. Te wspomnienia były wszystkim, co jej pozostało. Poczucie samotności i odrzucenia stało się tak dojmujące i bolesne, że zerwała się z łoża i pobiegła do jego pokoju. Stała długo, wpatrzona w portret męża oczami pełnymi łez. Wróciła do sypialni, lecz zmęczenie nie pozwoliło jej zasnąć. Otworzyła szeroko drzwi i wyszła na taras. W wielkich marmurowych donicach kwitły bratki, pelargonie i tulipany. Zieleniły się ogromne paprocie, egzotyczne drzewka pomarańczowe i krzewy kwitnących kamelii. Słońce stało już wysoko na wprost okien, zalewając sypialnię jaskrawym światłem. Niby dymy z kadzielnic biły ku niej wonie rozkwitających bzów. Cały park tętnił życiem. Ze wszystkich stron zrywały się hymny tysięcznych głosów ptactwa. Do jej uszu dobiegało radosne klekotanie bocianów, mających swoje gniazda w koronach odwiecznych lip. Powoli serce jej napełniło się spokojem, troski zapadły gdzieś głęboko w duszę. Patrzyła na ten cud natury, przejęta nieopisaną radością, że oto wróciła i jest już w domu. W swoim ukochanym domu!

Całe popołudnie zeszło na opowiadaniach o przeżytych przygodach. Nawet służba odważyła się prosić, żeby mogli przyjść do salonu, by posłuchać o przeżyciach pani. Damy płakały rzewnie, gdy Nina opowiadała o śmierci synka. Walenty także opłakał zgon małego panicza. Potem Mira opowiedziała o potyczce z patrolem.

– ...i Ninka zastrzeliła tego kozaka, który chciał ją wyciągnąć z karety – dokończyła z tryumfem. – Strzeliła mu prosto między oczy i kozak trup!

Nina niepewnie zerknęła na panią Salomeę.

– To prawda, ale ja się tylko broniłam – powiedziała cicho.

– Nie zaprzataj sobie tym myśli, drogie dziecko – oświadczyła spokojnie pani Borytuńska, a jej ciepłe oczy spojrzały na nią serdecznie.

Emilka zerwała się i w spontanicznym odruchu solidarności mocno ucałowała Ninę w oba policzki.

– Twoje poświęcenie godne jest najwyższego uznania – stwierdziła. – Wszyscy cię tu podziwiamy. A kozakiem się nie przejmuj. Na twoim miejscu zrobiłabym to samo! – Na moment jej marzące oczy przybrały barwę stali, a delikatne rysy stwardniały. – Bardzo ci współczuję rozstania z córeczką i wyobrażam sobie, ile to musiało przyczynić ci cierpienia.

Nina poczerwieniała, czując na sobie wzrok Jagi.

– Trudno, nie mogłam postąpić inaczej – bąknęła i zauważywszy we włosach Emilki czarną wstążkę, spytała z niepokojem: – Po kim, Emilko, nosisz żałobę?

– Mój brat cioteczny zginął pod Budami Zaborowskimi – powiedziała i posmutniała. – Był tak straszliwie zmasakrowany, że matka poznała go tylko po medaliku, który nosił na szyi. Cała Warszawa w żałobie. Jakby nie dosyć było tej zbrodni, kozacy poprzebierali się w ubrania poległych i paradowali w nich po mieście. Kobiety mdlały albo szalały z rozpacz, rozpoznając na mordercach odzież swoich dzieci.

– Mąż wspominał mi o tym. – Nina westchnęła. – Serdecznie ci współczuję, kochanie.

Zmieniła temat, opowiadając im o śmierci Stefana Bobrowskiego, o której dowiedziała się w Krakowie. Damy nic o tym jeszcze nie wiedziały i były porażone tą tragiczną wiadomością.

– Boże, co za nieszczęście! – jęknęła Emilka. – To był taki cudowny, charyzmatyczny człowiek. Straciliśmy prawdziwego wodza powstania.

– Może Białym właśnie o to chodziło – powiedziała Nina i zaczęła dopytywać o przyjaciół. Na szczęście w czasie jej nieobecności nikomu nic złego się nie przydarzyło.

– Nie wyobrażasz sobie, jaka radość zapanowała w leśnym obozie, kiedy dotarła tam wiadomość o urodzeniu dziecka i twoim wyzdrowieniu. – Emilka, która na powrót zajęła się robórką, podniosła głowę i spojrzała na Ninę.

– A skąd wiesz?

– Bo sama tę wiadomość panu hrabiemu przywiozłam. – Roześmiała się.
– Często bywałam w obozie, wożąc z Porajów rozkazy, żywność i

lekarstwa. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwaliśmy na wiadomości z Krakowa i nie muszę ci mówić, jak strasznie się niepokoiliśmy. Byłam akurat w Porajach, kiedy nadjechał kurier i przywiózł list od ciebie. Natychmiast wybrałam się na Łysą Polanę. Przysięgam ci, że jeszcze nigdy nie widziałam mężczyzny, który tak by się cieszył z urodzenia dziecka. Pan Aleksander o mało nie oszalał z radości. Narobił takiego krzyku, że do szału wpadli chłopcy, przekonani, że stało się coś strasznego. Och, Nino... – Emilka w rozmarzeniu przymknęła oczy. – Do rana piliśmy zdrowie maleńkiej hrabianeczki i jej pięknej mamy! Janusz i Tadek popili się na umór. Pan naczelnik, ryzykując spotkanie z moskiewskim patrolem, pojechał powiadomić wojewodzinę, a nasz kochany ksiądz proboszcz zaraz odprawił mszę dziękczynną. Do Makowa przyjechali goście: Zosia Siekielska, państwo Wąsoccy z Jadwigą i pani wojewodzina. Świątowaliśmy tak hucznie, jakby to było już po zwycięstwie. Pan Bochniak urządził zabawę w karczmie dla służby i gospodarzy, z kapelą i tańcami. Wszyscy razem bawiliśmy się jak na weselu!

Nina o mało nie udławiła się kawą. Błada i bardzo zmieszana słuchała opowiadania Emilki. Naturalnie, wiedziała, że mąż pragnie dziecka, ale sądziła, że zależy mu wyłącznie na synu. Była przekonana, że rodząc córkę, sprawiła mu zawód. Tymczasem ogromnie się pomyliła. Może w takim razie niepotrzebnie wysłała dziecko w tak daleką drogę? Mogła ją przecież pozostawić u państwa Piotrowskich z mamką i Jagą. Pani Piotrowska kilka razy wystąpiła z taką propozycją. Nie miała prawa pozbawiać męża radości ujrzenia własnego dziecka. No tak, ale mała była przeraźliwie brzydka i raczej nie nadawała się do oglądania. Jezu, jakby to było przyjemnie urodzić zdrowe, ładne dziecko i z dumą zaprezentować je ojcu. A może Binia i Jaga powiedziały prawdę i dziewczynka z czasem wyładnieje? Daj to Boże, na razie były to tylko jej pobożne życzenia.

Rozmowa o córce zirytowała ją. Czując coraz silniejsze łupanie w głowie, postanowiła się przejść, obejrzeć gospodarstwo i przede wszystkim zajrzeć do Mignon. Idąc długimi alejami, zastanawiała się z troską, czy dziewczynka zdołała przetrzymać męczącą podróż. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że gdyby dziecko zmarło, Aleks obarczyłby ją za to winą i ich małżeństwo byłoby definitywnie skończone. Po raz pierwszy pomodliła się, prosząc Boga, aby raczył zachować małą przy życiu. Ale wątpiła, czy jej modlitwy zostaną wysłuchane, wiedząc, że był to pacierz

egoistyczny, mający na celu nie dobro dziecka, ale zachowanie miłości męża.

Wkrótce całkiem zapomniała o córce, skupiając uwagę na sprawach majątkowych. Pan Bochniak przebywał w Kielcach i miał powrócić dopiero nazajutrz. Oczekiwała go niecierpliwie, ciekawa, jak sobie bez niej radził. W Górach Świętokrzyskich wiosna zawsze przychodziła nieco później niż w innych regionach kraju. W sadzie drzewa owocowe stały całe w kwiatach, a dokoła unosił się słodki, upajający zapach. Roje pszczoł obsiadły drzewa, oszalałe na widok takiej obfitości nektaru. Nina chwilę siedziała na ławce pod kwitnącą jabłonką, obsypaną jak śniegiem opadającymi płatkami. Słuchała śpiewu godowego wilgi. Potem weszła do stajni i stwierdziła z ulgą, że klacz była ładnie utrzymana. Mignon powitała ją głośnym rzeniem i położyła głowę na ramieniu pani. Nina objęła klacz za szyję i ucałowała jej miękkie chrapy. Przywitawszy się z ulubienicą, poczęstowała ją cukrem i jabłkiem. Później zajrzała do obory, szklarni i ogrodu warzywnego. Na dziedzińcu folwarcznym obstały ją kobiety z czworaków, opowiadając o swoich zmartwieniach. Dozorca chlewni zdał jej raport, pisarz prowentowy poprosił o interwencję w sporze z wsią i po godzinie Nina zapomniała, że kiedykolwiek wyjeżdżała z Makowa.

Wróciła do domu i przeszła do buduaru, zamierzając napisać długi list do Bini. Usiadła przy sekretarzyku i rozejrzała się z zachwytem po ślicznym pokoju. Obok w srebrzystej czarze pachniał bukiet fiołków i konwalii, a na gzymsie kominka i na stoliczkach pyszniły się bukiety azalii, kamelii i rododendronów. Po lśniącej posadzce ślizgały się promienie słońca, wpadające przez szeroko otwarte okna. Boże, jak cudownie było ponownie znaleźć się w domu!

Wieczorem, przed położeniem się do łóżka, wyszła na taras, oddychając powietrzem ciężkim od zapachu rozkwitających bzów. Księżyc stał wysoko, zalewając taras i park potokiem srebrzystego światła. Nad stawem rozwłóczyły się białawe mgły, w każdej kępie krzewów słowiki zanosily się śpiewem. Odpowiadały im chóry żab znad stawu i rzeczki. Nina wspięła się na palce i rozłożyła ramiona, odchylając w tył głowę, jakby chciała objąć ten przepiękny obraz i przycisnąć do serca. Po chwili odetchnęła głęboko i wróciła do pokoju. Położyła się i zasnęła z uśmiechem na ustach, wsłuchana w odgłosy wiosennej nocy, kipiącej potężnym życiem natury.

Spała bardzo mocno i obudziła się późno, a raczej obudził ją Grot, który przyszedł się przywitać. Wskoczył na łóżko i polizał ją w policzek. Poprzedniego dnia pies szalał z radości, witając panią po długiej rozłące, i nie odstępował jej, chodząc za nią krok w krok. Po śniadaniu Paweł oznajmił, że przyszedli gospodarze ze wsi i koniecznie chcą się widzieć z dziedziczką. Wyszła do nich, pełna złych przeczuc, ale okazało się, że chcieli tylko podziękować pani za otrzymane zboże na wiosenne siewy.

Potem przyszedł także pan Bochniak i przywitał ją z prawdziwie ojcowskim rozrzewnieniem, gratulując urodzenia córki, przyszłej dziedziczki Makowa. Ucałował ręce młodej pani i chętnie przyjął zaproszenie na kieliszek wina.

– A skąd pan wziął zboże dla gospodarzy? – zagadnęła, kiedy okrągła figura rządcy wygodnie spoczęła w fotelu. – O ile pamiętam, wcale nie mieliśmy zapasów.

– Nie mieliśmy. Ale pan hrabia zakupił zboże u pani wojewodziny i kazał je rozdać chłopom.

– Matko Boska! – Nina aż podskoczyła z wrażenia. – Na jarmarku kupilibyśmy taniej!

Rządca przetarł chusteczką spoconą łysinę, bo dzień był ciepły, a wino mocne.

– To nie był zły interes. – Uśmiechnął się krzywo. – Pani wojewodzina oddała nam zboże prawie za darmo, ale...

– O, widzę, że jest jakieś „ale”.

– Niestety. Interes dał pani wojewodzynie prawo wglądu w nasze sprawy majątkowe. Czasami doprawdy nie wiem, kogo mam słuchać. – Rządca miał taką nieszczęśliwą minę, że Nina czule poklepała jego tłusciutką rękę.

– Od dziś tylko mnie, kochany panie Bochniak! Bogu dzięki, wróciłam do domu i odtąd razem będziemy walczyć z przeciwnościami losu. Jestem przekonana, że ciotunia wojewodzina ma najlepsze intencje, ale w moim domu nikt prócz mnie rządzić nie będzie.

Oznajmiła to z takim szelmowskim uśmiechem i zarazem tak stanowczo, że pan Bochniak z miejsca odzyskał dobry humor, przekonany, iż stara dama nie będzie już mogła wściubiać nosa w interesy Makowa. Rozsiadł się wygodniej, pociągnął łyk wina i podkreślił wąsa.

– Czy mamy jeszcze jakieś pieniądze? – spytała Nina.

– Owszem. Ruszyła cegielnia i otrzymaliśmy duże zamówienia z Suchedniowa, Wąchocka i Bodzentyna. Ludzie zaczynają się znowu budować po pożarach. Sprzedaliśmy także część opasów i kilka mniej wartościowych koni. Ale i wydatki mieliśmy spore. Z rozkazu pana hrabiego wydaję bezrolnym darmo cegłę oraz drewno na budowę domów. Dostali także zboże i sadzonki. Wolno im bezpłatnie ciąć drewno w naszym tartaku. Odrabiają dług, pracując na dworskich polach, choć ich praca jest niewspółmierna z ponoszonymi przez nas kosztami. Jedno muszę przyznać: ci ludzie zupełnie się zmienili. Dawniej umieli tylko stękać i użalać się nad sobą, teraz robota pali się im w rękach. Wspólnie walą w puszczy drzewa, razem je obrabiają i kolejno stawiają domy. Pod jesień całe osiedle będzie gotowe.

Z pewnym zaskoczeniem Nina stwierdziła, że przez cały czas jej nieobecności, Maków rządzony był przez męża. Z leśnego obozu kierował sprawami majątku. Nagle poczuła się mniej ważna, jakby odsunięta poza nawias wydarzeń.

– No dobrze... – mruknęła, sącząc resztkę wina. – Przynajmniej Rząd Narodowy nie zarzuci nam, że nie dbamy o ludzi. A podatki opłacone?

– Naturalnie. Pan hrabia polecił Joselowi zapłacić podatek aż do końca roku. Mamy kwity z pieczęcią rządu.

Nina wolno odstawiła kieliszek i spojrzała na niego uważnie.

– Panie Bochniak, ja pytam, czy opłacono podatek w guberni.

Rządca znowu się spocił, ponownie sięgnął do kieszeni po chustkę i otarł czoło.

– Nie zapłacono! – wyznał dramatycznym tonem.

– Rany boskie! – wrzasnęła, czując ogarniającą ją panikę. – Od dawna nie płacimy?

– Od lutego – sapnął. – Rząd powstańczy nie pozwala płacić Moskałom podatków. Pan hrabia mi zabronił...

Przez chwilę Nina trwała w osłupiałym milczeniu, bo wstrząśnięta, nie mogła wydobyć z siebie głosu. W stanie wojennym nieopłacenie podatku równało się z utratą majątku. Do opornego dziedzica wysyłano karną ekspedycję i nakładano ogromną kontrybucję, najczęściej dobra konfiskując.

– Panie Bochniak, czy zdaje pan sobie sprawę, na co się narażamy? – odezwała się wreszcie, patrząc mu prosto w oczy. – W każdej chwili możemy się spodziewać najazdu karnej ekspedycji! A kiedy tu sobie pohulają, Maków będzie ruiną.

Rządca wiedział, że młoda pani ma rację, lecz nie wyobrażał sobie, iż mógłby postąpić wbrew woli hrabiego.

– Przecież musimy przestrzegać rozkazów Rządu Narodowego. W przeciwnym razie ukarze nas policja narodowa. I tak źle, i tak niedobrze – westchnął.

„Jakbym jeszcze mało miała kłopotów” – pomyślała ze złością.

– Rząd Narodowy wcale się nie wzruszy, jak mój Maków pójdzie na licytacji pod młotek! – zawołała z rodzącą się pasją. Przez moment rozważała sytuację i doszła do wniosku, że mniej się lęka policji narodowej niż najazdu ekspedycji karnej. Była absolutnie przekonana, że wcześniej czy później powstanie upadnie, a wówczas władze carskie przypomną sobie o opornych dłużnikach i dobiorą się im do skóry. Przemyślawszy wszystko, podjęła stanowczą decyzję.

– Panie Bochniak, jutro osobiście pojedzie pan do guberni i opłaci pan wszystkie zaległe podatki. Z Krakowa przywiozłam trochę pieniędzy i dam je panu. Pan hrabia wybiera się na wojnę i nie musi o tym wiedzieć.

Biedny rządca skulił się, bez trudu odczytując jej myśli.

– Ośmielam się przypomnieć, że pan hrabia stanowczo mi tego zabronił – powiedział drżącym głosem, błagając wzrokiem o przebaczenie. – Jestem starym sługą hrabiostwa i pod koniec życia nie chciałbym zasłużyć na naganę mego chlebowdawcy.

Nina złagodniała. Znała jego kryształową uczciwość i ślepe przywiązanie do rodu Klonowieckich. Było jej bardzo przykro, że namawia go do czynu niezgodnego z wolą wyrażoną przez męża, ale obawa utraty majątku była najsilniejszą motywacją jej decyzji.

– Nikt nie rozumie pana lepiej niż ja – powiedziała serdecznie, ujmując obie ręce rządcy w mocnym uścisku. – Doskonale zdaję sobie sprawę, czego od pana oczekuję. Gdyby mąż dowiedział się o tym, okazałyby panu swoje niezadowolenie. Natomiast mnie... Och, kochany panie Bochniak, prawdopodobnie nasze małżeństwo zakończyłoby się rozwodem – wyznała szczerze.

– Ależ pani hrabino, to niemożliwe! Pan hrabia bardzo panią kocha.

– Wiem, co mówię... Mąż jest powstańcem i zobowiązał się wykonywać rozkazy rządu. Ale my, panie Bochniak, oboje dobrze wiemy, co to znaczy najazd obcego wojska – mówiąc to, Nina coraz bardziej unosiła się gniewem. – Niech mnie raczej zaraz piorun tu strzeli, niż będę spokojnie patrzeć, jak kozackie szable tną meble i obrazy, a kule rozbijają lustra i posągi. Nigdy! Mąż odchodzi daleko od Makowa, aby ponownie podjąć walkę. Teraz ja odpowiadam za pałac i ludzi, którzy tutaj mieszkają. Panie Bochniak, jutro pojedzie pan do Radomia i zapłaci wszystkie należności!

W głębi serca rządca niezachwianie wierzył w mądrość życiową młodziutkiej pani. Jej praktyczny i rzeczowy pogląd na sprawę trafił mu do przekonania, bo sam kochał Maków równie gorąco.

– A co powiemy, jak zainteresuje się nami policja narodowa? – wysunął ostatnią obiekcję.

– Potem będziemy się zastanawiać. – Roześmiała się i podała mu rękę, którą rządca ucałował z prawdziwą czcią.

Przed południem Nina postanowiła wybrać się na konny spacer. Mignon, długo trzymana w stajni, zaraz za bramą przeszła w cwał. Kołysząc się rytmicznie w siodle, Nina rozkoszowała się pędem i własną sprawnością fizyczną. Przez długie miesiące ciąży musiała odmawiać sobie ulubionej rozrywki, za to teraz pędziła, aż wiatr wiejący jej w twarz unosił welon na kapeluszu i powiewał trenem amazonki. We wsi chaty były otwarte na przestrzał, wietrząc się po zimowym zaduchu. Nad stawem kobiety prały bieliznę, mocno uderzając kijankami. Wiosna już była w pełni, trawy wyrosły soczyste i wysokie, zapowiadając wczesne i obfite sianokosy. Nad falistą szachownicą pól rozciągało się błękitne niebo, usiane drobnymi białymi obłoczkami. Wiejską drogą turkotały wozy z obornikiem. Mijając dziedziczkę, gospodarze zdejmowali z głów słomiane kapelusze i kłaniali się z powagą. Odpowiadała im życzliwym uśmiechem i skinieniem dłoni, jednocześnie ponaglając klaczkę.

Pośród wysokich traw pasło się bydło i bieleły stadka gęsi. Nina stwierdziła z radością, że jeśli przechodzące wojska nie zniszczą płonów, to tego roku urodzaje zapowiadały się rekordowo. Z ciekawości skręciła w stronę Pliszkowej Górki. Zrazu nie poznała dawnych nieużytków, pełnych głązów i powalonych wichrem drzew. Teraz ciągnęły się tu równo zaorane

pola, obsiane zbożem, i długie rzędy zasadzonych ziemniaków. Dalej, na wzgórkach, w pobliżu bystrej rzeczki stały na podmurówce trzy nowe domy z drewnianych bali, ogrodzone porządnymi płotkami. Złociły się w słońcu świeżo ociosane belki i czerwieniła cegła, dodając krajobrazowi koloru. Nieco dalej wznosiły się szkielety kolejnych domów, stawianych z pośpiechem przed zimą. Na widok nadjeżdżającej pani pracujące w polu kobiety otoczyły ją ciasnym kręgiem, opowiadając o mnożących się potrzebach.

– Na swoim to nawet ta ciężka praca zdaje się letka – prawiała starsza kobieta ze śladami dawnej urody. – Za jakieś dwa, trzy roky za sprzedane zboże i jarzyny kupimy może jakąś gadzinę, bo len też ślicznie wschodzi. Bóg zapłać jasnie państwu za ziemię i te chałupy. Bedziewa mieszkać kiej dziedzice.

Nina lubiła, jak ją chwalono, bo była z natury dosyć próżna. Przez chwilę uprzejmie rozmawiała z kobietami, wysłuchując ich podziękowań. Pan Bochniak miał rację: twarze tych ludzi nie przypominały tamtych nędzarzy, apatycznych i bezradnych, gnieźdzących się w wilgotnych norach. Przyszły jej na myśl słowa męża. Powiedział kiedyś, że każde zdrowe dziecko urodzone w nowym domu będzie dla niego dostateczną rekompensatą za poniesione wydatki. Sięgnęła do kieszeni i najbliższej stojącej kobiecie wcisnęła do ręki kilka rubli na nowe gospodarstwo. Obiecała postarać się im o drób, oznajmiając, że każdy osadnik dostanie po jednej krowie. Odjechała, żegnana błogosławieństwami.

W domu zastała panie zajęte przymierzaniem strojów i przykrawaniem materiałów na nowe toalety. Emilka stała przed lustrem, podziwiając swoje odbicie w modnym kapelusiku z jasnoniebieskiego atłasu, pod kolor jedwabiu na suknię. Nina przywiozła także dla Zosi mięsistą kremową satynę, haftowaną w barwne bukiety kwiatów, i już wyobrażała sobie, jak ślicznie będzie błękitnookiej i jasnowłosej Trusi w letniej toalecie.

Po obiedzie, korzystając z ciepłej i słonecznej pogody, wszystkie panie wyszły do parku, aby posiedzieć przy fontannie. Powitały je krzyki pawi oczekujących na okruszki chleba. Zmęczona konną jazdą Nina wyciągnęła się w trzciniowym fotelu wyłożonym poduszkami i przymknęwszy powieki, odpoczywała, rozkoszując się świadomością, że jest już w domu. Reszta pań pod kierunkiem pani ochmistrzyni szyła letnią bieliznę dla chłopców w lesie.

– Od jutra składam wizyty – odezwała się Nina, przerywając ciszę. – Muszę wstąpić do Sarnik i Brzezińca, bo Lipieniec pozostawię sobie na deser. Obawiam się, że ciotunia wojewodzina wstąpi na ścieżkę wojenną. – Z westchnieniem sięgnęła po wysoką szklankę kompotu z jabłek. – Emilko, nie wiesz, jak radzi sobie Zosia?

– Mówiła mi, że od kiedy pozbyła się nieuczciwego rządcy, majątek kwitnie. Jest bardzo zadowolona z tego pana, którego jej poleciłaś. Wyobraź sobie, że Stefanek już raczkuje. Rozkoszne dziecko. Och, zazdrozczę wam, że obie macie już dzieciaczki... – zająknęła się i spłonęła rumieńcem, zgromiona wymownym wzrokiem pani Salomei. – O, bardzo przepraszam, wyraziłam się nietaktownie.

„Nie masz mi czego zazdrościć” – pomyślała Nina. Słuchała nowinek dosyć nieuważnie, zapatrzona w ciemne czuby wysmukłych sosen, rosnących wzdłuż kwiatnych rabat. Wyglądały bardzo malowniczo w promieniach wolno schodzącego ku zachodowi słońca. W koronach odwiecznych lip łagodnie szemrał wiatr, leciutko poruszając liśćmi. „Boże, dziękuję Ci, że jestem w domu i już nigdzie nie muszę się ruszać. Jaki ten poszum drzew jest melodyjny... Szkoda, że w nutach nie można zapisać muzyki drzew. A właściwie dlaczego nie? Przez tę ruchawkę zaniedbałam muzykę. Od jutra przysiądę fałdy i może uda mi się przekazać w zapisie nutowym to, co teraz słyszę. Nokturn albo preludium. Nie, lepiej nokturn”.

– A co nowego u państwa Jabłockich? – zainteresowała się Mira. – Pani Dorota wybaczyła mężowi? – Wbiła igłę w płótno i spojrzała z ciekawością na pilnie szyjące panie.

– Nie potrafią się pogodzić i ciągle u nich awantury – mruknęła pani ochmistrzyni ze zgorszoną miną.

– Nawet nie jestem pewna, czy wypada o tym głośno mówić – zauważyła pani Salomea z wahaniem, prostując ścierpnięte plecy. – Podobno pana Jabłockiego zaczepił w miasteczku jakiś Żyd i pokazał mu kwit na trzysta rubli, rzekomo przez niego podpisany. Starszy pan bardzo się tym przejął. To bardzo przykre. – Pani Salomea umilkła, widocznie uznając, że dalej nie wypada komentować tego wydarzenia.

– O, wyobrażam sobie! – Nina nie mogła powstrzymać złośliwego uśmiechu. – Ciociu, jesteśmy w swoim gronie. Mówcie, kochane, co było dalej!

– Sprawa naprawdę wygląda niesmacznie – podjęła opowiadanie Emilka.
– Pan Jabłocki wpadł we wściekłość, pojechał do leśnego obozu i obił zięcia laską, zapowiadając, że więcej nie zobaczy złamanej kopiejki. Pan Kazimierz poczuł się obrażony i postanowił wyzwać teścia na pojedynek! Pan hrabia go wyśmiał i zagroził, że usunie go z oddziału, jeśli pan Biecki nie ureguluje należności. Z kolei Dorota obraziła się na ojca i sama wykupiła kwit. Teraz już z ojcem nie rozmawia, tylko się kłóci. Sponiewierany pan Kazio zrewanżował się teściowi i oświadczył, że poślubiając Dorotę, popełnił mezalians!

Wszystkie panie jak na komendę wybuchły śmiechem. Dorota nie była lubiana, a pani Jabłocka zrażała do siebie ludzi plotkami. Ale zaraz przestały się śmiać, słysząc zbliżający się z błyskawiczną szybkością tętent rozpędzonego konia. Pani ochmistrzyni podniosła się z fotela i przysłoniwszy oczy dłonią, patrzyła z niepokojem w stronę wylotu alei.

– Leci jak do pożaru – szepnęła, kreśląc nieznacznie znak krzyża. – Czy to nie Moskale, nie daj Panie Boże?

Z napięciem czekały na ukazanie się jeźdźca. Jakoż po chwili z lipowej alei wypadł rozpędzony koń z amazonką na grzbiecie. Przesadzając klomby, szybko zbliżał się ku nim. Siedząca w siodle kobieta już z daleka dawała znaki, a podjechawszy do fontanny, ściągnęła tak mocno cugle, że wierzchowiec stanął dęba.

– Zosia? – Nina porwała się, biegnąc ku niej z wyciągniętymi ramionami.

Zsunąwszy się z siodła, Zosia wpadła jej w objęcia. Oddychała prędko, oblizując spieczone wargi. Twarz miała szarą i szeroko otwarte oczy, w których czaiło się przerażenie. Była bez kapelusza i rękawic, w zwykłej domowej sukience. Rozpuszczone jasne włosy snuły się jej po ramionach, zasłaniając spoconą twarz. Niecierpliwym ruchem odgarnęła wilgotne pasmo.

– Trusieńko, co się stało? – Nina patrzyła na nią ze zdumieniem. – Chodź, napijesz się czegoś chłodnego. Musisz odpocząć.

Podprowadziła ją do fotela i pomogła usiąść. Pani Salomea pośpiesznie napełniła szklanekę kompotem. Zosia z jękiem osunęła się bezsilnie na poduszki i chciwie jednym tchem wypila napój, gestem prosząc o dolewkę.

– Tchu, o tchu! Brak mi powietrza... – wyszeptała chrapliwym głosem. Napiła się kompotu, odetchnęła i odezwała się drżącym głosem, co chwilę przerywając, aby odetchnąć. – Stało się nieszczęście. Dziś dragoni

aresztowali mego teścia, pana Jabłockiego i kilka innych osób. Zostali uwięzieni na skutek jakiegoś donosu. Ktoś powiadomił Rosjan, że krewni aresztowanych biorą udział w powstaniu. Uwięziono także panią Starzeńską, której syn i zięć służą w partii „Kruka”¹⁵. Dragoni mieli o nich bardzo dokładne informacje. O Jezu! – Zapłakała nagle. – Mój biedny teść nie mógł sam wsiąść na wóz drabiniasty z powodu swego kalectwa, to chwycili go jak worek ziemniaków i po prostu siłą wrzucili, aż biedak uderzył głową w drabinkę. – Zosia ukryła twarz w dłoniach i zaniosła się szlochem.

Kobiety wpatrywały się w nią skamieniałe z wrażenia, nie mogąc wydobyć ze ściśniętych gardeł głosu. Tak, to było prawdziwe nieszczęście, jakiego się nikt nie spodziewał. Nina przyklękła przy fotelu przyjaciółki i przytuliła jej głowę do piersi.

– Najmilsza, błagam, uspokój się – prosiła przyjaciółkę.

– Nie rozumiesz? Trzeba natychmiast powiadomić pana naczelnika na Łysej Polanie! To ogromnie ważne!

Nina pobladła, bo przyszło jej na myśl, że i ona może zostać aresztowana. Była przecież żoną dowódcy partii powstańczej gromiącej rosyjskie patrole. Wystarczy, żeby ktoś, nawet nieumyślnie, wygadał się z tym do jakiegoś zakonspirowanego agenta policji carskiej i kryminał gotowy.

– Zosiu... – odezwała się, odzyskując zimną krew. – Powiedz nam, ilu jest tych dragonów.

– Może z pięćdziesięciu i jeden oficer. – Biedna Zosia nie przestawała płakać, pociągając nosem i wycierając łzy dłonią. Nina prędko podała jej swoją chusteczkę. – Ach, Ninetko! – załkała, otwierając szeroko łagodnie niebieskie oczy. – To był koszmar! Siedzieli w Brzezińcu kilka godzin, bo mieli zmęczone konie. Musiałam dać im jeść i poczęstować herbatą. Wyobraźcie sobie, jak się wtedy czułam!

Pani Salomea podniosła się z miejsca i po matczynemu ucałowała ją w czoło.

– Opowiedz wszystko dokładnie, moje drogie dziecko – ponagliła ją czule.

– Posłuchajcie panie... Przed odjazdem ten oficer powiedział mi tak: „Ja wiem, że w pobliżu macie swoje bandy buntowników i pewnie ich powiadomicie o tym, co tu zaszło. Ale pamiętajcie, gdyby nas zaatakowano, ja natychmiast zastrzelę pani teścia. Parol oficerski”. – Zosia

posłała przyjaciółce rozpaczliwe spojrzenie. – Nino, ja nie wiem, co mam robić. Obawiam się, że ten okrutnik spełni dane słowo i ojca zabije. Ale przecież nie możemy pozwolić, żeby ci nieszczęśni ludzie trafili do Radomia. Słyszałam, że tam na przesłuchaniach bije się i torturuje aresztowanych.

W ułamku sekundy Ninę przeszedł zimny dreszcz, jakby dotknęła ją lodowata ręka przeznaczenia i w całym ciele poczuła przejmujący ból. Doznała jednego z tych dziwnych przeczuć, które czasami miewała. Wzdrygnęła się, ale po chwili zapomniała o ulotnym wrażeniu. Były ważniejsze sprawy.

– Nie płacz, kochanie. Musisz zachować pełnię władz umysłowych, bo wszystko, co mi powiesz, może być ogromnie ważne. Opowiedz dokładnie, dokąd dragoni pojechali.

– Tego mi nie powiedzieli. – Zosia sięgnęła po srebrną chochlę i napełniła ponownie swoją szklankę kompotem. – Muszą się gdzieś zatrzymać, aby przenocować, bo ich konie upadały ze zmęczenia. Rano pojedą chyba na Wzdół i do Suchedniowa, a potem do Radomia. Ale to tylko moje domysły. Nino, ja nie mogę jechać na Łysą Polanę, bo Stefan został sam w domu, a służbie już nie ufam, bo nie wiem, kto wydał mego teścia. Jezu, to taki zacny, dobry człowiek. Boję się nawet myśleć, jak przyjmie to Tadek. Oni tak bardzo się kochali! – Oparła głowę o stół i ponownie zalała się łzami.

Nina pieszczotliwie gładziła jej potargane przez szaloną jazdę włosy. Jednocześnie gorączkowo zastanawiała się nad sytuacją. W carskich więzieniach nie pieszczono aresztantów. Gdy ktoś nie chciał się przyznać do zarzucanych mu czynów, stosowano tortury. „Matko Najświętsza, a jeżeli pan Jabłocki, człowiek starszy i słaby, nie wytrzyma bicia i wyjawi, gdzie znajduje się leśny obóz? Wojsko zrobi obławę i Łysa Polana stanie się miejscem bitwy. Powiedzmy, że zdążymy na czas zawiadomić Aleksa, to czy ten oficer nie zastrzeli pana Siekielskiego? Och, co robić?”

Panie zajęły się serdecznie Zosią, pocieszając ją i uspokajając. Pod wpływem soli trzeźwiących i pieszczot młoda kobieta przestała płakać.

– Nino, co o tym myślisz? – Spojrzała przyjaciółce w oczy, wierząc w jej rozsądek i odwagę. – Zrobię, jak postanowisz.

Nina bezradnie wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową, nerwowo przechadzając się po gazonie i depcząc posadzone tam kwiaty. Ruchem dłoni odgoniła oczekujące na pożywienie pawie, które ją otoczyły,

rozkładając swoje cudowne ogony. Wystraszone uciekły, krzyżąc przeraźliwie.

– Mój mąż musi się dowiedzieć, co zaszło – powiedziała po namyśle. – Być może donos dotyczy również i innych sąsiadów. A skąd zaprzędaniec wiedział o powstańcach u „Kruka”?

– Nie mam pojęcia. – Zosia się skrzywiła i nieznacznie pomasowała bolący pośladek. W pośpiechu wzięła męskie siodło, bardzo twarde i niewygodne.

– Ja pojedę do leśnego obozu – oznajmiła Emilka, wstając i otrzepując suknię z białych nitek.

– Nie! – ostro sprzeciwiła się Nina. – Ty nie potrafisz szybko jeździć konno, a tam trzeba będzie pędzić, jakby cię diabeł gonił. Bardzo się boję, że Alek już wyruszył i w obozie nie zastanę nikogo. Emilciu... – Uniosła dłoń, widząc, że młoda kobieta zamierza protestować. – Ty najlepiej zastąpisz mnie w Makowie, jakby, co nie daj Boże, Rosjanie złożyli nam wizytę. Mówisz znakomicie po rosyjsku i masz z nas najwięcej zimnej krwi. Mirunia ci pomoże. Gdyby pytali o mnie, to mów, że wyjechałam do Radomia opłacić podatki. Ach, to prawdziwy pech, że pan Bochniak zabrał z sobą Maćka!

To był naprawdę fatalny zbieg okoliczności, bo Maciek znakomicie jeździł konno, a puszcę znał jak własną kieszeń. Pomyślała o Tomku, ale chłopiec przebywał daleko na leśnych pastwiskach, doglądając stada arabów. Postanowiła, że w przyszłości nie pozwoli mu oddalać się od domu.

– Zosiu, przypomnij sobie, jak więźniowie rozmieszczeni są na wozie? – odezwała się, przystając i patrząc przenikliwie na przyjaciółkę.

– Och, mam mętlik w głowie! – Potarła dłonią czoło. – Powiedz panu naczelnikowi, że aresztowani siedzą na długim wozie drabiniastym, jedni przy drugich, a wóz otacza około pięćdziesięciu dragonów, bardzo dobrze uzbrojonych. Oficer jedzie przy wozie.

– Czy aresztowani są związani? – Starła się zapamiętać wszystko, co mówiła Trusia.

– Nie, są wolni. Na razie uwięziono tylko siedem osób, ale to nie wszyscy, bo oficer zarekwirował mi drugi wóz, niby po to, by załadować tam siano dla koni. Dragoni uzbrojeni są w karabinki i szable, a oficer ma jeszcze pistolet. O, jest już mój koń! – zawołała, widząc stajennego

prowadzącego jej wierzchowca, wyczyszczonego, napojonego i nakarmionego. – Odpoczęłam i muszę już wracać do domu. – Wstała z fotela i obciągnęła na sobie pomiętą i zakurzoną suknię.

– Złotko, szkoda twoich rączek, dam ci rękawice. Jutro wybierałam się z wizytą do ciebie – westchnęła Nina.

– Po co mi rękawice? Kto wie, co jutro z nami będzie? – powiedziała smutno Zosia.

– Trusieńko, niech ci Bóg zapłaci za wiadomość. – Nina objęła ją i ucałowała w oba policzki. – Kochanie, zabierz synka i przyjedź do Makowa. Razem będzie nam różniej.

– Nie mogę. Muszę czekać na wiadomość o teściu i mieć oko na wszystko – odparła stanowczo Zosia. – Nino, ogromnie ci współczuję, że straciłaś synka. To i dla mnie wielki smutek.

Wycalowana przez panie, wsparła stopę na dłoni stajennego, sadowiąc się w siodle. Podcięła konia szpicrutą i z miejsca ruszyła cwałem. Nina odprowadzała ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła pomiędzy drzewami alei. Przyszło jej na myśl, że los nie szczędził ciosów biednej Trusi. W zimie straciła ojca, potem dom rodzinny, a teraz aresztowano teścia, do którego była bardzo przywiązana.

– Zdecydowałaś się jechać do obozu, dziecinko? – spytała pani Salomea, z niepokojem wpatrując się w Ninę.

– Tak. Zaraz się przebiorę i jadę. Muszę przybyć do obozu przed świtem, żeby nasi zdążyli przygotować zasadzkę. Jezu, żeby tylko zastała ich jeszcze na miejscu!

Jaga, która właśnie nadeszła z domu, przysłuchiwała się jej ze zdumieniem.

– Sama wybierasz się do lasu po nocy? To niemożliwe! Ja się nie zgadzam! Musisz wziąć kogoś ze sobą, jeśli sprawa jest aż tak pilna – oświadczyła stanowczo.

– Sprawa jest śmiertelnie pilna, nianiu. Nie mam kogo zabrać, bo Maciek pojechał z panem Bochniakiem, a reszta chłopców daleko, na pastwisku.

Udawała zucha, starając się zdusić w sobie strach przed jazdą nocą przez ciemny bór.

– Och, Nino, tak mi przykro, że nie potrafię jeździć konno, ale wyznam, że boję się koni – wyznała ze skruchą panna Lutówna.

– Nie wyobrażaj sobie, słodki pyszczku, że pozwolę ci leniuchować. – Zaśmiała się. – Pojedziesz ze Stachem do Porajów i powiadomisz pannę Lasewiczównę o nieszczęściu. Niech da znać policji narodowej, że mamy w pobliżu konfidenta, który denuncjuje rodziny powstańców. Powiedz jej, że koniecznie potrzebna będzie dobra kryjówka dla uwolnionych więźniów. Trzeba ich w miarę możliwości jak najszybciej przerzucić do Galicji. Na szczęście Siekielscy mają tam rodzinę.

Myślała o wszystkim i kobiety patrzyły na nią z aprobatą, podziwiając jej energię i zaradność. Nie wdając się już w rozmowy, uniosła spódnice i popędziła do pałacu. Mijając w sieni Walentego, rzuciła mu w przelocie ostrzeżenie:

– Niech ktoś idzie na wieżyczkę. Moskale są w pobliżu! Proszę posłać Pawła do leśnego pastwiska dla koni. Niech koniecznie sprowadzi tu Tomka – poleciła.

– Znowu Moskale? – Kamerdyner stanął jak wryty, patrząc za nią. – Utrapienie! Zaraz zawołam Pawła i schowam co lepsze sztucce. – Mamrocząc pod nosem, podreptał w głąb domu.

W sypialni Nina prędko pozbyła się sukni, uśmiechając się pod nosem na myśl o wrażeniu, które wywoła, pokazując się w stroju zakupionym w Krakowie. Rozsznurowała gorset i odetchnęła pełną piersią. Pozbyła się falbaniastych halek, pozostając jedynie w koszulce i pantalonach. Ze schowka w garderobie wyjęła ukryte tam przed nianią rzeczy. Pośpiesznie zmieniła uczesanie, okręcając warkocze dokoła głowy i mocując je szpilkami, aby nie przeszkadzały w szybkiej jeździe.

Gdy weszła do salonu, z ust wszystkich obecnych tam kobiet wyrwał się cichy okrzyk i zapanowała nagła cisza. Jedna Jaga, przyglądając się swojej wychowance, zaczęła sapać jak foka. Nina odważyła się rzucić rękawicę modzie i przyzwoitości, bo zamiast tradycyjnej amazonki miała na sobie bluzkę uszytą na wzór męskiej koszuli, włożoną w spodnie ze skóry jelonka. Na wierzch włożyła szarą kurtkę, szamerowaną czarnymi taśmami i zapinaną na jedwabne pętlice, sięgającą do połowy uda i ściągniętą w talii skórzanym szerokim pasem, za który zatknęła pistolet i krótki sztylet w stalowej pochwie. Wysokie buty do konnej jazdy uwydatniały jej długie nogi, zgrabne jak u baletnicy. W męskim stroju wydawała się wysoka i smukła, ale czuła się w nim dosyć niepewnie, pozbawiona szerokiej spódnicy. Jedynie Emilka i Mira były zachwycone tym ubiorem.

Jaga pierwsza odzyskała zdolność artykulacji.

– Jak ty wyglądasz?! Natychmiast idź się przebrać w amazonkę! – rozkazała oburzona. – Fe, bezwstydnica! Jak śmiesz się pokazywać tak ubrana?

Nina pokręciła głową jak dziecko, które się sprzeciwia, kiedy ktoś nie pozwala mu wskoczyć do studni albo pobawić się brzytwą.

– Nie zamierzam przepychać się przez puszcę w krynolinie – oznajmiła i złożywszy damom kawalerski ukłon, wyszła, pozostawiając panie z otwartymi z osłupienia ustami.

W stajni Mignon, mająca ochotę na drzemkę, łypnęła na panią złym okiem i prychnęła. Nina poczęstowała ją cukrem i jabłkiem. Klaczka łaskawie przyjęła dary, ale nie chciała dać się osiodłać, nadymając się i próbując gryźć. Zniecierpliwiona Nina wlepiła jej w zad mocnego klapsa. Mignon, pogodzona z losem, pozwoliła się osiodłać i wyprowadzić ze stajni.

O tej porze park był już pusty, ogrodnicy dawno skończyli pracę. Nina szła alejami bardzo szybko, prowadząc klacz za uzdę. Starła się, aby nikt jej nie widział. Mijając kaplicę, przeżegnała się i odmówiła krótką modlitwę za duszę hrabiny Tekli. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że wkrótce minie pierwsza rocznica jej śmierci. Jakże ten czas prędko przeleciał i ile przyniósł zmian. Jeszcze tak niedawno zwierzała się starszej pani ze swoich zmartwień, które wówczas wydawały się jej tragedią, a dzisiaj były po prostu śmieszne. Podniecała ją myśl o spotkaniu z mężem. Przybędzie do obozu jako kurier i choćby był na nią zły, musi jej wysłuchać.

Boczną furtą wyszła na piaszczystą drogę i lekko dosiadła Mignon, zapominając natychmiast o wszystkim, co nie wiązało się z celem wyprawy. Klepnęła klacz po szyi i Mignon ruszyła przed siebie wyciągniętym kłusem, przechodząc w galop i cwał. Nina, usadowiona mocno na męskim siodle, dała się unosić pędowi. Wiatr zaświstał jej w uszach, rozwiana w biegu grzywa smagała Ninę po twarzy. W mgnieniu oka przebyła krótki odcinek polnej drogi i wpadła w gęsty las. Tu już było chłodno i zalegały cienie. Chylące się ku zachodowi słońce rzucało długie, ukośne złote strzały promieni pomiędzy grube pnie jodeł, buków i modrzewi, na szmaragdowe mchy usiane wiosennymi kwiatami. Jednak niżej panował już półmrok. Mijała w pędzie wielkie głązy porośnięte cierniem i dzikie grusze, nie

wiadomo przez kogo zasadzone przy ścieżce. Krążyły jeszcze nad nimi pszczoły, zbierając z białych kwiatów nektar i śpiesząc się przed nadejściem wilgotnego wieczoru.

Od głębokich dolin szedł chłodny powiew. Teraz drogę znaczyły rzędy smukłych białych brzoź, owianych seledynowym welonem cieniutkich gałązek. Mijając porośnięte krzewami kopce, Nina zęgnęła się i ponagliła klacz uciskiem kolan do szybszego biegu. Starzy ludzie prawili, że w tych miejscach straszy! Dziadek Aleksa, kasztelan Klonowiecki, postawił tu krzyż, teraz już spróchniały i chylący się do upadku. Było to miejsce nieprzyjemne nawet w jasny dzień, a ostre głosy ptaków przypominały krzyk rozpacz. Nie oglądając się za siebie, Nina oddaliła się od mogił kryjących prochy wojowników. Może to byli Tatarzy, Litwini, a może Szwedzi albo Krzyżacy? Dziś nikt już tego nie pamiętał. Niegdyś te ziemie najeżdżał wielki książę litewski Jagiełło, wnuk Giedymina, niosąc ogień i miecz. Kiedy po latach został królem Polski, z pokorą szedł piechotą do klasztoru na Świętym Krzyżu, ofiarując bogate dary i modląc się o zwycięstwo przed bitwą grunwaldzką. Ziemie Gór Świętokrzyskich owiane były nimbem dziejów wielkiej historii państwa polskiego.

Na zachodzie niebo przybrało kolor purpury, a pnie drzew zdawały się płonąć żywym ogniem. Małe jeziora, głębokie i ciemnozielone, poczerniały, kiedy słońce skryło się za horyzontem. Ptaki ucichły i tylko czasem zaszczebotały, układając się do snu. Szła noc, niosąc z sobą ciemność. Nina, posiadająca znakomitą pamięć wzrokową, jechała pewnie, pragnąc przed zapadnięciem mroku znaleźć się w puszczy¹⁶. Omijając bokiem siedziby ludzkie, uparcie zmierzała ku Łysogórom. Mignon niespokojnie podrzuciła głową i chrapnęła. Była już zmęczona, więc Nina zdecydowała się dać jej chwilę odpoczynku przed bardzo trudną drogą. Nakarmiła ją z ręki i pozwoliła napić się wody z górskiego strumyka. Po kwadransie wzięła klacz za uzdę i ruszyła przed siebie. Skacząc po kamieniach, przebyła wartką i lodowatą o tej porze roku Czarną Wodę i nareszcie wkroczyła do prawdziwie dzikiego ostępu przyrody. Dosiadła znowu klaczy i jakiś czas jechała borem, aż znalazła się przed stokiem górskim. Większe i mniejsze głazy zaścielały ziemię, tworząc nieprzebyte rumowisko skalne. Było to owiane legendami gołoborze. Nie było jeszcze zupełnie ciemno, lecz Nina postanowiła zapalić małą ślepą latarenkę, pilnując, żeby Mignon dobrze widziała drogę, nie potknęła się i nie upadła,

łamiąc nogi. W tej głuszy nikt nie mógł dojrzeć poruszającego się wolno światelka. Mimo to Nina co chwilę oglądała się za siebie, przystawała i nadśluchiwała, czy ktoś za nią nie idzie.

Teren się wznosił, a biedna klaczka męczyła się bardzo, roniąc na ziemię płaty białej piany. Nina szła przy niej, przemawiając półgłosem i czule gładząc po pysku. Mignon okazywała lęk, ostrożnie stawiała nogi, parskała trwożnie i podejrzliwie węszyła. Na otwartej przestrzeni gołoborza było nieco jaśniej od wschodzącego księżyca i gwiazd, bo drzewa nie zasłaniały nieba. To miejsce było niesamowite nawet w dzień, a cóż dopiero w nocy. Ninie przyszły na myśl legendy o czarownicach, które stąd wylatywały na miotłach na Łysą Górę, by wziąć udział w sabacie. Wołały: „Przez płot, przez las, przez wieś, nieś mnie biesie, nieś!”.

Wznosząc wzrok ku bezmiernej otchłani usianej gwiazdami, Nina zaczęła się modlić do tej straszliwej, niewyobrażalnej potęgi, która z nicości stworzyła wszechświat i dzierżyła w swoich dłoniach losy planet i maleńkiej mrówki. Błagała pokornie o litość i łaskę dla uwięzionych i prosiła o wolność dla umęczonej, nieszczęśliwej i skrwawionej ojczyzny. Gołoborze wyglądało niesamowicie, jakby jakiś wielki kataklizm nawiedził te strony, burząc ogromne budowle i zamieniając je w gruzy. Klacz omijała wielkie głazy, potykając się, chrapiąc i wzdrygając się nerwowo. Z pobliskiej puszczy dochodziły głosy dzikich zwierząt i nocnych ptaków, wybierających się na łowy. Niedźwiedzi już w górach nie było, ale mogła się natknąć na wilka lub na żerujące pod bukami dziki albo obudzić ze snu złego odyńca. Było to bardzo prawdopodobne, a dla niej i dla Mignon takie spotkanie mogło się zakończyć tragicznie. Na szczęście na wiosnę wilki nie były groźne, mając pod dostatkiem pożywienia.

Droga, ciągle się wznosząca, zaczęła ją męczyć. Dyszała głośno, a od ciągnięcia za sobą opierającej się klaczy rozboleły ją ramiona. Przystanęła i wsparła głowę o szyję Mignon, szepcząc jej do ucha słowa otuchy, które miały i ją samą wzmocnić na duchu. Obecność żywej istoty w tej głuszy dodawała jej odwagi.

– Chodź, konisiu – powiedziała półgłosem. – No, chodź, moja najmilsza.

Gołoborze nareszcie się skończyło, a przed nimi był bór ciemny, pełen tajemniczych, niedostępnych ostępów i legend o złych mocach przywodzących ludzi do zguby. Nina bała się tego lasu i znowu zaczęła się modlić, prosząc Matkę Boską, aby pomogła jej szczęśliwie dojechać do

leśnego obozu. Najwięcej obawy budziła myśl, że może już nie zastać powstańców na Łysej Polanie. Nie miała pojęcia, dokąd zamierzali się udać, bo Aleks jej tego nie powiedział. Wprawdzie konie oraz ludzie eskortujący amunicję byli pomęczeni i potrzebowali odpoczynku, lecz mogli wyruszyć dziś rano lub tej nocy. Wtedy byłaby zupełnie bezradna, a aresztowani trafiliby do więzienia w Radomiu. Mignon odpoczęła, a kiedy droga nieco się poprawiła, Nina wskoczyła na siodło, zdając się na instynkt klaczy. Na małych polankach zatrzymywała się i patrząc w gwiazdy, próbowała się zorientować, gdzie się znajduje. Konie, nawet niekierowane, zawsze znajdą drogę w ciemności, jednak Nina co jakiś czas zapalała latarenkę i przyświecała nią, mijając nawisy skalne nad ścieżką oraz wielkie głazy, które mogły być niebezpieczne.

Było już po północy, kiedy w mijanych zaroślach coś zaszeleściło i rozległo się głośne sapnięcie. Coś potężnego przetoczyło się koło nich, miażdżąc zarośla. Mignon zarżała z przerażenia i na oślep rzuciła się przed siebie, o mało nie zrzucając pani z siodła. Nina wydała okrzyk, ale zdołała utrzymać się na grzbiecie klaczy, ściskając w drugiej ręce pistolet, przekonana, że za moment stanie się coś strasznego. Ale nic się nie stało, Mignon także się uspokoiła i pozwoliła sobą pokierować. Nina domyśliła się, że musiał to być dzik, z nagłą obudzony w swoim legowisku. Prawdziwy cud, że nie starał się ich zaatakować, a klacz nie rozbiła się o skalne ściany lub nie runęła razem z jeźdźcem w dosyć głęboki wąwóz.

– Już dobrze, konisiu, lepiej stąd uciekajmy – powiedziała czule, głaszcząc Mignon po uszach.

To doświadczenie dodało jej odwagi. Zaśmiała się, uświadamiając sobie, że zamierzała zastrzelić z pistoletu „ducha”. Obiecała sobie, że nie będzie myśleć o żadnych przykrych sprawach, ale naraz, jakby na przekór składanym przyrzeczeniom, w pamięci jej odżył obraz zmiażdżonej, krwawej twarzy zastrzelonego przez nią kozaka i okropnej zjawy widzianej w czasie porodu. Przebiegł ją dreszcz i prędko się przeżegnała. „To było tylko przywidzenie, nic więcej, i nie chcę o tym myśleć” – powiedziała sobie stanowczo. Ponagliła Mignon i po jakimś czasie wjechała na okrągłą polankę, zamkniętą z jednej strony młodym zagajnikiem. Rozejrzawszy się, stwierdziła z radością, że była w pobliżu leśnego obozu. Cmoknęła na klacz i popędziła galopem. Zanim jednak dotarła do końca polany, z ciemności rozległ się ostry głos niewidzialnego wartownika.

– Stój! Kto idzie?

„Dzięki Bogu, Alek jeszcze jest w obozie” – pomyślała ucieszona.

– Proszę nie strzelać! – zawołała. – Mam wiadomość dla pana naczelnika „Czarnego”.

– Hasło?

– Nie znam hasła. Jestem żoną pana naczelnika.

Ktoś gwizdnął przeciągle i ten sam głos powiedział nieco uprzejmiej:

– Proszę pozostać na miejscu. Zawołam oficera.

Za skałą zamigotało światło i inny głos wezwał ją, aby się zbliżyła. Ruszyła naprzód i wjechawszy w krąg światła, zatrzymała Mignon.

– Czy to możliwe?! – zawołał młody mężczyzna, podchodząc do niej i składając jej ukłon. – Pani hrabina? Sama? W nocy? O, pani mnie nie poznaje? Jestem Skrzycki, miałem zaszczyt widzieć panią hrabinę w styczniu, kiedy przyjechaliśmy po broń.

– Ależ oczywiście, że pana pamiętam – powiedziała, pochylając się i podając mu rękę. – Zastałam męża w obozie?

– Pani hrabina szczęśliwie trafiła, bo nad ranem wyruszamy. Pan naczelnik śpi, ale go obudzę.

– Nie. Proszę tylko o wolny przejazd, bo bardzo się śpieszę!

– W takim razie proszę za mną.

Ruszyła za Skrzyckim do obozu. Pomiędzy drzewami zaczęły przeświecać ognie płonące na Łysej Polanie. Skrzycki złożył dłonie wokół ust i zawołał:

– Kurier do naczelnika! Przepuścić!

Nina wparła obcasy w boki klaczy i pomknęła naprzód, mijając w pędzie szałas pełne śpiących powstańców. Tylko strażę czuwały, podsycając ogniska, bo noc była chłodna. Zdarła cugle, zatrzymując się przed kwaterą dowódcy. Zeskoczyła z siodła i z ust wydarł się jej głuchy jęk. Jeszcze nie doszła do siebie po ciężkim porodzie i nigdy nie jeździła tak daleko po męsku. Krzywiąc się i zagryzając wargi, pokuśtykała mężnie na trzęsących się nogach. Bolała ją każda kość.

W szałasie było zupełnie ciemno, a z kąta dochodziło znajome regularne pochrapywanie, którego tak bardzo brakowało jej każdej nocy. Czas naglił, więc na palcach skierowała się w stronę posłania, ale w ciemności potknęła się o ławę i wpadła na stół. Spokojny oddech Aleksa urwał się nagle. Przez moment stała niezdecydowanie, bojąc się odezwać, niepewna, jak zostanie

przyjęta. Posłyszała, że mąż podnosi się na posłaniu. O blaszany kubek brzęknął metal. Widocznie pochwycił rewolwer, bo szczęknął odwodzony kurek.

– Kto tam? – rozległ się w ciemności jego rozkazujący głos.

– To ja – pisnęła cichutko, zatrzymując się na miejscu.

Dawniej rzuciłaby się mu na szyję z okrzykiem radości, ale teraz nie śmiała nawet do niego podejść. Rozległ się trzask zapalanej zapalki i słaby ogienek rozjaśnił dół jego twarzy. Zerwał się z posłania i zapalił stojącą na stole świeczkę. Był w samych spodniach i koszuli. Na ramiona miał narzucony płaszcz, a zmierzwiłone włosy jasną falą opadły mu na czoło. W dłoni trzymał rewolwer, mierząc prosto w jej piersi. Przez jakiś czas wpatrywał się w nią nieprzytomnym wzrokiem, mrugając, wyrwany nagle z mocnego snu. Jego bursztynowe oczy stały się jeszcze większe, kiedy wolno przesunął wzrokiem po jej potarganych warkoczach pełnych liści i sosnowych igieł, dostrzegając jej nogi w spodniach i wysokich butach.

– Nina? Co ty tu robisz? Czy w Makowie coś się stało? – odezwał się zachrypłym od snu głosem. Rzucony rewolwer z łoskotem wylądował na stole, a Aleks podbiegł do żony i przygarnął ją ramieniem. Ciepłą dłonią dotknął jej chłodnego policzka. – Przyjechałaś... – mruknął cicho.

Nie wiedziała, czy w jego głosie zabrzmiała radość, czy była to tylko uwaga. Wyobraziła sobie, że pewnie jej przybycie nie sprawiło mu przyjemności i nieśmiało próbowała się tłumaczyć:

– Przepraszam. Tak mi przykro, że musiałam cię obudzić, ale przywiozłam ci ogromnie ważną wiadomość.

Zdawał się nie zwracać uwagi na jej słowa i zmarszczywszy lekko brwi, pochylił się nad nią tak nisko, że czuła na twarzy jego oddech.

– Przyjechałaś... – powtórzył.

– Tak, nie gniewaj się. To bardzo ważna sprawa i ja musiałam... – Była coraz bardziej zdenerwowana, nie mogąc się zorientować, co on chce przez to wyrazić.

Potrząsnął głową i przerwał jej szorstko:

– Musiałaś czy chciałaś?

Podniosła głowę i utkwiała wzrok w jego oczach, złociście połyskujących w blasku świeczki. Zaczerpnęła głęboko powietrza i postanowiła postawić wszystko na jedną kartę.

– Chciałam! – krzyknęła rozpaczliwie, obejmując go z całej siły w pasie.
– O Jezu, Alek, tak strasznie chciałam cię raz jeszcze zobaczyć i bałam się, że może nie zechcesz mnie nawet wysłuchać!

Nie skończyła, bo przygarnął ją do siebie i pocałował zachłannie, głęboko. Fala krwi uderzyła jej do głowy, kolana zrobiły się miękkie jak z waty. Cała wtuliła się w jego ciało, a kiedy oderwał się od jej ust, by zaczerpnąć powietrza, obsypała pocałunkami jego gładkie opalone piersi i mocną szyję, widoczne w rozcięciu koszuli. Wdychała lekki zapach jego potu, tak dobrze jej znany. Przeklinała swoją słabość, uniemożliwiającą jej oddanie się mu bez reszty w porywie dzikiej namiętności.

– Moja dzielna, odważna dziewczynka – szeptał jej do ucha, pieszcząc jej piersi, gładząc ramiona, całując usta i oczy. Delikatnie wodził palcem po jej wargach i łukach ciemnych brwi, jakby pragnął lepiej zapamiętać jej rysy. – Nino, ty się mnie boisz? Ukochana, jak mogłaś myśleć, że nie zechcę z tobą rozmawiać? Jechałaś przez puszcę zupełnie sama nocą? Przecież musiałaś się obawiać, prawda?

– Okropnie się bałam, ale trzeba było. Zaraz ci wszystko opowiem, tylko muszę usiąść, bo całą drogę pędziłam galopem i jestem jeszcze trochę słaba.

– Oczywiście. Nie siadaj na stołku, bo twardy – ostrzegł i pochwycił ją na ręce, troskliwie złożył na posłaniu, przykrywając ciepłym jeszcze kocem.

Usiadł przy niej, biorąc ją za rękę, niezdolny oderwać od niej oczu. Wydała mu się nierzeczywista, jakby była tylko częścią jego snu. Ujął w obie dłonie jej głowę, wpatrując się w oczy żony. W półmroku szalasu wydawały się niemal czarne i głębokie jak górskie jeziora. Kiedy dotknął ustami jej warg, rozchyliła je, odrzucając w tył głowę. Dysząc ciężko, odsunął się, wypuszczając ją z ramion.

– Jeszcze nie możemy, kochanie – powiedział z żalem. – Niedawno byłaś tak ciężko chora, powinnaś całkiem wyzdrowieć. Wiesz, miałem wyrzuty sumienia, że byłem dla ciebie surowy i niesprawiedliwy i z mojej winy rozstaliśmy się niemal w gniewie. Nie miałem prawa tak się zachowywać, bo chciałaś mnie chronić i wszystko, co mówiłaś, wynikało z troski o moje bezpieczeństwo. To ja mam paskudny charakter... Ja, nie ty! Przepraszam za każde złe słowo, które ci powiedziałem. Ale uwierz mi, nikt i nigdy nie będzie cię kochał tak głęboko, jak ja. A teraz powiedz mi, co się wydarzyło.

Odetchnęła i skupiwszy się, powtórzyła mu dokładnie słowa Zosi.

– To rzeczywiście bardzo ważna wiadomość. – Ściągnął w zamyśleniu brwi. – Naturalnie, naszym obowiązkiem jest pośpieszyć tym biedakom z pomocą. Przyjechałaś dosłownie w ostatniej chwili, bo rano już byś nas tu nie zastała. To mówisz, że dragoni pojedą w stronę Wzdolu? A gdzie nocują?

– Niestety, tego nie wiemy. A ty, kochany, dokąd się wybierasz?

– Zamierzam przyłączyć się do jakiejś większej partii i wydać Moskałom prawdziwą wojnę. Mam na myśli pułkownika Czachowskiego albo „Kruka”, ale on na razie działa na Podlasiu.

– Nie, to stanowczo za daleko, Alku. A ten „Kruk” to twój znajomy?

– Owszem. Spotkaliśmy się kilka razy w Petersburgu, na tajnych zebraniach oficerów. Przyjeżdżałem tam z Paryża, w tajemnicy przed Paulą. Ten „Kruk” naprawdę nazywa się Michał de Henning von Heydenreich i jest synem Niemca i Francuzki. Jak widzisz, nie trzeba urodzić się Polakiem, żeby stać się polskim patriotą. To świetny oficer i ma duży oddział. Słyszałem, że wkrótce ma tu przybyć pułkownik Zygmunt Chmieleński. Wiesz, brat tego zamachowca z Warszawy. Też znakomity dowódca.

Nina mocno objęła męża i przycisnęła usta do jego jasnych włosów.

– Tak się boję o ciebie, najdroższy.

– Ja także się boję o ciebie, Nino. – Oddał jej pocałunek.

Przeszył ją dreszcz rozkoszy.

– Aha, zapomniałem ci powiedzieć, że miałem wiadomość od mego przyjaciela Zygmunta Sierakowskiego! – rzekł, odrywając się od niej. – Postąpił honorowo, dziękując Rosjanom za służbę, i wyjechał na Litwę, obejmując tam dowództwo nad powstańcami. Pisał, że jego młoda żona jest przy nadziei, ale przy pożegnaniu nie uroniła ani jednej łzy.

– Niestety, ja jestem beksą i nie umiem zachowywać się tak dzielnie – szepnęła z nutą żalu.

Roześmiał się, wstał z posłania i wyciągnął z kąta butelkę wina. Odkorkował i nalał do kubka.

– Wypij to, promyczku, pewnie przemarzłaś. Nie, nie! Ty jesteś bardzo odważna i zawsze będę podziwiał twoją kawalerską odwagę i determinację.

– Pieszczotliwie zmierzwił jej włosy nad czołem.

Pochwyciła jego rękę i przyciągnęła go do siebie. W drżącym blasku dopalającej się świeczki, odchyliła mu kołnierz koszuli i przycisnęła usta do pulsującej na szyi tętnicy.

– Och, jak cudownie... – powiedziała rozmarzona. – Jak przyjemnie pieścić ciało ukochanego mężczyzny.

– Nadal ci się podobam? – spytał, nie kryjąc zadowolenia.

– Mhm!

– No, no, miło mi to słyszeć. Ta fascynacja jest wzajemna, promyczku. – Pocałował ją w koniec zimnego noska. – Odpocznij, słonko. Muszę zwołać oficerów na naradę. Zaraz dostaniesz gorącej herbaty i przedrzemiesz się z godzinkę, bo przed świtem ruszamy.

Wyszedł, zapinając po drodze płaszcz na wszystkie guziki, a ona leżała z twarzą wtuloną w jego poduszkę, która zachowała zapach jego włosów. Naraz ogarnęło ją ogromne zmęczenie, a całe ciało domagało się odpoczynku. Zaczęła zapadać w sen, ale otworzyła oczy, kiedy mąż wrócił do szalasu, a za nim młody powstaniec wniósł dymiący samowar i postawił go na stole, zerkając na Ninę spod oka. Aleks napełnił blaszany kubek gorącą herbatą i podał jej ostrożnie.

– Uważaj, nie poparz się. Wybacz, ale nie mamy saskiej porcelany. – Zaśmiał się, zauważywszy, że Nina, dotknąwszy ustami blachy, skrzywiła się z niesmakiem. – Czekał, doleję ci jeszcze wina. Może coś zjesz? Mam szynkę z dzika.

– Och, nie wspominaj mi nawet o dziku. Napędził mi okropnego strachu. Mignon się spłoszyła i omal nie wpadła ze mną w przepaść. Nie jestem głodna, chcę tylko trochę odpocząć.

– Ja myślę! Po takiej męczącej jeździe... – Skinął głową, podsuwając jej poduszkę.

Poczuła się skołatana. Chciwie wypić gorącą herbatę i wino uderzyło jej do głowy. „Chyba ululam się tą herbatą wypitą na czczo” – pomyślała leniwie. Ogarnęła ją apatia, chciała odwrócić się do ściany i spać. Aleks narzucił na nią swój płaszcz, wkładając szarą powstańcza kurtkę. Powieki same opadły jej na oczy. Jak przez mgłę zobaczyła nad sobą kochaną twarz Jasia. Pocałował ją i położył jej dłoń na czole, badając, czy nie ma gorączki. Przez rzęsy widziała śmiertelnie bladą i zaciętą twarz Tadeusza, wstrząśniętego wiadomością o aresztowaniu ojca. Chciała pokrzepić przyjaciela, powiedzieć mu coś na pocieszenie, ale nie miała siły otworzyć

ust. Pochylił się nad nią, widocznie chcąc o coś spytać, ale widząc, że ona drzemie, machnął ręką i dał jej spokój. Usypiając, usłyszała jeszcze głos Jasia:

– Nie budźmy jej. Ona koniecznie potrzebuje wypoczynku. Naradzimy się w moim szałasie.

Wyszli na palcach, zgarniając ze stołu rozłożone mapy. Aleks pozostał jeszcze moment, aby nakryć ją drugim kocem i ucałować. Otworzyła jedno oko, posłała mu senny uśmiech i momentalnie zapadła w głęboki sen.

[15](#) Michał de Hennig von Heydenreich (1831–1886) – naczelnik wojskowy województwa lubelskiego.

[16](#) Za sprawą Stefana Żeromskiego ten unikalny w skali całego świata bór jodłowo-bukowy nazwany zostanie później Puszcą Jodłową.

Obudził ją lekki pocałunek.

– Moja śpiąca królewno, otwórz oczęta... – Usłyszała głos męża. – Tak mi przykro, że muszę cię budzić, ale za chwilę ruszamy. Wstań, kochanie.

Usiadła nieprzytomna na posłaniu, pełna namiętnej potrzeby snu. Była jeszcze noc, ale świt już nadchodził i budziły się ptaki.

– Przetrzyj buzię, to cię otrzeźwi – poradził i podał jej własną chustkę zmoczoną w zimnej wodzie.

Wzdrygnęła się, czując na twarzy lodowaty kompres. Wstrząsały nią dreszcze i zaczęła podzwaniać zębami, ale oprzytomniała i z wielkim trudem podniosła się z posłania.

– Ojej! – jęknęła w obawie, że kości bioder zaraz się rozlecą i runie na ziemię. – Która godzina? – spytała ochrypłym głosem.

– Czwarta trzydzieści. – Aleks zaczął pakować do torby podręczne drobiazgi. – Musimy zaraz wyruszyć, aby zdążyć przygotować zasadzkę. Widzę, że masz trudności z chodzeniem, bo pierwszy raz jechałaś na męskim siodle, prawda?

– Chyba tak... – bąknęła z wahaniem, stawiając pierwsze kroki. Krzyż i uda bolały ją, jakby ją brano na tortury, ale jakoś szła.

– Napij się jeszcze wina. – Podał jej manierkę napełnioną mocnym czerwonym burgundem z makowskich piwnic.

Zrobiło się jej odrobinę cieplej, przestała się trząść i dzwonić zębami. Aleks obrzucił ją badawczym spojrzeniem i potrząsnął głową.

– Ale ze mnie gapa! Przecież ty masz na sobie męski strój! Chyba nigdy nie wyglądałaś tak pięknie. Żadna suknia balowa nie uwydatniła tak twojej urody. Pokaż się bliżej, promyczku. – Obejrzał ją z góry na dół i z dołu do góry i żartobliwie zagwizdał. – Co za nogi! Słonko, nie noś tego stroju, kiedy odjadę, bo będę wściekle zazdrosny!

Komplementy męża były znakomitą lekarstwem na ból i zmęczenie. Wyprostowała się, przybierając odpowiednio obojętną minę.

– Bardzo lubię, kiedy jesteś o mnie zazdrosny. Jako mój mąż powinieneś wiedzieć, że mam bardzo zgrabne nogi – oznajmiła zrozumiętym tonem, okręcając się wkoło z rozłożonymi ramionami, aby mógł ją lepiej obejrzeć.

Uśmiechnął się, wziął ją za rękę i wyszli z szałas. Zaczepnęła pełną piersią zimnego jak lód czystego górskiego powietrza. Niebo na wchodzie już przybrało jaśniejszy odcień, ptaki witały głośnym śpiewem wstające słońce. Nina starannie zapięła kurtkę na wszystkie guziki. Z kręgu oficerów

wyszli dwaj przyjaciele, aby się z nią przywitać. Rzuciła się Jasiowi w ramiona i ucałowała go jak najmilszego brata. Potem równie serdecznie przywitała Tadeusza.

– Mój kochany biedaku... – szepnęła ze współczuciem. – Bądź dobrej myśli. Odbijecie pana Siekielskiego i resztę aresztowanych. Wszyscy bolejemy nad tym nieszczęściem.

Spojrzał na nią z powagą. Wydało się Ninie, że przez tę jedną noc jakby się postarzał. Wiedziała, że z ojcem łączyła go silna więź.

– Zrobimy, co do nas należy – powiedział, kryjąc westchnienie. – Zabierz, proszę, list do Zosi i uściskaj ode mnie małego. Gdy tylko odbijemy więźniów, zaraz wyślę papę do Galicji. W majątku siostry, pod Lwowem, będzie bezpieczny. Czy te łotry nie zrobiły Zosi jakiejś krzywdy?

– Nie. Mówiła, że zachowywali się przyzwoicie.

Nie ośmieliła się powiedzieć mu o groźbie oficera i okrutnym traktowaniu kalekiego pana Siekielskiego. Powtórzyła to tylko mężowi. Tadeusz by tego nie zniósł, taka wiadomość złamałaby mu serce i odebrała odwagę przed bitwą. Uścisnęła go tylko i ucałowała w policzek.

– Dziękuję ci, że miałaś odwagę przyjechać tu i przywieźć nam tę wiadomość – rzekł niskim, odrobinę zmienionym głosem. – Jesteś bardzo dzielna. Kłaniaj się ode mnie sąsiadom i uważaj na siebie. Wacek Barycz prosił, żebym ci ucałował rączki od niego, bo on pierwszy wyruszył z obozu, jeszcze w nocy.

Po tych słowach Tadeusz odszedł. Będąc zastępcą dowódcy, miał przed wymarszem mnóstwo pracy. Nina pozostała z Jasiem. Obserwował ją okiem lekarza, przenikliwie i badawczo. Młody kosynier podprowadził jej Mignon. Klacz wyspała się i była pełna energii, szarpiąc się i przysiadając na zadzie. Jaś poklepał zwierzę po lśniącej szyi, a na Ninę popatrzył, unosząc brwi.

– Fiu, fiu! Jaka figurantka. Witamy w obozie najpiękniejszego kuriera. A poważnie, jak się czujesz, kotku?

– Jak groch przy drodze, misiu. O, byłabym zapomniała. Masz listy od Emilki i cioci Salomei.

– Posłuchaj, kochanie... Po powrocie do domu zaraz się połóż i poleż sobie kilka dni – pouczył ją, jak zawsze troszcząc się o jej zdrowie. – Miałaś bardzo ciężkie rozwiązanie i równie dramatyczne przygody po drodze. Aleks mi o tym opowiadał. Podobno położyłaś trupem kozaka?

Chwalebny czyn! Ale musisz przez jakiś czas bardzo na siebie uważać. Moim zdaniem za wcześnie wstałaś po porodzie.

– Możliwe... Wiesz, misiu, śmierć synka złamała mi serce – wyznała z głębokim żalem.

W niebieskich oczach Jasia odmalowało się ogromne współczucie.

– Rozumiem, co musiałaś przeżyć, utraciwszy to dziecko, ale Bogu dzięki, pozostała ci córeczka.

Wahała się, nie wiedząc, czy wypada jej spytać o dziecko, ale po namyśle uznała, że Jasiowi może zaufać. Nigdy jeszcze jej nie zawiódł. Zresztą obowiązywała go tajemnica lekarska. Z bratem częściej znajdowała wspólny język niż z Jagą. Byli z Binią do siebie bardzo podobni, nie tylko z wyglądu, lecz przede wszystkim z charakterów. Oboje czuli, łagodni i wyrozumiali.

– Jasięku... – Spojrzała na niego nieśmiało. – Powiedz mi, ale szczerze, czy niemowlęta urodzone wcześniej bywają potem normalne.

– Na umyśle? Oczywiście, że tak. Pomijając jakieś komplikacje, zgniecenie czaszki przy porodzie i tym podobne przypadki.

– Nie, nie... – przerwała mu. – Ja chcę wiedzieć, czy dziecko z czasem będzie wyglądać normalnie. Widzisz... – zająknęła się i urwała. – Ona jest okropnie brzydka. Tak się wstydę, misiu! Nie umiałam nawet urodzić zdrowego i ładnego dziecka! Jestem do niczego... – Spuściła oczy, a na jej długich rzęsach zawisły dwie łzy. – Tylko nie mów o tym Alkowi, dobrze?

– Wierzysz, że powiem ci prawdę? – Jaś ujął obie jej ręce i zajrzał w oczy.

– Wierzę!

– Więc uspokój się i nie martw. O ile dziecko przeżyje najgorszy okres, to za kilka miesięcy będzie już tłustym i słodkim maleństwem. Nie wolno ci się oskarżać, bo zaręczam, że cudem urodziłaś to dziecko. Najważniejsze, że przeżyłaś. Cały czas martwiłem się o ciebie.

– Boże, a ja się zamartwiałam, że nie mogę pokazać jej ojcu. To było dla mnie koszmarem.

Jaś wybuchnął głośnym śmiechem.

– Kotku, przecież on o tym wie!

– Skąd wie?! – Podskoczyła przerażona.

– Wie, że dziecko jest wcześniakiem, a one nie grzeszą urodą. Aleks ogromnie gryzł się myślą o tobie i był niemal pewny, że dziecko nie przeżyje. Teraz jest uszczęśliwiony. Nino, on ma skryty i niełatwy we

współżyciu charakter, ale jeżeli kogoś na tym świecie kocha, to tylko ciebie i wasze dziecko.

– Bóg zapłać, braciszku, za pociechę. – Spojrzała na niego i roześmiała się. – Wiesz, moja córka jest taka brzydka, że teraz już może tylko wyładnieć...

Zamilkła i zaczęła przypatrywać się stojącym na polanie równym szeregom powstańców, gotowym do wymarszu. Oficerowie stanęli przy swoich oddziałach. Usłyszała głos męża. Mówił krótko, stanowczym tonem. Jego wysoka, smukła postać w szarej kurcie powstańczej górowała nad innymi. Nie przypominał już wykwintnego salonowca, którym niegdyś bywał w Makowie czy w Warszawie. Nina poczuła się nagle intruzem, słabą i głupią kobietą pomiędzy gromadą mężczyzn, którzy mają coś ważnego do zrobienia.

Aleks spojrzał w niebo i na zegarek, wydając ostatnie polecenia. Stojący u jego boku braciszek Benon przeżegnał szeregi powstańców i odmówił krótką modlitwę, polecając ich Boskiej opiece. Tadeusz wydał rozkaz:

– Do modlitwy!

Wszyscy obnażyli głowy i z piersi żołnierzy wyrwał się równy śpiew:

Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze.

Tobie śpiewa żywioł wszelki, bądź pochwalon, Boże wielki[17](#).

Po modlitwie padł następny rozkaz:

– Naprzód, marsz! – I cały oddział ruszył w drogę.

Na przedzie kłusowali kawalerzyści, za nimi maszerowali miarowo kosynierzy. W blasku mijanych ognisk zakrzywione ostrza kos połyskiwały krwawo, a bagnety piechoty, zatknięte na karabiny, lśniły jak ostre sopte lodu. W obozie pozostało kilku żołnierzy, żeby pogasić ogniska. Aleks dosiadł konia i pocwałował na czoło pochodu. Jaś podsadził Ninę na klaczkę. Usiadła na szerokim męskim siodle i jęknęła z bólu.

– Kotku, co ci dolega? – Dostrzegł na jej twarzy grymas bólu i zaniepokoił się o nią.

– Nic mi nie jest. – Cmoknęła na Mignon i dogoniła męża.

Jechali obok siebie, nic nie mówiąc, strzemię w strzemię, tak blisko, że ich nogi czasami ocierały się o siebie. W marszu obowiązywała

bezwzględna cisza. Czasami Aleks wyciągał rękę i lekko ścisnął palce żony. Wtedy zwracała się ku niemu, patrząc na męża z miłością.

Przebyli wąską groblę przecinającą głębokie bagno i śpiesznie schodzili w dół, kierując się w stronę Podlesia, żeby wyjść z puszczy w pobliżu Huciska. Zamierzali zastąpić Rosjanom drogę jeszcze przed Wzdolem. Oddział wyglądał bardzo bojowo, bo wszyscy powstańcy mieli broń palną – karabiny z bagnetem, a kosynierzy – rewolwer zatknięty za pas i krótki sztylet. Obserwując maszerujące w milczeniu szeregi, Nina pomyślała z odcieniem dumy, że i ona przyczyniła się do uzbrojenia oddziału.

O świcie kawaleria oderwała się od oddziału i pogalopowała naprzód ku gościńcowi. Część piechurów wskoczyła na konie za plecami kolegów, reszta żołnierzy pod dowództwem młodszych oficerów szła szybkim marszem, aby w razie potrzeby odciąć nieprzyjacielowi drogę odwrotu. Nikt z dragonów nie powinien się wymknąć z zasadzki, by donieść do guberni o napadzie. To było główne zadanie kosynierów. Nina miała ogromną ochotę pozostać przy boku męża i wziąć udział w walce, ale na jej pierwsze słowo Aleks wzruszył ramionami i rzekł dobitnie:

– Kochanie, masz przed sobą prostą drogę do domu. Jedź lasem, żeby cię nikt nie widział. Dziękuję ci za wszystko i dam ci znać, jak nam się powiodło. Jedź już!

Nawet nie próbowała się upierać, bo bała się go trochę. Potrafił być apodyktyczny i wydał się jej odrobinę obcy, co nie umniejszało wcale jego atrakcyjności. Pośpiesznie pożegnała się z Jasiem i Tadeuszem. Braciszek przeżegnał ją krzyżem.

– Z Bogiem, pani hrabino.

– Niech was Matka Najświętsza ma w swojej opiece – szepnęła. – Alku...

– raz jeszcze zwróciła się do męża, ale nie odpowiedział, tylko pochylił się w jej stronę i na ustach poczuła mocny pocałunek.

Zanim zdążyła oprzytomnieć, popędził konia, doganiając oddalający się oddział. Długo stała na środku drogi, patrząc za nimi oczami pełnymi łez. Przypomniawszy sobie o przestrodze męża, prędko skręciła w las. Wstawał pogodny i ciepły dzień wiosenny, lecz na wschodzie już zbierały się bure obłoki. Pomyślała, że zanoszą się na deszcz. Las szumiał usypiająco, więc kiwnęła się raz i drugi nad grzywą klaczy i prędko oprzytomniała. Poprawiła się na siodle, stękając i sycząc z bólu, a potem pokłusowała, wymijając pnie drzew i nie trzymając się leśnej przecinki. Cały czas kryła

się w cieniu krzewów, szukając osłony pośród leśnych olbrzymów i wielkich paproci. Spoza chmur wyjrzało słońce witane śpiewem ptaków. Po lesie niosło się stukanie dzięcioła i głos kukułki. Gdzieś z dala zabeczał kozioł i w pobliżu przemknęło stadko saren.

Po dwóch godzinach jazdy usłyszała przed sobą skrzypienie kół wozów i ordynarne głosy żołdatów. Błyskawicznie zaszyła się w gąszczu wysokich krzewów leszczyny i zeskoczywszy z siodła, chwyciła Mignon za uzdę i położyła jej dłoń na chrapach. Klaczka próbowała się buntować, rzucała łbem, ale widząc groźne spojrzenie pani, zrozumiała, że to nie żarty, i stała cicho, jak skamieniała. Nina rozchyliła gęste gałęzie i obserwowała zbliżający się od strony Leśnej oddział dragonów. Eskortowali długi wóz drabiniasty, na którym dwoma rzędami siedzieli aresztowani ludzie. Drugi wóz załadowany był wiązkami siana. Być może dalsze aresztowania miały nastąpić w drodze powrotnej do Radomia. Sołdaci zachowywali się bardzo swobodnie, pewni, że nic im nie zagraża. Kołysząc się na kulbakach, wydzierali się, śpiewając sprośne piosenki.

Przy samym wozie jechał oficer, w jego pobliżu Nina dostrzegła siwą głowę starego pana Siekielskiego. Odmawiał poranny różaniec, bo chwilami żegnał się, przesuwał w palcach paciorki z błyszczącego agatu. Obok starszego pana siedziała matka powstańców z partii „Kruka”, wiekowa dama, dumnie wyprostowana, i unosząc wysoko głowę, nie raczyła zaszczycić oficera ani jednym spojrzeniem. Za uczestnictwo syna i zięcia w powstaniu groził jej Sybir. Zresztą surowe kary i zesłanie tyczyły się wszystkich aresztowanych. Pan Jabłocki siedział skulony i zdawał się drzemać. Przez fatalne zrządzenie losu został uwięziony za przynależność do powstania zięcia, którego nienawidził i którym pogardzał. Obok niego znajdowało się jeszcze kilka osób, mniej Ninie znanych, zapewne pracowników z okolicznych dworów.

Będąc w leśnym obozie, Nina zaobserwowała, że Kazio Biecki wcale nie wydawał się przejęty losem teścia. Odniosła nawet wrażenie, że był z tego zadowolony, wyobrażając sobie, że nareszcie, opanowawszy żonę i teściową, dobierze się do kasy.

Przypatrując się roześmianym i rozśpiewanym dragonom, Nina niespodziewanie poczuła poryw strasznej nienawiści, mocniejszej niż gniew w momencie zastrzelenia kozaka. Z ponurą satysfakcją uśmiechnęła się, myśląc, że oto idą jak te barany na rzeź. Prosto w paszczę śmierci!

Natychmiast jednak uświadomiła sobie, że Rosjanie nie są owcami i z pewnością będą się rozpaczliwie bronić. Zanim wszyscy polegną, zginie może także wielu powstańców. Ogarnięta lękiem o życie męża i przyjaciół, padła na kolana i wznosząc oczy ku niebu, modliła się, błagając Boga o zwycięstwo sprawiedliwości. Kiedy dragoni zniknęli i w oddali ucichło skrzypienie kół wozów, wspięła się na siodło i cmoknęła na zrezygnowaną klaczkę.

Do Makowa przyjechała taka zmęczona, że po prostu waliła się z siodła. W stajni czekał na nią blady i roztrzęsiony Tomek. Podskoczył, pomagając jej zejść z klaczy, i podparł ją ramieniem, bo się przewracała.

– Chryste Panie! – zawołał, obejmując ją mocno w pól. – Dlaczego jaśnie pani nie poczekała na mnie? Sam pojechałbym do obozu. Przecie pan naczelnik przykazywał Maćkowi i mnie opiekować się jaśnie panią.

– Nie mogłam czekać, Tomeczku, chodziło o pośpiech. I tak złapałam ich w ostatniej chwili przed wymarszem. Wiem, że masz dobre chęci, ale kto będzie opiekował się tobą?

– Mnie opieka już niepotrzebna, jestem mężczyzną – odparł z powagą.

– Rozumiem... – Nina przygryzła wargi, nie chcąc peszyć chłopca uśmiechem. – W takim razie, mój opiekunie, wesprzyj mnie męskim ramieniem i odprowadź do domu, bo czuję się trochę byle jak.

– Ja myślę, po takiej jeździe! – zauważył surowo i wolno poprowadził ją w stronę pałacu.

Pomagała sobie, trzymając się w sieni ściany, i próbowała bez hałasu dowlec się do swoich pokoi. Ale z kredensu wyskoczył Grot i powitał ją radosnym szczekaniem. Za psem wyjrzał Walenty i zapominając o bolących kolanach, podbiegł do niej, podpierając ją z drugiej strony.

– Słodki Jezu, co też jaśnie paniuleczka wyprawia?! – gderał, taszcząc ją do sypialni, bo ledwie powłóczyła nogami. – Choroba gotowa, jakby było mało nieszczęścia.

– Ciii! – Przetarła brudną dłonią umorusaną twarz, pozostawiając na niej smugę brudu. – Niech Walenty nic nie mówi niani. Proszę powiedzieć Ulisi, żeby prędko przygotowała mi kąpiel.

Marzyła o wyciągnięciu zboląłego ciała w ciepłej wodzie i zmyciu z siebie brudu, potu i końskiego zapachu. Potem położy się w pachnącej

pościeli i nareszcie zaśnie! Och, spać, spać!

– Słucham jaśnie panią hrabinę. Zaraz wszystko będzie. – Staruszek podniósł na nią wyblakłe pocziwe oczy i posadziwszy ją na fotelu, podreptał szukać pokojówki.

– Proszę jaśnie pani, czy będzie bitwa? – odezwał się nieśmiało Tomek, podsuwając jej pod stopy podnózek.

– Będzie. Widziałam dragonów, jak szli prosto w zastawioną przez naszych pułapkę.

Na twarzy chłopca odmalowała się zimna, okrutna radość.

– Dobrze im tak – szepnął mściwie. – Zbóje! – Opamiętał się i cmoknąwszy Ninę w rękę, wyszedł z pokoju.

Przybiegła Ulisia, a za nią wszedł Walenty z jakąś dziwną miną.

– Co się znowu stało? – Nina wyprostowała się, wyobrażając sobie, że coś może zagrażać ukochanemu domowi. – Dragoni?

– Nie, Pan Jezus nas ustrzegł od tej plagi, ale... – Urwał, patrząc z troską na jej bladą twarz.

– Proszę, niech Walenty mówi – ponagliła go Nina ze strachem.

– Przed chwilą przyjechała jakaś pani i koniecznie chce się widzieć z jaśnie panią hrabiną. Czeka w Tulipanowym Saloniku.

– O nie! – krzyknęła zrozpaczona.

Była tak zboląta, zmęczona i pełna niepokoju o życie męża, że o mało nie wybuchła głośnym płaczem. Musiała się wykąpać, bo wydało się jej, że śmierdzi na milę, a potem zasnąć i spać do rana. Kamerdyner patrzył na nią zakłopotany.

– Co mam powiedzieć? – spytał cicho.

– Ja nie mogę teraz jej przyjąć! – oświadczyła Nina z rozpaczą. – Nie dziś! Niech porozmawia z panią ochmistrzynią albo z pisarzem prowentowym. Boże, jaka szkoda, że pan Bochniak wyjechał!

– Tłumaczyłem jej, że jaśnie pani hrabina jest cierpiąca i nie przyjmuje, ale to uparta kobieta. – Walenty rozłożył bezradnie ręce. – Oznajmiła, że będzie czekać, aż jaśnie pani ją przyjmie, choćby do jutra. Mówiła, że ma bardzo ważną sprawę do przekazania.

– Rzeczywiście jest uparta – zgodziła się Nina i aż zacisnęła zęby, wyobraziwszy sobie miękką puchową pościel pachnącą lawendą. – Nie dała biletu i nie mówiła, czego sobie życzy?

– Nie powiedziała, jak się nazywa. A my tutaj wszyscy od rana modlimy się za jaśnie pana hrabiego i naszych chłopców i prosimy Pana Boga, by sprawił, żeby ci uwięzieni państwo odzyskali wolność.

– Dziękuję. Ja także się o to modłę. Pan prosił mnie, żebym pozdrowiła od niego domowników, a szczególnie Walentego. Prosił, aby Walenty wyręczał się młodszymi i szanował zdrowie.

– Pamiętaj o mnie! – Staruszek rozpromienił się z radości i posłał jej nieśmiały uśmiech.

Nina ciężko westchnęła.

– No cóż, w takim razie proszę tę panią wprowadzić do Dębowego Gabinetu, podać herbatę i powiedzieć, że za pół godziny przyjdę. Najpierw muszę się odświeżyć i przebrać.

Ulisia weszła do pokoju i oznajmiła, że kąpiel przygotowana. Z otwartych drzwi łazienki płynęła wonna para.

– Walenty nie wie, skąd ta pani przybyła? – spytała jeszcze Nina. Żyjąc w złowrogich czasach, wiedziała, że każdy mógł być zwiastunem złej nowiny.

– Nie powiedziała. Przyjechała jakąś bryczką, tylko z furmanem – wyjaśnił z pewnym zdziwieniem, bo do Makowa goście nie przyjeżdżali bez służby odrapanymi bryczkami. Nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo do sypialni wkroczyła Jaga, zaczerwieniona z pośpiechu i zadyszana.

– Dlaczego nikt mnie nie powiadomił, że wróciłaś?! – wykrzyknęła od progu. – Boże, jak ty, biedne dziecko, wyglądasz? Moje biedactwo, pewnie znowu cierpisz!

Walenty dyskretnie wycofał się z pokoju. Jaga przywołała do pomocy Kumosię i obie kobiety bez zbędnego gadania zakrzętnęły się koło Niny. Do wanny nasypały ziół o przenikliwym zapachu. Kąpiel w nich była cudownie orzeźwiająca. Nina leżała w wannie głęboko zanurzona, a zioła uspokajały, łagodziły ból. Po kąpeli Kumosia wtarła jej w skórę krem własnej roboty, prześlicznie pachnący liliami, i delikatnie wymasowała całe ciało. Owinięta w wielkie, mięciutkie prześcieradło, Nina usiadła przy toalecie, rozczesując wilgotne włosy.

– Pan Bochniak jeszcze nie wrócił z Radomia? – Posłała Jadze pytające spojrzenie.

– Nie. Pewnie w nocy przyjedzie. Zastałaś pana w obozie?

– Przybyłam w ostatniej chwili przed wymarszem.

– To dziś będą odbijać tych biedaków? – spytała Jaga z westchnieniem.

– Tak. A gdzie ciocia Salusia i Emilka? Mam dla nich list od Jasia.

– Pojechały do Sarnik, by dać na mszę za tych uwięzionych i za naszą partię – wyjaśniła niania, odbierając jej grzebień i czesząc ją starannie. – Zaraz powinny być z powrotem.

– Nie wolno im było opuszczać Makowa! – surowo skomentowała jej słowa Nina. – Och, nianiu, jestem śmiertelnie zmęczona, marzę o śnie! Mam nadzieję, że ta pani nie zajmie mi wiele czasu.

– Jeżeli będzie ci się naprzykrzać, to wejdę do pokoju i dam jej do zrozumienia, że powinna się wynieść – oświadczyła Jaga z ponurą miną, gotowa w obronie spokoju wychowanki za kark wyprowadzić gościa z domu.

Nina z trudnością włożyła gorset i pozwoliła Ulisi, by ją zasznurowała. Narzuciła na siebie lekką liliową suknię i szumiąc falbanami, udała się do Dębowego Gabinetu. Pokój zawdzięczał swoją nazwę boazerii i wspaniałym meblom, wykonanym i rzeźbionym przez gdańskich mistrzów. W XVII wieku jeden z przodków Aleksa kazał ściąć i zatopić w przepływającej w pobliżu rzeczce Świślinie kilka potężnych dębów, aby drewno stwardniało na lawety do armat. Kiedy nagle zmarł, o dębach zapomniano. Przeszło sto lat przeleżały w wodzie i dopiero kasztelan Klonowiecki odnalazł je przypadkowo, polecił wydobyć i wykonać z nich boazerie oraz przepiękne meble. Drewno, leżąc długi czas w wodzie, pociemniało, przybierając rzadko spotykany odcień, zwany czarnym dębem.

Na widok Niny z kanapki podniosła się drobna, pulchna kobieta. Miała kwadratową twarz o regularnych rysach, a uroku dodawały jej piękne błyszczące oczy i mocno zarysowane łuki brwi. Miała na sobie skromną czarną suknię bez żadnych ozdób. Tylko na szyi nosiła duży hebanowy krzyż, jak większość entuzjastek żałoby narodowej i powstania. Nina miała powyżej uszu i jednego, i drugiego, kwitując to lekkim skrzywieniem ust. Kobieta złożyła jej ukłon, a Nina, opanowawszy odruch niechęci, odpowiedziała równie uprzejmym dygnięciem. Po tej wymianie grzeczności poprosiła nieznajomą, aby zajęła miejsce na kanapce, siadając na wprost niej w pewnym oddaleniu.

– Czy mam przed sobą panią hrabinę Klonowiecką? – Pierwsza przemówiła nieznajoma, bo Nina nie kazała się zapowiadać.

– Tak, czym mogę pani służyć?

Nieznajoma nieznacznie rozglądnęła się po pokoju, podziwiając przepyszne meble. Potem przeniosła wzrok na panią domu, aż Nina poczuła cień niepokoju.

– Przepraszam... – Dama opanowała się i na jej ustach ukazał się przyjazny uśmiech. – Nie przedstawiłam się jeszcze. Jestem Jadwiga Prendowska¹⁸ z Mirca.

Nina natychmiast zeszywniała, przybierając chłodną minę. Pani Prendowska należała do najgorliwszych wielbicielek generała Langiewicza. Ogólnie nazywano ją „matką obozu generała”. To z jej dworu Langiewicz wyruszył do powstania. Pani Jadwiga stała się jego zaufaną kurierką, darząc niechęcią wszystkich, którzy mieli nieszczęście nie spodobać się generałowi, a takich było wielu. Jednakże była to bez wątpienia bardzo dzielna i odważna kobieta, całym sercem oddana ojczyźnie i powstaniu. Jakiś czas pełniła obowiązki opiekunki szpitali powstańczych. Jej mąż pełnił ważną funkcję w podziemnych władzach wojewódzkich, a szwagier, Jan Prendowski, dowodził oddziałem kawalerii w partii Langiewicza. To właśnie jego spotkała Nina, jadąc do generała z członkiem Rządu Narodowego. Nie zapomniała niepochlebnych słów Langiewicza o Aleksie i przyjęła panią Prendowską z ledwie skrywaną niechęcią i nieufnością, przybierając etykietalną postawę. Lecz sama widocznie wzbudziła sympatię gościa, bo pani Prendowska patrzyła na nią przyjaźnie.

– Mam nadzieję, że mogę tu mówić swobodnie? – spytała półgłosem.

– Oczywiście, jesteśmy same.

– Mam wiadomość dla pani małżonka – oznajmiła pani Jadwiga.

Nina nie mrugnęła nawet powieką, tylko wpatrywała się w nią z nieprzeniknioną miną. Czasy powstania nauczyły ją nieufności.

– Przykro mi, lecz mąż przebywa za granicą – powiedziała obojętnie.

– O, wiadomo mi, że pan hrabia Klonowiecki przebywa na skutek choroby za granicą, lecz ja mam wiadomość dla pana naczelnika „Czarnego”. – Pani Prendowska nie przestawała się uśmiechać. – Jestem kurierem Rządu Narodowego.

– Jeżeli pani tak twierdzi... – Nina nie zmieniała lodowatego zachowania.

– Pochwalam ostrożność pani hrabiny. – Pani Jadwiga pomajstrowała coś przy zamku swojej torebki i wręczyła Ninie mały karteluszek z pieczęcią Rządu Narodowego.

Zerknąwszy na dokument, Nina stwierdziła, że był autentyczny. Wiele razy oglądała takie pełnomocnictwo. Zresztą słyszała od Emilki, że pani Prendowska po upadku Langiewicza nie zaprzestała działalności na rzecz powstania.

– Dziękuję i przepraszam za okazaną ostrożność, ale takie mamy czasy – powiedziała już normalnym tonem. – W czym mogę być pani pomocna?

– Czy pan naczelnik znajduje się w obozie?

Nina w kilku słowach opowiedziała o aresztowaniu sąsiadów i decyzji odbicia więźniów. Dama wysłuchiwała jej z uwagą.

– Mam dla pana naczelnika nowe rozkazy rządu – rzekła, ścisząc głos do szeptu. – Władze w Warszawie wiedzą, że oddział pana naczelnika jest znakomicie wyposażony w broń palną i postanowiono odpowiednio jego oddział spożytkować. Nowe rozkazy muszą być koniecznie doręczone panu naczelnikowi do rąk własnych. Zalecono mi największy pośpiech, bo sprawa jest poważna.

– Mój Boże! – Nina zakłopotana się, nie wiedząc, jak może pomóc. – Mąż miał przed sobą bitwę z dragonami. Nie był pewien, gdzie zamierza się udać po uwolnieniu więźniów.

Zastanawiała się z niepokojem nad tym, co nowe rozkazy mogą zawierać. Zwykłe polecenia przywoził kurier do Porajów albo Orlewicz dostarczał je do leśnego obozu. Poruszyła się niespokojnie, ściągając brwi.

– To bardzo źle... – Pani Prendowska była zmartwiona. – Ja muszę dostarczyć rozkazy panu naczelnikowi!

Każdy kurier zobowiązywał się przysięgą do doręczenia rozkazów adresatowi. Od wypełnienia obowiązku mogła go jedynie zwolnić ciężka choroba, aresztowanie, śmierć lub zgon adresata. Zdenerwowanie pani Prendowskiej zaczęło udzielać się Ninie. Była okropnie zmęczona, bo niemal całą poprzednią noc spędziła na koniu i spała zaledwie godzinę. W ciągu tej nocy przebyła wiele wiorst, jadąc do obozu i z powrotem. Bolał ją brzuch, wszystkie kości i zaczęła mocno krwawić. Jaga o mało nie zemdlą, zobaczywszy jej bieliznę. Postanowiła być z panią Prendowską zupełnie szczerą.

– Ja sama nie mam już siły, aby szukać męża. W nocy byłam konno w leśnym obozie, aby zawiadomić powstańców o aresztowaniach. Przed godziną powróciłam do domu. To daleko i droga bardzo trudna. Niedawno

miałam ciężkie rozwiązanie, urodziłam martwe dziecko i cudem przeżyłam, ale jestem jeszcze słaba i czuję się fatalnie.

Pani Jadwiga ujęła ją za rękę i mocno uścisnęła.

– Podziwiam pani odwagę i charakter. Pan naczelnik ma godną siebie żonę. Ogromnie mi przykro, że sprawiam kłopot, ale jestem kurierem. Moją bryczuszką nigdy nie zdołam ich dogonić. Mogę tylko tyle powiedzieć, że rząd ma jakieś nowe plany i stąd te nagłe rozkazy.

– Chwileczkę... – Nina energicznie zadzwoniła.

Walenty pojawił się tak szybko, jakby stał za drzwiami. Nina była zresztą zupełnie pewna, że tak właśnie było, bo stary kamerdyner czujny był jak żuraw.

– Walenty, niech Paweł zawoła tu Tomka, a my napijemy się herbaty. Pani z pewnością jest po podróży spragniona.

– Oczywiście. Natychmiast tym się zajmę! – oświadczył staruszek i z godnością wymaszerował z pokoju, stwierdziwszy z ulgą, że pani nie grozi nic złego ze strony niespodziewanego gościa. Po chwili posłyszały, jak wydawał Pawłowi rozkazy.

Panie zaczęły rozmawiać o toczących się walkach i narastających trudnościach życia codziennego. Te jałowe narzekania przerwał Walenty, wchodząc z pokojówkami niosącymi tace z ciastami i zakąskami. Za nimi ukazał się młodszy lokaj, Kostek, dźwigający srebrny samowar. Kamerdyner sam dopilnował, żeby nakryto stolik, a pani Prendowska była widocznie bardzo głodna i spragniona, bo jadła z apetytem domowe wypieki i chciwie piła pachnącą herbatę cejlońską.

Tomek wszedł i speszony widokiem obcej damy zatrzymał się przy drzwiach. Nina skinęła, aby się zbliżył.

– To mój opiekun – oznajmiła z uśmiechem. – Dwukrotnie zawdzięczam mu życie. Jest bardzo odważny i dobry Polak. Tomku, chcę ci powierzyć ważne zadanie. Weźmiesz pod siodło Sułtana i pojedziesz w stronę Hucisk. Koniecznie musisz znaleźć oddział pana naczelnika, bo są dla niego nowe rozkazy rządu. Dam ci list do męża.

Chłopakowi zaiskrzyły się oczy, w opalonej twarzy w szerokim uśmiechu błysnęły zęby.

– Znajdę ich na pewno! – oświadczył stanowczo.

– Jakbyś nie zastał pana naczelnika, możesz list oddać panu doktorowi Borutyńskiemu albo panu Siekielskiemu. W razie niebezpieczeństwa list

zniszczy. A przy sposobności dowiedz się, czy aresztowani zostali odbici i ilu naszych chłopców poległo.

Nina usiadła przy rzeźbionym biurku i szybko skreśliła ołówkiem kilka słów. Nie chowając kartki do koperty, wręczyła ją Tomkowi.

– No, jedź z Bogiem, a uważaj na siebie.

Chłopak złożył paniom niezgrabny ukłon i zniknął tak szybko, jakby go wiatr zdmuchnął. Pani Prendowska skończyła pić herbatę.

– Czy pani hrabina pozwoli mi pozostać w Makowie do czasu, aż doręczę panu naczelnikowi rozkazy? Może w oficynie znajdzie się jakiś kącik, bo trochę się zmęczyłam?

Nina nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Przykro mi, że ma pani takie wyobrażenie o mojej gościnności. Ależ, pani Jadwigo, cały mój dom jest do pani dyspozycji. Pokojówka zaraz wskaże pani pokój, bo z pewnością zechce się pani odświeżyć po podróży i wypocząć. W bibliotece znajdzie pani dla siebie interesującą lekturę. Proszę się rozgościć. Pokojówka przyniesie napoje, owoce i zakąski, żeby, broń Panie Boże, taki miły gość nie zgłodniał. Niestety, ja nie zdołam dotrzymać pani towarzystwa, bo dosłownie upadam ze zmęczenia i braku snu. Muszę kilka godzin wypocząć, bo nie wiadomo, gdzie mąż wyznaczy nam spotkanie. *Au revoir!*

Poleciwszy gościa opiece pani ochmistrzyni, Nina udała się do sypialni i tak jak stała, rzuciła się na łóżko, momentalnie zasypiając. Nie czuła, jak niania z Ulisją rozebrały ją z największą ostrożnością i przykryły kołdrą. Spała męczącym, ciężkim snem nieprzynoszącym wypoczynku.

Dopiero pod wieczór otworzyła oczy, bo do pokoju weszła Jaga i oznajmiła, że wrócił Tomek i prosi o rozmowę. Nina była bliska płaczu. Całe ciało miała obolałe, w ustach czuła niesmak, jak przed ciężką chorobą.

– Boże, kiedy ja się porządnie wyśpię! – stęknęła, podnosząc się z łóżka.

Narzuciła na siebie biały jedwabny peniuar i przeszła do buduaru. Ciężko opadła na najbliższy fotel.

– Nianiu, możesz zawołać Tomka.

Chłopak był brudny, cały obsypany kurzem, i ciężko oddychał. Wyobraziła sobie, jak musiał pędzić, chcąc dogonić oddział. Bez słowa

podał jej własny list. Na odwrocie znajdowało się jedno zdanie, nagryzmołone naprędce ręką Aleksa: „Po zachodzie słońca w Zameczku”.

– Opowiadaj! – poleciła niecierpliwie, wskazując mu krzesło.

Usiadł posłusznie, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić z rękami.

– Dogoniłem pana naczelnika dopiero koło Michniowa. Zatrzymali się trochę dłużej na miejscu bitwy, żeby burków zakopać. Tylko dlatego zdołałem ich dopędzić. Pan naczelnik bardzo się przestraszył, bo myślał, że jaśnie pani stało się coś złego. Dopiero jak list przeczytał, to się uspokoił i powiedział, że będzie w Zameczku wieczorem. – Chłopak sapnął i umilkł.

– Zuch z ciebie! Świetnie się spisałeś. Więźniowie odbici? A z naszych ktoś zginął?

Tomek spojrzał na nią i westchnął.

– Więźniów odbili, a z naszych dwóch poległo. Gajowy Zydlak i nasz stajenny Walczewski. Kilku jest rannych, ale pan doktor już ich opatrzył.

– Walczewski? – zmartwiła się Nina. – On niedawno się ożenił. Taki dobry, porządny człowiek... Tomku, nie mów o tym jego żonie, dobrze? Zawsze jest czas na złe wiadomości.

– Nie powiem.

Nina zauważyła, że chłopak ma jakąś nieswoją minę.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego! – zawołała, czując w sercu chłód.

Spuścił głowę i dopiero po jakimś czasie wyszeptał:

– Zabili starego pana dziedzica Siekielskiego. Ruski oficer strzelił mu w głowę zaraz na początku bitwy.

– Jezus Maria! – Nina zbladła i przycisnęła obie ręce do piersi.

Wyobraziła sobie rozpacz Tadeusza i Zosi. Biedna Trusia nic jeszcze nie wiedziała o śmierci ojca, a teraz zginął teść. Została w Brzezińcu sama. Z dreszczem zgrozy uświadomiła sobie, jak tanie stało się ludzkie życie i jak łatwo było o śmierć. Cudownym zrzędzeniem Opatrzności ona i jej bliscy na razie żyli... Na razie! Wstydziła się płakać przy Tomku, ale dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

– Czy starego pana pochowano na miejscu bitwy? – zapytała drżącym głosem, głośno przełykając łzy.

– Nie. Pan porucznik Siekielski kazał ojca zawieźć do Sarnik i tam go pochować, z księdzem, po ludzku.

– A gdzie reszta więźniów?

– W klasztorze, w Świętej Katarzynie. Już tam zajmą się nimi święte panienki. W oddziale wszyscy się dziwili, że ich umiałem dogonić – rzekł z odcieniem dumy.

Nina położyła mu rękę na ramieniu.

– Jestem z ciebie bardzo dumna, mój opiekunie. Idź teraz i odpocznij, bo bardzo się zmęczyłeś – powiedziała, widząc na jego czole drobne kropelki potu. – Wiele ci zawdzięczam, więc potem proś mnie, o co zechcesz. Może potrzebujesz pieniędzy, aby sobie coś kupić? Niedługo pojedziesz do szkoły w Kielcach, bo panna Mira dobrze cię przygotowała.

Tomek poczerwieniał z przykrości.

– Przecie ja nie dla pieniędzy! – wybuchnął. Odetchnął głęboko i powiedział zdecydowanym tonem dorosłego mężczyzny: – Ja to robię dla ojczyzny i naszej sprawy.

„Oho, nauki Miry nie poszły w las” – pomyślała Nina, ale stanowczość chłopaka bardzo jej zaimponowała.

– Nie chciałam ci zrobić przykrości. Wiem, że dobry z ciebie patriota, a twojego poświęcenia nie można opłacić pieniędzmi. Ale przecież chłopci nie popierają powstania, dlaczego ty myślisz inaczej?

– Bo oni są ciemni, proszę jaśnie pani – odpowiedział spokojnie, patrząc jej prosto w oczy. – Nic nie rozumieją. Ale ja widziałem, jak nasz pan zostawił wszystko i poszedł walczyć. Kiedy byliśmy w Krakowie, panna Mira pokazywała nam groby naszych królów, opowiadała o tym, jak wielka, bogata i wspaniała była niegdyś Polska i ile ziemi zaborcy nam zabrali. Ludziom na wsi nikt o tym nie mówił. Są ciemni, bo nie czytają książek i nie znają historii naszej ojczyzny.

Nina wpatrywała się w błękitne oczy chłopca, zaskoczona jego dojrzałymi uwagami. Była wzruszona przywiązaniem do ojczyzny tego biednego, samotnego wiejskiego chłopca.

– Jestem naprawdę z ciebie dumna. Wyrastasz na wspaniałego mężczyznę. Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

Tomek rzucił się do jej rąk, pokrywając je gorącymi pocałunkami i łzami.

– Pokornie proszę jaśnie panią, żeby wstawiła się za mną do pana naczelnika. Ja nie pójdę do szkoły... Chcę do oddziału! Na naukę będzie jeszcze czas. A jak pan naczelnik mnie nie przyjmie, to i tak pójdę za nimi! – Trząsł się cały z uniesienia, nie przestając kurczowo ścisnąć i całować jej dłoni.

– Obiecuje, że wstawię się za tobą. A teraz idź do panny Kumockiej i powiedz, żeby ci dała buty, konfederatkę i mundur powstańczy. Zjedz coś, odpocznij, a wieczorem pojedziesz ze mną do Zameczku. Pan naczelnik zdecyduje, co z tobą zrobić. Aha, Sułtana weź z sobą, bo to już jest twój koń.

– Jezu, naprawdę? – Nie wierzył własnym uszom. – Przecie to prawdziwy arab, tylko panowie jeżdżą na takich koniach! – wykrzyknął.

– Zamierzałeś piechotą biegać za oddziałem? Kawalerzysta musi mieć konia.

Chłopak o mało nie oszalał z radości. Wybełkotawszy podziękowanie, wypadł z pokoju i pobiegł do Kumosi, by upomnieć się o mundur powstańczy. Nina patrzyła za nim z gasnącym uśmiechem.

Wiadomość o śmierci starego pana Siekielskiego była dla niej bardzo bolesnym ciosem. Znała go od dziecka i bardzo lubiła. Był taki wesoły, dowcipny, a skłonność do żartów odziedziczył po nim Tadeusz. Zastanawiała się ponuro, co myślał oficer rosyjski, strzelając z rewolweru w głowę bezbronnemu starcowi kalece. Jakież to musiał być okrutny, bezlitosny żołdak, ślepo wykonujący nieludzkie rozkazy. Niestety, na takich właśnie bezdusznych kreaturach opierał się cały carski reżim. Pana Siekielskiego oskarżono o udział syna w powstaniu. Groziła mu za to zsyłka na Sybir albo więzienie, ale z pewnością nie kara śmierci, ponieważ nie udowodniono mu, że czynnie pomagał powstańcom. A jednak oficer nie zawahał się wykonać na nim wyroku i zabił niedołęznego starca! Biedny, kochany Tadeusz, nieszczęśliwa Trusia... Nina płakała rozpaczliwie nad ich losem, lecz pomimo najgłębszego współczucia była bezsilna, bo niepodobna walczyć ze zjawiskiem tak nieodwracalnym, jak śmierć.

Z nagłym lękiem rozejrzała się po buduaraku pełnym lirycznej atmosfery, odległym od gwałtów i brutalności wojny. Na etażerkach, stoliczkach i gzymsie kominka stały wysmukłe kryształowe wazony, pełne wiosennych kwiatów: barwnych tulipanów i obfitych kiści białego i fioletowego bzu. Lecz ten sielankowy spokój był zwodniczy, bo wszędzie czaiła się śmierć.

Do drzwi zapukała Ulisia i podała jej liścik od pani Salomei, która przebywała w Sarnikach. Starsza pani pisała, że właśnie przywieziono zwłoki pana Siekielskiego i złożono je w kościele. Pani Borutyńska postanowiła nie wracać do Makowa, lecz jechać z Emilką do Brzezińca, pocieszyć Zosię i pomóc jej w przygotowaniu uroczystości żałobnych. Nina

z westchnieniem odłożyła list. Była ogromnie wdzięczna pani Salomei za podjętą decyzję. Serce wyrywało się jej do przyjaciółki, pragnęła ją uściskać i dodać otuchy w nieszczęściu, ale tego dnia musiała jeszcze widzieć się w Zameczku z mężem.

– Gdzie panna Mira? – spytała Ulisję.

– Panienska pojechała do Porajów – odpowiedziała pokojówka, dygając.

– Gdy tylko coś się dzieje, to nigdy nikogo nie ma i ja muszę wszystko robić! – prychnęła Nina gniewnie.

Miała do Miry pretensje, że pojechała pomagać panie Lasewiczównie, choć w Makowie nie było pana Bochniaka i na wypadek najazdu wojska nikt nie znał dobrze języka rosyjskiego.

[17](#) Pieśń Karola Kurpińskiego do słów Franciszka Karpińskiego.

[18](#) Jadwiga Prendowska (1832–1915) – kurierka Rządu Narodowego. Aresztowana i zesłana z mężem do Kunguru, po latach wróciła do kraju, gdzie wkrótce zmarła.

Przed zachodem słońca poleciała obudzić panią Prendowską.

– Mąż będzie czekał na nas w naszym folwarku – powiedziała, gdy pani Jadwiga przyszła wypoczęta, odświeżona, w starannie wyczyszczonej przez pokojówkę czarnej sukni.

Przed pałac zajechało odkryte lando z siedzącym na koźle Stachem. Obok niego usadowił się Tomek – czerwony z emocji, trzymając na kolanach sporą paczkę z nowym ubraniem. Za powozem szedł przywiązany jego koń. Nina zwróciła chłopcu uwagę, żeby paczkę schował pod siedzenie, i zaraz ruszyli.

Wieczór pachniał świeżą zielenią i ziołami. Było jeszcze jasno, bo na niebie świeciły zorze. W mijanych wioskach z kominów unosiły się dymy, a w chatach szykowano wieczerzę. Piskliwie śpiewały dzieciaki, pędzące z łąk stada gęsi, ryczało bydło prowadzone do wodopoju. Młodzi parobczacy śmiali się i ochlapywali wodą, kąpiąc w stawie konie. Nad łąkami i zaroślami unosiła się już leciutka mgła, w której odzywały się chóry żab, a w krzakach odurzająco pachnącej tarniny rozbrzmiewały pierwsze trele słowicze. „Jakże piękna jest moja ziemia” – pomyślała Nina, wpatrując się w ukochany krajobraz.

– Czy orientuje się pani, co zawierają nowe rozkazy? – odezwała się, patrząc niespokojnie na panią Prendowską.

– Niestety nie. Koperta jest zalakowana, nie mam prawa jej otworzyć.

Nina wierciła się na poduszkach siedzenia, pragnąc jak najszybciej przybyć do Zameczku. Minęli stojący na wzgórzu krzyż, ufundowany przez hrabinę Teklę i obwieszony wiankami polnych kwiatów. Nareszcie skręcili na piaszczysty gościniec prowadzący do folwarku. Przejeżdżający powóz obszczeakały wiejskie kundle, goniąc za nim, dopóki nie zniknął pomiędzy drzewami. Obie panie prawie nie odzywały się do siebie, zatopione we własnych myślach, i dopiero światła w oknach dworku wyrwały Ninę z zamyślenia.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła, wyskakując pierwsza z powozu i podając rękę pani Jadwidze, utykającej nieco.

Na ganku nikt się nie pojawił, lecz pokój był oświetlony. Trzy wielkie brytany podbiegły, warcząc, lecz poznawszy Ninę, zaczęły się do niej łąsić. Białe dworek wydawał się wymarły, ale gdy podeszły do drzwi, te otworzyły się szeroko i stanęła w nich Grabiszyna, dawna mamka Aleksa. Przywitała Ninę z radością, pocałowała ją w rękę i zaprosiła do środka.

– Pan hrabia czeka w pokoju. Zaraz podam herbatę.

W saloniku wszystko pozostało bez zmian od chwili, gdy Nina wyjeżdżała do Krakowa. Tylko okna były uchylone, a na stole stał wazon z bukietem bzów. W srebrnym lichtarzu paliła się świeca. Przy oknie Nina dostrzegła męża i podbiegła do niego z okrzykiem radości.

– Aleczku! Bogu niech będą dzięki! Tak się o ciebie bałam!

Pocałował ją w czoło i uwalniając się z jej uścisku, zwrócił się ku pani Prendowskiej, stojącej skromnie przy drzwiach.

– Miło mi panią poznać. – Skłonił się, witając ją uprzejmie. – Panie wybaczą, że tak bezceremonialnie przystąpię do rzeczy, ale nie mogę tu dłużej pozostawać. Poproszę o rozkazy. Nie wiemy, kim jest donosiciel i każdy jest podejrzany.

– To oczywiście. Oto rozkazy rządu. – Pani Prendowska podała mu niewielką zalakowaną kopertę.

Poprosił, żeby usiadły, a sam niecierpliwie rozerwał papier i zaczął czytać. Nina nie spuszczała z niego wzroku, dostrzegając dwie głębokie zmarszczki przecinające mu czoło. Widocznie się golił, czekając na panie, bo na policzku był zadraśnięty i miał zdarty naskórek na podbródku. Przeczytał uważnie dokument i spalił go razem z kopertą nad tacą, wyrzucając popiół do pieca.

– I co, Alku? Gdzie ci każą jechać? – wyrwała się Nina, nie mogąc opanować niecierpliwości i niepokoju.

Posłał jej tak wymowne spojrzenie, że natychmiast pojęła, iż nie należało pytać, co zawierają rozkazy.

– Bardzo przepraszam, ale tak bardzo się o ciebie boję – zawstydzona, próbowała się tłumaczyć.

– Idę do Piekła – powiedział z ironią, a ona aż zmieniła się na twarzy, nie spodziewając się po nim tak brutalnej odpowiedzi.

– Jak możesz...? – wyszeptała, upokorzona boleśnie obecnością obcej kobiety.

– Ależ Nino, ja mówię poważnie. – Roześmiał się, tracąc poprzednią rezerwę. – Wybacz, nie zdawałem sobie sprawy, jak drastycznie to zabrzmiało. No, nareszcie jestem bardzo zadowolony z decyzji rządu. Pani Prendowska jest kurierem władz powstańczych, więc mogę mówić otwarcie. Wszystkie oddziały walczące na terenie województwa sandomierskiego przechodzą pod rozkazy pana pułkownika

Czachowskiego. Miejsce zgrupowaniaznaczono nam pod Nakłem. Są tam skałki, zwane Piekłem. To miejsce zostało świetnie wybrane, bo jest ukryte głęboko w puszczy. Teraz już nie potrzebuję szukać jakiejś większej partii i dobrego dowódcy.

– Ale to tak daleko... – szepnęła zawiedziona Nina.

Miała nadzieję, że rząd rozkaże Alkowi działać na terenie Bodzentyna. Pocieszała się myślą, że tworzona jest mała armia powstańcza pod dowództwem Czachowskiego, bo miała do niego zaufanie i bardzo pułkownika lubiła. Ale pani Prendowska, usłyszawszy nazwisko pułkownika, skrzywiła się kwaśno, niezadowolona z wyniesienia Czachowskiego na naczelnika największego zgrupowania, nie tylko w guberni radomskiej, lecz w całym kraju. Nie lubiła starego wiarusa, ponieważ nie znosił go Langiewicz.

– Obawiam się, że będą kłopoty – odezwała się z niechęcią. – Pan Czachowski ma trudny charakter. Pan generał dyktator doceniał jego odwagę i talenty militarne, lecz raziło go okrucieństwo pułkownika. Czachowski stale nosi przy sobie bat i okłada nim podwładnych, niczym ekonom pańszczyźnianych chłopów. Wielu wieśniaków powiesił, bo jest zwolennikiem surowych kar.

Aleks nie znosił kobiet mieszających się do spraw wojskowych i zamierzał dać pani Prendowskiej ostrą nauczkę, lecz powstrzymał się, pamiętając o jej niekwestionowanych zasługach dla powstania.

– Nie słyszałem, żeby pan pułkownik skrzywdził kogoś bez winy – rzekł chłodno. – Karze jedynie zdrajców, co zdarzało się również często panu Langiewiczowi. Proszę pamiętać, że nadmierną łagodnością prowokujemy chłopów do aktów agresji. O ile wiem, w partii pana Czachowskiego służy wielu wieśniaków i jakoś od niego nie uciekają.

– Być może – bąknęła pani Prendowska, bynajmniej nieprzekonana. – Prosiłabym pana naczelnika o sporządzenie raportu o potyczce i odbitych więźniach oraz stratach, które poniósł nieprzyjaciel i pana oddział. Wezmę raport z sobą i dostarczę do Warszawy.

– Dobrze. – Aleks usiadł przy stole i wyrwawszy kartkę z notatnika, zaczął szybko pisać.

W pokoju uczyniło się cicho, słychać było tylko skrzypienie ołówka. Za oknem poszczekiwały psy, strzegąc czujnie domu, a w krzewach bzu rozbrzmiewały namiętne trele słowików.

Stara Grabiszyna wniosła dymiący samowar. Nina wstała i wyjęła z szafki szklanki, cukier i łyżeczki. Gospodyni weszła ponownie, niosąc na tacy półmiski z pokrojoną wędliną, czarny chleb i świeżo ubite masło. Za nią dziewczyna ustawiła na stole gorącą kaszę gryczaną, prażoną w chlebowym piecu ze skwarkami i kwaśne mleko z grubą kremową śmietaną. Skwarki pachniały tak apetycznie, że Nina poczuła głód. W ostatnich godzinach trwoga o życie męża i dramatyczne wiadomości odbierały jej apetyt.

Aleks skończył pisać, zalakował raport i oddał pani Prendowskiej. Potem wszyscy zasiedli do stołu. Hrabia wypytywał panią Jadwigę o jej pracę kurierską, prosząc, aby pozdrowiła szwagra, którego poznał w Wąchocku, przy boku Langiewicza. Lecz pani Prendowska nie miała żadnych wiadomości o losach porucznika i nawet nie przypuszczała, że Jan służył właśnie w oddziale Czachowskiego, przygarnięty po upadku dyktatora.

Małżonkowie z zainteresowaniem słuchali opowiadania pani Jadwigi. Dla chorej kobiety praca dla rządu była zadaniem bardzo wyczerpującym. Będąc ciągle w rozjazdach, stała się gościem we własnym domu. W Mircu pokazywała się tylko przejazdem, a całym gospodarstwem zajmowała się jej wiekowa matka. Pan Prendowski pełnił funkcję komisarza Rządu Narodowego i zajęty był pracą konspiracyjną, przebywając z dala od domu. Widywał się z żoną tylko przelotnie, czasem odwiedzając dzieci. Pani Jadwiga rozwoziła rozkazy, nawiązywała kontakty oraz wizytowała powstańcze szpitale, będąc z upoważnienia rządu ich opiekunką. Dnie schodziły jej na podróżach niewygodną bryczką. Noce spędzała na plebaniach i w dworkach, przyjmowana często niechętnie i ze strachem, a nieraz po prostu wyrzucana za drzwi.

Nina przypatrywała się z szacunkiem drobnej, pogodnie uśmiechniętej kobiecie, która cierpliwie i z samozaparciem znosiła poniewierkę, rozstanie z dziećmi i rodziną, narażając się na aresztowanie i surową karę. Była to niewątpliwie kobieta o mocnym charakterze i gorąca patriotka. Później jej dumna i honorowa postawa w więzieniu i na zesłaniu budziła szacunek Rosjan. Na razie jednak nie знаła swoich przyszłych losów i nie wiedziała o czekających ją ciężkich przeżyciach.

– Nie tęskni pani do normalnego życia, w domu i z dziećmi? – zapytała Nina, nie mogąc zrozumieć takiego entuzjazmu dla sprawy, którą sama uważała za niewartą poświęcenia.

– Mój Boże, naturalnie, że tęsknię za moimi dzieciaczkami. Ale przecież tę pracę musi ktoś wykonywać, więc równie dobrze mogą ja to robić. – Pani Prendowska uśmiechnęła się pobłaźliwie, spotykając się często z tego rodzaju pytaniami. – Kobiecie łatwiej być wywiadowcą i kurierem, bo mniej zwraca na siebie uwagę. Rzadko widzujemy się z mężem, ale to przecież sytuacja przejściowa. Kiedy wygramy powstanie, wówczas będzie pora na zabawę z dziećmi i życie rodzinne. Wprawdzie majątek marnieje, bo cała niemal służba poszła do powstania, ale kiedyś będziemy te czasy wspominać z dumą.

Nina siedziała w milczeniu, opuściwszy nisko głowę. Nie mogła wprost uwierzyć, że są jeszcze ludzie, którzy niezachwianie wierzą w zwycięstwo. Aleks się nie odzywał, wpatrzony w talerz, więc i ona nie zabierała głosu, obawiając się zdradzić ze swoimi poglądami. Przyszło jej na myśl, że mąż byłby dumny, gdyby poszła śladem pani Prendowskiej, żeby miała jej wiarę i patriotyzm. Zacisnęła mocno usta i miała szaloną ochotę brzydko zakląć. O, już dosyć się wycierpiała za sprawę, zawsze obcą jej sercu i trzeźwemu umysłowi. Dla niej ryzykowała zdrowie, jadąc do Galicji. Kto wie, być może zdołałaby donosić dzieci do końca ciąży. Małeńki Oleś żyłby, gdyby nie uległa wojewodzinie i pozostała w domu...

Zaraz po kolacji Aleks wstał i obciągnął na sobie szarą powstańczą kurtkę.

– Czas na mnie, Nino – rzekł, całując ją w policzek. – Nie martw się o mnie. Wkrótce postaram się dać ci znać o sobie. No, proszę, nie płacz... – szepnął jej do ucha, widząc, że oczy ma pełne łez. – A prawda, mam listy od Janka i Siekielskiego do pani Zofii. Nawet Biecki coś naskrobał do swojej żony. Zabierz je z sobą.

– Na którą jutro mamy przygotować pogrzeb? Tadek przyjedzie do Brzezińca czy prosto do kościoła? – Nina opanowała się i mężnie przełknęła resztę łez.

– Tadeusz już pożegnał się z ojcem i na pogrzeb nie przyjedzie – odparł Aleks cichym, twardym głosem. – W walce pomści śmierć ojca. Nie mogłem nalegać.

– Biedna Trusia. Została zupełnie sama – westchnęła Nina. – Aleczku, błagam, uważaj na siebie! Pozdrów ode mnie chłopców.

– Oczywiście, obiecuję. – Pocałował ją w czoło i pożegnał się z panią Prendowską.

W jego zachowaniu Nina dostrzegła jakby cień roztargnienia. Cały już był zaprzątnięty rozważaniem o walce. Zapewne układał w myślach trasę przemarszu oddziału terenami zajętymi przez nieprzyjaciela i objętymi gęstą siecią patroli. Naraz zrobiło się jej strasznie przykro. Żegnali się, Bóg wie na jak długo, może na zawsze, a on nie obdarzył jej nawet drobną pieśczętą, nie poświęcił ani chwili na rozmowę prywatną. Nie spytał, jak się czuje po nocnej eskapadzie... Był już w drzwiach, kiedy przypomniała sobie o obietnicy danej Tomkowi.

– Alku, zaczekaj! – zawołała, podbiegając do niego. – Proszę cię, zrób coś dla mnie. Zabierz z sobą Tomka. Nie utrzymam chłopca w domu, bo rwie się do oddziału. On tak wiele dla nas zrobił, że powinienes spełnić jego marzenie, żeby być w partii. Proszę, nie odmawiaj mi.

Aleks skrzywił się niechętnie, bo śpieszył się do oddziału, a jej prośba oznaczała dalszą zwłokę w wymarszu.

– Chcesz, żebym zabrał tego dzieciaka do powstania? Nino, ja naprawdę nie mam czasu czekać na niego. Muszę prędko wyruszyć z tych stron, bo Rosjanie mogą nas wygrzebać spod ziemi.

– Ależ wcale nie musisz czekać! On jest tutaj, ma konia! Alku, proszę, weź go ze sobą – nalegała pod wpływem jakiegoś tajemnego przeczucia.

– No dobrze, niech jedzie. – Strzepnął niecierpliwie rękami. – Kłaniaj się wszystkim domownikom, a pani Zofii złóż ode mnie kondolencje.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Nina podbiegła do okna i patrzyła, jak mąż rozmawiał z Tomkiem. Chłopak w szale radości rzucił się mu do rąk, potem obaj wskoczyli na konie i zniknęli pomiędzy drzewami sadu.

– Niech was Matka Najświętsza ma w swojej opiece – wyszeptała.

Stała przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w ciemność za oknami. Nie chciała, żeby pani Prendowska zobaczyła jej twarz, wykrzywioną spazmem cierpienia. Tyle już razy żegnała męża, a nigdy przez to pożegnanie nie stało się dla niej mniej bolesne. Było jej ciężko na duszy. Aleks w obozie zachowywał się wobec niej czule i troskliwie, ale tutaj był bardzo powściągliwy, jakby stale kontrolował swoje zachowanie. Ta nieszczęsna kłótnia o amnestię i dziecko znacznie ochłodziła ich wzajemne stosunki. Podejrzewała, że nie był z nią szczęśliwy, i żałowała, że zgodziła się go poślubić. Może dla jego dobra powinna z niego zrezygnować? Złe myśli tłukły się jej pod czaszką, a demon zazdrości podszeptował, że Aleks całą swoją miłość ześrodkował na osobie Pauli. Zawiedziony w uczuciach, już

nie potrafił zdobyć się na taką miłość, jakiej Nina pragnęła. Teraz wszystkie jego myśli zajmowała walka i nowo narodzona córeczka, może jedyna istota, która mogła być pewna jego ojcowskiej miłości. Próbowwała odepchnąć od siebie te gorzkie myśli, lecz one powracały uparcie. Czasami miała wrażenie, że mąż traktował ją jak rozkapryszone dziecko, które raz się pieści w przypiływie dobrego humoru albo też, gdy się naprzykrza, daje mu się klapsa, mówiąc: „A teraz idź do swoich zabawek i nie zwracaj mi głowy”.

Aleks nawet nie zauważył, jak bardzo jej charakter zmienił się w ostatnim czasie pod wpływem tragicznych przeżyć. Ciągły niepokój o jego życie, najazd wojska na Maków, dramatyczna podróż do Galicji i niewyobrażalne męki porodu oraz śmierć synka odmieniły jej duszę. W cierpieniu dojrzała, stała się twardsza i zarazem bardziej wrażliwa. Pragnęła z całego serca stać się dla męża prawdziwą towarzyszką życia. Chciała, żeby mąż dzielił się z nią swoimi myślami i doznaniem. Tymczasem on zamykał się w sobie i oddalał od niej, a długa rozłąka nie sprzyjała ociepleniu ich wzajemnych relacji.

Te myśli doprowadzały ją do rozpacz i wracała do domu przygnębiona. Zastanawiała się, czy znajdzie siły do przetrwania, dźwigania codziennych obowiązków i godzenia się z czekającymi ją kłeskami. Nie była już tą naiwną i upartą panią, zakochaną bezkrytycznie w pięknym wuju. Nie zamierzała błagać męża o miłość, której jej skąpił. Zastanawiała się, czy zawsze tak będzie między nimi: on zamknięty w sobie, zadreńczający się wspomnieniami, do których ona nie miała dostępu, będącymi dla niej tajemnicą. Przewidywała, że wraz z zaognianiem się walki na jej barki zaczną spadać coraz trudniejsze zadania i obowiązki i będzie musiała im podołać, jeżeli chce zachować dom i życie. Nie było nadziei, że coś zmieni się na lepsze w najbliższej przyszłości. Uniosła głowę i spojrzała na siedzącą obok panią Prendowską.

– Czy nie sądzi pani, że ciągłe rozstania z mężem są przyczyną pewnego zubożenia pomiędzy małżonkami? – spytała półgłosem.

Jej pytanie zaskoczyło panią Jadwigę. Odpowiedziała dopiero po chwili namysłu:

– Nie, raczej przeciwnie. Po długim niewidzeniu kochamy się jeszcze mocniej i stajemy się sobie bardzo bliscy.

– I godzi się pani bez sprzeciwu na ciągłe rozstania?

– Przecież trwa powstanie... – Pani Prendowska patrzyła na nią ze zdziwieniem. – Po zwycięstwie ponownie się połączymy i znowu będziemy razem. – W głosie młodej kobiety brzmiała niewzruszona wiara. – Przecież kiedyś się to skończy, prawda?

– Tak, kiedyś na pewno. – Nina skinęła głową i zamilkła.

W domu zastały obie panie Borutyńskie i Mirę. Damy cały dzień przebywały w Brzezińcu, pocieszając rozpaczającą Zosię i pomagając w przygotowaniach do pogrzebu. Na wieść o nieszczęściu przyjechała także pani wojewodzina i niemal przemocą zabrała Zosię z dzieckiem do Lipieńca.

Nina wręczyła paniom listy i kolacja upłynęła w ponurym nastroju. Pani Salomea i Emilka miały oczy czerwone od łez, a Mira dostała takiej migreny, że musiała położyć się do łóżka. Pod wpływem smutku Nina nie miała wcale apetytu i nawet nie tknęła ulubionych pierożków z mięsem i grzybami, które pan Szymon przygotował specjalnie dla niej. Na wszystkich sąsiadów padł blady strach, gdyż nikt nie wiedział, kto jest donosicielem, kogo należy się wystrzegać i kto będzie jego następną ofiarą.

– Mira była w Porajach. Czy panna Lasewiczówna zawiadomiła policję narodową? – odezwała się Nina, nalewając sobie do kieliszka odrobinę mocnego wina.

– Naturalnie. – Pani Salomea podsunęła półmisek z pierożkami pani Prendowskiej. – Panna Lasewiczówna obiecała, że natychmiast tym się zajmie. Chyba był kurier i wziął list. Wiesz, kochanie, pani wojewodzina i Marynia z Sarnik pytały o ciebie. Odniosłam wrażenie, iż czuły się nieco urażone, że ich jeszcze nie odwiedziłaś.

Nagły atak wściekłości odebrał Ninie mowę. Uniosła głowę ruchem żmii gotowej do ukąszenia.

– Urażone? Na litość boską, pewnie im się wydaje, że wyleguję się na kanapce, czytając romanse! Trzy dni temu wróciłam z Galicji, staczając po drodze bitwę z kozakami. Zamiast odpocząć po makabrycznym porodzie i opłakać śmierć syna, wałęsam się nocami po puszczy, udając kuriera. Nawet nie mam czasu, żeby się porządnie wyspać! Przed godziną pożegnałam męża ruszającego do walki i naprawdę uginam się już pod walącymi się na mnie nieszczęściami. Ja nie mam czasu na towarzyskie wizyty! – W uniesieniu rzuciła widelec na stół, podniosła głos i zaczęła niemal krzyczeć.

– Opanuj się, moje drogie dziecko. – Pani Salomea położyła jej łagodnie rękę na dłoni. – Tłumaczyłam pani wojewodzinie, jak bardzo jesteś zajęta. Ale to stara, schorowana kobieta, bardzo samotna. Nie miej jej tego za złe. Może czasami bywa nadopiekuńcza, ale ona cię kocha.

– Przepraszam – mruknęła Nina przez zaciśnięte zęby. – Robię, co mogę, chociaż nikt mnie nie pyta, czy mam na to siły i ochotę.

– Powinna pani zaraz się położyć, odpocząć i napić się melisy na nerwy – poradziła pani Prendowska, przełykając kolejny pierożek. Posiłek w Zameczku nie odebrał jej apetytu. – Naprawdę zrobiła pani bardzo wiele dla sprawy.

Rozdrażniona Nina włożyła serwetkę w srebrne kółko na stole i wzburzona wstała z krzesła. Miała ochotę głośno zakląć i kopnąć coś albo kogoś. Pani Salomea patrzyła na nią z czułością i troską.

– Moje kochane dziecko, robisz więcej, niż powinnaś. Nic nie jesz i jesteś bardzo blada. Idź się połóż, bo jutro musimy wstać o świcie – powiedziała serdecznie. – Ksiądz proboszcz podejrzewa, że Moskale, powiadomieni przez konfidenta, mogą przybyć i zbecześcić zwłoki, nie dopuszczając do pochówku.

Pani Prendowska także skończyła się posilać i wstała.

– Ja również będę na nogach o wschodzie słońca. Ale przedtem chciałabym porozmawiać z paniami o pewnej ważnej sprawie.

– Może odłożymy tę rozmowę do jutra? – Nina miała stanowczo dosyć wrażeń jak na jeden dzień. Pragnęła samotności i marzyła o odpoczynku.

Poszła do sypialni i odprawiła czekającą na nią Ulisję. Nie rozbierając się, w samej sukni wyszła na taras i zbiegła po kilku schodkach do parku. Majowa noc była ciepła, księżyc stał już wysoko, srebrząc wierzchołki ogromnych drzew. Szła przed siebie, znając na pamięć każdy zakątek parku. Noc pełna była miłosnych śpiewów słowików i namiętnego rechotu żab. Słyszała dalekie rzenie koni z odległego pastwiska. Przez ogród różany poszła nad staw, obserwując, jak promienie księżycy kładą się na tafli wody, załamując się na delikatnych falach. Tataraki szumiały usypiająco, pochylając się pod ciężarem rosy. Z gęstych zarośli wikliny odzywały się głosy derkaczy, kwakanie obudzonych kaczek i trzepot skrzydeł jakiegoś spłoszonego ptaka. Z liści odrywały się z chrzęstem ciężkie chrabąszcze. Odurzająco pachniały bzy, trawy i ziemia.

Nina zatrzymała się nad stawem i objąwszy pień starej olchy, wsłuchiwała się w miłosny głos swojej ziemi. Odruchowo wyprostowała schylony kark i wsparła czoło na szorstkiej korze drzewa. Jak zawsze zbliżenie z naturą i widok ukochanych miejsc dodały jej sił. To było źródło, skąd czerpała moc

do przetrwania i świadomość, że ta ziemia, własna ziemia, jest jedynym celem, dla którego warto żyć, walczyć, a nawet zginąć.

Powróciła do sypialni, sama się rozebrała i położyła do łóżka, a wtedy się okazało, że nie może zasnąć. Śmierć pana Siekielskiego, a przedtem wyprawa do leśnego obozu i spotkanie z Alekssem w Zameczku spowodowały w jej myślach taki chaos, że nie wiedziała, co ma z sobą zrobić. Kilka razy wstawała, zażywała brom i piła mleko. W rezultacie nabawiła się niestrawności i zrobiło się jej niedobrze. Zwymiotowała w łazience i dopiero nad ranem usnęła na krótko, budząc się w fatalnym nastroju.

Wczesnym rankiem wszystkie panie zgromadziły się w jadalni przy śniadaniu. Kiedy potrawy znalazły się na stole, Nina ruchem dłoni odprawiła służbę. Jadły w pośpiechu, żeby zdążyć do Sarnik na pogrzeb. Nikt się nie odzywał, dopóki pani Prendowska nie zabrała głosu:

– Jestem serdecznie wdzięczna pani hrabinie za gościnę, ale przed wyjazdem mam jeszcze coś do powiedzenia. Otrzymałam polecenie rządu, aby na tym terenie stworzyć nowy punkt poczty powstańczej. Dla kurierów jadących od strony Suchedniowa Poraje są nieco nie po drodze. Ja, niestety, nie znam tu nikogo, kto chciałby podjąć się tej zaszczytnej, ale niebezpiecznej pracy. Rozkazy muszą być dostarczone bez względu na okoliczności. Nasze władze centralne pragną być informowane na bieżąco o ruchach wojsk moskiewskich, stanowiskach ogniowych i sytuacji w terenie.

Nina odniosła niemiłe wrażenie, że nagle w jadalni zrobiło się bardzo zimno. Serce zakolało w jej piersi. Siedziała na krześle sztywno wyprostowana, patrząc na uśmiechniętą panią Jadwigę. Ogarnęło ją drżenie podobne do dygotania zajeżdżonego konia. W ten sposób objawiała się reakcja nerwów i głuchy protest, którego nie mogła ujawnić, żeby nie narazić się na powszechne potępienie. Emilce i Mirze zabłyśły oczy i spojrzały na siebie radośnie. Pani Prendowska zdawała się nie zauważać wrażenia, jakie jej słowa wywarły na słuchaczkach. Opanowanym głosem mówiła dalej:

– Panie są tutejsze. Dobrze znacie teren i ludzi. Czy jest tu w pobliżu dom, w którym za zgodą właściciela można by założyć pocztę, i czy znajdują

się osoby odważne i oddane sprawie, aby podjąć się obowiązków kurierskich?

Emilka miała obrażoną minę.

– Czy mamusia słyszy? – zwróciła się do pani Salomei. – Nasz miły gość uważa, że wszystkie jesteście podszyte strachem. To się nie godzi, pani Jadwigo!

– Ależ panie niewłaściwie mnie rozumiały... – tłumaczyła się zakłopotana pani Prendowska. – Nie miałam takiego zamiaru. Przecież sama pani hrabina bardzo wiele zrobiła dla sprawy. Ale, jak już wspomniałam, praca kuriera jest ciężka i niewdzięczna. Przykra szczególnie dla dam dobrze urodzonych. Mnie samą często razi wulgarność, z jaką muszę się spotykać na co dzień. Nie każda kobieta godzi się z tym faktem.

Emilka odstawiła filiżankę z kawą i zaczęła się śmiać.

– Wiem, co pani ma na myśli. Ja również byłam łączniczką i zetknęłam się z niemiłymi stronami tej pracy. Jakiś czas dostarczałam prasę podziemną i rozkazy do punktu znajdującego się w... wychodku! *Pardon* – przeprosiła zarumieniona.

– Pani była łączniczką?

– Tak. Panna Lutówna również pracowała w konspiracji. Obie znamy blaski i cienie tej służby. Mój mąż walczy w powstaniu, a mnie jest po prostu wstyd beczynnie siedzieć w domu, kiedy tylu wspaniałych ludzi naraża się i ginie. Obie z Mirą należymy do „piątek” i pomagamy pannie Lasewiczównie z Porajów w zajęciach.

Mira potakiwała skinieniem głowy, wpatrując się w panią Prendowską jak w cudowny obraz. Wyraz jej twarzy świadczył, że gotowa jest natychmiast przystąpić do pracy. Pani Jadwiga obserwowała obie młode kobiety przenikliwie i badawczo.

– Mam rozumieć, że obie panie zgodziłybyście się...?

– Oczywiście! – W głosie Emilki zabrzmiały nuty egzaltacji.

Pani Salomea spoglądała na synową z macierzyńską dumą.

– Wybornie! – ucieszyła się pani Prendowska. – Jeden kłopot z głową. Teraz jeszcze potrzebny jest punkt pocztowy.

– Przecież Maków ma tyle kryjówek! – wyrwała się Mira.

Nina posłała jej mordercze spojrzenie i potrząsnęła głową. Miała ochotę udusić przyjaciółkę własnymi rękami.

– Pozwól, kochanie... – odezwała się jadownicie słodziutkim głosem. – Nie zamierzam kwestionować waszych decyzji, bo nie mam na to wpływu, ale nie wyrażam zgody na umieszczenie w Makowie poczty powstańczej. Pałac jest zbyt widocznym miejscem i łatwo tutaj o dekonspirację. Ponadto przypominam wam, że mamy w pobliżu konfidenta. W domu szyjemy odzież powstańczą, w razie potrzeby przechowujemy broń, więc nie możemy lekkomyślnie narażać ludzi.

– Tak, naturalnie – pośpiesznie zgodziła się pani Prendowska, chociaż wyraz jej twarzy oddawał niemiłe zaskoczenie. – W takim razie co pani hrabina proponuje?

Oczy Niny zwęziły się i rozbłysły zielono jak u rozwścieczonego kota. Miała ochotę poradzić pani Prendowskiej, żeby wyniosła się do wszystkich diabłów i nie wymagała od niej zgody na działalność, której się panicznie obawiała. Niestety, nie wypadało tak powiedzieć, bo wtedy Aleks, rodzina i przyjaciele nie darowaliby jej tego do śmierci. Będąc bardzo spostrzegawczą, zauważyła, że pani Prendowska doskonale zrozumiała jej intencje, ponieważ tylko jej jednej nie zaproponowała pracy kurierskiej. Nina bynajmniej nie miała do niej o to pretensji. Wiedziała jednak, że musi coś zaproponować w zamian za Maków, gdyż w przeciwnym razie skompromituje się przed rodziną i narazi policji narodowej, którą pani Jadwiga mogła powiadomić.

– O cztery wiorsty od Makowa jest nasz folwark, Borek – powiedziała bardzo chłodno. – Tamtejszy ekonom ma syna w partii mego męża. To człowiek pewny i nam bardzo oddany. Dworek jest na uboczu, posiada dobre konie i ludzi nienawidzących Moskali za wyrządzone im krzywdy. To bezpieczne miejsce, odpowiednie na pocztę kurierską.

– A czy ten ekonom zgodziłby się na tak ryzykowne zajęcie? – zagadnęła pani Prendowska po namyśle.

– Pan Olszak jest zaprzysiężony. Nieraz wspominał, że ciąży mu bezczynność. Zresztą sama pani go o to zapyta. Dam pani list do niego, bo w przeciwnym razie będzie nieufny.

– W takim razie mój pobyt w Makowie okazał się bardzo owocny – oznajmiła pani Jadwiga z wdzięcznością. – W imieniu Rządu Narodowego dziękuję wszystkim paniom.

Zadowolona obiecała, że osobiście zajmie się przerzuceniem uratowanych więźniów do Galicji. Przypomniała również, że odtąd w Borku muszą stać

w pogotowiu dwie bryczki i gotowi do natychmiastowego wyjazdu furmani. Praca kurierska wymagała także ciągłej pisaniny. Czasami należało przepisać w dziesiątkach egzemplarzy rozmaite odezwy, instrukcje i wykazy. Zwykle cała rodzina miała przy tym zajęcie. Pani Prendowska, osoba skromna, nie lubiła się chwalić, ale właśnie dzięki takim kobietom jak ona poczta powstańcza, tak ważna w owym czasie, funkcjonowała niemal bez zakłóceń. Mnóstwo kobiet, młodych i starszych, bogatych i ubogich, zajmowało się przewożeniem listów i rozkazów oraz wywiadem. Pracowały, przemykając pomiędzy patrolami, w ciągłym zagrożeniu życia. Władze carskie doceniały ich działalność, ich zasługom przypisując, że niemające żadnych szans powstanie trwało tak długo. Rząd Narodowy zlecał im często najtrudniejsze zadania i nigdy nie musiał tego żałować.

Po odjeździe pani Prendowskiej damy siedziały jeszcze chwilę przy kawie, czekając na powóz. Nina spostrzegła, że Emilka i panna Lutówna spoglądały na nią, jakby wyczekująco.

– A ty, Nino...? – odważyła się spytać Mira i zamilkła speszona lodowatym wzrokiem przyjaciółki.

– Co ja? – podjęła zaczepnym tonem. – Koniecznie chcesz wiedzieć, dlaczego nie zgłosiłam się na kurierkę, tak?

– No... twój mąż walczy! – zauważyła znaczącym tonem Emilka, udając, że nie widzi ostrzegawczych znaków pani Salomei.

– Owszem, walczy. Ale gdyby to zależało ode mnie, od dawna siedziałby za granicą. O, nie patrzcie tak na mnie, jakbym zbezczeszczyła świętość narodową! Jeśli chcecie znać moje zdanie, to cała praca kurierska jest zupełnie bezcelowa, ponieważ powstanie skazane jest na klęskę.

– Nino! – Oburzona Emilka zerwała się z krzesła.

– Nie krzycz! Wspomnisz moje słowo, że niedługo zostanie zgniecione i utopione we krwi – powtórzyła Nina dobitnie. – Ale jest ważniejszy powód, abym siedziała w domu i nie mieszała się do tej awantury. Ktoś musi pilnować gospodarstwa. Nie można ciągle żyć na beczie prochu z tłącym się lontem. Mam smutne przeczucie, że to właśnie ja poniosę konsekwencje waszej radosnej działalności.

Pogrzeb pana Siekielskiego ze zrozumiałych powodów odbył się cicho wczesnym rankiem, w tajemnicy przed sarnickimi chłopami. W kościele

stała przed ołtarzem prosta trumna, a przy niej paliły się dwie gromnice. Dopóki nie zamknięto wieka, starszy pan wyglądał w niej, jakby spał spokojnie, tylko głowę miał obwiązaną czarną przepaską, a jego czerstwa przystojna twarz miała barwę wosku. Nabożeństwo było krótkie, a trumna, niesiona przez panów Wąsockiego, wuja Ksawerego oraz dwóch gospodarzy z Brzezińca, prędko spoczęła w rodzinnym grobowcu.

Na cmentarzu stały Zosia w żałobnych kirach, spuchnięta z płaczu, ciotka Maria, obie panie Borutyńskie, pani wojewodzina i Nina z Mirą. Obie podtrzymywały starą damę, posuwającą się z trudnością na chorych, zreumatyzowanych nogach. Dzień był bardzo ciepły, lecz wietrzny i pochmurny. Oczekiwano, kiedy spadnie obfity deszcz i odświeży powietrze.

Nina nie lubiła ceremonii żałobnych, gdyż natychmiast przypominał się jej makabryczny pogrzeb Pauli. Z niecierpliwością wyglądała końca ponurej ceremonii, pragnąc wrócić do domu i położyć się na kanapce w buduarze. Od chwili przyjazdu z Krakowa nie miała prawie chwili wytchnienia. Wszyscy zwracali się do niej z każdym kłopotem, oczekując pomocy lub rady. Ona zaś rzadko mogła liczyć na czyjąś pomoc. Pan Bochniak jeszcze nie wrócił z Radomia i musiała radzić sobie sama.

Po pogrzebie pani wojewodzina zaproponowała Zosi, że zabierze ją do Lipieńca, ale ona odmówiła, łudząc się nadzieją, że może Tadeusz wpadnie do domu, aby ją pocieszyć. Jedną Niną wiedziała, że Tadek już jest daleko.

– Kochanie, nie powinnaś być sama w domu. – Dotknęła ustami bladego policzka przyjaciółki. – A może wrócisz z nami do Makowa? Czy chcesz, żebym pojechała z tobą do Brzezińca?

– Dziękuję ci, Ninetko. – Zosia podniosła na nią zrozpaczone oczy. – Boże, mam okropne wyrzuty sumienia, że ojciec zginął przeze mnie! Może żyłby jeszcze, gdybyśmy nie powiadomili leśnego obozu? Przecież Moskale nie zjedliby go w Radomiu.

– Trusiu, pomyśl tylko rozsądnie! A jeżeli ten konfident doniósł, że pan Siekielski kontaktował się z leśnym obozem? Jezu, zostałyby natychmiast wzięty na tortury, a los innych uwięzionych byłby opłakany. Teraz mają szansę dostania się do Galicji.

– Nina mądrze mówi – poparła ją wojewodzina. – A ty, moje dziecko, nie rób sobie wyrzutów, bo to była wola Boża. Zaraz, Nino, gdzie ci tak

śpieszno?! – zawołała, widząc, że Nina zbiera się do odjazdu. – Pojedziesz ze mną.

„O Boże, jeszcze i to!” – jęknęła w duchu i zaszcebiotała przymilnie:

– Ciotuniu, obiecuję, że jutro przyjadę do Lipieńca. Dziś jestem już bardzo zmęczona. – Próbowała wykręcić się od wizyty, ale stara dama była niewzruszona.

Pożegnawszy się ze wszystkimi, ruszyła wolno ku cmentarnej bramie, podpierając się laską i ciągnąc Ninę za rękę. Westchnąwszy, potulnie pozwoliła się prowadzić, podpierając staruszkę ramieniem. Marzyła o wypoczynku w samotności, a w obecności wojewodziny trzeba było uważać na każde słowo, aby jej nie urazić lub nie rozgniewać. Przez najbliższe godziny nie odpręży się ani na minutę. Czuła przez skórę, że stara dama gotuje jej przykre kazanie.

– Nie chcę jechać moim powozem – zrzędziła kapryśnie wojewodzina. – Jest twardy jak trumna, do której mnie niedługo położą.

– Ależ ciociu!

– Powiedziałam, położą mnie jak tego biedaka Siekielskiego! Panie, świeć nad jego duszą... Pojedziemy twoją kareta. Pani Salomea z Emilką i ta panna nauczycielka pozostaną na razie w Sarnikach, a potem Marynia odeśle je do Makowa.

Stary stangret wojewodziny i równie leciwy lokaj podsadzili panią do karety i umieścili na miękkich poduszkach. Usadowiona wygodnie, kazała zaciągnąć firanki, bo raziło ją światło, i dała znak do odjazdu.

– A może ciotunia wolałaby pojechać do Makowa? – odezwała się słodko Nina. Nie lubiła Lipieńca, bo nie wiadomo dlaczego tamten dom kojarzył się jej z grobowcem.

– Cicho bądź! Modlę się! – ofuknęła ją staruszka i w całkowitym milczeniu dojechały na miejsce.

Nina z tłumioną złością obserwowała spod oka pozółkłą twarz starej damy. Chudą, z wystającymi kośćmi policzkowymi i wydatnym orlim nosem. W tej pomarszczonej twarzy tylko oczy były zadziwiająco żywotne, młode i błyszczące energią. Bezkrwiste wargi poruszały się cichą modlitwą, spod czarnego wdowiego czepka z weneckiej koronki wymykały się pasma siwych włosów. Nawet obfita fałdzista krynolina nie zdołała zatuszować przygarbionej, płaskiej figury, jak wyciętej z deski. Z szerokich rękawów aksamitnego czarnego płaszczyka wysuwały się sine szponiaste dłonie,

pokryte wątrobianymi plamami. Nina, zirytowana uporem staruszki, przypatrywała się jej ze źle skrywanym obrzydzeniem.

Kiedy karetka podjechała przed dwór, wyskoczyła pierwsza i wyciągnęła obie ręce, żeby pomóc starej damie wsiąść.

– Zostaw, od tego mam służbę – mruknęła wojewodzina i odsunęła ją.

Z ciemnej sieni wybiegło kilkoro służby i na rękach wnieśli panią do buduaru. Pokój wyglądał o wiele weselej niż w zimie. Okna były szeroko otwarte na ogród, pełen wiosennych kwiatów i drzew okrytych młodą zielenią liści. Buduar tonął w seledynowym półcieniu, rzucanym przez dwa olbrzymie klony rosnące w pobliżu domu. Starą damę złożono na wygodnej otomanie, pod spuchnięte nogi podkładając poduszki. Leżała nieruchomo, przymknąwszy powieki, z żółtą jak gromnica twarzą, podobna do umarłej. Tylko koronki poruszające się przy oddechu na staniku sukni wskazywały, że staruszka jeszcze żyje.

Nina przysiadła obok otomany, na dosyć twardym fotelu, i bezmyślnie wpatrywała się w okno, marząc o domu.

– No i co? Przyjrzałaś mi się dokładnie? Szpetna jestem, prawda? – rozległ się niespodziewanie szorstki głos wojewodziny.

Nina podskoczyła, zarumieniła się i spojrzała na nią z przestrawieniem.

– Widzisz, starość nie dodaje urody, ale ją zabiera – ciągnęła staruszka. – Jak dożyjesz mojego wieku, także już nie będziesz pięknością. Spójrz tylko na mój portret. Kiedy byłam młoda, mężczyźni kochali się we mnie do szaleństwa. Nikt inny nie tańczył tak lekko mazura i nie umiał tak jak ja prowadzić zalotnej, francuskiej salonowej rozmowy.

Nina podniosła oczy i przypatrzyła się wiszącemu nad kominkiem wielkiemu portretowi, przedstawiającemu młodziutką kobietę, rozkosznie roznegliżowaną. Kokieteryjnie ukazywała delikatne piersi, widoczne w wielkim dekolcie sukni z epoki Dyrektoriatu. Jej wielkie czarne oczy płonęły radością życia i młodością. Drobnymi dłońmi były śnieżnobiałe, a palce nosiły kosztowne pierścienie. Serce ścisnęło się jej z żalu i naraz ogarnęła ją ogromna litość dla tej biednej starej kobiety, samotnie żyjącej w wielkim domu i niemającej do kogo przytulić serca. Pod wpływem impulsu pochyliła się i ucałowała staruszkę.

– Wszystko to marność – rzekła z goryczą wojewodzina. – Człowiek nawet nie zauważy, kiedy z wiosnianej ślicznotki przekształci się w zgrzybiałą staruchę. Mój Boże, tyle już przeżyłam ludzi i zdarzeń...

Urodziłam się w tysiąc siedemset osiemdziesiątym szóstym roku, kiedy Polska była jeszcze wolna, choć już chyliła się ku upadkowi. Jak dziś pamiętam haniebnym sejm grodzieński i ostatniego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

– Naprawdę był taki piękny, jak na portretach? – zaciekała się Nina, uwielbiająca historię.

– Przede wszystkim był wybitnie inteligentny, prawdziwy koneser sztuki. Był dość niski i często cierpiał na zaparcia. Kobiety go kochały, naród nienawidził i oskarżał o zdradę. Może i był winien... Miał raczej słaby charakter, ale Polsce mógł wtedy pomóc tylko sam Bóg, bo własni obywatele pchali ojczyznę do przepaści. Nie było takiej podłości i ohydy, jaką by się nie splamili wielcy panowie. Magnaci ślali się carycy do nóg, prosząc, by raczyła wkroczyć do Polski i bronić swobód obywatelskich, czyli anarchii i liberum veto! Oskarżaliśmy Napoleona, że nic dla nas nie zrobił. Nieprawda! Pokazał nam, że chcieć, to móc! Powiedział: „Zobaczę, czy jesteście godni być narodem”. Tym obudził w Polakach prawie zupełnie wygasłą wówczas świadomość narodową, która przetrwała do naszych czasów i patrz, jakie wydała owoce.

Nina wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami, starając się nie uronić ani jednego słówka.

– Dobry Boże... – szepnęła poruszona i wzruszona. – Widziała ciocia samego cesarza Napoleona?

– Tak jak widzę ciebie. Miałam już dwadzieścia lat i przebywaliśmy w Warszawie. Mąż postarał się, żebym była prezentowana cesarzowi na wielkim balu w zamku. O, moje dziecko, mogłabym dużo opowiedzieć o tych czasach. Cesarz był wtedy nieco tłustawym mężczyzną ze znaczną łysiną. Tylko oczy miał wspaniałe, o przeszywającym spojrzeniu, i czoło greckiego boga. Mało kto mógł wytrzymać jego spojrzenie. On dobrze wiedział, że nie wygląd stanowi o wartości człowieka, lecz jego rozum. A rozumu miał aż za dużo! Mówiąc między nami, był niewiernym mężem i niestałym kochankiem, ale wyglądał bardzo sympatycznie. Ta biedna Marysia Walewska wcale się tak bardzo nie poświęciła, jak to próbują nam wmówić. Boże, miałam osiem lat, kiedy w Grodnie odbywał się ten straszliwy i potworny sejm, akceptujący dalszy rozbiór Polski. Przeżyłam insurekcję kościuszkowską i klęskę maciejowicką, kiedy wrócono, że to już koniec Rzeczypospolitej. Miałam dwadzieścia sześć lat, kiedy mój jedyny

ukochany brat w tysiąc osiemset dwunastym roku poległ w bitwie pod Borodino, w czasie marszu Napoleona na Moskwę. A siostra owdowiała, straciwszy męża w czasie odwrotu i przeprawy pod Berezyną – westchnęła i przeżegnała się. – Ale to dawne dzieje. Oleś już wyruszył, prawda?

– Tak. Z rozkazu rządu ma się połączyć z oddziałem pułkownika Czachowskiego. Daleko stąd, bo aż w lasach pod Nakłem.

– Bogu dzięki, że już nie jest bezbronny, a jego partia ma nowoczesną broń palną. – Wojewodzina stęknęła z bólu i poprawiła się na otomanie.

– Zawdzięcza to hojności ciotuni – przypomniała Nina, wstydząc się poprzednich niezycziwych myśli. – Przepraszam, że jeszcze nie zdążyłam zrobić dokładnego spisu wydatków w Krakowie, ale ciągle mam coś innego do załatwienia.

Stara dama niedbale machnęła dłonią.

– To były twoje pieniądze i mogłaś nimi dysponować według uznania. – Uniosła głowę i badawczo przyjrzała się Ninie. – Ładnie wyglądasz, a my tu już obawialiśmy się, że lada dzień trzeba będzie odprawić egzekwie żałobne.

Serce Niny stało się ciężkie od ponurych wspomnień.

– Jakimś cudem uniknęłam śmierci, choć nawet lekarze stracili nadzieję. Ale ja przeżyłam, tylko mój maleńki synek urodził się martwy – wyszeptala łzawym tonem i sięgnęła do torebki po chusteczkę.

– Wiem... – Staruszka poklepała ją po ręce. – Był u mnie Oleś i wszystko mi opowiedział. Ogromnie żal mi dziecka i bardzo ci współczuję, ale oboje jesteście jeszcze młodzi i możecie w przyszłości mieć wielu synów. Zresztą Oleś tak się ucieszył córeczką, że nie miał ochoty przejmować się niczym innym. Jednak sądzę, że decyzję o wysłaniu dziecka do Świerczyńskich podjęłaś raczej bez zastanowienia. Nie świadczy to dobrze o tobie jako o matce.

Nina ścierpła, przeczuwając, że wojewodzina staje się kolczasta niczym jeź. Postanowiła się bronić.

– Przecież wiozłam amunicję, więc jak mogłam zabrać dziecko w tak niebezpieczną podróż? Zapewniłam córce piękne i spokojne życie w Księstwie Poznańskim. Zatrudniłam dla niej zdrową mamkę, która dziecko uwielbia. A nasza Binia jest dobra jak anioł i święta, bardzo małą kocha. Proszę pamiętać, że musiałam się szybko decydować, bo czas naglił! – O pół tonu podniosła głos. – Może gdybym siedziała w Makowie, zamiast

awanturować się po Galicji, urodziłabym dwoje zdrowych dzieci we właściwym czasie! – Nie mogła odmówić sobie przyjemności wetknięcia szpilki wojewodzinie i przypomnienia, że podróż była jej pomysłem.

Staruszka utkwiała w niej błyszczące oczy, przewiercając ją wzrokiem.

– Nie próbuj przede mną udawać, że zależało ci na losie córki. Masz naturę swojej babki marszałkowej, a ona była całkowicie pozbawiona uczuć macierzyńskich. Nie chciałaś mieć dzieci, a ciąża była dla ciebie dopustem bożym. Oleś bardzo się tym martwił. A teraz oddałaś córeczkę w obce ręce i nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo zraniłaś swojego męża. On, naturalnie, się nie poskarżył, ale ja go znam i wiem, co o tym myśli.

– Coś podobnego! – Nina się zacietrzewiła, uznając, że staruszka staje się nieznośna. – Binia nie jest obca, to moja siostra, której zawdzięczam życie. Dziecku będzie u niej jak w raju!

– Posłuchaj, młoda damo... – przerwała jej wojewodzina, unosząc się na łokciu z gniewną miną. – Żadna dobra matka przenigdy nie rozstanie się ze swoim nowo narodzonym dzieckiem. Ale ty jesteś inna. Oddałaś maleńką i przestałaś zawracać sobie nią głowę. Obiecuję, że kiedy tylko sytuacja się wyklaruje, każę dziecko przywieźć, obojętnie, czy tego chcesz, czy nie. Oleś ma prawo zobaczyć swoją córeczkę, ja również chcę przed śmiercią poznać moją wnuczkę.

– Nie zgadzam się na przywożenie tu małej! – Nina była już naprawdę rozgniewana. – Przecież nikt z nas nie jest teraz pewien życia. Nigdy na to nie pozwolę!

– O, jeśli ty jej nie chcesz, to ja wychowam ją w Lipieńcu. Dopóki nie macie syna, twoja córka jest dziedziczką Makowa, Lipieńca i wielu innych majątków. Gdy dorośnie, będzie tak bogata, że o jej rękę dobijać się będą najwięksi panowie. Wydam ją za wnuka mego brata ciotecznego, będzie księżną. Dlaczego dałaś jej na chrzcie imiona, które w naszej sferze noszą pokojówki? Miała mieć na imię Aleksandryna Wiktorina.

– Dałam imiona ojca synkowi – wycedziła Nina przez zęby. Była coraz bardziej zdenerwowana i rozżalona. – Poza tym pokojówkom nie daje się imion Józefiny, Izabeli, Eleonory i Heleny, bo to cesarskie imiona.

Ale stara dama była już w swoim żywiole i nie zamierzała kapitulować.

– Olesiowi się nie podobają, mnie również. Będę na nią wołać Oleńka. Jest moją wnuczką i odziedziczy po mnie wszystko, a niemały to majątek. – Wojewodzina prychnęła i zakończyła pogardliwie: – Wykapana z ciebie

babunia marszałkowa. Dla własnych dzieci była gorsza niż macocha, a dla zięciów jędzą. Wdałaś się w nią i nic dziwnego, masz przecież „Diabła”¹⁹ w rodzie!

Tym oświadczeniem tak rozwścieczyła Ninę, że ta zupełnie zapomniała o szacunku należnym wielkiej damie. Stara kwoka! Jak śmiała wypominać jej przodków i wady babki? Z szumem krynoliny poderwała się z miejsca z dumnie podniesioną głową.

– Nie życzę sobie, żeby obrażano moich protoplastów i moją babkę! – wrzasnęła z furją, z zaciśniętymi pięściami stając nad otomaną. – Owszem, w moim rodzie był może diabeł, ale nie było w nim zdrajców! Ród Nałęczów pod wodzą Wincentego z Szamotuł przyczynił się do zwycięstwa pod Płowcami! Płynie w nas książęca krew Gniewomira z Czołpi! Być może moja babka była jędzą, ale pani również nie zachowuje się anielsko. Nikt pani tego nie wypomina, bo się pani boją, ale ja się nie boję! Nikt mnie nie pytał, czy chcę dziecka. Miałam siedemnaście lat i pragnęłam użyć życia. Nie powiedziano mi, że ciąża zagraża mojemu zdrowiu i nie wolno mi mieć potomstwa. Aleks postarał się o dziecko i poszedł do powstania. Może i martwił się o mnie, ale ta jego troska nie przeszkodziła mu pozostawić mnie i czekać na to, czy umrę lub przeżyję. Urodziłam moje dzieci, jeden Bóg wie, jakim straszliwym kosztem. Myśli pani może, że jestem szczęśliwa? Jezu, mam osiemnaście lat, a żyję jak wdowa. Kocham mego męża, ale on mnie nie kocha i skarży się na mnie do pani. Po co mnie pani tu przywiozła? Aby prawić mi morały i impertynencje? W takim razie zamierzam zaraz pozbawić panią tej przyjemności i wyjeżdżam. Żegnam!

Zadyszana z gniewu pośpiesznie zbierała ze stolika torebkę i rękawiczki. Wojewodzina przypatrywała się jej z nieprzeniknioną miną.

– Nino, jesteś niemądra.

– *Décidément*²⁰! Jestem głupia i niegodna zaszczytu bycia panią hrabiną Klonowiecką. Drugą żoną! Słusznie! Niechby się ożenił z tą wymokłą księżniczką Wandą, którą mu pani swatała. Nie zależy mi na tytułach i majątkach. Nie chciałam być wcale hrabiną, tylko żoną Alka. A jeżeli moja babka była herod-babą, pani niczym się od niej nie różni!

Stara dama wysłuchiwała jej z zupełnym spokojem, a kiedy Nina zamilkła, oddychając ciężko, wojewodzina niespodziewanie wybuchnęła serdecznym śmiechem. Nina spojrzała na nią z niepokojem, podejrzewając, że staruszcze pomieszało się w głowie.

– Siadaj, siadaj, ty złośnico. – Wojewodzina chichotała, ocierając chusteczką łzy ze śmiechu. – Ależ masz języczek! No, przestań się jeżyć i usiądź przy mnie. Napijemy się herbaty. – Przekornie przechyliła głowę i patrzyła rozbawiona na nastroszoną jeszcze Ninę. – Nie gniewaj się na mnie. Czasami chlapnę, co mi ślina na język przyniesie. Nie zamierzałam cię obrazić, tylko nieco rozruszać, bo siedziałas tu z miną samobójczyni. Dziecko, nawet nie wyobrażasz sobie, jakie miałam i mam wyrzuty sumienia, że posłałam cię w tę przeklętą podróż. Ale nikt nie mógł przewidzieć, że Langiewicz poniesie klęskę, a ty pojedziesz wprost w to piekło anarchii po upadku dyktatora. Gorzkimi łzami opłakałam śmierć twojego synka. Długo nie było od ciebie wiadomości, ja się tym tak gryzłam, że rozchorowałam się ze zmartwienia. Oleś także nie skarżył się na ciebie, lecz szalał z rozpaczy, że z jego winy możesz umrzeć. Nie myśl o nim źle. On cię bardzo kocha, ale może nie potrafi tego okazać. No, pocałuj mnie na zgodę. Ja także boleję, córeńko, że masz takie ciężkie, przykre życie.

Z wyrazem osłupienia Nina pochyliła się i ucałowała pomarszczony policzek starej damy. Złość opuściła ją zupełnie i w jej sercu obudziła się miłość i czułość do tej biednej staruszki, samotnie dożywającej swoich dni. Usiadła obok niej na otomanie i ujęła obie jej dłonie w mocny uścisk.

– Bardzo przepraszam ciocię za moje nietaktowne zachowanie, ale ja mam, niestety, niewyparzony język i jak już coś powiem... Proszę o wybaczenie.

– Dobrze, że jesteś w bojowym nastroju, bo zaprosiłam na podwieczorek Borutyńskich. – Zaśmiała się. – Trzymaj się ostro, bo Marynia zamierza pożreć cię żywcem za to, że zataiłaś przed nią spotkanie z Binią.

– Binia zrobiła mi niespodziankę... Ale skąd ciocia wie, że spotkałyśmy się w Krakowie? – zdziwiła się, bo jeszcze nie miała okazji przesłać ciotce Marii listu córki.

– A był tu taki, co was obie widział. – Wojewodzina mrugnęła porozumiewawczo.

„Psiakość, Orlewicz!” – zaklęła Nina. Wojewodzina była osobą spostrzegawczą i domyślną, więc wypadało powiedzieć jej prawdę.

– Mówiąc szczerze, jest to wersja przeznaczona dla ciotki Marii. Umówiłyśmy się listownie na to spotkanie. Pewnie sam Pan Bóg natchnął mnie tą myślą, bo głównie Bini zawdzięczam życie. Lekarze już postawili

na mnie krzyżyk, ale ona nie zwątpiła ani na moment i dodawała mi sił do walki. Och, ciociu, jaka to cudowna, przedobra dziewczyna! Jaka szkoda, że... – Nina ugryzła się w język i umilkła, nie zamierzając zdradzać sekretów siostry.

– Jest nieszczęśliwa w małżeństwie, prawda? – Wojewodzina wysłuchiwała jej z uwagą i tylko pokiwała głową.

Nina musiała podziwiać jej intuicję i mądrość.

– Ciocia wie...?

– Dziecko, stara już jestem i wiele rzeczy w życiu widziałam. – Z grymasem bólu poprawiła się na poduszkach. – Marynia i Ksawery wydali subtelną, niewinną panienkę za starego lubieżnika. Wygląd Bini po nocy poślubnej był dla mnie wróżbą jej przyszłego pożycia. Obie jesteśmy mężatkami i dobrze wiemy, że wrażenia z nocy poślubnej pozostają kobiecie na całe życie. Dla mężczyzn nie jest to ważne doznanie. Ot, jedno zbliżenie więcej i to wszystko, ale dla nas może stać się to katastrofą życiową. Mówię ci to z własnego doświadczenia, bo ja również zostałam wydana niemal dzieckiem za starego dziada. Biedna Binia, zasłużyła na lepszy los. Powiedz mi, Oleś dziękował ci za urodzenie mu córki?

Serce Nina zalała naraz fala nagłego rozzalenia i goryczy. Poczuła, że łzy napływają jej do oczu, ale złość była w niej silniejsza.

– Naturalnie, podziękował mi po swojemu! – syknęła z pasją. – Przez całą drogę nie odzywał się do mnie, a przy pożegnaniu jego pocałunek był zimniejszy od lodu. Swojego psa potraktowałby serdeczniej. – Pociągnęła nosem.

– Oho! – W oczach starej damy zabłysła iskierka ciekawości. – Lepiej opowiedz mi dokładnie, co między wami zaszło.

Wzdychając i siąkając nos, Nina opowiedziała jej o awanturze z mężem.

– Nalegałam, żeby przyjął amnestię. Dla jego dobra! Jezu, tak się boję, że zginie w tym przeklętym powstaniu i będzie umierał samotnie, z dala ode mnie. A ja nic, zupełnie nic nie mogę!

Nie wytrzymała i wybuchła płaczem, łkając głośno i rozpaczliwie, jak skrzywdzone dziecko. Upadła na kolana i objąwszy ramionami nogi wojewodziny, wtuliła twarz w jej suknię. Stara dama wzruszyła się ogromnie tą rozpaczą. Delikatnie uniosła głowę Niny i gładziła czule jej włosy.

– Nie płacz, skowronku, niedługo zabraknie ci łez. Mój Boże, jak ja niegdyś chciałam mieć córkę! Na starość zostałam sama jak ten palec. Rozumiem, że czułaś się urażona zachowaniem Olesia, lecz kobiecie czasami trudno jest pojąć zawile ścieżki męskiej logiki. Kochanie, większość oddziałów powstańczych nie przyjęła amnestii, bo Rząd Narodowy nie ufa carowi i jego doradcom. A zresztą amnestionować można przestępcę, okazując mu łaskę, a przecież my nie jesteśmy przestępcami! Walczymy o niepodległość naszej ojczyzny. Dziecinko, Oles nie mógł inaczej postąpić. Zrozum, on również pragnie powrócić do domu, cieszyć się tobą i dzieckiem, ale nie kosztem utraty honoru. Jest żołnierzem i musi postępować zgodnie z rozkazami władz powstańczych.

– On woli być w lesie niż przy mnie – szlochała Nina. – Jeżeli przeżyjemy tę masakrę, prawdopodobnie wystąpi o rozwód. Nie kocha mnie, bo całą swoją miłość oddał Pauli i nie potrafi już kochać innej kobiety.

Wojewodzina osłupiała ze zdumienia, a ochłonawszy, chwyciła się za głowę.

– Nino! Bój się Boga, co ty wygadujesz?! Nie wolno ci tak myśleć! On jej nienawidził! Brzydził się nią od dnia ślubu, bo to był wynaturzony potwór, wyuzdany i okrutny. Nie było takiego występku, którego by nie popełniła. Obawiałam się o ciebie, bo ona lubiła ładne dziewczęta.

– Nie, ona mnie nienawidziła. – Nina nie zrozumiała aluzji wojewodziny.

– Miałam na myśli coś innego. – Zażenowana staruszka spuściła oczy. – Paula była kompletnie amoralna. Upijała się nawet eterem.

– Czym? – Nina wysoko uniosła brwi. Jednak nie wierzyła, żeby Aleks natychmiast zapłonął nienawiścią do zaledwie poślubionej żony. Była przekonana, że żyli z sobą przed, a pewnie i po ślubie. Paula doskonale знаła jego wymagania, a raz wygadała się, że Aleks ma na biodrze znamię, zatem musiała widzieć go nagiego.

– Upijała się eterem – powtórzyła wojewodzina. – To pozornie uspokaja, lecz działa zabójczo na ośrodki mózgowy. Nie zaprzataj sobie nią głowy, córeczko. Kochasz Olesia, prawda?

– Ciociu, ja nie mogę żyć bez niego! Proszę Boga, żeby jego los był i moim losem.

Wojewodzina zamyśliła się i posmutniała. Jej ostre rysy złagodniały, ciemne oczy patrzyły na Ninę z rzadką u niej pieśczośliwą czułością.

– Masz dobre, gorące serce. Oleś jest szczęśliwy, mając taką żonę. – Położyła dłoń na głowie Niny. – Otrzyj łzy, dziecko, bo słyszę turkot. Pewnie Borutyńscy przyjechali.

Wyciągnęła chusteczkę i starannie wytarła wilgotne policzki i oczy. Przeglądnęła się w lustrze i poprawiła włosy. Nie chciała, żeby ciotka Maria zobaczyła ją w tym stanie. Pewnie powtórzyłyby wszystko pani Jabłockiej, a Dorota miałaby uciechę. Odetchnęła i usiadła na swoim miejscu. Wojewodzina nasłuchiwała, zdziwiona dochodzącym z sieni hałasem. Ktoś się awanturował, zamierzając przemocą wejść do pokoju, a służba broniła wstępu. Naraz stara dama pobladła.

– To nie Borutyńscy – wyszeptała drżącymi wargami. – O Boże...

Szarpnięte mocną dłonią drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wpadł stary lokaj wepchnięty siłą, o mało nie przewróciwszy się z rozpędu na posadzkę. Za nim pewnym krokiem wszedł Starewicz w jasnym rozpiętym płaszczu i popielatym jedwabnym cylindrze.

– A cóż to za porządki w tym domu? – odezwał się ostro, nie zdejmując kapelusza. – Dlaczego to stare bydlę nie chciało mnie wpuścić do babci? A, witam najśliczniejszą panią hrabinę. Mam nadzieję, że paniom nie przeszkadzam?

Nieproszony, rozsiadł się wygodnie w fotelu na wprost Niny, zakładając arogancko nogę na nogę. Niedbałym ruchem zsunął cylinder na tył głowy i przypatrywał się jej uporczywie, nie zważając na piorunujące wrażenie, jakie jego wtargnięcie wywarło na babce.

– *Ma foi*²¹, babunia dla mnie niełaskawa.

– Nie zapraszałam tu pana! – rzekła wojewodzina z wysiłkiem, mierząc intruza groźnym wzrokiem.

– Sam się zaprosiłem, aby spytać o zdrowie kochanej babci. A jak się miewa szanowny pan hrabia? Mam nadzieję, że wody Karlsbadu powróciły mu już nadwątlone zdrowie? – Posłał Ninie drwiące spojrzenie. – Mam do pana hrabiego mały interesik. Kiedy zastanę go w domu?

Nina momentalnie zeszywniała, starając się uważać na każde słowo. O Starewiczu mówiono dużo i źle. On sam zresztą nie krył się wcale ze swoimi prorosyjskimi sympatiami. Wiedziano, że jego majątku strzegli kozacy, a on przesiadywał w Kielcach, pijąc na umór z oficerami, grając w kasynie w karty i odwiedzając domy publiczne. Kolumny wojskowe omijały jego ziemie, nie wyrządzając mu żadnej szkody. Mówiono, że zeni

się z panną Stein, choć nie jest Polką i nie pochodzi ze szlachty. Jednak Starewiczowi to wcale nie przeszkadzało, polował na duży posag. Żona była jedynie kłopotliwym dodatkiem.

– Więc jak, kiedy pan hrabia przyjmuje? – powtórzył pytanie.

– Mąż nadal przebywa za granicą – odpowiedziała, z trudem panując nad sobą.

Uśmiechnął się złośliwie, a jego zimne szare oczy spojrzały na nią z jawną ironią. Nina nie łudziła się, że zdoła go oszukać. Starewicz doskonale wiedział, gdzie przebywał Aleks. Postanowiła być dla niego uprzejmą, aby go nie drażnić.

– Niesłychane! – Zaśmiał się. – Pan hrabia pozostawił panią samą w tak niespokojnych czasach? O, ja na jego miejscu byłbym ostrożniejszy. We dworach i pałacach często kwateruje wojsko, a uroda Polek wznieca w sercach młodych oficerów Jego Cesarskiej Wysokości namiętne uczucia. Prawda, pani Nino? – Zajrzał jej w oczy.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała z wyniosłym chłodem, zastanawiając się, co miał na myśli.

– Doprawdy? Proszę sobie wyobrazić, że niedawno spotkałem w Kielcach młodego kniazia Rudzkoja. O, mocno zawróciła mu pani w głowie. Chłopak mało nie płakał, wspominając panią. Zamierza odwiedzić panią hrabinę i z tego, co mówił, zorientowałem się, że gotów jest rozwieść panią z mężem i sam się z panią ożenić! Ale to jeszcze nie wszystko, bo w Radomiu miałem okazję rozmawiać z panem pułkownikiem Woroncewem. Biedaczysko już wyzdrowiał po kuli otrzymanej w pojedynku z innym wielbicielem pani. Prosił, żebym przypomniał pani o nim, bo damy przeważnie zapominają o zwyciężonych amantach. Niniejszym spełniam jego prośbę. Sądzę, że pan hrabia nie wziąłby mi tego za złe, bo jego pierwsza małżonka już go przyzwyczaiła do noszenia rogów. – Uśmiechał się, ale jego spojrzenie pełne było dzikiej żądzy i nienawiści.

Natomiast Nina była bliska zemdlenia. Wszystko, co powiedział, było prawdą, a zarazem oszczerstwem. Gdyby jego słowa dotarły do uszu Aleksa, ich małżeństwo z hukiem by się rozpadło. Zastanawiała się, czy wojewodzina uwierzy w jej niewinność. Pewnie trudno będzie ją przekonać, że zawsze zachowywała się godnie i nigdy nie pohańbiła nazwiska męża.

– Pańskie niegodziwe insynuacje mają na celu poróżnienie mnie z panią wojewodziną i zasugerowanie jej, że nie potrafiłam uszanować swej godności. Ale to się panu nie uda – powiedziała spokojnie, nie okazując gniewu.

– Patrząc w pani piękne oczy, gotów jestem uwierzyć w każde pani słowo. Ale czy pan hrabia będzie równie łatwowierny? Bardzo w to wątpię! – odparował, rozsiadając się jeszcze swobodniej i przybierając nonszalancką postawę.

– Milcz! – wmieszała się do rozmowy wojewodzina. – Milcz, ty łajdaku, ty carski sługusie! Nie ośmielaj się szkalować żony mego chrzestnego syna! Nie jesteś godzien, by patrzeć na nią!

– Tak? A od kiedy babunia jest tego zdania? Przecież oburzała się babcia na małżeństwo hrabiego z panną Niną. Czy nie nazywała jej babunia *rien du tout*²²?

Staruszka załamała dłonie i spojrzała z rozpaczą na Ninę.

– Myliłam się i Bóg mi świadkiem, jak ogromnie tego żałuję, że ją tak bardzo skrzywdziłam. Pomyliłam się również na tobie, uważając cię za człowieka honoru. A ty okazałeś się kanalią i szubrawcem! Nędznikiem bez czci i godności... Po coś tu przyjechał?

Starewicz nie przejął się słowami babki. Wzruszył ramionami i rozejrzał się po pokoju.

– Czy w tym domu nie podaje się herbaty? A mówiąc między nami, nie spodziewałem się tak niemiłego przyjęcia. Rozumiem, państwo Klonowieccy potrafili babcię całkiem zawojować w nadziei na przyszły spadek. Ale nic z tego. To ja jestem jedynym spadkobiercą babci.

Wojewodzina, uniesiona szalonym gniewem, powstała z otomany. Na jej zapadłe policzki wystąpiły krwawe wypieki, a ciemne oczy iskrzyły się z oburzenia.

– Nie jestem zramolałą sklerotyczką i nie narzucisz mi swojej woli. Mój majątek dostanie się temu, komu go zapiszę. Ale taka kanalia jak ty nie może liczyć na spadek po mnie.

– To się jeszcze okaże – powiedział, wpatrując się w nią zwężonymi złowieszczo oczami. – Testamenty można unieważnić.

– Ty, ty... ośmieliłbyś się...? – wychrypiała staruszka, oddychając z trudem i chwytając się za serce.

– Owszem!

Nina zerwała się, podbiegła i posadziła wojewodzinę, podsuwając jej pod plecy poduszki.

– Na miłość boską, niech pan przestanie! – zwróciła się błagalnie do Starewicza. – Pana babka jest chora. Ciotuniu, proszę się uspokoić. – Ostrzegawczo ścisnęła jej rękę, lecz wojewodzina była zbyt rozdrażniona, aby zważać na słowa.

– Nie zasługujesz, aby być moim spadkobiercą. Prędzej cały majątek zapiszę podrzutom niż tobie. – Odrzuciła w tył głowę, walcząc o każdy oddech.

– Czemu to babcia nazywa mnie łotrem i kanalią? Zabiłem kogoś czy okradłem? Co uczyniłem takiego, że babcia postanowiła mnie wydziedziczyć? – spytał podstępnie, bawiąc się trzciniową laską.

– Jesteś sprzedajnym łotrem! Zadajesz się z Moskalami! – krzyknęła z furią. – Precz z mego domu, nie chcę cię znać!

– Babcia ma do mnie pretensje, że nie jestem idiotą i nie poszedłem dać się zabić? – Posłał jej pogardliwe spojrzenie i trzepnął się laską po nodze.

– Jesteś zdrajcą i nie spełniłeś obywatelskiego obowiązku!

– A to się babcia złapała we własne sidła! – prychnął. – W takim razie pan hrabia także jest kanalią i szubrawcem, bo umknął za granicę, zamiast walczyć za ojczyznę – stwierdził zjadliwie.

– Nieprawda! Oleś nigdy... – wykrzyknęła staruszka z uniesieniem i w tym momencie dostrzegła pułapkę. – Jego tłumaczy ciężka choroba, ciebie nic nie tłumaczy – zakończyła pośpiesznie.

– Nie zauważyłem, żeby pan hrabia był zdechlakiem. No, mniejsza z tym. O spadku pomówimy innym razem, bez świadków. – W jego głosie dała się słyszeć nuta groźby. – Nie przyjechałem kłócić się z babcią. Żenię się i potrzebuję mego pierścionka. Proszę, żeby babcia odebrała go od panny Wąsockiej. Mam nadzieję, że szybko się po mnie pocieszy.

Obie kobiety wymieniły spojrzenia pełne lęku i zgorzienia.

– Ja tego nie zrobię! – Staruszka dyszała ciężko, szarpiąc kołnierz sukni.

Starewicz patrzył na nią z wyrazem politowania i odrazy.

– Przecież to babcia mnie namawiała, abym nie żenił się z dziewczyną, która nie potrafiła uszanować wianka. Miałem ożenić się bogato i właśnie to czynię.

Wojewodzina chwyciła się za gardło i zaczęła się dławić.

– Och, ty podły... – jęknęła. – Nino, wołaj służbę!

– Te stare kościotrupy? – Roześmiał się szyderczo. – Przecież rozsypią się, gdy tupnę! Więc jak, odbierze babcia ten pierścionek?

– Ja go odbiorę i prześlę panu – powiedziała szybko Nina, pragnąc, aby już sobie poszedł.

Przysunął się bliżej, a jego spojrzenie wolno ześliznęło się z jej twarzy i przyłgnęło do obcisłego taftowego stanika czarnej sukni, pod którym rysowały się jej piersi. Patrzył na nią z jawnym pożądaniem.

– Ma pani wielu wielbicieli. Nic dziwnego, bo jest pani coraz piękniejsza.

– Panie Starewicz, jestem mężatką, kocham mego męża i jego los będzie zarazem moim losem – powiedziała z powagą. – Proszę już iść, przecież pan widzi, że pani wojewodzina jest cierpiąca.

– A co za to dostanę?

Nina, pochylona nad mdlejącą staruszką, poczuła morderczą pasję. Z rozkoszą wpakowałyby kulę w łeb temu nędznikowi. Zamierzała udać, że nie dosłyszała jego słów, lecz nie wytrzymała.

– Zawsze musi pan coś dostawać?! Za bardzo upodabnia się pan do przyszłego teścia! Zamierza pan brać ślub w bóżnicy czy u popa w cerkwi?

Na policzki Starewicza wypłynął ciemny rumieniec. Wojewodzina oprzytomniała i szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Co to znaczy? – wyszeptwała. – Jaka bóżnica, co za pop? Auguście, kim jest ta kobieta, którą chcesz poślubić?

Nina przeraziła się, bo myślała, że staruszka nie słyszy tego, co powiedziała w złości. Lecz Starewicz zaraz się opanował.

– Nie wezmę ślubu w bóżnicy ani w cerkwi, bo jestem ateistą, śliczna pani hrabino. Owszem, to prawda, że moja przyszła żona jest niemiecką Żydówką, ale biorę za nią w posagu dwieście tysięcy złotych na rękę, a drugie tyle w nieruchomościach. To ładny kawał grosza i dla takich pieniędzy ożeniłbym się nawet z Eskimoską.

– Jezus Maria! – krzyknęła wojewodzina ze zgrozą. – Ty, szlachcic, mój wnuk, wprowadzasz do rodziny Żydówkę?

– Cóż, takie czasy – rzekł cynicznie. – Wielu arystokratów żeni się z Żydówkami, by połatać dziury w herbie. Mam długi, babcia nie dała mi ani grosza, to co miałem robić? – Znudzony ziewnął, wyciągając przed siebie nogi. Jego lakierowany trzewik dotknął sukni Niny. Natychmiast ją usunęła.

– A może jednak babcia da mi trochę pieniędzy albo jakiś majątek w dzierżawę?

– Nigdy! – Wojewodzina uniosła głowę, mierząc wnuka spojrzeniem pełnym pogardy. – Radzę ci, nie czekaj na moją śmierć, bo nie dostaniesz złamanej kopiejki. Nie pomogą ci Moskale ani sam diabeł. Precz!

Starewicz rzucił okiem na jej zmienioną twarz i przybrał pokorniejszą postawę. Nina zadzwoniła na służbę.

– Wody, pani zasłabła!

Wbiegła wiekowa ochmistrzyni, za nią lokaj z oznajmieniem, że przyjechali jaśnie państwo Borutyńscy. Wojewodzina wyciągnęła ku nim ramiona.

– Panie Ksawery, pomocy! Ten niegodziwiec... – Wskazała na wnuka. – ...przybył tutaj, aby obrażać starą, chorą kobietę. Maryniu, on znieważył twoją siostrzenicę. Proszę pokazać mu drzwi!

Wuj Ksawery ujął mocniej okutą żelazem laskę i posłał Starewiczowi wymowne spojrzenie.

– Sam pan wyjdzie czy mam tę laskę połamać na twoim grzbiecie, smarkaczu? – spytał spokojnie i dobitnie.

Starewicz zrozumiał, że jego szanse są znikome, bo panu Borutyńskiemu pospieszy z pomocą służba. Zresztą starszy pan słynął z niepospolitej siły i niebezpiecznie było z nim zadzierać. Uznał więc, że lepiej będzie w porę się wycofać, ratując resztki godności.

– Będę miał jeszcze okazję przypomnieć panu o sobie w stosownej chwili – rzekł zduszonym z wściekłości głosem.

– Zawsze do usług. – Borutyński z pogardą wydał wargi.

Starewicz złożył damom niski ukłon i wolno, bez pośpiechu, wyszedł. Wojewodzina wybuchła płaczem, żaląc się na wnuka i opowiadając o jego bezczelnym zachowaniu.

– Pani dobrodziejka sama tego gagatka rozpuściła – dobrodusznie zauważył wuj Ksawery. – Zawsze słyszeliśmy: „kochany Gucio, biedna sierotka”. Sierotka wyrosła i pokazała rogi. Trzeba było szczeniaka trzymać krótko przy pysku.

– Święta racja, to moja wina – przyznała z bólem staruszka. – Ale Bóg mi świadkiem, że pragnęłam go wychować na dobrego Polaka. To Paryż zrobił z niego szelmę bez honoru. Karty go zgubiły, przeklęty nałóg! Obraził Ninę, odgrażał się Olesiowi, boję się go...

Nina naląła jej wody i podsunęła sole trzeźwiące. Staruszka uspokoiła się i dziękowała za pomoc. Nina najchętniej pożegnałaby się i wróciła do

domu, ale nie wypadalo. Obawiala sie, ze ciotka Maria wystapi z pretensjami, lecz mile sie rozczarowala. Ciotka usiadla przy niej i przyciagnawszy ja do siebie, ucalowala.

– Binia pisala, ze zrobila ci niespodzianke – powiedziala serdecznie. – Ja przeciez rozumiem, ze takie dwie mlode kozy zawsze maja sobie cos do powiedzenia.

Uspokojona Nina, opowiedziala o planowanym przyjeździe Bini do Sarnik. Wyjela z torebki fotografie darowane jej przez siostrę i te ostatnie zrobione przed wyjazdem z Krakowa. Mowila o Bini z taka miłością, ze wujostwo sluchali jej ze wzruszeniem i mieli w oczach lzy.

– Mój Boże... – westchnęła ciotka Maria. – Ogromnie tęsknimy za naszą córeczką i wnukami, ale obawiamy się z Ksawuniem tej drogi z Księstwa Poznańskiego przez kraj objęty działaniami wojennymi. Podróż z dwojgiem malutkich dzieci może być niebezpieczna.

– Tak – przyznał wuj. – Wolelibyśmy spotkać się z nią w jakimś zagranicznym kurorcie. Widziałas może Jasia? Dawno nie pokazywał się u nas.

– Widziałam go tylko przez chwilę w leśnym obozie. Jest zawsze bardzo zajęty, ale powiedział, że do wujostwa napisze. Opalił się, lecz dalej kaszle i to mnie martwi.

– Bo też wybrał sobie życie, niech Pan Bóg broni! – wybuchnął wuj. – Taki jak on, lekarz z powołania, miałby sławę i pieniądze. Emilka także pocziwa kobiecinka. Żyliby sobie jak dwa gołębki. Ale nie! On musiał przyłączyć się do tej przeklętej ruchawki! Co za głupi chłopak!

– W zupełności podzielam zdanie wuja – stwierdziła z powagą Nina. – I drzę na myśl, co nam przyszłość gotuje.

– A po co ten Starewicz tutaj przyjechał? – zainteresowała się ciotka Maria, kiedy już siedzieli przy podwieczorku.

– Podobno zamierza się żenić i chce, żebym odebrała od Jadwigi pierścionek zaręczynowy – odpowiedziała wojewodzina.

Oczy ciotki Marii zabłysły z ciekawości.

– Coś podobnego! Czy z tą panną, z którą tańczył na balu sylwestrowym? Ona podobno nie jest Polką.

– Jest Żydówką niemiecką! August żeni się z nią dla jej posagu – rąbnęła stara dama. – Hańba! Przeklęłam go i już nie jest moim wnukiem ani spadkobiercą.

– Ach Boże, niech się zeni nawet z małpą, nic mnie to nie obchodzi! – zawołała zirytowana Nina. – Ale on za dużo wie o Alku, stanowczo za dużo – westchnęła i umoczyła usta w białym reńskim winie.

Jadła bez apetytu i przysunąwszy się do okna, chłodziła twarz czarnym koronkowym wachlarzem. W pokoju robiło się coraz duszniej i cała lepiała się od potu. Zaraz po podwieczorku zaczęła się żegnać, tłumacząc, że w domu czekają na nią pilne sprawy. Wujostwo mieli jeszcze do niej mnóstwo pytań o Binię, więc zaprosiła ich i wojewodzinę na uroczysty obiad z okazji urodzin córki.

Do Makowa dojechała przed deszczem, który lunął, kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi pałacu.



[19](#) Chodzi o kasztelana nakielskiego Mikołaja z Wenecji herbu Nałęcz, zwanego „Diabłem weneckim“ lub „Krwawcem“. Urodzony w I połowie XIV wieku zmarł w 1400 roku. Był aktywny w wojnie z Grzymalitami i ograbił dobra arcybiskupa Bodzanty (stąd ta nazwa „Diabeł“). Początki rodu Nałęczów sięgają X wieku. Protoplastą rodu był według legendy książę Gniewomir na Czołpi. Przyjął on chrześcijaństwo i poddał się księciu Mieszkowi I, rezygnując z książęcego tytułu. Tereny rodu Nałęczów to Pałuki, Gąsawa, Żnin, Mogilno i Kcynia.

[20](#) fr. Bez wątpienia!

[21](#) fr. dają słowo

[22](#) fr. zupełnie nic, tu: kompletne zero

Rozdział 4

Wiosną 1863 roku sytuacja w kraju była nie tylko dziwaczna, ale i anormalna. W lasach i na polach toczyły się potyczki i bitwy, grzmiąły armaty, wybuchały pociski i z każdym dniem przybywało zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Szpitale i lazarety powstańcze były przepełnione. Tymczasem w Warszawie działały dwa wrogie sobie rządy, zwalczając się bezpardonowo. Wielki książę Konstanty nie miał wątpliwości, że to on sprawuje legalną władzę w imieniu króla Polski i zarazem cara Rosji – Aleksandra II. Rząd Narodowy uważał, iż wypowiada się jako reprezentant zniewolonego narodu polskiego, ale Konstanty i władze powstańcze mylili się w ocenie sytuacji, ponieważ wypadki wymknęły się spod kontroli. Co najdziwaczniejsze, oba rządy – carski i podziemny – respektowane były przez inne państwa i prowadziły grę dyplomatyczną, walcząc o uzyskanie przewagi nad przeciwnikiem.

Za plecami księcia namiestnika generał hrabia Berg składał do Petersburga tajne raporty, spodziewając się zająć w niedalekiej przyszłości miejsce Konstantego. W łonie Rządu Narodowego toczyła się walka, równie podstępna i zjadła, o stołki i stanowiska. Członkowie rządu, zajęci sporami, nie potrafili stworzyć silnej, fachowej władzy, zdolnej poderwać cały naród do walki o wolność. Po upadku dyktatury Langiewicza oraz śmierci Stefana Bobrowskiego i Zygmunta Padlewskiego powstanie jakby przygasło. Na krótko pojawiali się nowi dowódcy, stając się żywą legendą, dopóki nie dosięgła ich śmierć lub niewola.

W całym kraju powtarzano sobie nazwisko pułkownika Czachowskiego, którego sukcesy bojowe były już przedmiotem podziwu i źródłem otuchy dla rodaków. Pułkownik z lisią przebiegłością wymykał się z zastawionych pułapek i z reguły uderzał tam, gdzie się go wcale nie spodziewano. Kpiąc sobie z poszukujących go bezskutecznie dowódców rosyjskich, krążył jak wilk koło owczarni, coraz to wrywając z kolumn rosyjskich krwawe ochłapy. Wycinał oddziały nieprzyjacielskie pod samym Radomiem, pod Stefankowem, Jeziorkiem, Jaworem Soleckim i Grabowcem, zagarniając

tabory, broń, amunicję i pułkowe kasy. Zbyt mocno przyciskany, chronił się w nieprzebytą puszcę albo uciekał w przyjazne mu Góry Świętokrzyskie. Stał się prawdziwym utrapieniem generała Uszakowa i poszukujących go pułkowników: Ernrotha oraz Czengierego, podniesionego wkrótce do rangi generała.

Zapał i bojowa sprawność Czachowskiego, jego oddanie się duszą i ciałem ojczyźnie, porywały innych do walki. W Lubelskiem powstała duża partia Marcina Borelowskiego „Lelewela”²³, w Augustowskim walczył Konstanty Ramotowski „Wawer”. Z Galicji nieustannie napływali dobrze uzbrojeni ochotnicy. Przekraczali Wisłę i włączali się do walki. Pomimo kłótni, zawiści i nieudolnych działań Rządu Narodowego powstanie trwało i wszystkie klasy społeczeństwa polskiego składały ojczyźnie daninę krwi. Na niekończącej się liście poległych znajdowały się nazwiska wielkie i małe. Z ust do ust przekazywano sobie relacje o bohaterskim poświęceniu i odwadze. Uczniowie gimnazjum w Trzemesznie przystąpili do oddziału Marczyńskiego i wszyscy polegli w bitwie. W Inflantach młody hrabia Leon Plater wyruszył wraz ze swoją partią do boju, lecz rozgromiony, dostał się w ręce wroga. Jeszcze w bitwie pod Miechowem poległ osiemnastoletni hrabia Emanuel Moszyński, a jego serdeczny przyjaciel, dwiętnastoletni Paweł Borejsza, wnuk słynnego Rejtana, zginął pod Małogoszczą.

Hrabia Jan Działyński, wzorowy obywatel i gorący patriota, ofiarował na rzecz powstania półtora miliona talarów, zastawiając cały swój majątek. Skazany przez władze pruskie na śmierć za działalność patriotyczną, zdołał się przedostać do partii powstańczej. W bitwie pod Ignacem, gdzie generał Taczanowski poniósł klęskę, Działyński w ostatniej chwili objął dowództwo nad kawalerią powstańczą i zdołał uratować niedobitki oddziału. Nawet po upadku powstania Działyński i książę Leon Sapieha czynili nadludzkie wysiłki, opowiadając się za dalszym prowadzeniem walki.

Niespodziewanie w Krakowie pojawił się eksdyktator Mierosławski, wprawiając Rząd Narodowy w osłupienie i usiłując ponownie przechwycić władzę. W spokojnym i nieco sennym mieście zapanowało istne piekło! Mierosławski i przedstawiciele rządu w Galicji wzajemnie obrzucali się obelgami, oskarżając się o zdradę. Wydzielali sobie z rąk broń zakupioną ze składek społeczeństwa i przekupywali co zdolniejszych oficerów. Ale były

dyktator miał pecha... Pułkownik Mniewski uprowadził mu sprzed nosa dużą partię i legion cudzoziemski, złożony z Włochów i Francuzów, którzy pod dowództwem włoskiego pułkownika Francesco Nullo²⁴ mieli walczyć o wolną Polskę. Jednakże wywiad rosyjski bardzo szybko rozszyfrował polską metodę walki i niemal każda wyprawa kończyła się niepowodzeniem. Wzdłuż całej granicy Kongresówki z Galicją i Księstwem Poznańskim czyhały jak kot na myszy potężne kolumny rosyjskie, rozbijając natychmiast po przekroczeniu granicy każdy oddział.

W tym czasie Maków, położony z dala od głównych traktów wiodących z Kielc do Radomia, gdzie walki partyzanckie były szczególnie zacięte, wsparty o Puszcę Świętokrzyską, rzadko był niepokojony przez obie walczące strony. Czasami we wsi pokazywał się niewielki patrol kozacki lub dragoński i sprawdzwszy, że w pobliżu nie słychać o oddziałach powstańczych, odjeżdżał, zabierając na pamiątkę kilka kur albo prosiaka, który niebacznie wpadł im pod rękę.

Bywało, że przybywali powstańcy. Siedzieli na mocnych, dobrych koniach i byli dobrze uzbrojeni. Pojawiali się jak duchy, rekwirowali żywność i paszę, po czym znikali w gęstwinie boru. Nikt nie wiedział, skąd przybywali i dokąd odchodzili. Twarze mieli wychudzone, a oczy przekrwione i złe. Chłopi woleli nie pytać o nic, posłusznie wręczając im chleb, gęś i wiązki siana.

Pewnego dnia przywlokło się do pałacu kilkunastu powstańców z różnych rozbitych oddziałów. Poszukiwali partii „Kruka” lub Czachowskiego. Zapukawszy do drzwi, tułacze stali pokornie, niepewni, jak zostaną przyjęci. Udzielenie gościny „buntownikom” dla właściciela domu często kończyło się zesłaniem, a nawet śmiercią. Przybysze byli tak wynędzniali, głodni i zdrożeni, że kobiety zapłakały nad ich losem. Pani ochmistrzyni pobiegła z płaczem do Niny, pytając, czy może ich przyjąć. Uzyskawszy zgodę, umieściła przybyszów w oficynie, polecając przygotować im gorącą kąpiel, a brudną, zawszoną bieliznę spalić. Znalazły się dla nich nowe mundury, czysta bielizna, a nawet buty, bo przyszli niemal boso. Wyspani, czyści i ogoleni, zaproszeni zostali na obiad.

W dziarskich żołnierzach, pełnych galanterii i zapału, trudno byłoby rozpoznać niedawnych nędzarzy. Zebrane przy stole damy wypytywały ich

o nowiny z pola walki, lecz niestety nic pocieszającego nie usłyszały. Kolejne partie z entuzjazmem szły do bitwy, lecz przypadkowi i nieudolni dowódcy marnowali poświęcenie swoich żołnierzy, gotując im los godny pożałowania.

Obok Niny siedział mężczyzna o delikatnych dłoniach i wykwintnych manierach człowieka dobrze urodzonego. Był jeszcze młody, lecz ascetyczna twarz i gęsty zarost dodawały mu powagi. Z pewnością był głodny, mimo to jadł powściągliwie, odpowiadając uprzejmie na jej pytania. Walczył w partii „Lelewela”, rozbitej 24 kwietnia pod Józefowem.

– Mieliśmy się połączyć z panem generałem Jeziorańskim – opowiadał cichym głosem, przymykając sinawe powieki. – Lecz Moskale zaatakowali nas wcześniej i nie zdążyliśmy dojść na miejsce zbiórki. Nieszczęsny generał Jeziorański otrzymał, podobno przez niedopatrzenie, tylko po osiem ładunków na żołnierza! – Powstaniec z gorzkim grymasem pokiwał głową. – Być może pan generał nie spodobał się komuś wpływowemu, bo to dobry, waleczny dowódca. Pomimo braków w amunicji udało mu się odnieść zwycięstwo, ale moja partia została rozbita i utraciliśmy wielu ludzi. Zginął między innymi szczególnie wartościowy człowiek, młody poeta...

– Boże, czy aby nie pan Włodzimierz Wolski?! – wykrzyknęła Emilka, gorąca wielbicielka twórcy libretta opery *Halka* oraz wielu popularnych pieśni powstańczych.

– Nie, to nie był Wolski. – Powstaniec potrząsnął głową. – Poległ galicyjski poeta uwielbiany przez młodzież lwowską. Pewnie i panie śpiewają jego piosenkę *Co tam marzyć o kochaniu?*

– Jezu, Romanowski! – Na obliczu Niny odmalował się wyraz wielkiego bólu i prędko zasłoniła twarz dłońmi.

– Niestety tak. Mieczysław Romanowski poległ pod Józefowem, w swojej pierwszej bitwie.

– Czy to możliwe?! – wykrzyknęła Nina, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia po usłyszeniu strasznej wiadomości. – Jakże można lekkomyślnie marnować takie talenty? To zbrodnia! Sami niszczymy rdzeń narodu i ktoś słusznie zauważył, że strzelamy do wroga złotymi kulami. Zastanawiam się, kto w przyszłości zastąpi tych ludzi, których bezmyślnie posyłamy na pewną śmierć. Bo przecież nie chłop wysługujący się carowi za srebrne ruble, ponieważ nikt nie nauczył go patriotyzmu. Nie ubożuchny rzemieślnik, za ledwie wiążący koniec z końcem, czy mieszczanin

zastraszony przez reżim i lękający się własnego cienia. Nie Żyd, przeważnie obcy naszym interesom, wierze i kulturze. Naturalnie, pośród tych stanów z pewnością znajdą się wartościowi ludzie, dobrzy patrioci, lecz każdy naród musi mieć koniecznie swoją elitę, przewodników duchowych. Osoby naznaczone charyzmą. W przeciwnym razie łatwo staniemy się materiałem gotowym do wynarodowienia, i to niekoniecznie przez Rosjan. Już pan Słowacki ubolewał, że jesteśmy papugą narodów i łatwo ulegamy wpływom, często bardzo szkodliwym. Ja bym to określiła bardziej drastycznie... bezkrytycznie małpujemy inne narody, zaniedbując własną spuściznę historyczną i kulturalną. Dlaczego nie chroniliście Romanowskiego?

Słuchający uważnie powstańcy przyznali jej rację.

– Romanowskiego nie udało się nam zatrzymać – rzekł jej rozmówca. Oczy miał smutne, przygasłe, a wokół ust dwie głębokie zmarszczki, znamiona goryczy i życiowych zawodów. – On po prostu rwał się do walki, mimo iż prześladowało go przecucie śmierci. Nie wiem nawet, czy odnaleziono jego ciało, bo szukaliśmy go bezskutecznie. Może po bitwie Moskale utopili jego zwłoki w bagnie? Lecz zginął tak, jak prorokował w wierszach – w swojej pierwszej bitwie!

Nina przypomniała sobie ulubiony wiersz Romanowskiego, przysłany niegdyś przez Jasia: „Ty wiesz, komu uśmiech miły, komu kwiaty na mogiły niesie przyszły czas”... „Boże, odszedł wspaniały młody poeta i już nikt go nie zastąpi. Oddał życie za ideały, które wyznawał. Jaka niepowetowana strata” – pomyślała.

– Nie potrafię się pogodzić z jego śmiercią – wyznała drżącym głosem i zagryzła wargę. – Czy wiecie państwo, że jego wiersz stał się dla mnie dramatyczną wróżbą? Już nigdy nic nie napisze! Nie żyje! Dlaczego właśnie on?

Panie poblady i wymieniły spojrzenia pełne żalu. Prócz panny Lutówny, która przeżyła już swoją tragedię, każda z nich zadawała sobie okropne pytanie: „Kiedy ja otrzymam podobną wiadomość?”. I myśląc o tym, czuły dreszcz zgrozy.

Inny powstaniec, z długą czarną brodą, przypominający zakonnik, włączył się do rozmowy:

– Jego wiersz *Prośba o Orła* powtarzaliśmy sobie przy obozowych ogniskach jak modlitwę. Panie znają ten wiersz? Nie? W takim razie

pozwolę sobie powtórzyć jego ostatnią część, bo wydaje mi się prorocza: *Dość już tych modlitw bezczynnych do Boga. Walk nam nie wolno dla krzyża pominąć. Jak ptak – od Boga szablę mam na wroga. Mnie walczyć – w walce, patrząc w słońce – ginąć.*

– Sam wywróżył sobie biedak śmierć – zauważyła pani Salomea. Jej subtelne rysy wyrażały ciche cierpienie. Myślała o jedynym synu. – Nino, czy zgodzisz się ze mną, że jutro należałoby zamówić mszę żałobną za duszę pana Romanowskiego?

Emilka, przysłuchująca się w milczeniu rozmowie, naraz zerwała się od stołu i zasłoniwszy twarz chusteczką, wybiegła z jadalni. Mira pobiegła za nią, aby ją pocieszyć. Pani Salomea patrzyła za nimi i duże łzy kapnęły jej na czarną suknię.

– Mój syn jest w partii – wyjaśniła szeptem. – Niedawno się pobrali.

– Ja zostawiłem we Lwowie narzeczoną, czeka na mnie – rzekł jeden z powstańców.

Naraz jakby zerwała się w nich jakaś tama, mężczyźni zaczęli opowiadać o swoich domach i rodzinach, oczekujących na wiadomość od nich. Pokazywali fotografie, wstążki, medaliki założone na ich szyje przez kochające ręce matki, żony, siostry czy ukochanej. Dręczeni tęsknotą, nie rezygnowali jednak z walki, bez względu na to, co im przyszłość miała przynieść. Nina przywołała w pamięci obrazy bezimiennych mogił, mijanych po drodze z Galicji, gdzieś w polu lub pośród lasu. Nikt się nigdy nie dowie, kto w nich spoczywa. Ot, powstańcza dola!

– Czy dużo partii walczy obecnie na terenie kraju? – odezwała się, pragnąc rozproszyć przygnębiający nastrój, który zapanował przy stole.

– O, sporo! – odpowiedział młodzieńcy chłopiec, może nawet w jej wieku. – Na Podlasiu był duży oddział Lewandowskiego, ale został rozbity w potyczce pod Różą. W Puszczy Białowieskiej walczy Jan „Leliwa” Wańkowicz. Koło Warszawy są partie Jankowskiego, Oksińskiego, Wieluńskiego oraz Cieszkowskiego. Słyszeliśmy, że wybuchło powstanie na Ukrainie i wyruszył tam pan generał Różycki. Wszędzie toczą się bitwy. Na razie przegrywamy, ale to się wkrótce zmieni. – W jego głosie słyhać było młodzieńczy zapał i głęboką wiarę w zwycięstwo. Energicznym ruchem głowy odrzucił do tyłu długie ciemne włosy i uśmiechnął się pogodnie.

Jego sąsiad posłał mu spojrzenie pełne zachęty.

– Nie wszędzie nas biją – rzekł z kpiącą miną. – Generał Uszakow nie może sobie poradzić z naszym Czachowskim! – Słowa „z naszym” wypowiedziane były z dumą. – Musiał wezwać na pomoc generała Radena z Piotrkowa i generała księcia Meller-Zakomelskiego z Warszawy. Nasz stary lis będzie miał z nimi ciężką przeprawę, bo to już cała armia wali na niego.

– Boże... – Nina momentalnie zapomniała o poprzednim zmartwieniu, uświadamiając sobie niebezpieczeństwo zagrażające mężowi.

– Och, proszę się nie obawiać. – Młodziutki powstaniec starał się ją pocieszyć. – Czachowski poradzi sobie z nimi. Potrafi wyprowadzić Moskali w pole i zrobić z nich głupców. Dlatego idziemy do niego.

Pani Salomea objęła go tklwym matczynym wzrokiem.

– Uważajcie na siebie, panowie, i pamiętajcie, że gdzieś daleko ktoś czeka na was z utęsknieniem. Wygląda waszego powrotu, jak i my wyczekujemy wiadomości od naszych bliskich. Będziemy się za was modlić.

Powstańcy, zaopatrzeni w żywność i lekarstwa, wieczorem wyruszyli w dalszą drogę. Panie odprowadziły ich aż do bramy i wracały wolno do domu, rozmawiając ściszymi głosami. Ogromnie zaniepokoiła je wiadomość o ruszeniu prawdziwej ofensywy na pułkownika Czachowskiego. Nina zastanawiała się, zatroskana, czy Aleksowi udało się połączyć z oddziałem pułkownika przed przybyciem Rosjan.

W sypialni rozebrała się i narzuciwszy na siebie lekki peniuar, przeszła do buduaru. Z szufladki sekretarzyka z różanego drewna wyjęła jeden z ostatnich wierszy Romanowskiego, podarowany jej na pamiątkę przez młodego powstańca. Zapaliła świecę, usiadła na krześle i wpatrzyła się w drobne literki poematu przepisane ołówkiem na skrawku papieru. Półgłosem odczytywała strofy wiersza poległego poety:

*Nam dzisiaj tak w duszy, jak kiedy się wiosna
Z zimowej wyrywa niemocy.
To smutek i żałość, to zorza radosna,
To rozpacz, jak wichur północy.*

*Ach, kiedyż za ciebie w bój skoczym spragnieni,
O Polsko, ty matko miłości?
I kiedyż przy huku dział, blasku płomieni*

Podniosiem okrzyki wolności?

*I kiedyż uczynim, swobodni oracze,
Lemiesze z pałasy skrwawionych?
Ach, kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze,
Prócz rosy pól naszych zielonych?*

Czytała coraz ciszej, czując w ustach gorycz, jakby się piołunu napiła. Kartka wypadła jej z palców i cicho spłynęła na dywan, a Nina siedziała, nie mając siły ani płakać, ani się modlić. Piekły ją oczy, a pod powiekami czuła jakby piasek. „Ukochany! – wołała bezgłośnie, wsłuchując się w bicie zegarów oznaczających kolejne godziny nocy. – Czy zobaczymy się jeszcze na tym świecie? A może niedługo i do mnie dotrze z daleka żałobna wiadomość, że poległeś, i nigdy nie dowiem się, jak zginąłeś i gdzie spoczywa twoje ciało? Jezu Chryste, wołałabym dziś umrzeć, niż tego doczekać”.

Przez szeroko otwarte okna i drzwi na taras wpływał do pokoju upajający zapach kwiatów. Cały park rozbrzmiewał namiętными trelami słowików. Wstające znad stawu mgły czyniły światło księżyca podobnym do zwojów srebrzystej gazy. Wsparta łokciami o sekretarzyk Nina wpatrywała się w drgający płomyk świecy, śledząc wzrokiem krążące nad nią ćmy. Nie mogła zasnąć aż do rana, czując w duszy rozpacz i palącą tęsknotę.

Pani Jadwiga Prendowska dotrzymała słowa. Po kilku dniach w klasztorze Bernardynek zjawił się młody człowiek i oznajmił, że polecono mu przeprowadzić ukrywające się osoby do Galicji. Jakiś czas później pani Jabłocka otrzymała z Krakowa kartę pocztową z pozdrowieniami od ciotki Lusi, która już wyzdrowiała. Starsza pani z Dorotą odetchnęły, bo karta pisana była przez pana Jabłockiego, mającego na imię Lucjan. W tajemnicy zaczęła starać się o przewodnika, zamierzając połączyć się z mężem.

Do Borku już przybywali kurierzy, przywożąc rozkazy i instrukcje, z których większość należało przepisać w dziesiątkach egzemplarzy i dostarczyć do walczących oddziałów. Popołudniami wielka jadalnia zamieniała się w średniowieczne skryptorium. Przy długim stole siedziały rzędem panie i pochylone, do późnej nocy przepisywały polecenia rządu.

Starannie wykaligrafowane manifesty i odezwy Emilka i panna Lutówna odwoziły do miast – gdzie znajdowały się podziemne władze administracyjne – oraz do powstańczych oddziałów. Młode kobiety były teraz rzadkimi gośćmi w domu, nieustannie podróżując po całym kraju i nielegalnie zapuszczając się aż na Litwę i do Galicji.

W przeciwieństwie do Królestwa Polskiego na Litwie chłopci masowo przystąpili do walki, pragnąc pomsty na znenawidzonym caracie. Na tych terenach trwały ciężkie boje, a powstańcy walczyli pod rozkazami znakomitych dowódców: księdza Mackiewicza, Narbutta, Wysłoucha, Wróblewskiego, Staniewicza i innych. Całością dowodził pułkownik Zygmunt Sierakowski.

Emilka brała na siebie najcięższe zadania, pracując niezmiernie, a jej odwaga i zimna krew ratowały ją z niejednej niebezpiecznej przygody. Nina odniosła wrażenie, że tą pracą, niemal ponad siły, młoda kobieta pragnie zagłuszyć dręczącą ją tęsknotę za mężem. U Miry obowiązek patriotyczny nieustannie walczył o lepsze z poczuciem obowiązku. Jako nauczycielka miała przede wszystkim zadanie kształcenia wiejskich dzieci. Za to pobierała wynagrodzenie. Gnębiona wyrzutami sumienia, oznajmiła Ninie, że rezygnuje z pensji, bo jako kurierka jest wynagradzana z kasy rządu, ale Nina ją wyśmiała i poradziła, by na razie zajęła się pracą, której się podjęła. Na naukę przyjdzie czas w okresie jesiennym i zimowym, kiedy wiejskie dzieci nie pasą bydła i gęsi.

Obie kurierki rozwoziły nie tylko pisma, lecz i pieniądze na żołd dla żołnierzy i oficerów oraz broń krótką i amunicję. Niezmordowanie, jak pracowite pszczoły, krążyły po kraju wraz z tysiącami innych kobiet, przekazując przesyłki z Galicji do Warszawy lub ze stolicy do poczty powstańczych, skąd zabierano je i rozwożono do adresatów. Emilka, znana już członkom rządu, szybko zyskała sobie uznanie władz. Zaczęto jej powierzać coraz trudniejsze zadania wywiadowcze. Wywiązywała się z nich bez zarzutu. Nieobecność Miry i Emilki przygnębiała Ninę, bo serdecznie obie pokochała. Z Mirą przeżyły wiele przygód w czasie galicyjskiej podróży, a Emilkę uznawała za wspaniałą towarzyszkę życia dla swojego brata.

Panna Lutówna była zupełnie inna od panien wychowanych w wiejskich dworach. Była stuprocentową warszawianką. Na wsi wszystko ją zachwycało i dziwiło. Idealizowała chłopów, doszukując się w nich zalet,

których w większości wcale nie posiadali. W ich obronie nieraz gotowa była kruszyć kopie, kłócąc się nawet z Niną, mimo iż ją uwielbiała. Jako mieszcanka obawiała się koni i krów, a widok rozczapierzonego indyka, biegnącego z gulgotem w jej stronę, przyprawiał ją o panikę. Nina nieraz pokładała się ze śmiechu, obserwując przyjaciółkę, kiedy ta, unosząc wysoko krynolinę, chroniła się w bezpiecznym miejscu przed rozwścieczonym ptakiem, wydając przeraźliwe piski. Ale w obliczu prawdziwego zagrożenia Mira umiała się zdobyć na zdumiewającą odwagę i szybkość decyzji. Podobnie jak Emilka, całym sercem popierała powstanie, wierząc w zwycięstwo.

Po wyjeździe młodych pań w pałacu uczyniło się cicho i smutno. Brakowało ich śmiechu i przekomarzań. Nina zajęta była gospodarstwem, pomagając zapracowanemu panu Bochniakowi. Ubrana po męsku, jeździła konno na folwarki, doglądając prac polowych, albo do puszczy, wyznaczając z leśniczym drzewa do ścięcia. Kontrolowała pracę w tartaku, młynie i w cegielni. Cegielnia była tylko jedna w całym powiecie, toteż od wczesnego ranka ciągnęły do niej sznury furmanek po wapno, cegły i inne materiały budowlane. Ludzie przybywali po nie nawet z odległych stron. Młodziutka hrabina pracowała ciężko, nadzorując pracę na obu folwarkach i w Makowie. Spędziwszy większość dnia w siodle, wieczorami była tak zmęczona, że marzyła tylko o kąpieli i położeniu się do łóżka.

Zaniedbywała ukochaną muzykę i tylko w niedziele siadała do fortepianu, wzbudzając swoją grą zachwyty słuchaczy. Jaga i pani Salomea zgodnie utyskiwały, że lekkomyślnie marnuje wielki talent. Nina tłumaczyła, że teraz nikt nie potrzebuje muzyki, tylko jedzenia. Po ciężkiej zimie okradzeni z plonów ludzie toczyli rozpaczliwą walkę o przetrwanie i zapewnienie sobie pożywienia na jesień i zimę. Tego roku zbiory zapowiadały się rekordowe i Nina cieszyła się nadzieją, że jeśli Bóg pozwoli, nikomu nie zabraknie chleba.

Na swojej szybkiej jak wiatr Mignon przemierzała dziesiątki wiorst, mając na oku wszystko, co się działo w majątku. Przy klaczy zawsze biegł Grot, czujny i gotowy do obrony pani. Kiedy pracowała przy biurku w gabinecie, pies leżał u jej stóp, co jakiś czas podnosząc głowę i wpatrując się w nią. Czasami przerywała sprawdzanie ksiąg gospodarczych i nasłuchiwała. Zdawało się jej, że z dala słyszy donośne rzenie Rexa i uderzenia podków ogiera powracającego ze swoim panem z przejażdżki.

Wsluchiwała się w ciszę domu, łudząc się, że do jej uszu dobiegnie szelest jedwabnych krynolin, śmiech kobiet, wesołe głosy mężczyzn, brzęk kryształowych kieliszków i strzelanie korków szampana. Marzyła, że usłyszy dźwięki walca, ognistego mazura i gwar gości zgromadzonych w sali balowej.

Przymykała powieki, wywołując w pamięci obrazy z przeszłości. Młodziutkie panny w lekkich jak mgła śnieżnych sukniach płynęły w tańcu po lśniących posadzkach, podobne do białych łabędzi, w ramionach wykwintnych kawalerów w modnie skrojonych frakach. Łowiła uchem szmer rozmów, szelest wachlarzy, czuła woń paryskich perfum. Jak na jawie słyszała serdeczny śmiech Tadeusza, cichy, dystyngowany głos cioci Tekli, pochrząkiwanie starszego pana Siekielskiego i tubalny głos pana Syrwin, przyzwyczajonego w wojsku do wydawania komend.

Obudzona z marzeń rozglądała się, konstatuując z osłupieniem, iż uległa złudzeniu. Ciocia Teczka, pan Syrwin i stary pan Siekielski nie żyli. Wierny Rex zginął, a Tadeusz i Aleks walczyli gdzieś daleko i tylko ona, jak ukryty w kącie pająk, snuła nić wspomnień. W ciągu jednego roku zabrakło tylu przyjaciół i znajomych... Zginęli Władek Lasewicz i stary koniuszy Kacper, który cierpliwie uczył ją trudnej sztuki wyższej szkoły jazdy. Polegli w bitwach i na straszliwym noclegu znani jej stajenni, lokaje i gajowi.

Rozdrażniona wyrytymi w pamięci obrazami wstawała od biurka i szła do okna, wpatrując się w gąszcz zielonych drzew. W tym roku tylko przyroda nie zawiodła, lecz sam dom był głuchy i jakby pozbawiony życia. Aleja prowadząca do pałacu była cicha i pusta, a bramy zamknięte... Z grymasem rozczarowania ponownie zasiadała do pracy, biorąc do ręki pióro i pochylając się nad kolumnami cyfr, aby za moment powrócić do marzeń.

W Europie Zachodniej życie toczyło się normalnym trybem. W wyłożonych salach teatrów i oper publiczność oklaskiwała słynnych śpiewaków i aktorów. W Paryżu mężczyźni wprzęgali się do powozu, wiozącego wielką aktorkę dramatyczną – Rachelę, obrzucając ją bukietami kwiatów i klejnotami. W nocnych lokalach szampan lał się strumieniami. Zblazowani panowie, znudzeni nieróbstwem, tańczyli do białego rana, obdarzając tancerki z kabaretów futrami z soboli i brylantowymi koliaми. Politycy i przemysłowcy po spokojnie spędzonej nocy i przy obfitym śniadaniu przeglądali prasę w poszukiwaniu informacji giełdowych,

rzucając z roztargnieniem okiem na krótkie wzmianki o beznadziejnych zmaganiach w odległej Polsce. Kwitowali je wzruszeniem ramion i obojętnym mruknięciem, że ci Polacy zachowują się nieznośnie, wywołując wieczne niepokoje w starej, dobrej Europie, pławiącej się w koniunkturze.

O wiele bardziej interesujące były dywagacje na temat, który koń wygra w najbliższych wyścigach i doniosła wiadomość, że cena bawełny znowu wzrosła po zablokowaniu przez flotę Unii portów Konfederacji Południa, uwikłanej w wojnę z Jankesami. Cenny surowiec marniał na polach plantacji południowych stanów, a fabrykanci w Lyonie czy Manchesterze bankrutowali, wyrzucając tysiące robotników na bruk.

Tymczasem w Królestwie Polskim, na Litwie i Ukrainie na zieloną wiosenną darń padali zabici i ranni, konając bez nadziei na zmartwychwstanie ojczyzny za cenę ich młodego życia. Ogromne eszelony i setki kibitek mknęły na wschód, uwożąc powstańców i ich rodziny. Płonęły miasta i wsie, a na dziedzińcach twierdz i więzień wyrastały potworne drzewa szubienic, rozlegały się salwy plutonów egzekucyjnych.

Nina ponownie pochylała głowę nad rachunkami, bo jej marzenia były równie przygnębiające jak ponura rzeczywistość. Niestety, stan majątku był opłakany. Pan Bochniak targał siwe wąsy, unikając jej spojrzenia, jakby osobiście był odpowiedzialny za wszystkie klęski spadające na Maków. Składając jej raporty, miewał tak nieszczęśliwą minę, że Nina musiała go pocieszać.

– Ja wiem, że jest źle, kochany panie Bochniak, ale mogło być znacznie gorzej. Wkrótce zaczną się jarmarki w Bodzentynie i Tarczku. Sprzedamy część opasów i kilka koni ze stada.

– Owszem, ale to wszystko nie pokryje strat, które ponieśliśmy w zimie – powiedział rządca, wzdychając. – Pan hrabia polecił odbudować dworek w Borku i jest już gotowy, ale nie możemy sobie pozwolić na odbudowę spalonego folwarku w Milusinie. Na szczęście udało się tam obsiać pola, ale trzeba czekać do jesieni i dopiero wtedy myśleć o osadzeniu tam dzierżawcy. Przed powstaniem Maków miał wielkie dochody z dzierżaw, bo chłopci regularnie opłacali czynsze. Nasze wyroby mleczarskie szły do dużych miast, bydło rzeźne aż na Śląsk, do Królewca i Odessy. Wełnę owczą brali kupcy rosyjscy. Były gorzelnie, zakłady metalurgiczne, dziesiątki młynów, kuźni i tartaków. W bankach była gotówka, a w skarbcu

złoto. To były czasy! A opasów ja bym na razie nie sprzedawał – dodał, zmieniając temat.

– Niepodobna cały czas trzymać bydła w puszczy. Jeszcze ukradną nam je z leśnych pastwisk – zauważyła Nina.

Rządca w zamyśleniu gładził sumiaste wąsy.

– Ceny na mięso są dobre, ale możliwe są spadki ceny zboża. Faktorzy się obawiają, że po drodze wojsko może zarekwirować zakupione po dworach zboże, i dlatego dają najniższe ceny. Za to w mieście każą sobie płacić drożej o sto procent i więcej, rozumiejąc, że bez chleba, masła, mięsa czy mąki ludzie obejść się nie mogą.

– Ależ to jawna spekulacja! – oburzyła się Nina. – A my nie możemy podnieść ceny?

– Nie, ponieważ faktorzy żydowscy się zniechęcą i kupią produkty w innym majątku, gdzie dostaną je taniej. Musimy brać tyle, ile nam dają. Proszę pamiętać, że niemal cały handel w miastach znajduje się w rękach żydowskich. Oni są wobec siebie solidarni i natychmiast utracą konkurenta.

Nina była kobietą, która wie, czego chce i potrafi działać zależnie od sytuacji.

– Bo im na to pozwalamy! – oświadczyła gniewnie. – W Wielkopolsce Polacy zakładają znakomicie prosperujące spółki handlowe.

– Na razie mamy powstanie... – odparł pan Bochniak.

Nina spojrzała na niego i obdarzyła go słodkim uśmiechem, lecz jej wzrok był twardy i zdecydowany.

– Wojna to najlepszy czas na interesy, jak mnie nauczał nasz kochany faktor Josel. Dawno już u nas nie był, prawda? Nie ma wątpliwości, że wojsko kupi każdą ilość żywności. Nawet nie musimy ryzykować dowozu, bo sami po nią przyjadą.

Pan Bochniak zbladł i miał taką minę, jakby ujrzał w jasny dzień upiora.

– Jakie wojsko?... – wybełkotał.

– Moskale! Nasi z reguły nie płacą gotówką, lecz kwitami, niemającymi żadnej wartości.

– Maryjo Święta! – stęknął biedny rządca, otwierając szeroko oczy. – Pani hrabina sprzedałaby zboże Moskalom?

– A co? – Popatrzyła na niego wyzywająco. – Mam czekać, aż sami je zabiorą? Kochany panie Bochniak, bądźmy realistami! Okradli nas zimą,

więc niech teraz zapłacą nam za poniesione straty. Z pewnością uzyskamy dobre ceny.

Rządca aż się zatchnął z wrażenia i milczał, w oszołomieniu patrząc na hrabinę.

– Nie, ja nie mogę tego słuchać... – zaczął uroczyście, podnosząc się z krzesła. – Pan hrabia... – Przełknął ślinę. – Pan hrabia walczy z Moskalami i...

– Niech pan siada! On walczy, a my musimy zarobić na pomoc dla jego oddziału i podatki! – ucięła ostro. – Pan hrabia nie musi o wszystkim wiedzieć. Panie Bochniak, na naszych oczach Maków diabli biorą. Ja rozumiem, że mój pomysł wydaje się panu niemoralny i nie do przyjęcia, ale, panie Bochniak... – Zajrzała mu głęboko w oczy. – Oboje kochamy Maków i musimy wybrać mniejsze zło. Majątek powinien na siebie zarabiać, prawda? Bogu dzięki, mamy już dochody z cegielni, bo ludzie odbudowują zniszczenia. W przeciwnym razie byłoby z nami krucho, gdyż nie mamy dostępu do pieniędzy w banku. Żeby uspokoić pańskie sumienie, za uzyskane od Moskali pieniądze opłacimy podatek rządowi powstańczemu, nawet do końca roku!

Na jej dziecinnej jeszcze twarzyczce pojawił się szelmowski uśmiech, a pan Bochniak pomyślał z czułością, że Żydzi mieliby z niej prawdziwą pociechę.

Pewnego wieczoru przed pałac zajechała bryczka i wysiadło z niej dwóch skromnie ubranych mężczyzn. Wszystkie panie siedziały w jadalni, zajęte przepisywaniem instrukcji dla walczących oddziałów. Walenty celowo guzdrał się przy drzwiach, kilkakrotnie pytając, kogo ma zameldować jaśnie pani hrabinie. Paweł w tym czasie pobiegł zawiadomić Ninę o przybyciu niezapowiedzianych gości. Obawiając się rewizji, w popłochu chowano papiery. Alarm okazał się niepotrzebny, bo nieznajomi byli członkami żandarmerii narodowej i prowadzili śledztwo w sprawie ostatnich aresztowań rodzin powstańców. Konfident w końcu został wykryty i zlikwidowany...

Z największym zdumieniem dowiedziano się, że donosicielem był rządca z Ciążyn, wydalony z pracy przez Zosię. Mścił się za to, denuncjując osoby, które miały nieszczęście mu się narazić. Stary pan Siekielski, przyłapawszy

go na kradzieży zboża ze spichlerza, przeciągnął go laską po grzbiecie i skłął od szubrawców. Pani Starzewska nie przyjęła go do pracy w swoim majątku, a pan Jabłocki publicznie nazwał go złodziejem. Rządca zapamiętał sobie te zniewagi.

W carskiej policji pracowało wielu ludzi oddanych całym sercem Rządowi Narodowemu. Do władz podziemnych prędko wpłynął meldunek o donosie, a kiedy do Radomia przybył rządca, zgłaszając się do żandarmerii po nagrodę, był już śledzony. Po powrocie do domu zastał w nim kilku zamaskowanych mężczyzn, którzy poradzili mu uprzejmie, żeby dobrowolnie przeniósł się na drugi świat. Ponieważ zdrajca się opierał i próbował uciekać, został przez powstańczą policję powieszony na strychu. Wprawdzie jego śmierć nie wróciła życia panu Siekielskiemu, ale ludzie lżej odetchnęli, pozbywszy się konfidenta.

Nina dowiedziała się również od jednego z żandarmów, że władze podziemne rozpatrzyły sprawę nocnej masakry w chłopskiej osadzie i uznawszy winę za bezsporną, wysłały tam karną ekspedycję, która zdrajców powiesiła, a osadę spaliła. Pan Syrwin, Kacper i wielu innych powstańców zostali pomszczeni. Nina podziękowała, czując w głębi serca mściwą radość.

Po łagodnej zimie i wczesnej wiosnie maj był bardzo upalny, choć raz po raz przyroda wyładowywała się potężnymi burzami. Ludzie dziękowali Bogu za wspaniałe zapowiadające się plony, a zbiór owoców miał być jesienią ogromny. 9 maja, w dzień świętego Grzegorza, proboszcz obchodził swoje siedemdziesiąte piąte urodziny, starym obyczajem świętując zarazem i imieniny. Poprzedniego dnia Nina wysłała na plebanię kosze z winem, wędlinami i nowalijkami ze szklarni oraz tort maślany. Nazajutrz przypadała niedziela i wszystkie damy przybyły do Sarnik na nabożeństwo.

Msza była bardzo uroczysta. Nina grała na organach, akompaniując śpiewającej Jadwidze Wąsockiej. Na imieninowym przyjęciu gości było niewiele, sami najbliżsi sąsiedzi. Proboszcz odczytał na głos podziemną gazetkę „Wiadomości z Pola Bitwy”. Donoszono, że władze carskie gorączkowo poszukują siedziby Rządu Narodowego, przekonane, iż władze podziemne mają swą siedzibę w stolicy. Stąd płynęły rozkazy do

walczących oddziałów i powstańczych władz administracyjnych. Fakt ten doprowadzał urzędników carskich służb specjalnych do białej gorączki. Lecz pomimo masowych aresztowań, terroru i stosowanych w śledztwie tortur nie trafiono na żaden ślad.

Pomiędzy gośćmi proboszcza znajdował się młody mężczyzna, ranny w bitwie pod Kobylanką. Miało to miejsce 1 i 6 maja, a bitwa stała się nowym sukcesem generała Jeziorańskiego. Młode damy obsiadły rannego powstańca, dopytując o partię pułkownika Czachowskiego, ale mężczyzna wiedział tylko, iż pułkownik stoczył 22 kwietnia bitwę pod Stefankowem, wycinając Moskali niemal do nogi. Panie wzruszyły się do łez opowieścią o śmierci kapitana Stanisława „Grzmota” Dobrogoyskiego, który ciężko ranny, umierając, umoczył fotografię narzeczonej we własnej krwi i poprosił kolegów, aby oddali jej tę ostatnią pamiątkę.

Nikt jednak nie słyszał o losach oddziału Aleksa. Nina, a także pani Salomea i Emilka zaczęły się bardzo niepokoić. Nawet Dorota Biecka, pomimo urazy żywionej do męża, niecierpliwie oczekiwała wiadomości i nie zamierzała towarzyszyć matce w wyprawie do bezpiecznej Galicji.

Przyjęcie na plebanii nie trwało długo, bowiem solenizant nie czuł się dobrze, umęczony upałem, i pragnął odpocząć. Nina zaprosiła na obiad Zosię, samotną po śmierci teścia. Wypadało zaprosić również i Dorotę, lecz ona odmówiła.

– *Maman* szykuje się do wyjazdu – oznajmiła sztywno – i nie chcę pozostawić jej cały dzień samej.

Nina przyjęła jej odmowę z zadowoleniem, ponieważ w obecności pani Bieckiej wszyscy czuliby się jak zamknięci w lodowni.

– Biedna ta Dora – westchnęła Zosia ze współczuciem, kiedy już siedziały w powozie. – Pan Jabłocki w Galicji, Kazio gdzieś daleko, a teraz pani Jabłocka wyjeżdża do Krakowa. Dora pozostanie w domu sama.

– Trusiu, nie lituj się nad nią. Ona nie zasługuje na współczucie. Dla mnie Dorota jest tak antypatyczna, że niekiedy rozgrzeszam Kazia, szukającego sobie rozrywki poza domem. – Nina wyjęła z torebki wachlarz i zaczęła się nim chłodzić, bo powietrze było tego dnia parne jak w pralni.

– Próbujesz być bardziej surowa, niż jesteś. – Zosia uśmiechnęła się do niej. – To nieszczęśliwa dziewczyna, ale i w niej jest coś dobrego, bo nawet obraziła się na ojca, kiedy ten obił Kazia laską.

– A powinna mężowi dołożyć pantoflem za ten sfalszowany weksel! I przeprosić ojca, bo to z jej winy pan Jabłocki poniósł szkodę – mruknęła Nina. – Wiedziała, kogo bierze. Ufff, jak gorąco! – Rozejrzała się po niebie, nasuwając bardziej na czoło szeroki słomkowy kapelusz. – Zobaczcie panie, jakie od południa zbierają się czarne chmury. Z pewnością będzie burza.

– Masz rację, kochanie. Jest ogromnie duszno, zaledwie mogę złapać oddech – poskarżyła się pani Salomea, wachając sole.

– Szkoda, że nie zajrzałyśmy do wujostwa Borutyńskich – odezwała się Emilka, ocierając spoconą twarz. – Nie byli na mszy ani na przyjęciu.

– Może wuj Ksawery poczuł się gorzej? – Nina obserwowała zatroskanym wzrokiem zwały ciemnych obłoków. – Ten upał mógł mu zaszkodzić. Pani wojewodzina również zaniemogła po spotkaniu z tym niegodziwym Starewiczem. Jutro zamierzam wybrać się do Lipieńca. Po drodze wstąpię także do Sarnik. – Przerwała, bo synek Zosi zaczął popłakiwać.

Powietrze uczyniło się tak ciężkie i gęste, że według powiedzenia pani Salomei można je było kroić nożem. Z południa napływało coraz więcej chmur, zajmujących ogromny obszar nieba. Pomiedzy granatowymi zwalami tworzyły się szpary, przez które przeświecało słońce. Blaski i cienie podobne były do ogromnej szachownicy – jaskrawego światła i sinawego półmroku.

– Nie podoba mi się to niebo – powiedziała Nina z obawą. – Bardzo mi się nie podoba... Oj, żeby tylko pastuchy zdążyli spędzić bydło z pastwisk przed burzą.

– Pamiętam – odezwała się pani Salomea półgłosem, żeby nie zbudzić drzemiącego synka Zosi – kiedy mieszkaliśmy jeszcze na Podolu, pewnego lata zjawiała się szarańcza. Spadła przed samymi zbiorami. To było prawdziwe nieszczęście, bo po szarańczy pozostała tylko goła ziemia, bez skrawka zieleni.

– Na szczęście szarańcza nam nie zagraża – powiedziała Emilka, troskliwie chłodząc teściową wachlarzem.

W milczeniu dojechały do Makowa. Gdy wysiadały z powozu, chmury znajdowały się już nad szczytami gór i płynęły chyżym lotem w stronę pałacu. Nad Łysicą utworzyła się ogromna czapa z kłębiących się obłoków. Zerwał się wiatr, lecz nie przyniósł ochłody, dmąc rozpalonym powietrzem

jak z gigantycznego paleniska. Stada ptactwa krążyły niespokojnie w powietrzu, zbliżając się do domostw i opadając na dachy, jakby pragnęły schronić się przed nadciągającą nawałnicą.

Przy obiedzie nikt nie miał apetytu. Po posiłku damy przeszły do malinowego salonu. Pani Salomea na prośbę Niny położyła się na jedwabnej reklamierce²⁵, pielęgnowana przez Emilkę. Nikomu nie chciało się nawet wyjść do parku, bo w wielkich salach pałacu było nieco chłodniej niż pod drzewami. Nina i Zosia usiadły przy drzwiach na taras, skąd roztaczał się przepiękny widok na ogród różany i staw oraz zieloną gęstwinę drzew. Nina miała na sobie białą muślinową suknię w drobne niebieskie kwiateczki, z dużym dekoltem i króciutkimi rękawkami. Pozostałe panie były równie lekko ubrane, mimo to pocily się jak w łaźni. Zosia wstała i zaczęła spacerować po sali, kołysząc w ramionach synka. Dziecko obudziło się i zaczęło bez powodu grymasić i popłakiwać żałośnie. Nina przypatrywała się chłopcu, nie mogąc się nadziwić, że z brzydkiego niemowlęcia wyrósł na tak ślicznego malca. Po matce wziął delikatną cerę i złociste loczki, po ojcu odziedziczył duże piwne oczy, ocienione długimi rzęsami. Nina nigdy za dziećmi nie przepadała, lecz z małym Stefankiem, swoim chrzestnym synem, bawiła się często i bardzo go kochała. Patrząc na niego, zawsze z bólem wspominała zmarłego synka i miała do losu ogromny żal, że zabrał jej Olesia, pozostawiając niekochaną córkę. Spojrzała na wielki portret przedstawiający matkę Aleksa z synem. Jej złote włosy spływały w długich lokach na ramiona, a bursztynowe oczy zasnutę były smutkiem. Aleks swoją urodę zawdzięczał matce, bo jego ojciec miał chłodną, nieciekawą, typowo anglosaską fizjonomię.

O piątej wszedł Walenty, nakrywając do podwieczorku. Pokojówki wniosły na tacach tort lodowy, kryształową wazę z orszadą pełną kawałków lodu i inspektowe truskawki ze śmietaną. Tymczasem wiatr się wzmaczał i szeroko otwarte okna zaczęły trzaskać. Pokojówki rozbiegły się po pałacu, szczelnie zamykając drzwi i okna. W domu uczyniło się jeszcze duszniej. Nina wzięła dziecko z ramion Zosi i posadziwszy je sobie na kolanach, dawała mu po odrobinie lody, a chłopiec zajadał je ze smakiem, obdarzając ją słodkimi uśmiechami.

– Ten powstaniec od Jeziorańskiego wspominał, że w lazaretach i szpitalach wszystkie miejsca są zajęte, tymczasem codziennie dowożeni są nowi ranni. – Zosia wyciągnęła się wygodnie w głębokim fotelu i

korzystając z okazji, że w pokoju znajdowały się same damy, odważyła się podnieść nieco spódnicę, aby ochłodzić spocone nogi. – Stasia i Jadwiga pracują w bodzentyńskim szpitalu całymi dniami, bo lekarz nie może już podołać obowiązkom. Zaczyna brakować medyków, bo Moskale mordują ich na polu bitwy w czasie udzielania pomocy rannym.

– Również na Litwie robi się coraz tragiczniej – odezwała się Emilka, zawsze najlepiej poinformowana. – W Inflantach, gdzie walczył pan hrabia Plater, chłopstwo rzuciło się na dwory i zabija polską szlachtę. Początek rzezi dali starowiercy, za ich przykładem poszli Łotysze.

– A moja szwagierka pisze mi z Galicji, że władze austriackie wcielają siłą do wojska osoby niepewne politycznie i zamierzają wysłać je do Meksyku, gdzie cesarzem ma zostać arcyksiążę Maksymilian²⁶ – oznajmiła Zosia.

– Nikt nie ma dla nas litości – westchnęła Nina, lecz natychmiast zapomniała o polityce i posłała Pawła, żeby sprawdził, czy bydło znajduje się już w oborze, a stado w stajni.

– A słyszałyście, moje panie... – zaczęła pani Salomea i naraz krzyknęła wniebogłoso, zasłaniając dłońmi uszy. – Jezus Maria!

Przeraźliwie jaskrawa błyskawica rozdarła ciemne obłoki i rozległ się huk tak potężny, że cały pałac zatrzęsł się w posadach. Kryształowe sople żyrandola zadzwoniły, a z sufitu spadła pacyna tynku. Za oknami zrobiło się zupełnie ciemno i rozpętała się burza, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali. Salon co chwilę rozjaśniał upiorny błysk, a po nim następował huk. Szaleństwo błyskawic i ryku gromów zmieszało się z szumem ulewy łomoczącej o dach pałacu i bulgocącej w rynnach. Wszyscy domownicy zgromadzili się w malinowym salonie, siedząc w milczeniu i kuląc się przy łośkocie piorunów, bijących w parkowe drzewa. Wystraszone psy przybiegły do ludzi i tuliły się do ich nóg, koty wlażyły pod kanapy i nie ważyły się stamtąd wyrzeć. Walenty zapalił gromnicę i postawił ją w oknie. Jaga przyniosła wizerunek Matki Boskiej i na kłamce okiennej powiesiła różaniec.

– Kumosiu, trzeba przynieść dzwonek loretański – powiedziała, wpatrując się z przerażeniem w okno. – Ale kto wyjdzie na zewnątrz w taką burzę?

– Może ja? – zgłosiła się Emilka. – Nie boję się piorunów.

– Nie, to musi być niewinna panienka albo mała dziewczynka – oświadczyła stanowczo Jaga. – Kumosiu, proszę wyszukać jakąś pobożną

dziewczyne.

Zanim Kumosia ruszyła się z miejsca, zirytowana Nina zerwała się z fotela.

– Nie pozwalam! – zawołała rozkazująco. – Niech nikt nie waży się wychodzić z domu. To przecież tylko niemądry zabobon. Piorun może zwalić drzewo i zabić człowieka. Burza jak przyszła, tak przejdzie.

Jednakże burza wcale nie zamierzała odchodzić i srożyła się nad Makowem. Czarnymi chmurami wisiała nad szczytami gór, nad lasami i polami, a z kłębowiska obłoków raz po raz spływał straszliwy zygzak, wybuchając ogłuszającym grzmotem. Ogarniętą mrokiem ziemię zlewały nadlatujące z wichrem fale deszczu. Po dachu zaczął bębnić grad i taras pokrył się szklistymi kulkami lodu wielkości orzecha włoskiego. Niektóre szyby nie wytrzymały lodowej kanonady i pękały z głośnym brzękiem. Potężne drzewa chwiały się i łamały jak zapałki pod naporem huraganu. Gdzieś na górze nieznośnie trzaskało wyłamane okno. Przez szczeliny w drzwiach na taras zaczęła wlewać się woda i po chwili ciekła już po posadzce, mocząc perskie dywany. Za każdym uderzeniem pioruna rozlegał się zgodny chór głosów: „A słowo stało się ciałem i mieszkało między nami” – potem zapadała cisza i oczekiwanie na następny grzmot.

Szum wiatru wzrastał się z minuty na minutę i zgromadzonym w salonie ludziom zdawało się, że za oknami szaleje wzburzone morze. W ściany pałacu były połamane gałęzie drzew niesione wichurą. Taras zasypany był wielkimi konarami i powyrywanych krzewami. Wycie wiatru nasiliło się i przeszło w jednostajny gwizd. Godziny płynęły wolno, a szaleństwo żywiołów trwało. Pani Salomea drżącym głosem zaintonowała psalm Jana Kochanowskiego:

– *Kto się w opiekę odda Panu swemu i całym sercem szczerze ufa Jemu. Śmiało rzec może, mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.*

Obecni w salonie domownicy podchwycili pieśń, starając się śpiewem zagłuszyć przerażenie. Naraz dom stanął cały w fioletowym ogniu i rozległ się łoskot tak straszny, jak potężna eksplozja. Świece powypadały z kandelabrow, a wielki zyrandol zakołysał się niebezpiecznie, grożąc zerwaniem się i runięciem. Dom zatrzęsł się aż po fundamenty. Kobiety zaczęły krzyczeć i głośno odmawiać pacierze. Pani Salomea o mało nie

spadła z kanapki, a synek Zosi posiniał ze strachu, kurczowo trzymając się szyi matki.

– Maryjo Najświętsza, stodoła się pali! – wrzasnęła Nina, podbiegając do okna. – Nie wychodzić! – rozkazała, widząc, że młodszy lokaj zamierza pójść do pożaru. – Jeżeli taka ulewa nie ugasi ognia, to i my nie ugasimy go wiadrami.

Wielka stodoła, widoczna pomiędzy ściętymi pod naporem wichury drzewami, pełna świeżego siana, stała w ogniu. Tego roku sianokosy były wczesne, bo już w marcu zieleńły się trawy. Prócz siana w stodole znajdowały się narzędzia rolnicze i zboże przeznaczone do zmielenia na mąkę.

– Pan Bóg najwidoczniej uznał, że mieliśmy za mało strat i zmartwień – wycedziła Nina przez zaciśnięte zęby.

Z rozmachem siadła przy Zosi, odwracając się plecami do okna, by nie patrzeć na pożar. Nie bała się burzy, ale cały czas rozmyślała z rozpaczą o stratach, które huragan musiał wyrządzić we wspaniale zapowiadających się zbiorach.

– Ninetko, nie martw się, kochanie. Jakby ci czegoś zabrakło, to przecież ja zawsze cię wspomogę – powiedziała Zosia, jednocześnie uspokajając spazmującego ze strachu synka.

– O ile huragan uprzejmie ominie Brzezinię – mruknęła ze złością Nina, lecz zaraz się opamiętała i ucałowała przyjaciółkę w policzek.

Siedzieli bezradnie, wsłuchując się w wycie wichury i szum deszczu. Dopiero pod wieczór chmury się rozeszły, nawałnica przetoczyła się gdzieś dalej, a nad Makowem ukazała się barwna tęcza. Lekkie obłoczki złociły się w promieniach zachodzącego słońca. Powietrze, oczyszczone z kurzu, było balsamicznie świeże i przezroczyste. Nina natychmiast wyruszyła z domu, chcąc ocenić szkody wyrządzone przez burzę. Szły z nią wszystkie panie, w tym Zosia, obawiająca się jeszcze wracać do domu. Za nimi postępowała wystraszona służba, z wiadrami i szmatami do wycierania wody.

Spaloną stodołę Nina postanowiła obejrzeć później, zresztą pożar ugasiła ulewa. Najważniejszy był pałac. Unosząc wysoko krynolinę, aby się nie zamoczyła, i ukazując pianę koronkowych falban, kroczyła prędko korytarzami, omijając kałuże. Po drewnianych schodach wdrapała się na strych, rozpoczynając przegląd od szczytu pałacu. Okazało się, że burza

poważnie uszkodziła dach, bo wysoki modrzew stojący przy ścianie domu, złamany w pół przez huragan, runął na dach, łamiąc dwie krokwie i zrzucając dachówki. Przez wielką dziurę lały się do wnętrza strumienie wody, zalewając sufity w wielkim salonie i w sali balowej. Nina z trudem powstrzymała wybuch płaczu, ujrawszy strumyki brudnej wody ściekające po białym jedwabiu, którym wybite były ściany sali balowej, i po haftowanym złotem kremowym adamaszku w wielkim salonie. Ucierpiały także przepiękne malowidła *al fresco* wykonane na sufitach przez sławnego malarza Zygmunta Vogla²⁷.

„Słodki Jezu, skąd ja wezmę pieniądze na doprowadzenie domu do porządku?” – rozmyślała Nina, przechodząc z pokoju do pokoju, zupełnie zdruzgotana mnożącymi się uszkodzeniami. Każdą zapisywała w podręcznym notesiku, postanawiając już następnego dnia przystąpić do naprawy zniszczeń. Krocząc długim korytarzem w starej części domu, zamierzała przejść obok saloniku kasztelana, nie wchodząc tam wcale. Nie miała najmniejszej ochoty oglądać portretu Pauli.

– O Boże! – rozległ się rozpaczliwy okrzyk pani ochmistrzyni. – Pani hrabino, proszę spojrzeć, ile wody wypływa z tego pokoju. Cały dywan zamoczony. Trzeba go zdjąć i wysuszyć.

Dobra gospodyni zwyciężyła w Ninie strach. Zdecydowała się zajrzeć do saloniku. Kiedy otworzyła drzwi, ze wszystkich piersi wyrwał się głośny okrzyk. Pokój wyglądał wprost przerażająco. Wichura wtargnęła do wnętrza, wyrywając okno, które runęło do pokoju, rozbijając śliczny stoliczek do szachów, inkrustowany kością słoniową i złotym brązem. Na posadzce i mokrym dywanie leżały resztki potłuczonych szyb i skorupy rozbitych porcelanowych bibelotów. Jednakże najstraszniej, po prostu upiornie, wyglądała ściana z wiszącym na niej portretem. Od sufitu do samej podłogi pokryta była plamami krwi rannego ptaka, który wleciawszy do pokoju przez rozbite okno, obijał się o ściany, aż wykrwawiony padł martwy na dywan. Było to zdarzenie zupełnie naturalne i w innym miejscu nie zrobiłoby na Ninie wielkiego wrażenia, ale w saloniku z portretem tej strasznej kobiety rzecz nabierała ponurego znaczenia. Całe wydarzenie miało cechy jakiejś złowieszczej wróżby. Biała suknia Pauli pokryta była plamami świeżej krwi. Brunatne ślady znaczyły jej twarz, przez co uśmiech i spojrzenie ognistych oczu miały demoniczny wyraz, sprawiając na widzach niesamowite wrażenie.

Nina podeszła do obrazu i wpatrzyła się w jaśniejące tajemniczym blaskiem oczy Pauli. Czerwona plama na jej ustach nadawała jej pozór wampirzycy powracającej do grobu po krwawej uczcie. Na moment Nina uległa złudzeniu, że znajduje się w różanej altanie i widzi przed sobą leżące w kałużach krwi trupy hrabiny i Żabca. To przywidzenie było dla niej tak potężnym wstrząsem, iż doznała wrażenia, że dokoła niej zapada ciemność, i zemdlona upadła na mokrą posadzkę.

[23](#) Marcin Borelowski, pseudonim „Lelewel“ (1829–1863) – rzemieślnik, naczelnik wojenny województw podlaskiego i lubelskiego.

[24](#) Francesco Nullo (1826–1863) – Włoch, pułkownik, wraz z oddziałem garybaldczyków brał udział w powstaniu styczniowym. Poległ w bitwie pod Krzykawką.

[25](#) Szezlony z dwoma wysokimi oparciami na krótszych bokach. Nazwa pochodzi od nazwiska Juliette Récamier (1777–1849) – znanej z piękności żony bankiera paryskiego. Wywierała ona wpływ na życie polityczne i literackie. Sportretowana na kanapce, która jej zawdzięcza swą nazwę.

[26](#) Maksymilian Ferdynand Józef (1832–1867) – od 1864 roku cesarz Meksyku. Brat cesarza Austrii, Franciszka Józefa, rozstrzelany przez rebeliantów w Querétaro w Meksyku.

[27](#) Zygmunt Vogel (1764–1826) – zwany „Ptaszek“; polski akwarelista i rysownik. Specjalizował się w widokach miast, zamków i ruin.

Zniszczenia poczynione przez burzę były wprost katastrofalne! W samym domu wichura porozbijała wiele okien i załała pokoje. Należało pomalować sufity i wyprać obicia na ścianach. Najpilniejszą sprawą była naprawa zrujnowanego dachu, żeby zabezpieczyć pałac przed następnym deszczem. Wiele cennych rzeczy uległo zniszczeniu, ale szkody poczynione w pałacu były niczym wobec zniszczeń, które nawałnica poczyniła na polach i we wsi. Huragan zaskoczył pastuchów pasących bydło i gęsi. Zanim zdążyli przygnać inwentarz do wsi, rozpętało się piekło. Kilkoro dzieci schroniło się pod wielką lipą, w którą uderzył piorun. Wszystkie zginęły. Niektóre chaty we wsi wichura po prostu rozniosła, pozostawiając jedynie podmurówki. Dwa domy od uderzenia pioruna spłonęły wraz z zabudowaniami gospodarczymi. Zginęło wiele bydła, bo płytka i zwykle niewinna rzeczka naraz zamieniła się w potworny mulisty wał wodny, wystąpiła z brzegów i runęła jak taran, niszcząc wszystko na swojej drodze. Spłonęło pół włóki lasu; na szczęście ulewa ugasiła pożar. Wszystkie zasiewy na polach i w ogrodach zostały zniszczone, drzewa w sadach częściowo połamane. To była straszliwa klęska, a jej rozmiarów nikt jeszcze nie zdołał ogarnąć.

Nina, powróciwszy do przytomności, nie położyła się do łóżka, bagatelizując prośby Jagi. Razem z kompletnie załamany panem Bochniakem udała się do wsi i chodząc od domu do domu, z zaciśniętymi ustami oglądała zniszczenia i zapisywała je w notesie. Na progach zrujnowanych domostw siedzieli gospodarze, wpatrując się przed siebie nieruchomym wzrokiem. W ciągu kilku godzin stali się nędzarzami, tracąc dobytek osiągnięty pracą całych pokoleń. Z niektórych chat rozlegały się przeraźliwe krzyki kobiet oplakujących zabitych. Rozpaczały za utraconymi dziećmi lub krewnymi, jednocześnie oplakując potopione bydło stanowiące podstawę ich bytu. Zniszczone zbiory zapowiadały głód.

Na widok nadchodzącej dziedziczki chłopci wstawali i bez słowa podejmowali ją pod nogi. O nic nie prosili, ogłuszeni spadłym na nich nieszczęściem. Idąc przez swoją wieś, Nina z każdą chwilą robiła się coraz bledsza i często wachała flakonik z solami. Pan Bochniak patrzył na nią z ogromnym współczuciem. Na jej słabe dziewczęce barki waliły się ciężary ponad siły dorosłego mocnego mężczyzny. Wydawała mu się dzieckiem, i to dzieckiem bardzo przerażonym groźną rzeczywistością. Wieś, zubożała na skutek najazdu Czengierego, teraz otrzymała prawie śmiertelny cios.

– Pani hrabino, proszę wrócić do domu – zaproponował półgłosem. – Ja sam sprawdzę, co tu jest do zrobienia.

– Nie – powiedziała z nieustępliwą miną. – To moje ziemie i moi ludzie, nie pozostawię ich samym sobie. Teraz potrzebują mojej pomocy i pociechy.

Na środku wsi przyłączył się do nich załamany wójt, bo w czasie burzy lipa zabiła mu wnuczkę. Nina szła razem z nim pod błękitnym wieczornym niebem, w promieniach słońca zagładającego do ruin zwałonych domów. Przyszedł jej na myśl portret Pauli, pokryty świeżą krwią, i nawiedziło ją dziwne przeczucie, że pomimo upływu czasu zagadka tej tajemniczej zbrodni wcale się nie wyjaśniła. Wprost przeciwnie – to był dopiero początek dramatu! Ta myśl przejęła ją lodowatym dreszczem.

– O Jezusie! – lamentował zrozpaczony wójt. – Ostatnia godzina na nas przyszła. Pozdychamy z głodu. Pola zniszczone, chaty poburzone, bydło potopione. Nawet dzieciaków ta przekłeta, czartowska wichura nie oszczędziła.

– Panie wójcie, niech pan nie upada na duchu – odezwała się Nina tak niezachwianie pewnym głosem, że stary gospodarz spojrział na nią zdumiony. – Zabitym życia nie wrócimy, trzeba myśleć o żywych. Zamiast siedzieć i dumać, od jutra bierzcie się do roboty. Weźcie siekiery, jedźcie do lasu i tnijcie drzewa na nowe domy. Z pewnością wiele drzew jest połamanych, zabierzcie je sobie. Z cegielni dostaniecie wapno i cegły, tartak przytnie wam drewno na deski. Wieś będzie piękniejsza niż była! Znajdzie się bydło i żywność dla uboższych. Nie jesteście sami. Chodźcie, wstąpimy do Pietrzykowej.

W izbie domu stojącego pośrodku połamanego sadu leżały na stole zwłoki dwojga dzieci, przykryte płótnem. Był to pięcioletni chłopiec i niewiele starsza dziewczynka. Przy zwłokach palił się smrodliwy kaganek, zaś w całej izbie panował ciężki, trudny do zniesienia zaduch. Kilka wielkich błękitnych much, zwabionych mdlącym odorem, brzęcząc monotennie, krążyło nad ciałami. Łaziły także po leżącym w kolebce niemowlęciu.

– Pietrzykowa, dlaczego zwłoki leżą w izbie?! – zawołała Nina, wzdrygając się z odrazą.

– A gdzie je położę? Przecie to moje dzieci... – odpowiedziała siedząca na podłodze kobieta ochrypłym, skrzekliwym głosem. Podniosła na

dziedziczkę oczy, szkliste i przekrwione na skutek przelanych łez, i nie ruszyła się z miejsca.

Nina, ogarnięta głęboką litością, podeszła do niej i pogładziła ją po tłustych, skołtunionych włosach. Kobieta kurczowo objęła ją za nogi, tuląc się do jej kolan. Drżała jak w ataku febry i zachłystywała się strasznym, beznadziejnym szlochem.

– Ratuj nas, jasna pani, łaski, bo już ino ten sznur na szyję albo do stawu skoczę! Pobiło mi dzieci, potopiło całą gadzinę, rozmyło pole, że nawet nie dojrzeć, co gdzie było posadzone! Jezu, mój ty Jezu! – wyła, zanosząc się od płaczu.

Puściła nogi Niny i chwyciwszy się za włosy, zaczęła walić głową o ścianę.

– Nawet na pochówek nie mam grosza i sama, bez księdza, zakopię dzieci w ziemi. O Maryjo Święta, ostatnia przyszła na nas godzina, wszyscy poginiemy, bo Pan Bóg nas pokarał za grzechy nasze. Moje dzieci! Bartoszek i Kachna! Jezu, chyba mi serce pęknie! Łeb se o te ścianę rozbiję i niech już raz koniec będzie. Krowinę taką mleczną miałam! Masło robiłam, sery, było co na targu sprzedać. Cielaczka tera miała i woda zabrała ich razem. O moja Krzywula kochana, żywicielko serdeczna! A czymże ja tera dzieciaka nakarmię, kiej ni mam w piersiach mlika? I tego synka Pan Bóg mi zabierze!

Kobieta mówiła, krzyczała, wyrywała sobie włosy z głowy i znowu obejmowała nogi Niny, podnosząc ku niej twarz, obrzękłą, czerwoną i wykrzywioną spazmem rozpaczy. Potem znowu zaczynała wyc, rzucała się na ziemię i biła głową o ścianę. Nina miała wrażenie, że serce podchodzi jej do gardła i zaraz zemdleje. Spojrzała na sine stopy dzieci wystające spod płótna i naraz przypomniał się jej zmarły synek. Cały ból i żal powróciły, ogarniając ją jak wichur. Upadła na kolana i objąwszy szlochającą kobietę, płakała razem z nią, nie wstydząc się łez. Gładziła ją po twarzy i włosach, całując i pocieszając. Ta nieszczęsna matka była jej w tej chwili tak bliska, jak rodzona siostra.

– Dopraszam się zmiłowania, jasna pani... – chrypiała coraz ciszej Pietrzykowa, osuwając się bez sił na ziemię.

– Pomóżcie mi ją podnieść – rzekła Nina, wstając.

Wójt z panem Bochniakiem położyli współprzytomną kobietę na łóżku. Nina usiadła przy niej, cucąc ją solami i wodą. Pietrzykowa otworzyła oczy

i oprzytomniała.

– A gdzie wasz mąż? – spytała Nina, zauważywszy, że kobieta poczuła się nieco lepiej.

– Wojtek pojechał do Tarczka, żeby jutro na jarmarku bysiała kupić – odpowiedziała Pietrzykowa, wpadając w apatię. – Jak wróci, zarąbie mnie siekierą, a niech ta!

– Za co? – zdenerwowała się Nina. – Nie jesteście niczemu winna. Pamiętajcie, że macie synka. Pietrzykowie nie zginą. Jesteście jeszcze młoda i Pan Bóg da, że powoli rany się zablżnią. Nie tylko wam stała się krzywda, bo cała wieś zrujnowana. Ale poradzimy sobie. Nie płaczcie, ja wam pomogę. – Była już opanowana i pełna energii. – O pochówek dzieci nie musicie się martwić. Wszyscy zabici zostaną godnie pogrzebani. Z księdzem, na koszt dworu. Zaraz będzie wieczorny udój, każę wam przysłać mleka dla dziecka i co tam trzeba do jedzenia. Na szczęście macie dach nad głową. Panie wójcie, niech ktoś wyniesie te biedne dzieci do stodoły, bo muchy po nich łożą i zaraza gotowa.

Prędko wyszła z izby, bo wydało się jej, że za moment sama usiądzie na podłodze i zacznie krzyczeć. Chodziła po wsi do zmroku, zastanawiając się, jak zdoła pomóc nieszczęśliwym ludziom, kiedy sama jest w potrzebie. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkała się z podobną klęską i nigdy nie czuła tak mocnej więzi ze swoimi ludźmi, zdając sobie sprawę z ciężącej na niej odpowiedzialności. Obawiała się, że burza nie ominęła innych folwarków należących do Makowa. Może i tam straty są znaczne. Jednego była zupełnie pewna – nie pozostawi ludzi na łasce losu, bo mąż wyparłby się jej, a ona gardziłaby sobą.

Wieś była w opłakanym stanie, lecz dworskie pola nie wyglądały lepiej. Pięknie wschodzące zboża zbite ulewą i gradem w jeden kłęb leżały na ziemi przywalone błotem. Ziemiaki zmyło razem z glebą; po rzepaku, cukrowych burakach, zagonach kapusty i lnu pozostały tylko wspomnienia. Utopiło się pięć mlecznych krów, byczek, kilkoro cieląt oraz śliczny mały źrebak po Rexie, zapowiadający się na przepięknego konia.

Żegnając się z wójtem, Nina powiedziała:

– Nie daliśmy się Moskałom, nie damy i burzy. Wspólnie odbudujemy wieś. Panie wójcie, pogadajcie z gospodarzami, wybierzcie delegację i jutro w południe przyjdźcie do pałacu ze spisem szkód. Zobaczmy, co da się zrobić.

W obecności ludzi trzymała się dzielnie, okazując zupełny spokój, ale po powrocie do domu pobiegła do siebie i rzuciwszy się na łóżko, szlochała, przywołując męża, jakby on mógł ją usłyszeć i wspomóc.

Jaga próbowała ją pocieszać, lecz sama była przygnębiona i przerażona.

– Nie płacz, dziecko, łzami klęsce nie zaradzisz – westchnęła z rezygnacją. – Rano jedź do Sarnik i poradź się wuja. Pan Borutyński to dobry gospodarz, nie odmówi ci mądrej rady. Ciotka także ma doświadczenie. Spytaj, co masz robić.

– Sama najlepiej wiem, co mam robić, ale brakuje mi pieniędzy – westchnęła Nina, podnosząc zapłakaną twarz. – No dobrze, pojedę do Sarnik – ustąpiła, nie chcąc robić Jadze przykrości. – Nianiu – szepnęła, rumieniąc się – możesz dziś ze mną spać? Trochę się boję.

– A czego, kotku?

– Wiesz, ta krew na portrecie Pauli... Może to jakiś znak? Alek nie pisze i jestem bardzo niespokojna, bo nie wiem, co się z nim dzieje.

– Dziecko, co ty pleciesz?! – ofuknęła ją niania, chociaż jej samej zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. – To był tylko ranny ptak. Kazałam obraz umyć i już nie ma śladu krwi. A przed spaniem nie zapomnij wziąć bromu.

Nina źle spała tej nocy. Dręczyły ją koszmary i obudziła się o wschodzie słońca. Pośpiesznie zrobiła toaletę i poszła do stajni osiodłać konia. Zamierzała zabrać z sobą Maćka, lecz stajenny powiedział jej, że pojechał z panem rządcą w pole. Wobec tego pojechała do Sarnik sama, pełna nadziei na ratunek. Wuj Borutyński słynął z doskonałego zarządzania majątkiem i będąc wzorowym oraz zapobiegliwym gospodarzem, mógł ją naprawdę wiele nauczyć.

Godzina była wczesna, lecz cała natura już rozbudziła się do życia, wilgotna od rosy, skąpana w blaskach słońca, zdawała się uśmiechać. W mijanej dąbrowie kukała kukułka, pogwizdywały wilgi i kosy, a z głębi zagajnika dochodził podobny do śmiechu wrzask sójek. Jednakże wszędzie znać było ślady burzy. Drzewa były połamane, pełno konarów leżało na ziemi. Pod złamaną sosną Nina dostrzegła zabity sarnę. Wyjechała z lasu na pełną drogę i skręciła w stronę Sarnik. Tam, gdzie jeszcze dwa dni temu zieleniła się bujna ruń zbóż, teraz widniały puste, rozmyte, przeorane do wnętrza ziemi rumowiska. Rzeka naniósł pełno połamanych drzew,

wielkich kamieni wymytych z gleby, a nawet resztki rozwalonych chałup. Zagajnik i grusze polne częściowo zostały połamane lub wyrwane z korzeniami i leżały w poprzek drogi. W długiej alei prowadzącej do dworu huragan połamał kilka pięknych topoli, które leżały nieuprzątnięte.

Dojechała przed sam dwór i zatrzymała się przed gankiem zdumiona, że nikt nie wyszedł jej na powitanie. Ani parobek, ani chłopiec kredensowy czy pokojówka. Na podwórzu panowała cisza i nawet psy przy budach nie szczekały, witając ją tylko machaniem ogonami. Nie było komu przytrzymać jej konia, więc zeskoczywszy z Mignon, przywiązała ją do żelaznego kółka przy ogrodzeniu.

„Co, do licha? – pomyślała zaniepokojona, zaglądając w okna. – Posnęli jak siedmiu braci śpiących?”. W Sarnikach także widoczne były skutki burzy. Stara lipa, pamiętająca czasy króla Jana III, złamana była przy samym korzeniu. Krzak jaśminu, niegdyś przez Ninę tak lubiany, po prostu zniknął, jakby go nigdy nie było.

Weszła do sieni, nie spotykając nikogo, i dotarła do salonu. Tam również nie zobaczyła żywego ducha, więc skierowała się ku prywatnym pokojom wujostwa. Dopiero z sypialni wuja dobiegły ją ściszone głosy. Zapukała i czekała, nie usłyszawszy zaproszenia. Ciche kroki były sygnałem, że nareszcie ktoś ją usłyszał. Drzwi otwarły się bez szelestu i stanęła w nich ciotka Maria, blada, postarzała i zmieniona. Jej piękna twarz zapuchnięta od płaczu i sine obwódki pod oczami przeraziły Ninę. Ciotka wysunęła się z pokoju i cicho zamknęła drzwi.

– Nina? Chodź, moje dziecko, przejdźmy do saloniku – powiedziała zmienionym głosem i poszła przodem.

– Na miłość boską, ciotciu, co tu się stało? – Nina odważyła się spytać, kiedy już usiadły na kanapce.

– Nieszczęście! – zapłakała ciotka, przykładając chusteczkę do oczu. – Ksawunio ciężko chory. O, ja tego nie przeżyję!

Nina nie wątpiła w szczerść tego okrzyku. Ciotkę i wuja po dwudziestu pięciu latach małżeństwa nadal łączyła namiętna miłość. Pomimo upływu lat wujostwo byli sobą zauroczeni jak młoda para. Dawniej często widywała ciotkę i wuja całujących się i nawet w dzień znikających za drzwiami sypialni. Marzyła, żeby ją i Aleksa łączyło takie gorące uczucie i wzajemne zrozumienie.

– O, tak mi przykro, ciociu. – Nina uścisnęła rękę Marii i spojrzała na nią serdecznie. – Czy mogę w czymś pomóc? Co wujowi dolega?

– To paraliż! – jęknęła przez łzy. – Ksawunio nie porusza lewą ręką i nogą. Trudno mu mówić, bełkocze. Boże, tyle nieszczęść naraz. Huragan, a potem choroba...

Ninie opadły ręce. Niepotrzebnie tu przyjechała, bo nikt nie udzieli jej dobrej rady.

– A kiedy wuj zachorował? – spytała, starając się nie okazać zawodu.

– Już w niedzielę był jakiś nieswój. Nawet do kościoła nie pojechaliliśmy. W czasie burzy ukryliśmy się w piwnicach. Kiedy nawałnica przeszła, Ksawery poszedł na pole, a stamtąd już go przynieśli na rękach. Tak się biedaczek przejął zmarnowanymi plonami... – Po policzkach ciotki znowu popłynęły łzy.

Nina patrzyła na nią z litością i pomyślała, że ta złamana nieszczęściem kobieta wcale nie przypominała żadnej władzy, jędzowatej i nieznośnej dawnej ciotki Marii. Zawsze elegancka i zadbana, teraz miała na sobie pomięty szlafrok i rozczochrane włosy. Niegdyś za żadne skarby w takim stanie nie pokazałaby się gościom.

– A co u ciebie w Makowie? – odezwała się ciotka z grzeczności. Przejęta chorobą męża, nie interesowała się niczym innym.

– Jedna ruina. Pałac zniszczony, wieś w połowie zrujnowana. Wiele osób rannych i zabitych. Huragan całą siłą uderzył prosto w mój Maków. – Nina, kompletnie zniechęcona, machnęła dłonią.

Ciotka opuściła głowę na piersi.

– Chyba Bóg zapomniał o nas – szepnęła ponuro.

Nina objęła ją i ucałowała.

– Niechże ciocia nie traci nadziei. Czy był lekarz?

– Posłałam do miasteczka, ale nie wiem, czy zechce przyjechać, bo jest zajęty w szpitalu przy rannych. Ach, Boże, żeby to Jasiek był w pobliżu... To jest lekarz! A ty, moje dziecko, w jakiej sprawie przyjechałaś?

– To już nie ma znaczenia. Niech ciocia będzie dobrej myśli. Gdy tylko wrócę do domu, zaraz poproszę ciocię Salusię, żeby przyjechała i pomogła pielęgnować wuja. Aha, ważna rzecz! Proszę zaraz posłać kogoś do Porajów, bo Emilka wspomniała, że dziś będzie tam przejazdem doktor Łuszczkiewicz z Kielc. To bardzo dobry lekarz i może wujowi pomóc.

– Dziękuję ci, moje kochane dziecko. Zaraz pošlę stajennego z listem.

Nina podniosła się z kanapki i wzięła ze stoliczka rękawice. Nie było sensu siedzieć tu i zabierać ciotce czas. Pani Borutyńska zaczęła ją przeproszać, że nawet nie poczęstowała herbatą, ale Nina tylko przytuliła ciotkę i z ciężkim sercem odjechała.

W drodze powrotnej przypatrywała się kompletnie zniszczonym zasiewom i ptakom krążącym nad jeszcze szeroko rozlaną mulistą rzeką. Musiało tam leżeć potopione bydło, może nawet ludzkie zwłoki, bo w powietrzu unosił się słodkawy odór rozkładającego się mięsa. Trzeba będzie przeszukać cały teren, a szczególnie brzegi Świśliny.

Mignon raz po raz potykała się o kamienie na nierównej, błotnistej drodze. Chrapała, parskała ze wstrętem i podejrzliwie węszyła, czując woń zgnilizny. Nina zatrzymała kłacz przed plebanią, ale proboszcza nie zastała, bo pojechał do konającego. Pozostawiła mu bilecik, prosząc, żeby zechciał w południe przyjechać do Makowa na naradę oraz w sprawie pogrzebu ofiar huraganu. Następnie skierowała kłacz w stronę Lipieńca, sądząc, że mądra i zaradna wojewodzina udzieli jej upragnionej rady, a może nawet pomocy. Ale widocznie od rana prześladował ją pech, bo wprawdzie stara dama przyjęła ją serdecznie, lecz sama obłożnie chora niewiele mogła jej pomóc.

– Jak bóle trochę mi przejdą i wzmocnię się, to postaram się przyjechać do Makowa, ale teraz leżę jak ten kłoc, bezwładna, i niewiele ze mnie pożytku – powiedziała ze smutkiem. – Mój pocziwy rządca, pan Marcinkiewicz, włosy darł z głowy, bo większość zbiorów przepadła. Ach, Boże, nie masz Ty nad nami litości! – Staruszka poprawiła się na poduszkach i baczenie spojrzała na siedzącą w milczeniu Ninę. – No, mówże, dziecko, co tam u ciebie słyhać.

Nina przysiadła na skraju łoża i zaczęła opowiadać, niebawem jednak przerwała, bo głowa staruszki opadła na poduszkę i chora zdawała się drzemać. „Co ja tu robię? – zadała sobie pytanie. – Niepotrzebnie tracę cenny czas i szukam pomocy tam, gdzie mi jej nikt nie udzieli. A w domu czeka na mnie mnóstwo pracy”. Wstała i na palcach skierowała się ku drzwiom, nie chcąc budzić chorej.

– Oleś nie pisał? – odezwała się niespodziewanie wojewodzina, obserwując jej przygnębioną twarz przez szparki niedomkniętych powiek.

Zamiast odpowiedzi Nina przecząco pokręciła głową.

– Tak mi przykro, moje drogie dziecko, że musisz radzić sobie sama – wyszeptwała staruszka z bólem. – Ale wydaje mi się, że mój czas nadchodzi. Mam do ciebie wielką prośbę... Pomów z Jadwigą o tym pierścionku Augusta, bo ja nie mam odwagi spojrzeć jej w oczy. Czuję się bardzo winna i obawiam się, że ten nędznik może zwrócić się do niej listownie i zranić dziewczynę. Boże, czego ja się doczekałam na starość! Zrobisz to, Nino?

– Ja o tym pamiętam, ale Jadwiga razem ze Stasią zajęte są pracą w miejskim lazarecie. Pan Wąsocki weźmie dziś udział w naradzie, więc napisałam jej bilecik, prosząc, żeby przyjechała z ojcem do Makowa.

– Jesteś bardzo dobra, córeczko. Przyślę ci mego pana Marcinkiewicza, żeby pomógł panu Bochniakowi przy szacowaniu strat.

– Dziękuję cioci. Och, strasznie zapowiada się dla mnie ten rok. Alek nie daje znaku życia, Maków zrujnowany, a wuj Ksawery miał groźny atak paraliżu – westchnęła. – Proszę, nie martw się o mnie, muszę sobie jakoś radzić.

Wychodząc z dworu, głęboko zaczerpnęła powietrza. Ten wielki dom pełen zgrzybiałej służby i jego dogorywająca pani uczyniły na niej bardzo przykre wrażenie. Wskoczyła na siodło, a ponieważ czuła, że ciągle jeszcze drżą jej ręce, mocno zacisnęła je na cuglach. Wydawało się jej, że jest zamknięta w pułapce, z której nie ma wyjścia, i strach coraz mocniej obejmował ją swymi mackami.

W południe przyszli do pałacu chłopci makowscy z wójtem, nawet ci z Pliszkowej Górki. Dziwnym trafem burza ich ominęła i przeszła bokiem, nie czyniąc większych szkód. Wprawdzie zasiewy zostały przygięte do ziemi, ale rankiem się podniosły i już stały prosto, wróżąc urodzaj. Zawaliła się tylko jedna jeszcze nieukończona chata, przygniatając starą kobietę, która się w niej schroniła.

– Prawdziwa łaska boska – zauważył proboszcz. – Nawet huragan ulitował się nad biedakami i nie zabrał im plonów. Pan Jezus ma maluczkich w swojej świętej opiece.

– Sprawiedliwość boska chodzi, jak widzę, zawiłymi ścieżkami – mruknął pan Wąsocki sceptycznym tonem. – Biedaków burza ominęła, ale pani hrabinie, której zawdzięczają wszystko, narobiła szkód co niemiara. Pałac zniszczony, o zbiorach nie ma co nawet wspominać.

– Nie grzeszyłbyś, dobrodzieju! – zgromił go proboszcz. – Jeszcze Pan Jezus nagrodzi dobre serce Ninki... Hm, chciałem powiedzieć pani hrabiny – poprawił się śpiesznie.

– Mam nadzieję. – Nina uśmiechnęła się z przymusem. – Na razie posłałam do miasteczka po majstrów, żeby mi choć dach naprawili i wyczyścili ściany.

Usiadła i wskazała gościom miejsca.

– Zaprosiłam tu panów, żeby wspólnie oszacować straty, które poniosły pałac i wieś w czasie huraganu. Panie Bochniak, proszę poinformować panów o szkodach. Listę zniszczeń pana wójta trzeba porównać z naszymi notatkami. Oświadczam, że jestem gotowa wspomóc gospodarzy, na ile to będzie w mojej mocy. Najważniejsza sprawa to oszacowanie strat, żebyśmy mieli jakiś punkt odniesienia. Ja się na tym nie znam, więc przeproszę panów na godzinkę. Jadziu, pozwól, przejdziemy się po parku.

Panna Wąsocka, siedząca dotąd w milczeniu obok ojca, wstała i razem przeszły z salonu na zewnątrz. Po wyjściu dam momentalnie wywiązała się ostra wymiana zdań pomiędzy przybyłymi ze wsi gospodarzami, spierającymi się z panem Bochniakiem, który zarzucał im, że znacznie zawyżyli swoje szkody, aby wydębić od dziedziczki więcej pieniędzy. Chłopi przysięgali na wszystkie świętości, że nie mieli takiego zamiaru, i wielkim głosem domagali się sprawiedliwości, szeptem pomawiając panów, że jak zwykle pragną pokrzywdzić zrujnowaną wieś. Proboszcz, trzaskając wieczkiem tabakierki, przyświadczał obu skłóconym stronom, co tylko wzmagало wrzaskliwą awanturę.

– Dobrze, że wyszliśmy, bo mężczyźni uwielbiają się kłócić i za moment byśmy ogłuchły – powiedziała Nina, ujmując Jadwigę pod ramię.

Po chwili znalazły się w parku, pełnym jeszcze połamanych drzew i gałęzi zaścielających ścieżki i gazony. Potłuczone marmurowe posągi leżały na ziemi, a po klombach pełnych kwiatów nie było nawet śladu. Ogrodnicy od rana ciężko pracowali, usuwając powalone drzewa, sadząc nowe kwiaty i wytyczając zalane ścieżki i alejki. Jednak park był ogromny, a ludzi do pracy mało. Nina chętnie najęłaby ludzi z sąsiednich wiosek, lecz nie miała pieniędzy, żeby ich opłacić. Zastanawiała się, jak rozpocząć nieprzyjemną dla Jadwigi i dla niej rozmowę, która z pewnością dziewczynę zabolí. Na szczęście panna Wąsocka sama ułatwiła jej wstęp, odzywając się sztucznie obojętnym tonem:

– Czy to pani wojewodzina kazała ci rozmawiać ze mną?

– Owszem – przyznała Nina, gładząc łeb Grota, towarzyszącego paniom w przechadzce. – Poważnie zachorowała po wizycie pana Starewicza, który zachował się wobec babki po prostu skandalicznie. Coś ci powiem, Jadziu... Nie wiem, czy jeszcze kochasz tego człowieka, ale dziękuj Bogu, że nie dostałaś się w jego ręce.

– Dostałam się – wyznała Jadwiga, oblewając się rumieńcem ze wstydu i przykrości.

– Wybacz, kochanie, ale to nie to samo. Na szczęście nie związałaś się z nim i nie jesteś od niego zależna. To człowiek bez serca i sumienia. Okrutny i wyrachowany. Uwierz mi, on jest naprawdę zły. – Opowiedziała o zajściu u wojewodziny, dyskretnie przemilczając bezczelne uwagi Starewicza pod adresem byłej narzeczonej. – On nie ma ani poczucia przyzwoitości, a nawet człowieczeństwa – mówiła z coraz większym gniewem. – Ranił babkę świadomie, bez litości, wiedząc, że ona go jeszcze kocha. Och, zabiłabym go za to!

– Dobrze jej tak! – krzyknęła Jadwiga, przystając i patrząc Ninie w oczy. – To ona zniszczyła naszą miłość. Pozwalała, aby August mnie krzywdził, a teraz sama została przez niego skrzywdzona. O, Pan Bóg jest sprawiedliwy! – dokończyła mściwie.

Nina była przerażona jej bezwzględnością.

– Nie mów tak, Jadwiniu, proszę. Pani wojewodzina nie zniszczyła waszej miłości, ponieważ w sercu Starewicza nie było uczucia dla ciebie. On kocha jedynie siebie i ten okropny nałóg – karty! Wojewodzina jest starą, chorą, samotną i nieszczęśliwą kobietą. Czuje się wobec ciebie winna i najmocniej cię przeprasza, to jej własne słowa. Jadziu, ty jesteś młoda, śliczna i z pewnością spotkasz mężczyznę, który szczerze cię pokocha. Czas sprawi, że przebolejesz zawód miłosny i znajdziesz szczęście w życiu. Biedna pani wojewodzina leży samotnie całymi dniami, wyczekując śmierci. Ukochany wnuk zadał jej śmiertelny cios, którego ona nie przeżyje.

– Czego ona chce ode mnie? – Jadwiga spojrzała Ninie ostro w oczy, bynajmniej nie rozczulona. – Oddałam jej wszystko, co miałam drogiego. – Poszła naprzód, wyprzedzając przyjaciółkę.

– Jadwiniu, ona nic od ciebie nie chce i ja również. To pan Starewicz zażądał od babki, żeby odebrała od ciebie pierścionek zaręczynowy.

Podjęłam się sama porozmawiać z tobą, aby zaoszczędzić przykrości tobie, a jej cierpienia.

Płynny chód panny Wąsockiej splątał się nagle. Potknęła się i ponownie przystanęła.

– Więc on się żeni? – spytała półgłosem, wpatrując się w ziemię.

– Nie wiem... – Nina wolała skłamać, żeby zaoszczędzić jej bólu.

– Och, ty dobrze wiesz i ja również! – krzyknęła Jadwiga, całkiem wyprowadzona z równowagi. – Żeni się z tą panną Stein.

– Tak... Ale tej kobiecie należy współczuć, bo nie będzie miała słodkiego życia. Czy wiesz, że on mówi o niej jak o przykrym dodatku do worka złota? Z niechęcią i pogardą. Nawet nie kryje, że jej nie kocha, że nie kocha niczego prócz pieniędzy. Żeni się z Żydówką posiadającą wielki posag, który Starewicz prędko roztrwoni. To wszystko.

Nina odetchnęła zadowolona, że szczęśliwie przebrnęła przez najgorsze. „Po jakiego licha podjęłam się tego? Ostatecznie to pani wojewodzina powinna przeprosić za swego wnuka, nie ja” – pomyślała rozdrażniona.

Panna Wąsocka powoli zdjęła z palca pierścioneł z pięknym czerwonym kamieniem.

– Rubiny to wielka rozpacz – wyszeptała, podając pierścień Ninie.

– To tylko przesąd. Przecież ja także dostałam od męża rubinowy krzyż. Powiedz mi, Jadziu, co ze Stasią. Pogodziła się już z losem?

– Nie sądzę, żeby to kiedykolwiek nastąpiło. – Jadwiga przysiadła na ocalałej po burzy granitowej ławce i zaczęła kreślić końcem parasolki jakieś skomplikowane linie na piasku. – Lekarze twierdzą, że choruje na melancholię, ale ja myślę, że ona rozpacza, bo utraciła nadzieję na małżeństwo i normalne życie. Chce wstąpić do klasztoru, lecz rodzice nie mają pieniędzy na posag. Musi go wnieść, bo będzie siostrą chórową, a nie zwyczajną konwerską do brudnej roboty. Pracuje w lazarecie, a nawet tam nocuje, bo mówi, że to jej przynosi pociechę. Bardzo się zmieniła. Pamiętasz, jaka ona była wesoła? Od małego dziecka figlowała i psociła. Często się kłóciłyśmy, jak to siostry, ale się kochałyśmy. Teraz czasami wcale jej nie rozumiem. Ot, dola!

– *Co tam marzyć o kochaniu, o bogdance i róż rwaniu. Dla nas nie ma róż...* – powiedziała Nina jakby do siebie.

– Co mówisz? – zdziwiła się panna Wąsocka.

– Nie pamiętasz? Przecież tak się zaczyna wiersz i piosenka pana Romanowskiego. Biedak, poległ niedawno pod Józefowem. Początkowo sądziłam, że jest to wróżba dla mnie, ale myliłam się, bo ta przepowiednia dotyczy całego naszego pokolenia.

Zamilkła i siedziały obie w milczeniu, pogrążone we wspomnieniach.

– Pan hrabia nie pisał? – Pierwsza odezwała się Jadwiga, biorąc Ninę za rękę.

– Nie. Jestem wpółżywa ze zmartwienia – przyznała się, zapominając na moment o innych troskach. – Ciocia Salomea, Emilka i Zosia wspólnie ze mną przeżywają to piekło niepewności. Przepraszam, nie chciałam być wścibska, ale pytam z życzliwości... Czy ten student pisze jeszcze do ciebie?

Na policzki Jadwigi wypłynął mocny rumieniec. Miała spuszczoną głowę, ale z wyrazu jej twarzy można było łatwo wszystko odczytać.

– Tak... – Zawahała się, ale zaraz podniosła głowę, patrząc Ninie prosto w oczy. – Pisujemy do siebie, choć rzadko. Czasami niepokoję się o niego, bo już następna partia, w której walczył, została rozbita.

Nina objęła Jadwigę i rzekła:

– Życzę wam obojgu szczęścia. To taki miły, przyjemny mężczyzna. Widocznie mocno zapadł mu w serce.

Zawstydzona i zarazem uszczęśliwiona Jadwiga oddała jej uścisk i powróciły do pałacu, bardzo sobie bliskie. Tymczasem w salonie obie strony nie mogły dojść do porozumienia. Gospodarze skakali obu rządcom do oczu, domagając się od dziedziczki większej pomocy. Pan Bochniak i pan Marcinkiewicz nie chcieli ustąpić.

– Chcieliście uwłaszczenia, to teraz radźcie sobie sami! – pan Wąsocki podniósł głos, zdenerwowany bezczelnością żądań. – Stare porządki wam nie w smak, a nowych się boicie.

– Nie płacicie dzierżaw ani czynszów, nie wnosicie do dworu żadnych opłat, więc skąd dziedziczka ma wziąć pieniądze?! – wybuchnął purpurowy z gniewu pan Marcinkiewicz.

– To jaśnie pani będzie spokojnie patrzeć, jak wieś z głodu zdycha?! – wrzasnął krępy, łysy chłop, największy pyskacz we wsi. – A niedoczekanie! Sami se sprawiedliwość zrobimy!

– Wy, Majka, tu nam nie groźcie. – Pan Bochniak targał z gniewu wąsy, ledwie już nad sobą panując. – Złością i groźbą nic nie zyskacie.

– W głowach się wam przewróciło! – dorzucił pan Wąsocki, purpurowy z oburzenia.

– Car więcej dba o chłopą niż pany! – warknął ponuro Majka. – A niech ta! Raz kozie śmierć, pozdychamy z głodu, ale przed śmiercią użyjemy sobie! – Zamierzał coś dodać, lecz zamilkł, szarpnięty za rękaw przez wójta.

Stojąca w uchylonych drzwiach Nina wysłuchiwała całej kłótni i zorientowawszy się, o co chodzi, weszła do salonu, pozostawiwszy Jadwigę w buduarze z Emilką. Usiadła i spojrzała surowo na Majkę.

– Dopóki ja żyję, w Makowie nikt nie będzie zdychał z głodu – oznajmiła spokojnie i zdecydowanie. – Nie zebraliśmy się tutaj, by wysłuchiwać waszych wrzasków, Majka. Jeżeli car więcej dba o swoich, to droga wolna. Sybir wszystkich pomieści... Musimy się wspólnie zastanowić, jak zaradzić nieszczęściu. O ile pamiętam, Majka, wasz dom ocalał i nikt z rodziny nie zginął. Inni są w o wiele gorszej sytuacji, lecz zachowują milczenie. A teraz kolejno proszę podawać, co kto stracił, tylko nie próbujcie fantazjować, bo osobiście wszystko sprawdziłam. – Popukała palcem w notes, w którym zapisywała szkody.

Gospodarze spokojnieli i półgłosem zaczęli wyliczać, ile im potrzeba pieniędzy na nowe zagospodarowanie. Nie patrzyli dziedziŕczce w oczy i siedząc na brzeżku złoconych krzeseł, obracali w sękatych dłoniach słomiane kapelusze, bardzo speszeni naganą pani w obecności proboszcza, szanowanego i kochanego. Przez kilka godzin spisano długą listę strat, następnie obaj rządcy i pan Wąsocki zabrali się do pobieżnego szacowania szkód. Wejście Walentego, proszącego na obiad, przerwało im to zajęcie. Chłopi natychmiast wstali, zamierzając wyjść, aby przed pałacem poczekać, aż państwo się posilą. Nina zatrzymała ich gestem dłoni i rzekła z przekąsem:

– Może i zła ze mnie dziedziŕczka, bo ciągle narzekacie, ale nie pozwolę, żeby moi goście wychodzili przed obiadem. Zapraszam do stołu.

Posiłek był skromny. Podano rosół z makaronem, pieczony schab ze smażonymi ziemniakami po polsku i mizerią, a na deser kompot. Wygłodzeni gospodarze pojadali skromnie, ukradkiem podpatrując, jak państwo jedzą i naśladując ich zachowanie. Na odchodnym każdy z nich dostał paczkę z żywnością. Był tam woreczek kaszy, boczek wędzony oraz kawał placka z owocami dla dzieci.

– Jutro pogrzeb zabitych – powiadomiła Nina, podając każdemu rękę. – Ksiądz proboszcz mszę odprawi za darmo, a co zbierzemy na tacę, przekazemy najbardziej potrzebującym. Powiedzcie kobietom, żeby rano przychodziły po mleko dla dzieci. Każdy z was dostanie ode mnie ziemniaki i słoninę, żeby mógł przetrwać te pierwsze dni. Jedźcie jutro do lasu i tnijcie drzewa na budowę. Powalone drzewa otrzymacie ode mnie za darmo. Cegłę i wapno na podmurówki także. W zamian pomożecie nam w pracach polowych. Jak zdobęde skądś pieniądze, to pożyczę wam na dogodne spłaty. Będziecie mieć na zakup bydła, drobiu i późnych ziemniaków do sadzenia.

Gospodarze, nie spodziewając się takiej hojności po obrażonej dziedziczce, z wdzięcznością całowali ją po rękach i podejmowali pod nogi. Odeszli pełni otuchy, dzieląc się szeptem uwagami o wspaniałości pałacu.

Obaj rządcy i pan Wąsocki harowali do późnego wieczoru. Ukończywszy pracę, weszli do buduaru, gdzie siedziały panie. Nina popatrzyła na ich miny i serce w niej zamarło.

– Liczyliśmy tak i siak – odezwał się pan Wąsocki, wyraźnie zmartwiony. – Ale niżej dziesięciu, może nawet dwunastu tysięcy rubli nie da się dziury załatać. – Westchnął, widząc, że Nina zachwiała się na krześle. – U mnie burza przeszła bokiem, ale ja także będę musiał zaciągnąć pożyczkę na hipotekę majątku. Jeden Bóg wie, czy zechcą mi coś pożyczyć w tych niespokojnych czasach. Trzeba wszystko zaczynać od nowa. Oranie, sadzenie i sianie. Resztę musimy dokupić jesienią, tylko za co?

Usłyszawszy straszny wyrok, Nina posiniała. Spodziewała się, że koszty będą wysokie, ale nie aż takie. Chryste, skąd weźmie pieniądze na remont pałacu i odbudowę wsi? Za co kupi zboże, bydło, warzywa i owoce? Jesienią nie będzie miała co sprzedać, więc za co utrzyma dom i opłaci ludzi?

Kiedy nareszcie została sama, podniosła się z fotela i wolno, jak stary, schorowany człowiek, powlokła się do gabinetu i usiadła za biurkiem, opierając głowę o wysokie oparcie rzeźbionego krzesła. Było jej słabo, więc położyła drżące dłonie na wyściełanych poręczach ozdobionych frędzlami. „Jezu, co ja zrobię? – jęknęła z głębi serca. – Skąd zdobęde taką masę pieniędzy? Przecież muszę wspomóc wieś, bo w przeciwnym razie, przyciśnięci głodem, rzucą się na pałac i pomordują nas bez litości. Hipoteka? Nie, nigdy! Ani grosza długu na majątku, bo Moskale tylko na to

czekają i odbiorą mi Maków, jakbym zwlekała ze spłatą zadłużenia. Z francuskich banków pieniędzy nie ruszę, dopóki u nas trwa powstanie. Banki krajowe nie pożyczą mi nawet kopiejki, bo nie jestem właścicielem majątku i tylko Aleks mógłby z nimi negocjować. Wszystkie pełnomocnictwa dane mi przed wybuchem powstania dziś nie są warte funta kłaków”.

Wstała i odsunawszy portret kasztelana, otworzyła skarbonkę i wysypała wszystkie pieniądze na biurko, dokładnie je przeliczając. Przejrzała listy zastawne i wszystko, co było możliwe do spieniężenia. Okazało się, że miała trzy tysiące dwieście rubli i czterdzieści kopiejek. To był cały jej majątek. Przed powstaniem była to spora suma i mogła za nią długo się utrzymywać, ale przy takim ogromie zniszczeń, kiedy trzeba było płacić za wszystko, ta kwota niewiele była warta. „Nie mam co sprzedać – myślała, wpatrując się w rozsypane pieniądze. – Jaka szkoda, że oddałam Alkowi całą biżuterię. Ale kto dziś kupiłby naszyjnik z brylantów lub kolie perłową? Ludzie nie są pewni życia i mienia”.

Była tak przygnębiona, że nawet nie chowając pieniędzy, oparła głowę o biurko i zanosła się łkaniem. W końcu zabrakło jej łez, a zmartwienia przez to wcale nie ubyło. Niedbale wrzuciła pieniądze do skarbonki, zatrzęsnęła stalowe drzwiczki i zasunęła portret.

Jaga, przejmując się każdym jej zmartwieniem, wieczorem przyniosła sakiewkę pełną złotych imperiałów.

– Koteczku, tu jest tysiąc rubli w złocie. Weź je – powiedziała serdecznie. – Mnie, starej, te pieniądze niepotrzebne.

– Nawet o tym nie myśl! – zawołała wzburzona Nina. – To cały twój majątek za ciężko przepracowane życie. O nianiu, jeszcze mogą przyjść takie czasy, że kilka złotych będzie dla nas zbawieniem.

Położyła się do łóżka, lecz zmartwienie nie pozwoliło jej zasnąć. Początkowo miała zamiar sprzedać któryś z folwarków, ale sam pomysł kupczenia własną ziemią wydał się jej potworny i poczuła, że nie jest gotowa do takiej ofiary. Zresztą w okresie powstania ziemia straciła na wartości. Ani niemieccy koloniści, ani Rosjanie czy Żydzi przez podstawionego kupca teraz nie zaryzykują kupna majątku, który może być skonfiskowany przez władze po upadku powstania.

Przewracając się z boku na bok, przypomniała sobie ze wstydem, że jutro minie pierwsza rocznica śmierci hrabiny Tekli. Mając głowę pełną trosk,

zupełnie o tym zapomniała. Wstała i opadłszy na klęcznik przywieziony z Warszawy, zaczęła odmawiać pacierze, rozpamiętując tragiczny zgon ukochanej cioci. Potem przyszła jej na myśl Paula i przejął ją lęk, kiedy przypomniała sobie jej portret pokryty krwią. Zapaliła lampkę nocną i wzięła książkę, ale okazało się, że drażni ją nawet lektura. Zasnęła dopiero o świcie, kiedy już obudziły się ptaki.

Po pogrzebie ofiar huraganu proboszcz odprawił cichą mszę żałobną za spokój duszy hrabiny Tekli. Nina modliła się gorąco, błagając kochaną zmarłą o pomoc. Przypominała sobie ze wzruszeniem, że starsza pani nigdy za życia nie odmówiła jej pomocy i zawsze znajdowała jakąś mądrą radę. Odprowadziwszy proboszcza do bramy wjazdowej, powracała przez park, stwierdzając z zadowoleniem, że dzięki ciężkiej pracy ogrodników zniknęły ostatnie ślady burzy. Uprzątnięto połamane drzewa i gałęzie oraz szczątki posągów, na nowych klombach posadzono kwiaty i ozdobne byliny. Pogoda znowu była upalna i Nina z obawą rozglądała się po niebie, drżąc ze strachu przed następną nawałnicą. Dach pałacu nie był jeszcze gotowy i z niecierpliwością oczekiwała majstrów z miasteczka. Brakowało jej obecności pani Salomei, przebywającej w Sarnikach i pomagającej ciotce Marii pielęgnować chorego wuja. Wszyscy domownicy uwielbiali starszą panią za słodczy charakter i dobroć. Była osobą bardzo czynną i użyteczną. Zanim wyjechała do Sarnik, z powodzeniem zastępowała Mirę, ucząc wiejskie dzieciaki. Była kobietą wykształconą, a przy tym tak łagodną, że uczniowie przepadali za nią, kochając ją nawet bardziej niż pannę Lutównę.

Nina już dawno zauważyła, że kiedy ma kłopoty z zaśnięciem, to powinna wcześniej wstać i zająć się pracą, zwłaszcza gdy dręczy ją jakiś problem. Myślało się jej o wiele lepiej, kiedy chodziła. O czwartej wysliznęła się z łóżka, umyła się i ubrała. Niedbale uczesana, przeszła się po domu, przypominając sobie, co ma tego dnia do zrobienia. Zaglądnęła do zimowego ogrodu, zerwała trochę kwiatów, włożyła je do srebrnej czary i zaniósła do buduaru. Tam przystanęła przy oknie i powędrowała spojrzeniem po niebie. Widać było, że dzień będzie bezchmurny. Potem przeszła do małej jadalni. Z odległej kuchni doleciał do niej zapach świeżo zmielonej kawy. Usiadła przy stole, a po chwili znalazł się przy niej Walenty, czujny jak żuraw. Zobaczywszy panią siedzącą w milczeniu przy stole, strzepnął z wrażenia rękami.

– Jaśnie paniuleczka pewnie głodna? Oj, trzeba było zadzwonić. Już podaję.

– Proszę się nie śpieszyć. – Uspokoila go z uśmiechem. – Mam tylko ochotę na mocną kawę ze śmietanką.

– Oczywiście, zaraz przyniosę. Paweł, gamoniu, nakryj do stołu! – ostro pogonił leniwego młodzieńca.

Na dziedzińcu zaturkotała bryczka. To Emilka powracała z Borku, odebrawszy stamtąd najnowsze dokumenty. Musiała wyjechać jeszcze w nocy. Zaglądnęła do jadalni i ucieszyła się, zobaczywszy Ninę.

– O, ranny z ciebie ptaszek. Zaraz przyjdę, tylko umyję ręce. Jak wspaniale pachnie ta kawa! – Pociągnęła nosem i wyszła.

Wróciła po chwili już umyta, w innej sukni i starannie uczesana. Nina napełniła jej filiżankę kawą, podsuwając dzbanuszek z zapiekaną śmietanką.

– Wiesz, Nino, po drodze wstąpiłam do Sarnik – odezwała się Emilka, smarując masłem chrupiącą bułeczkę. – Wujowi stanowczo lepiej. Ten lekarz z Kielc to istny czarodziej. Potrafił dodać wujowi otuchy i zapewnić go, że wkrótce wstanie i będzie chodzić. A ciocia Marynia wprost wniebowzięta! Chodzi koło wuja i z oczu odgaduje, jakie ma życzenia. Jest ci bezgranicznie wdzięczna za tego medyka i prosiła, żebym cię ucałowała od niej. Zrobię to po śniadaniu.

– Biedna ciocia... – skomentowała jej słowa Nina. – Tak dzielnie znosi ten dopust boży. Cieszę się, że wujowi lepiej. Emilko, skosztuj tej szynki, jest wyborna.

Niegdyś wuj Ksawery ją krzywdził. Nie umiała o tym zapomnieć, ale nie życzyła mu źle. Zawsze to była jej najbliższa rodzina, a rodziny się nie wybiera. Zresztą ostatnio wuj i ciotka bardzo się zmienili. Złagodnieli i odnosili się do niej serdecznie.

– A nie wiesz, Emilciu, czy Binia pisała?

– Uhm! – zamruczała z pełnymi ustami. Przełknęła śpiesznie kęs szynki i rzekła: – Pisała, że niestety nie przyjedzie latem do Sarnik, ponieważ urzędnicy pruscy odmówili jej paszportu do Królestwa Polskiego. Ciocia Marynia nawet się tym bardzo nie zmartwiła, bo postanowiła, że gdy tylko wuj wróci do zdrowia, to razem wyjadą za granicę i tam spotkają się z Binią. Może w Biarritz lub w Ostendzie.

– Jaka szkoda – westchnęła Nina i pierwszym uczuciem, którego doznała, był ogromny żal, gdyż liczyła, że wkrótce zobaczą się z Binią. – Ach, wszystko przez to powstanie... To mówisz, że wujowi lepiej?

Emilka posłała tęskne spojrzenie w stronę półmiska pełnego stygnących paróweczek cielęcych. Pachniały tak smakowicie....

– O, znacznie lepiej. Wyobraź sobie, że już porusza palcami lewej dłoni i odzyskał czucie w sparaliżowanej nodze.

– To naprawdę dobra wiadomość. – Uśmiechnęła się, ale po chwili ponownie spochmurniała.

Emilka ugryzła parówkę, obserwując Ninę spod oka.

– Martwisz się tymi zniszczeniami po huraganie, prawda?

– Tak. Mało trupem nie padłam, dowiedziawszy się, że na pokrycie strat potrzeba mi lekko dziesięć, dwanaście tysięcy rubli! Horror!

– Niestety, to przechodzi moją zdolność imaginacji. – Emilka skrzywiła się zabawnie. – I co zamierzasz?

– Nie wiem... Mam jedynie trzy tysiące rubli, a dochody z cegielni, Borku i Zameczku natychmiast pochłaniane są przez potrzeby majątku. Nieustannie trzeba coś kupować, za coś płacić – istna studnia bez dna. Żeby z ziemskiego majątku mieć jakiś zysk, należy nieustannie weń inwestować. Od dziedzica wszyscy wyglądają pomocy, ale nikt za nic nie płaci. Ot, widzisz, jaki to szczęśliwy los przypadł mi w udziale – zakończyła z goryczą.

– Rzeczywiście masz straszne zmartwienie, kochanie. A nie możesz sprzedać kawałka ziemi?

Nina się zamyśliła.

– Wiesz, kiedyś się zastanawiałam, co jest dla człowieka najcenniejszego i doszłam do jednego wniosku, że wszystko w naszym życiu jest niepewne i przemijające, a nie ma nic trwałego prócz ziemi. Tylko ten dar Boga jest wieczny i jedynie dla ziemi warto żyć, a nawet kiedy zajdzie taka potrzeba, zabijać lub zginąć. Ja dla mojej ziemi umiałabym popełnić zbrodnię. Nigdy nie sprzedam ani jej piędzi. Zawsze rozumiałam chłopą, który z miłości dla kawałka gruntu popełniał morderstwo. Dlatego muszę, po prostu muszę skądś zdobyć pieniądze i odbudować wieś, żebyśmy przetrwali do jesieni. Potem natura wynagrodzi straty. Kiedyś mój mąż powiedział mi, że nie dosyć być posiadaczem majątku ziemskiego. Aby naprawdę być dziedzicem, trzeba jeszcze zdobyć czynami miłość poddanych i ich zaufanie. Dobry dziedzic jest nie tylko właścicielem, ale i sługą swojej ziemi.

Emilka ze zrozumieniem skinęła głową.

– Pięknie to powiedziałaś. Więc nie masz już nic do sprzedania? – spytała, ściągając z namysłem brwi zaprzątnięta jakąś myślą.

– Zupełnie nic.

– A jednak o czymś zapomniałaś... – Emilka spojrzała na nią figlarnie i zachichotała.

– Naprawdę nic nie mam.

– Nie? A pół kamienicy w Warszawie? – przypomniała spokojnie i dokończyła jeść zimną już parówkę.

Nina patrzyła na nią oniemiała, z rozchylonymi ze zdumienia ustami. Warszawskie mieszkanie zupełnie wyleciało jej z głowy. Właściwie nigdy o nim nie myślała.

– Ale... – Umilkła i zamrugała szybko, nie mogąc jeszcze ochłonąć po przeżytych szoku. – Złotko, ja nie mogę sprzedać tego mieszkania, bo oddałam je Jasiowi i tobie w nadziei, że kiedyś je ode mnie odkupicie.

Emilka starannie wytarła usta serwetką, odłożyła ją i podniosła się z krzesła.

– Nino, bądź rozsądna. Najważniejszą sprawą jest ratunek Makowa. Teraz mamy powstanie. Janusz walczy i nikt nie wie, czy tę wojnę oboje przeżyjemy. To jest twoja ostatnia szansa.

– Emilko najmilsza, Pan Bóg natchnął cię tą myślą! – wykrzyknęła Nina ze łzami w oczach. – Ale sama mówisz, że mamy powstanie. Kto dziś kupi pół luksusowej kamienicy?

– Nino, w stolicy powstania nie ma. Boisz się, że nie znajdziesz nabywcy? Nic bardziej mylnego. W ciągu kilku dni będziesz miała kupca. W Warszawie jest wielu bardzo bogatych Żydów, wykształconych, spolonizowanych, którzy oderwali się na zawsze od Nalewek, czosnku, cebuli i Szmulowizny. Nie chcą mieć nic wspólnego z pejsami i jarmużką. Ci bogacze żenią się z kobietami z dobrych domów, często katoliczkami, mówiącymi po francusku, grającymi na fortepianie, i prowadzą dom otwarty. To właśnie oni kupują domy w eleganckich dzielnicach miasta, z Paryża sprowadzają żonom instrumenty Erarda i nabywają biżuterię zubożałej arystokracji. Nie martw się, bez namysłu kupią twoje mieszkanie. Jest takie wytworne i bogato urządzone.

Nina wsparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach.

– Matko Boska, odziedziczyłam to mieszkanie po ciotuni Tekli, a teraz mam je sprzedać jakiemuś dorobkiewiczowi?

Naraz przez jej myśl przemknęła jakby błyskawica. To przecież była odpowiedź z zaświatów na rozpaczliwe wołanie o pomoc. Poderwała się i rozejrzała dokoła trochę nieprzytomnym wzrokiem.

– W takim razie natychmiast jadę do Warszawy! Ach, mój Boże, przecież nie mam przepustki i zatrzymają mnie na pierwszej roгатce! – wykrzyknęła, strzepnąwszy rękami po krynolinie.

– O to się nie martw, bo pojedziemy razem. Muszę odwieźć do stolicy ważne dokumenty. – Emilka dopiła kawę, stojąc już przy stole. – Mam przepustki in blanco, tylko je wypełnię.

Nina z wybuchem radości rzuciła się jej na szyję.

– Emilko, jesteś aniołem! Zaraz każę zaprzęgać i ruszamy!

Jaga, usłyszawszy o jej postanowieniu, nalegała, żeby jej towarzyszyć, lecz Nina stanowczo odmówiła.

– Nie, mój ty ukochany uparciuchu. To byłoby dla ciebie zbyt męczące. Przypomnij sobie, jak cierpiełaś w czasie podróży z Galicji. Muszę jak najprędzej być w Warszawie i postaram się szybko wrócić.

Stach wybrał do zaprzęgu najlepsze konie i przygotował karete do drogi. Nina uprzedziła pana Bochniaka, że jedzie sprzedać warszawskie mieszkanie, by uzyskać pieniądze na odbudowę pałacu i wsi, i zaraz po obiedzie wyruszyły. Na szczęście nie padało, drogi były suche i przejezdne. Do samej Warszawy dojechały bez żadnych przygód. Na roгатkach Emilka pokazywała autentyczne przepustki i paszporty, zaś patrole, widząc dwie młode, śliczne i eleganckie damy w karecie, nie czyniły im żadnych przeszkód z przejazdem.

Stróżka otworzyła drzwi mieszkania. Weszły do dusznego przedpokoju i chodziły po pokojach, otwierając okna i balkon, aby pozbyć się ciężkiego zaduchu rzadko wietrzonych wnętrz. Minąwszy wielki salon, Nina weszła do sypialni i przystanęła na progu, opierając głowę o framugę drzwi. W tym pokoju ubierała się do ślubu i tutaj spędziła z mężem kilka dni po powrocie z leśniczówki. W tym łóżu się kochali i wówczas prawdopodobnie poczęła dziecko, a raczej dzieci. Na toaletce leżały rękawiczki zapomniane przez Aleksa. Szukał ich potem po kieszeniach płaszcza. Podniosła je i przycisnęła do ust. Zachowały jeszcze delikatny zapach jego wody kolońskiej. „Alku, gdzie jesteś?” – wzywała go w myślach, przypominając sobie krótkie dni szczęścia.

– Nino, jakie to śliczne mieszkanie. A co za wygody! – Emilka weszła do sypialni i umilkła, widząc jej bladą, skurczoną cierpieniem twarz i jej oczy

pełne łez. – Kochanie, co się stało?! – zawołała z niepokojem, podbiegając do niej.

– Popatrz, znalazłam rękawiczki Alka, leżały na toaletce...

Emilka pochwyciła ją w ramiona.

– Nie wolno nam o tym myśleć. Przecież ja także... – wyszeptała. – Gdybym zaczęła wspominać, to... Nie! Jeśli się załamiemy, zmienimy sobie życie w piekło. Widzisz, ja też często nie sypiam po nocach i rozmyślam o tym, gdzie jest Janusz i co się z nim dzieje. Serce zamiera mi z trwogi i mam ochotę krzyczeć, targać z rozpaczony włosy. Ale nie przyjechałyśmy tutaj, żeby rozpamiętywać przeszłość. Musisz korzystnie sprzedać mieszkanie – westchnęła. – Szkoda, jest takie piękne. – Z żalem rozejrzała się po wspaniałej sypialni. – Tu mieliśmy brać ślub. Tak się cieszyłam, bo jeszcze nigdy nie widziałam tak pięknego apartamentu. Moi rodzice mają małe i skromne mieszkanie. Nie pamiętam naszego majątku, bo urodziłam się już w Warszawie.

Nina opanowała się i zupełnie spokojnie zaczęła omawiać przypuszczalną cenę, którą otrzyma za połowę kamienicy.

– Emilko, nie orientujesz się, ile kosztują domy?

– Nie mam pojęcia, złotko. Jeszcze dziś postaram się skontaktować z pewną panią żydowskiego pochodzenia. To nasza działaczka i dobra Polka, ona może ci pomóc. A teraz wybacż, Nino, muszę iść i oddać dokumenty. Wrócę po ciebie, gdy będę szła do domu. Zjesz z nami obiad i przenocujesz u nas.

– Nie, dziękuję, kochanie. Dziś już nigdzie się stąd nie ruszę. Jestem bardzo zmęczona i zamierzam przypilnować, by stróżka dokładnie wysprzątała mieszkanie. Przyjdź po mnie jutro rano.

– W takim razie bądź gotowa, bo pójdziemy do miasta.

Ucałowały się i Emilka pośpiesznie wybiegła.

Samotne przebywanie w wielkim i pustym mieszkaniu nie należało do przyjemności, ale Nina nie chciała krępować Emilki swoją obecnością w momencie spotkania z rodziną. Zostawszy sama, zaczęła przechadzać się po pokojach, wspominając szczęśliwe dni przedpowstaniowe. Żona dozorczy przyniosła jej z restauracji kolację i pościeliła łóżko do spania. Przed udaniem się na spoczynek Nina długo się modliła, prosząc zmarłą hrabinę Teklę o opiekę nad Alekssem i pomoc w sprzedaży mieszkania.

Była taka zmęczona, że miała zawroty głowy, lecz położywszy się do bogato rzeźbionego łóżka i chłodnej, sztywno nakrochmalonej pościeli, nie mogła zasnąć. Leżała, wpatrując się w okno i nadsłuchując odgłosów dochodzących z zewnątrz. Nocny powiew wiatru poruszał koronkową firanę i przynosił echa wielkiego miasta – krzyki pijanych mężczyzn, piski i śmiechy prostytutek, hulaszcze wrzaski żołnierzy rosyjskich i odgłosy muzyki dobiegające z niedalekiej restauracji w Ogrodzie Saskim. Turkotały wozy dostawcze, a gdzieś daleko rozlegał się dzwon pędzącej do ognia straży pożarnej. Na drugim piętrze lokatorzy jeszcze nie spali i Nina słyszała kroki na suficie. Te odgłosy wybijały ją ze snu, bo przyzwyczajona była do idealnej ciszy w swojej makowskiej sypialni.

Podłożywszy ramiona pod głowę, wspominała ludzi, którzy tutaj niegdyś bywali. Kapitan Jarosław Dąbrowski, energiczny i odważny, nadal przebywał w Cytadeli, oczekując na surowy wyrok. Pan Bronisław Szwarce, taki miły i przystojny, miał już wyrok śmierci i lada dzień zostanie stracony. Ze wzruszeniem przypominała sobie młodego i pełnego chłopięcego wdzięku Leona Frankowskiego. Podobno ciężko ranny w bitwie pod Słupcą dostał się do niewoli i został przewieziony do szpitala więziennego w Lublinie. Czasami przynosił jej bukiet kwiatów, rewanżując się za poczęstunek. Był zakochany pierwszą, młodzieńczą miłością w starszej panie Heurich. Nina nie wiedziała, że pan Leon już nie żył, stracony w Lublinie, ofiarą młodego życia potwierdzając wyznawane ideały.

Zanim zapadła w sen, postanowiła, że nazajutrz odwiedzi mecenasa Porzyckiego i spyta go o ceny nieruchomości. Dowie się od niego, czy jest jakiś sposób, aby dostać się do złożonych w banku pieniędzy. Miała do siebie pretensje, że majątek upada, bo Aleks ożenił się z panną bez posagu. Mając własny majątek, mogłaby pobrać pieniądze z banku bez pełnomocnictwa męża.

Wcześniej rano przyszła Emilka i zauważywszy minę Niny, zawołała wesoło:

– Kochanie, weź płaszczyk, bo zaraz wychodzimy. Mama dała mi burę, że zostawiłam cię tutaj samą. Rodzice zapraszają na obiad. Ale najpierw interesy. O, ślicznie jesteś ubrana! – zawołała z podziwem.

Po powrocie z Krakowa Nina zdjęła żałobę. Tego dnia wyglądała jak marzenie, w szarej organdynej bluzeczce z Paryża w delikatny różowy wzorek i białej jedwabnej krynolinie. W przedpokoju włożyła przed lustrem szeroki kapelusz z kremowej słomki i trzymając pod pachą białą koronkową parasolkę, zatrzasnęła za sobą drzwi mieszkania, schodząc z Emilką po schodach krytych dywanem. Nie korzystały z karety, lecz wzięły dorożkę i kazały się zawieźć na Nowy Świat. Gadatliwy dorożkarz, domyśliwszy się, że wiezie panie z prowincji, uraczył je opowieścią o szczegółach śmierci redaktora Miniszewskiego, zasztyletowanego przez nieznanego sprawcę.

Całe miasto pasjonowało się tą sprawą, ponieważ redaktor był właścicielem pisma satyrycznego „Komunały”, często wyszydzającego w niewybredny sposób Rząd Narodowy i powstanie. Zabitego łączyły zażyłe stosunki z margrabią Wielopolskim. Władze podziemne odżegnywały się od tej zbrodni, zaprzeczając plotkom, iż Miniszewski stał się ofiarą sądu policji narodowej. Jednak nie wszyscy w to wierzyli i nawet dorożkarz uśmiechał się domyślnie pod wąsem.

Pani Seweryna Pruszkowa-Duchińska, pisarka i działaczka, mieszkała przy Nowym Świecie. Była również naczelniczką owych słynnych już „piątek” i podlegała bezpośrednio rozkazom Rządu Narodowego. To u niej zbierały się panie na narady i po polecenia. W przytulnym saloniku pani Seweryny Nina wpadła w ramiona Wandzi Umińskiej i swojej dawnej przełożonej, panny Emilii Gosselin. Przy herbacie i ciasteczkach wysłuchiwała historii o nieugiętej postawie panny Pelagii Zgliczyczyńskiej, narzeczonej Jarosława Dąbrowskiego, dostarczającej mu do Cytadeli informacje i odbierającej od niego rozkazy. Panna Pelagia miała żelazny hart ducha i nie złamało jej ani późniejsze aresztowanie, ani Sybir. W głębi duszy Nina zazdrościła tym niepospolitym kobietom odwagi i miłości ojczyzny, ale nie zamierzała ich naśladować. Patriotów miała w rodzinie aż nadto.

Tego dnia odbywało się u pani Pruszkowej zebranie „piątek” i do mieszkania zaczęły się schodzić kobiety. Nina natychmiast zwróciła uwagę na przystojną panią o wschodniej urodzie. Pani Seweryna pogadała z nieznaną i po pewnym czasie podeszła z nią do Niny.

– Pani hrabina pozwoli, że przedstawię jej panią Helenę z Zimmermanów Rozmanithową, naszą kochaną podporę stowarzyszenia. Droga pani Helena

wraz z całą rodziną wspomaga finansowo naszą organizację. Jeżeli ktoś może udzielić pani hrabinie mądrej rady, to tylko pani Helena.

W ten sposób Nina poznała jedną z najaktywniejszych działaczek „piątek”. Pani Helena, żona bogatego kupca Franciszka Rozmanitha, członka władz powstańczych, była nader energiczną niewiastą. Obdarzona prawdziwie południowym temperamentem i uporem, umiała wtargnąć niespodzianie do gabinetu bankiera i wymusić na nim spory datek na rzecz powstania. Miała dar galopującej wymowy, którą potrafiła dosłownie zalać upatrzoną ofiarę. Dowiedziawszy się o kłopotach Niny ze sprzedażą mieszkania, zaraz obiecała pomoc.

– Zrobię, co będę mogła i postaram się zainteresować moich znajomych kupnem nieruchomości pani hrabiny. Ale uprzedzam, że moi rodacy bywają czasami twardzi i bezwzględni. Obawiam się, że przeżyje pani hrabina wiele przykrych chwil. Zwykle takie transakcje prowadzone są przez adwokatów i administratorów.

– Niestety, mój administrator zajęty jest doglądaniem majątku, bo do powstania poszło mnóstwo osób z administracji oraz pracowników fizycznych. Ale jeszcze dziś zamierzam porozumieć się z moim panem mecenasem – wyjaśniła Nina, patrząc z sympatią na rezolutną damę.

– To właściwa decyzja. Proszę nie ulegać presji i nie ustępować ani o włos – poradziła pani Rozmanith, znająca dobrze niemiłe cechy charakteru swoich rodaków.

Wkrótce jej słowa okazały się prorocze...

W czasie wizyty Nina przekonała się ze zdumieniem, że w „piątkach” na równi z Polkami działają rodowite Rosjanki. Działaczkami stowarzyszenia były: generałówna Monika Dmitriew, pani Petrow – żona radcy dworu carskiego, generałowa pani Wiera Schwartz oraz inne damy. Nawet w samym imperium powstanie miało swoje sympatyczki pośród pań z najwyższych kręgów arystokracji rosyjskiej.

Wracając od pani Pruszkowej, Nina wstąpiła na Miodową, ale mecenasa nie zastała, bo wyjechał w interesach do Białegostoku. Zaszła jeszcze z Emilką do Lourse’a, gdzie pomimo głośnych protestów młodej pani Borutyńskiej zakupiła wielki kosz delikatesów w prezencie dla państwa Maciejewskich.

Rodzice Emilki byli to dobrzy, uczciwi ludzie, ciężko pracujący na chleb i gotowi dzielić się nim z każdym potrzebującym. Starsi państwo działali w

konspiracji, dwie młodsze córki, uczące się na pensji, kolportowały po mieście prasę podziemną. Nina została przyjęta z ogromną serdecznością. Pani Maciejewska wzięła ją w ramiona i ucałowała jak matka.

– Nareszcie mamy okazję poznać panią. Obawialiśmy się o naszą Emilkę, bo biedne dziecko nie mogło przeboleć rozłąki z Januszem i była bliska załamania. Dzięki łaskawości pani hrabiny córka odżyła, jest pełna energii i zapału do pracy. Nie wiem, jak zdołamy się odwdziżyć pani hrabinie za tyle dobroci.

– Nie ma mowy o żadnej łasce – oświadczyła Nina, obserwując z przyjemnością siwowłosą panią ze śladami wielkiej urody. Młoda pani Borutyńska była zupełnie do matki podobna. – To ja jestem bardzo wdzięczna Emilce, że zdecydowała się zamieszkać w Makowie. Teraz wspieramy się wzajemnie w ciężkich chwilach i przeżyliśmy wspólnie wiele niebezpiecznych przygód. Szczerze podziwiam córkę państwa. To cudowna dziewczyna i cieszę się, że to ona jest żoną Jasia. Jego uważam za brata, a Emilkę kocham jak siostrę.

Państwo Maciejewscy wprost promienieli z zadowolenia. Emilka, odrobinę zawstydzona pochwałami, spojrzała na Ninę przekornie.

– Nie bądź taka skromna, kochanie. Opowiadałam rodzicom, jak przewoziłaś amunicję i osobiście zastrzeliłaś kozaka!

Nina się roześmiała i prędko zmieniła temat, skarżąc się na kłopoty finansowe po strasznym huraganie. Pan Maciejewski, jowialny starszy mężczyzna, zapewnił ją, że wkrótce znajdzie nabywcę na mieszkanie.

– Dziś ogół społeczeństwa biednieje, ale wielka finansjera ma się zupełnie dobrze. Niektórzy błyskawicznie dorabiają się majątków, handlując z obiema walczącymi stronami. Bodaj to mieć żyłkę do interesów, jaką mają nasi Żydzi – westchnął. – Córka wspomniała, że dotąd nie miałyście panie wiadomości od Janusza i pana hrabiego.

– Niestety nie. – Pogodna twarz Niny spoważniała, a przez oczy przemknął cień smutku.

Rozmawiali o walkach na terenie Gór Świętokrzyskich, o których głośno już było w całym kraju, ale pan Maciejewski miał nieobecny wyraz twarzy, jakby zastanawiał się nad czymś.

– Coś wam powiem, moje damy... – rzekł, ścisząc głos do szeptu. – Niedawno powróciłem z posiedzenia rządu w hotelu Polskim. Dostaliśmy

najświeższe wiadomości o panu pułkowniku Czachowskim. Mówię to w zaufaniu!

– Jakie wiadomości?! – zawołały jednym głosem Nina i Emilka, tuląc się do siebie. Pobladły i nie ukrywały trwogi.

– Dowiedzieliśmy się, że pan pułkownik trzeciego maja był w Tarłowie na uroczystym nabożeństwie. W Ożarowie entuzjastycznie witały go tłumy Żydów, wznosząc okrzyki na cześć braci Polaków. Ale nazajutrz Czachowski natknął się na nieprzyjaciela i wydał mu bitwę trwającą trzy dni. Walczył kolejno pod Borią, Bałtowem i Rzeczniewem. Odniósł zwycięstwo pod Jeziorkiem, lecz tam walka przeciągnęła się aż do siedmiu godzin. Moskale ponieśli ciężkie straty, a ich dowódca poległ. Szóstego dnia odbyły się kolejne potyczki, pod Jaworem i Grabowcem, i tutaj, niestety, szczęście odwróciło się od pana pułkownika. Jego oddział, a raczej już mała armia licząca około tysiąca żołnierzy, zaczął się rozpadać.

Nina słuchała z pobladłą twarzą, zagryzając wargi. Emilka złożyła dłonie i tak je zacisnęła, że aż zbielały jej palce. Obie młode kobiety wpatrywały się z napięciem w pana Maciejewskiego.

– A o partii mego męża nie mieliście żadnych meldunków? Nie brał udziału w tych bitwach? – odezwała się Nina zmienionym głosem.

– Nic nam o tym nie wiadomo. – Starszy pan popatrzył z troską na zrozpaczoną córkę. – Ale na razie nie macie panie powodu do zmartwienia, bo raporty pana hrabiego może jeszcze nie dotarły do Warszawy. Pan Klonowiecki z pewnością walczy u boku pułkownika Czachowskiego. Ej, żebym ja był młodszy i nie miał obowiązków rodzinnych oraz reumatyzmu, zaraz poszedłbym do powstania! Ojciec nie dla zabawy uczył mnie szablą władać, bo obowiązkiem szlachcica jest walka!

– Co? Zostawiłbyś mamusię samą? – oburzyła się Emilka. – Lepiej niech papcio nie bawi się w wojaka. Wystarczy, że muszę martwić się o Janusza!

– No wiesz? – obruszył się. – Jeszcze nie jestem starym piernikiem! – Pan Maciejewski zaczął dłonią wybijać na stole takt i zanucił popularną powstańczą piosenkę: – *Dalej, bracia, do bułata, wszak nam dzisiaj tylko żyć. Pokażemy, że Sarmata umie jeszcze wolnym być!*

– Papciu, fałszujesz! – Emilka zatkała sobie uszy.

– Nie krytykuj ojca, moja panno! Boże, co za czasy, jajko mądrzejsze od kury! – Spojrzał z udawanym gniewem na córkę.

– Chyba od koguta! – odcięła się Emilka i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Posłaniec od Lourse'a przyniósł zamówiony kosz delikatesów, w którym znajdowały się butelka szampana i druga najlepszego wina, południowe owoce, wybór znakomitych ciast i dwie duże bombonierki z pysznymi czekoladkami. Wszystko przybrane wstążkami i żywymi kwiatami.

Po obiedzie Nina powróciła dorożką do domu. Zastała mieszkanie pedantycznie wysprzątane i pełne kwiatów. Ogromnie żałowała pięknych mebli, cennych obrazów i rodzinnych pamiątek. Z przykrością myślała o sprzedaży domu, w którym hrabina Tekla spędziła niemal całe życie. To mieszkanie, odziedziczone w spadku, było wyłącznie jej własnością i napawało ją dumą, chociaż nie zamierzała się tu osiedlić. Jednak posiadanie wielkiego apartamentu w stolicy świadczyło o bogactwie i wysokim życiowym statusie. Ale nie miała wyboru, bo Maków potrzebował ratunku, a wobec tego faktu nic więcej się nie liczyło. Postanowiła jednak zabrać z sobą: rodzinne portrety, porcelanę, kryształy, srebra stołowe, kilka pięknych zabytkowych sprzętów oraz kolekcję prześlicznych figurynek z XVIII wieku, z saskiej porcelany.

Przedłużający się pobyt w Warszawie zaczął ją niecierpliwić, bo spodziewała się, że sprawę sprzedaży załatwi pan mecenas Porzycki i tylko wręczy jej otrzymane pieniądze, tymczasem musiała wszystko załatwiać sama. Martwiła się o pałac, nie wiedząc, czy dach już został naprawiony i czy wyprano obicia w wielkim salonie oraz w sali balowej. Przed odjazdem pan Bochniak zapewnił ją, że znajdzie majstra, który poprawi uszkodzone freski na sufitach i ścianach.

Podskakiwała nerwowo, słysząc dzwonek do drzwi, oznajmiający kolejną wizytę ewentualnego nabywcy mieszkania. Przeważnie byli to pewni siebie mężczyźni, elegancko, choć bez gustu ubrani, z grubymi złotymi brelokami w kieszonce kamizelki. Wiedzeni niezawodnym instynktem, targowali się z nią jak z przekupką o pęczek włoszczyzny, każdym słowem okazując swoją wyższość. Twardzi jak żelazo, próbowali narzucić jej swoją wolę.

– Nigdy nie miałam uprzedzenia do Żydów. Ci, których znałam, byli uczciwymi, ciężko pracującymi ludźmi i zasługiwali na szacunek – żaliła się następnego dnia Emilce, doprowadzona do pasji kilkoma nieudanymi

próbami sprzedaży. – Wuj Ksawery i Aleks nauczyli mnie szanować ich mądrość i genialne zdolności do interesów, ale teraz mam do nich coraz mniej sympatii. Kiedy słyszę dzwonek, zaczyna mnie boleć głowa. Oni doskonale wiedzą, że nie znam się na handlu nieruchomościami. Jestem zmuszona sprzedać tę część domu, a oni starają się to wykorzystać, proponując mi najniższą cenę, dosłownie grosze... – Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka, a siedząca w przedpokoju żona dozorczy zapowiedziała nowego gościa. – O, zaraz sama się przekonasz! – syknęła przez zęby.

Do salonu wkroczył wysoki, szczupły mężczyzna w ciemnym, dosyć wytartym garniturze i spodniach mocno wypchanych na kolanach. Za to na jego piersi połyskiwał złoty brelok od zegarka takiej grubości, że można by na nim prowadzić byka. Na serdecznym palcu lewej ręki, poplamionej atramentem, błyszczał wielki brylant, a diamentowa agrafa podtrzymywała niedbale zawiązany węzeł krawata. Gość miał wąską semicką twarz i bardzo bystre oczy ukryte za niebieskimi szklami okularów. Zacięte wargi znamionowały przebiegłość, a mocny podbródek upór. Bezceremonialnie rozejrzał się po pokoju i złożył paniom dosyć wyniosły ukłon. Nina, obserwująca z rozdrażnieniem jego zachowanie, skinęła mu głową z jeszcze większą dumą. Nie przedstawiając się, mężczyzna usiadł na palisandrowym krześle obitym złocistym brokatem i nieznacznie pomacał tkaninę. Założył nogę na nogę, obrzucając obie damy przenikliwym wzrokiem.

– Pani hrabina jest zdecydowana sprzedać ten lokal? – pierwszy przerwał milczenie, błędząc oczami po ścianach salonu, zawieszonych pięknymi obrazami i wspaniałymi wschodnimi kilimami.

– Tak.

Chrząknął, obracając w kościstych palcach gałkę laski.

– Czy wolno obejrzyć mieszkanie?

– Niech Bartosiowa oprowadzi pana – poleciła Nina stróżce, a kiedy gość wyszedł, spojrzała na Emilkę wymownie i mruknęła: – A nie mówiłam?

– Rzeczywiście bardzo źle wychowany człowiek – z niesmakiem przyznała młoda pani Borutyńska.

Po dłuższym czasie mężczyzna wrócił i siadając na krześle, śledził uważnie spod oka zachowanie Niny.

– Ile pani hrabina żąda za to mieszkanie? – zagadnął swobodnie.

– Obawiam się, że nie będzie pana stać na kupno – odparowała lodowatym tonem. – To bardzo drogi apartament, w znakomitym punkcie miasta.

Zaśmiał się, nie spuszczać z niej wzroku.

– Niewiele jest rzeczy w tym mieście, za które nie mógłbym zapłacić.

Jego natrętnie spojrzenie niesłychanie ją denerwowało. Kto wie, czy właśnie nie o to mu chodziło. Człowiek nerwowy popełnia głupstwa.

– W takim razie czekam na pańską ofertę – powiedziała krótko.

– Nie, to ja czekam, aż pani poda swoją cenę. – Nieznacznie wzruszył ramionami. – Mieszkanie dosyć zaniedbane, wymaga gruntownego remontu.

– Mieszkanie jest wspaniałe, oceniali je lepsi znawcy od pana. Poza tym ja sprzedaję połowę kamienicy, a to istotna różnica – mruknęła, kipiąc z gniewu.

Mężczyzna przysunął krzesło bliżej kanapy i pochylił ku Ninie głowę, drapiąc się po krogulczym nosie.

– A jeżeli ja zamierzam kupić samo mieszkanie?

– W takim razie pańska wizyta minęła się z celem. Żegnam.

Nina podniosła się na znak, że uważa rozmowę za skończoną, lecz gość pochwycił ją za rękę, zmuszając do ponownego zajęcia miejsca.

– Sza! – rzekł z przebiegłym uśmiechem. – W interesach nie ma gniewu. Pani hrabina, słyszałem, żąda piętnastu tysięcy?

Skinęła głową, bo gniew nie pozwolił jej wydobyć głosu. Miała szaloną ochotę złapać zuchwalca za kołnierz i osobiście wyrzucić go za drzwi. Tylko paląca potrzeba pieniędzy zmuszała ją do przyjmowania tego rodzaju kreatur.

– Piętnaście tysięcy... – Cmoknął. – Uj, to duży pieniądz. Ja muszę ciężko pracować na taki pieniądz. Tyle rubelków za takie rudere? Jak ja to kupię, to ona mi się na głowę zawali. Pani hrabina raczy żartować. Kto w tych ciężkich czasach ma pieniądz, żeby kupować taki stary, brzydki dom?

„Ty chytrusie, pragniesz wycyganąć ode mnie pół domu za kilka tysięcy, ale to ci się nie uda!” – myślała z pasją, zaciskając drobne dłonie w pięści.

– Proszę nie stosować tutaj jarmarcznego żargonu! – upomniała go surowo. – Nie zamierzam narażać pana na dodatkowe koszty pogrzebu, na wypadek gdyby ta rudera przywaliła pana, i w związku z powyższym

uwazam, że więcej nie mamy o czym mówić. – Zamierzała wstać i wyjść, lecz mężczyzna ponownie posadził ją na kanapie.

– Przecież ja jeszcze nic nie powiedziałem – oświadczył, klepiąc ją w kolano.

– Oznajmił pan, że mieszkanie jest zaniedbane, dom to rudera, a cena jest zawyżona. To przesądza sprawę – warknęła, strącając jego dłoń z kolana.

– Uś! Ja widzę, że pani hrabina patrzy na mnie złym okiem. Ale ja jestem bankier i muszę wszystko przemyśleć i wykalkulować, żeby potem nie pluć sobie w brodę. Pani hrabina pewnie myśli: „Co taki parch sobie wyobraża?”. Tymczasem mnie ludzie powierzają swoje pieniądze i ja w moim życiu nie chcę słyszeć, że robię zły interes. Ja zawsze robię tylko dobry interes!

– Niech pan nie próbuje imputować mi własnych wyobrażeń, bo tego sobie nie życzę.

– Żebym czego nie robił? – Popatrzył na nią podejrzliwie. – Im... O, to musi być bardzo brzydkie słowo, bo ja go nie znam.

Emilka prychnęła i prędko udała, że kaszle, ale Nina nie miała ochoty do śmiechu.

– Prosiłam, aby pan nie wmawiał mi tego, czego nie myślę. Nie sądzę, żebyśmy doszli do porozumienia, więc...

– Aha, jeszcze momencik! Ja nie powiedziałem, że tego lokalu nie kupię.

– Wobec tego proszę o stanowczą odpowiedź, bo mnie się śpieszy – oświadczyła nieostrożnie i po fakcie ugryzła się w język.

Bankier uśmiechnął się pod nosem, a drwiący błysk przemknął po jego twarzy.

– Pani hrabina się śpieszy, ale ja nie. Ja mogę czekać, aż pani hrabina obniży cenę. I tak się właśnie robi dobre interesy. – Złożył jej szyderczy ukłon.

– O, łaski mi pan nie robi. Mam już innych zainteresowanych kupnem – odparła lekceważąco.

Bankier popatrzył na nią z litościwą zadumą, jakby chciał powiedzieć: „Co ty, dzieciaku, wiesz o interesach?”. Jej pewność siebie bynajmniej go nie zwiodła. Doskonale wiedział, że młoda dama ma nóż na gardle i musi sprzedać mieszkanie w możliwie najkrótszym czasie. Na wstępie zasięgnął już informacji o stanie majątkowym Klonowieckich i o ich interesach wiedział więcej, niż Nina mogła sobie to wyobrazić. Nie musiał się

obawiać, że ktoś inny go ubiegnie, ponieważ Żydzi z właściwą sobie solidarnością dali mu do zrozumienia, że nie reflektują na kupno połowy kamienicy, a innych chętnych na razie nie było. Nina, sama o tym nie wiedząc, była na jego łasce i niełasce.

– Gdyby byli inni nabywcy prócz mnie, to pani hrabina nie raczyłaby nawet ze mną rozmawiać – oznajmił z brutalną otwartością. – Mnie nie trzeba tłumaczyć, co to jest interes. Jakbym ja nie wiedział, co to kapitał, to ja bym dalej siedział na Nalewkach i handlował starzyzną, a ludzie wołaliby na mnie: „Dawidek!”. Teraz ja jestem pan Dawid Rosenduft, bankier, i mnie hrabiowie kłaniają się pierwsi. Dam pani za wszystko osiem tysięcy, no już!

– Nie mamy o czym mówić – powiedziała, drżąc z obrażonej dumy.

Bankier rozsiadł się jeszcze wygodniej i rozejrzawszy się po salonie, zaczął jej perswadować jak przygłupiemu dzieciakowi:

– Teraz nikt domów nie kupuje, bo jeden Bóg raczy wiedzieć, czy tym Moskalom jutro nie wpadnie do głowy, żeby zbombardować miasto z armat. A wtedy jak ja będę wyglądał, kiedy z mojej kamienicy zostanie kupa gruzów? Ale niech tam! Ja mam miętkie serce. Wolę sam się zrujnować, niż pokrzywdzić takie piękne osobe. Najwyżej moja żona i dzieci pomrą z głodu. No, dziesięć tysięcy i skończone. Git?

– Ależ panie! – wykrzyknęła Emilka, wtrącając się do rozmowy. – To jest grabież, nie żadne kupno!

– Skończone, ale nie „git” – powiedziała Nina dziwnie spokojnym głosem. – Piętnaście tysięcy i ani kopiejki mniej. A gdyby pan za długo się namyślał, to jutro będzie szesnaście tysięcy, potem siedemnaście i tak dalej... aż do stu tysięcy!

Bankier, licząc na jej młodość i niedoświadczenie, spodziewał się raczej łez i próśb, a nie tak zdecydowanego postawienia sprawy. Był tym zaskoczony i nie wiedział, co powiedzieć. Tymczasem Nina sięgnęła do dzwonnka i przywołała stróżkę. Mężczyzna sapnął i z niezadowoleniem wysunął dolną wargę.

– Ufff, jaka pani hrabina jest uparta! Mojej żonie chce się ładnie mieszkać i ona raz puści mnie z torbami, ta moja Rojza. Jej się chce hrabiowskich salonów. Co prawda, dzieci miałyby stąd bliżej do szkoły i do parku, mógłbym zaoszczędzić na koniach. Te konie strasznie dużo żrą! Tu są nawet pijalnie wód mineralnych i moja Rojza nie musiałyby latem jeździć

do Karlsbadu. Nie, nie, dziesięć tysięcy to bardzo dobra cena i nikt pani więcej nie da.

Nina miała trudny do odgadnięcia wyraz twarzy.

– Proszę nie zapominać, o czym mówiłam...

Bankier zmrużył oczy, namyślał się przez chwilę, i rzekł stanowczo:

– Ostatnia cena jedenaście tysięcy rubli. Więcej nie dam!

Nina zagryzła usta, żeby nie zakląć głośno. Z tłumioną wściekłością rzekła do stróżki:

– Niech Bartosiowa wyprowadzi pana.

Bankier bez cienia urazy powstał z krzesła. Owszem, uśmiechał się z pewną siebie miną.

– Ja tu jutro wrócę i proszę mi wierzyć, nikt pani nie da więcej. – Ukłonił się i wyszedł, obmacując po drodze kotary i jedwabne obicia na ścianach.

Nina rzuciła się twarzą na kanapę, bijąc w nią zaciśniętymi pięściami.

– Boże, dlaczego muszę znosić takie poniżenie?! – wołała, zalewając się łzami rozpacz. – Nie zniosę tego dłużej! Nie znam się na cenach domów i tacy handlarze mogą mi narzucić cenę, jaka im się podoba. Emilko, czy nie znasz kogoś, kto mógłby powiedzieć, ile warta jest ta nieruchomość?

– Złotko, ja nie mam takich znajomości. – Emilka pochyliła się i ucałowała ją w czoło.

– Ach, przekłety kapitalista, wyzyskiwacz, krwio pijca! – wymyślała ogarnięta furią Nina, używając zwrotów wyczytanych w ulotkach podziemnych.

– A może ty naprawdę za dużo żądasz? – szepnęła nieśmiało Emilka. – Oferowano ci wyższą cenę?

– Nie. – Nina usiadła i energicznie wysiąkała nosek. – Boże, kto mógłby mi powiedzieć, ile kosztuje kamienica?

– Obawiam się, że od Żydów się tego nie dowiesz – westchnęła Emilka. – Kochanie, ja, niestety, muszę jutro jechać. Zostaniesz tu sama?

– Muszę. – Nina spojrzała do lustra i przygładziła nastroszone włosy. – Może pan mecenas Porzycki wróci wcześniej.

– Sprzedasz mieszkanie temu bankierowi?

– Nie! O, jaka szkoda, że wyjeżdżasz...

– Mnie również jest przykro zostawiać cię tu samą. Napisz list do domu, bo po drodze wstąpię do Makowa. Rano przyjdę, żeby się pożegnać. Odwiedzaj moich rodziców, są tobą zachwyceni.

– Wiesz, dam ci moją karekę – postanowiła Nina. – Jak uda mi się sprzedać mieszkanie, wrócę ekstrapocztą. Muszę mieć tylko zezwolenie na zmianę koni pocztowych.

– Jutro przyniosę ci podorożną.

Ociągając się, Emilka zaczęła zbierać się do wyjścia. Narzuciła na ramiona szal, patrząc ze współczuciem na przygnębioną przyjaciółkę. Chętnie pozostałaby w Warszawie jeszcze parę dni, lecz była kurierem i nie wolno jej było zwlekać z wyjazdem, kierując się prywatą.

– O, dziękuję ci za karekę, szybciej będę w Makowie. To do jutra, kochanie. A może wolisz iść ze mną do moich rodziców?

– Niestety, muszę tu siedzieć i czekać, bo może ktoś się zjawi. – Nina posmutniała i wtuliła się w kąt kanapy.

Ucałowały się i Emilka wyszła. Nina była tak rozdrażniona, że chciała zawołać Bartosiową i zapowiedzieć jej, że nikogo już dziś nie przyjmie. Wzięła z półki pierwszą lepszą książkę, lecz natrafiwszy na jakiś rzewny romans, odłożyła go z grymasem nudy. Nie potrafiła skupić myśli na lekturze, cały czas rozpamiętując rozmowę z bankierem. „Boże Świąty – myślała zatroskana. – Czy ja nie żądam za wiele, a może za mało? Żydzi są bardzo mądrzy i żaden mi nie powie, czy robię dobry lub zły interes. Josel by mi powiedział, ale on już dawno nie był w Makowie. Zapewne są tu jakieś firmy handlujące nieruchomościami, lecz ich właściciele również nie będą chcieli psuć sobie okazji kupna połowy kamienicy za grosze i nie ujawnią mi ceny. – Z uwagą rozejrzała się po pokoju. – Przecież takie wspaniałe meble i inne przedmioty mają dużą wartość”.

Przypomniała sobie bezczelne uwagi bankiera i znowu ogarnęła ją pasja. Zachowywał się w taki sposób, jakby ona była ubogą interesantką, proszącą o prolongatę zadłużenia. Przeszła się po pokoju, gładząc filigranową etażerkę pełną ślicznych bibelotów. Z tym mieszkaniem wiązały się wspomnienia oświadczyn Aleksa i beztroskich dni narzeczeństwa. Bolała nad tym, że zmuszona jest sprzedać swoje piękne mieszkanie jakiemuś groszorobowi, być może za połowę jego wartości, lecz nie miała wyboru – Maków potrzebował ratunku!

Właśnie się zastanawiała, co zrobić z resztą nudnego popołudnia, gdy do pokoju nieśmiało wsunęła się Bartosiowa.

– Jakieś państwo przyśli wedle tego lokalu – oznajmiła, dygając.

– Niech wejdą – powiedziała Nina grobowym głosem, przygotowując się do następnej rozprawy z aroganckim nuworyszem.

Poprawiła przed lustrem fryzurę i mocno uszczypnęła się w oba policzki, uznawszy, że wygląda blado i mizernie. Wygładziła zmiętą suknię i zasiadła na kanapie z książką, udając pogrążoną w lekturze. W drzwiach, szeroko otwartych przez Bartosiową, pojawiła się dziwna para. Mężczyzna był starszym człowiekiem z rozłożystą brodą opadającą mu aż na piersi. Za nim dreptała okrągłutka, niska kobieta w bogatej, lecz niegustownej toalecie. Cała w uśmiechach, dygnęła na widok Niny jak pensjonarka. Na środku salonu energicznie pociągnęła męża za rękaw i oboje złożyli głęboki ukłon. Zabawna para zrobiła na Ninie sympatyczne wrażenie, więc posłała im miły uśmiech i poprosiła, by zajęli miejsca.

– Czy to mieszkanie jest jeszcze na sprzedaż? – zagadnął ją brodaty pan po francusku, podając swoją kartę wizytową. Z pewnością nie był osobą z towarzystwa, bo miał fatalny akcent i wysławiał się z trudnością.

– Mam wielu chętnych – oznajmiła Nina z rezerwą, nie rzuciwszy nawet okiem na wizytówkę.

– Ale ostatecznej decyzji jeszcze pani hrabina nie podjęła? – wyrwała się tłuściutka pani, wpatrując się w Ninę z napięciem. Po francusku mówiła równie źle jak małżonek.

– W zasadzie jutro miałam zamiar podpisać umowę o sprzedaży. – Nina zachowywała się ostrożnie, zorientowawszy się, że goście mają wielki apetyt na kupno mieszkania i nawet tego nie kryli.

– Ach, to prawdziwe nieszczęście! – Tłuściutka pani zatrzepotała dłońmi. – Bo my, szanowna pani hrabino, dopiero przed godziną dowiedzieliśmy się w banku, że jest bardzo piękne mieszkanie na sprzedaż. W Warszawie jesteśmy od kilku dni, mieszkamy w hotelu i nie znamy miasta. O, jaki to prześliczny pokój! – Rozglądnęła się, zatrzymując wzrok na wielkich lustrach i obrazach w złoconych ramach. – Sam dom także imponujący, a okolica bardzo przyjemna, wszystko w centrum miasta.

Mężczyzna posłał żonie zniecierpliwione spojrzenie.

– Czy pani hrabina powzięła stanowczą decyzję w sprawie sprzedaży? – przerwał entuzjastyczny potok słów żony. – Nie można jej zmienić?

Nina udała, że się zastanawia, przybierając niezdecydowaną minę.

– Taki miałam zamiar. – Podniosła się z kanapy i obdarzyła gości czarującym uśmiechem. – Widzę, że państwu się tu podoba. W takim razie

pokażę inne pokoje – oświadczyła, postanawiając oprowadzić ich osobiście.

Poleciała Bartosiowej zapalić wszystkie żyrandole i powiodła ich amfiladą salonów, nie śpiesząc się, aby mieli czas napatrzeć się na fantazyjne komódki, szyfonierki z różanego drewna, obejrzeć cenne obrazy i bibeloty. Goście nie posiadali się z zachwytu, idąc po puszystych wschodnich dywanach i co chwilę przystając, by przyjrzeć się z podziwem meblom albo miękkim kanapom wybitym aksamitem lub jedwabiem. Obserwując swoich gości, Nina stwierdziła, że pasują oni do tego wytwornego wnętrza jak przysłowiowy wół do karety, ale nie czuła do nich niechęci i marzyła, żeby mieć już całą sprawę za sobą i wrócić do domu. Czekala na nią odbudowa Makowa!

Kiedy ponownie usiedli, mężczyzna spojrzal jej prosto w oczy i przez moment miała nieprzyjemne wrażenie, że stara się odczytać jej myśli. „Nie obchodzi mnie to, co sobie wyobrażasz” – z kamiennym spokojem wytrzymała jego badawczy wzrok.

– Pani hrabina razem z mieszkaniem sprzedaje pół domu, prawda? – zagadnął.

– Owszem. Wyżej jest apartament pięciopokojowy, a na poddaszu mieszkanie trzypokojowe. Każdy lokal posiada osobne wejście i schody dla służby oraz pokój kąpielowy.

Otyła pani słuchała jej w skupieniu, rozkładając fałdy jedwabnej sukni orzechowego koloru, tak szerokiej, że sprawiała wrażenie, jakby posadzono ją w balii.

– Pierre, jeżeli pani hrabina raczy wyrazić zgodę na sprzedaż, to nie wahaj się ani sekundy. Zawsze marzyłam o takim apartamencie i nareszcie będziemy mieszkali jak ludzie kulturalni. Druga taka okazja nam się nie trafi. Jakie tu meble, dzieła sztuki, dywany... *Hospody!*

Nina drgnęła i popatrzyła na nich z osłupieniem. „To Rosjanie! – pomyślała, czując w sercu lodowaty chłód. – Nie wolno mi sprzedać mieszkania cioci Moskałom! Tutaj żył wuj Karol, zamęczony przez nich na Sybirze, i ciocia nigdy nie darowałyby mi takiego postępku”. Otworzyła usta, żeby oznajmić im stanowczo, iż zdecydowała się mieszkania nie sprzedawać, ale zaraz przysła jej do głowy rozsądna myśl, że hrabina Tekla, podsuwając Emilce pomysł sprzedaży, z pewnością musiała wiedzieć, że to Rosjanie zechcą je kupić.

– Ile pani hrabina życzy sobie za połowę tego domu? – zagadnął brodac, zaniepokojony jej nagłym zamilknięciem.

– Damy każdą cenę, jakiej pani hrabina raczy zażądać! – emocjonowała się tłusta pani, nie zważając na groźny wzrok męża.

„Nie sprzedam wam domu, nigdy!” – postanowiła. Ale jakaś inna osoba siedząca w jej wnętrzu próbowała zwalczyć ogarniającą ją niechęć do ewentualnych nabywców i to ona, nie Nina, powiedziała głośno i dobitnie:

– Dwadzieścia pięć tysięcy. Przyznacie państwo, że to niemal za darmo.

Mężczyzna syknął, jakby mu ktoś nadepnął na odcisk, lecz energiczna małżonka szturchnęła go w bok łokciem.

– Piotrusza, stać nas na to. Spójrz, z okna widok jest wprost urzekający – zaszczebotała. – Dunieczka zamieszka w tym różowym buduaru i nie będziemy musieli rozstawać się z Wasią. Zajmie ten lokal nad nami. Och, będziemy mieli blisko Darię i dzieciaczki. Bo my mamy już troje wnucząt, proszę pani hrabiny. Rozkoszne maleństwa! A wyżej urządzi się dla Aloszy kawalerskie pokoje. Pierre, nie wypada targować się z panią hrabiną.

– Czy ty sobie wyobrażasz, że ja mam kopalnię złota? – odburknął mąż, ale widać było, że w tym stadle niewiele miał do powiedzenia.

– Cicho! – żona prychnęła na niego jak rozgniewana kotka. – Bardzo prosimy łaskawą panią hrabinę, żeby raczyła sprzedać nam ten apartament razem z połową domu. – Kobieta terkotała tak szybko, jakby się obawiała, że Nina się rozmyśli i wyprosi ich za drzwi. – My, proszę szanownej pani hrabiny, przyjechaliśmy tutaj aż z Tweru. Jesteśmy spokojnymi ludźmi i pragniemy żyć w zgodzie między Polakami. Nie mamy nic wspólnego z tym, co się tu teraz wyprawia. Mnie się w Polsce bardzo podoba. Ludzie tu grzeczni, kulturalni – wiadomo, Europa. Mamy dwóch synów i dwie córki, dochowaliśmy się wnuków. O mieszkanie proszę być spokojną, bo ja zadbam o czystość. Wszystko zachowamy w takim stanie, jakby pani hrabina tu była.

Słuchająca jej Nina ze zdziwieniem skonstatowała, że nie czuje do tych Rosjan nienawiści. Ot, zwykli prości ludzie, bez wielkich pretensji.

– Masza, ty zamęczysz panią hrabinę swoim jazgotem! – Mężczyzna odchrząknął i wyczekująco spojrział na Ninę. – Akceptuję cenę. Czy pani hrabina raczy nam sprzedać to mieszkanie? – spytał rzeczowo.

Nina doznała nagle takiego uczucia, jakiego pewnie doświadcza skazaniec, dowiedziawszy się, że egzekucję odwołano. „O Boże, to chyba

cud!” – pomyślała, ogarnięta szaloną radością. Spuściła oczy, by ukryć ich blask, i przybrała zamyśloną minę.

– No, nie wiem... – szepnęła. – Obiecałam już komuś, ale...

– Pani hrabino! – wykrzyknęła tłusta pani dramatycznym tonem, składając błagalnie rączki. – Proszę!

Nina roześmiała się i wstała z kanapy.

– Przekonała mnie pańska urocza małżonka – zwróciła się do mężczyzny.

– W takim razie czekam na pana jutro do dziesiątej rano. Potem nie będę czuła się zobowiązana i podpiszę umowę z kimś innym – powiedziała, modląc się, żeby tylko się nie rozmyślił.

– Raczy pani przygotować akt sprzedaży. Będę punktualnie o dziesiątej.

Wychodząc, jeszcze w drzwiach składali jej ukłony.

Nina stała na środku salonu, nie mogąc wprost uwierzyć w swoje szczęście. Naraz zaśmiała się głośno i zaczęła tańczyć, wirując po całym salonie i wyśpiewując głośno, a po policzkach płynęły jej łzy radości. Maków był uratowany! Nareszcie mogła wracać do domu!

W sąsiedniej kamienicy mieszkał notariusz. Poprosiła go o sporządzenie aktu zakupu. Urzędnik, usłyszawszy cenę, za jaką sprzedawała pół domu, miał taką minę, jakby zamierzał coś jej powiedzieć, lecz Nina zagłuszyła go entuzjastycznymi okrzykami, nie dopuszczając do słowa.

– Czy pani hrabina zastanowiła się i jest zupełnie pewna tego, co robi? – spytał, kiedy pochyliła się nad dokumentami, by złożyć swój podpis. – Może należy jeszcze się namyślić, zasięgnąć czyjejś porady? To stanowcza decyzja?

– Oczywiście! – oświadczyła z takim zdecydowaniem, że notariusz nie ośmielił się nic więcej dodać.

W ciągu dwóch następnych godzin mieszkanie zmieniło właściciela.

Emilka zastała Ninę w różowym humorze.

– Pogratuluj mi, najmilsza, sprzedałam kamienicę i mieszkanie! Razem wrócimy do domu! Popatrz tylko. – Palcem wskazała poukładane na stole paczki banknotów. – Widzisz? Dwadzieścia pięć tysięcy rubli!

– Aż tyle? Boże, to naprawdę cudownie! – Emilka uściskała ją serdecznie. – A ja już się tak martwiłam... Mam nadzieję, że nie naciągnęłaś na taką sumę tego nadętego bankiera?

– Nie. – Nina spoważniała i z westchnieniem wypuściła ją z ramion. Aż skóra na niej cierpła na samą myśl, jak młoda pani Borutyńska zareaguje, kiedy dowie się, komu ona sprzedała mieszkanie. Może odwróci się od niej z pogardą? – Obawiam się, że to ci się nie spodoba, ale nie zamierzam ukrywać przed tobą prawdy. Sprzedałam pół domu kupcowi rosyjskiemu, który dał mi najwyższą kwotę – wyrzuciła z siebie to wyznanie i spuściła oczy, ze strachem oczekując potępienia.

– A miałaś inny wybór? Dostałaś o wiele więcej, niż oczekiwałaś i tym powinnaś się cieszyć.

Nina odetchnęła, bo Emilka okazała się większą realistką od niej.

– Mojaś ty! Jesteś aniołem! – zawołała, ponownie chwytając ją w objęcia. – Cały czas się martwiłam, że może weźmiesz mi to za złe. Ale ci Rosjanie byli sympatyczni i wcale się nie targowali. Wręczyli mi pieniądze i jeszcze podziękowali za łaskę. Emilciu... – Spojrzała na nią badawczo. – Jak uważasz, złotko, czy ciotunia Tekla nie potępi mnie za tę sprzedaż?

– Zmarli wiedzą chyba więcej od nas. Zresztą przyjdzie czas, że odbierzemy zaborcom ten dom i całą resztę kraju! – Na jedną krótką chwilę twarz młodej kobiety znieruchomiała, wyrażając zimną zawziętość. W

niebieskich oczach pojawił się stalowy błysk. – Aha, coś ci miałam powiedzieć... Nino, ja się rozmyśliłam i nie skorzystam z karety, tylko pojedę kurierką pocztową. – Emilka zarumieniła się i spuściła oczy.

Nina patrzyła na nią z uśmiechem.

– Emilko, moja kochana, przecież ty wcale nie potrafisz kłamać. Lepiej powiedz mi bez bicia, co takiego kompromitującego z sobą bierzesz?

– Poczekaj... – Emilka wyszła do przedpokoju i wróciła, taszcząc z wysiłkiem wielką torbę, tak ciężką, że aż stękała, wnosząc ją do pokoju. – Widzisz, Ninko, wzięłam z sobą kilka rewolwerów dla nowo tworzącej się partii. Akurat trafiła się dostawa broni i byłoby grzechem nie skorzystać z okazji. Ale nie mogę narażać cię na niebezpieczeństwo, bo mam przy sobie także trochę ulotek i innych rzeczy. Pojadę kurierką.

Nina klasnęła, patrząc na Emilkę jak na osobę obraną z rozumu.

– I z takim arsenałem chcesz jechać kareta pocztową? – Znacząco popukała się w czoło. – Czy ty masz dobrze w łepetynie? Lepiej od razu zgłoś się do żandarmerii, kotku. Oszczędzisz im fatygi, a sobie nerwów. – Posłała Emilce ukośne spojrzenie. – Zrobiłaś mi przykrość, bo widzę, że uważasz mnie za osobę tchórzliwą. No, już dobrze... – mruknęła, gdy Emilka rzuciła się jej na szyję. – Pojedziemy razem kareta i koniec dyskusji. Czekaj, trzeba gdzieś schować tę torbę, bo zaraz tu przyjdzie Bartosiowa. Daj, pomogę ci. O Jezu, sama dźwigałaś taki ciężar? Przecież to cały magazyn broni!

– Jakoś nikt mi się nie trafił do pomocy – tłumaczyła się, głośno sapiąc. – Dziękuję, Ninusiu, jesteś taka dzielna.

– Nie, to ty, Emilko, jesteś żelazną kobietą. No, złodzieje, napadając na nas, solidnie by się obłowili. Wieziemy mnóstwo pieniędzy.

Emilka nie odpowiedziała, bo nagle pobladła i pośpiesznie wyszła, zamykając się w pokoju kąpielowym. Zaniepokojona Nina pobiegła za nią i zastała ją gwałtownie wymiotującą. Klęcząc nad miską, Emilka jęczała, targana nudnościami.

– Kochana moja, źle się czujesz? – spytała przestraszona Nina. – Co ci dolega?

Emilka usiadła na piętach, oddychając z trudem. Była trupio blada i pot zrosił jej czoło. Nina prędko zmoczyła ręcznik i przetrła jej twarz, szyję i dekolt.

– Przepraszam. Już mi lepiej – wyszeptała Emilka ochryłym głosem. – Pewnie coś mi zaszkodziło na śniadanie – mówiąc to, nie patrzyła Ninie w oczy.

– Doprawdy? Hm, a może ty jesteś...?

– Nie, chyba nie. – Emilka zarumieniła się po skraj włosów i nie podnosiła głowy.

– W takim razie powiedz mi, kiedy miałaś ostatnią miesięczną dolegliwość. – Nina przysiadła na podłodze obok niej, nie zamierzając zaprzestać indagacji.

Zamiast odpowiedzi Emilka przytuliła się do niej.

– Tak, jestem – szepnęła Ninie do ucha. – Tylko proszę, nie mów jeszcze o tym nikomu, dobrze? Na razie nikt o tym nie wie.

– Dziewczyno, Jasiek chyba oszaleje z radości! To ile już?

– Chyba trzy miesiące. Jak byłeś w Krakowie, widywaliśmy się z Januszem codziennie, więc pewnie wtedy...

Nina przypomniała sobie ciężką torbę i trzepnęła ją mocno po ręce.

– Najchętniej wlepiłabym ci kilka porządnych klapsów na gołą pupę! – zawołała rozgniewana. – Chcesz poronić? Nie zależy ci na tym dziecku? Jak możesz w tym stanie dźwigać takie ciężary? Narazić się na aresztowanie i Sybir... Powinnaś zrezygnować z pracy kurierskiej.

– Nie miałam kogo prosić o pomoc, ale obiecuję, że będę bardzo uważała na siebie. – Emilka spojrzała na nią ze skrucą i wyznała z rozpaczliwą otwartością: – Nino, ja strasznie pragnę tego dziecka! Oboje z Januszem czekaliśmy na to z utęsknieniem, ale nie wiedziałam, że zajdę tak szybko. Obojętnie, co się urodzi, chłopiec czy dziewczynka, po prostu chcemy tego dziecka.

Nina ponuro pokiwała głową.

– Boże, co za czasy, że dla przegranej sprawy kobiety narażają nienarodzone dzieci.

– Ty również to zrobiłaś – przypomniała Emilka. – Tak samo spodziewałaś się dziecka.

– Wybrałaś sobie niewłaściwy przykład. – Nina zmusiła się do spokoju. – Zrobiłam to dla Alka, nie dla powstania. Mój biedny synek nie przeżył tej awantury i tego sobie nigdy nie daruję. Nie naśladuj mnie, żebyś nie musiała potem żałować.

Zamilkła, bo jej serce przeniknął głęboki smutek, jak zwykle, kiedy wspominała zmarłego Olesia.

– Jesteś dla siebie niesprawiedliwa. – Przy pomocy Niny młoda kobieta dźwignęła się z podłogi. – Pan hrabia zna cię lepiej niż ty siebie. Nie ożeniłby się z nieodpowiednią kobietą.

Nina uśmiechnęła się ironicznie.

– Emilko, mężczyźni nie żenią się z kobietami dla wspólnych idei, lecz dlatego, że jej pragną albo potrzebują posagu. Mój mąż także mógł się pomylić co do mojej osoby – powiedziała raczej do siebie niż do przyjaciółki.

– Twój mąż jest z ciebie dumny.

Nina z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

– Zaparzę ci miętę z melisą, złotko. Na nudności nie ma jak mięta i mocna kawa.

Wyjechały jeszcze tego samego dnia, po pożegnalnym obiedzie u państwa Maciejewskich. Emilka się popłakała, lecz wolała mieszkać w Makowie, bliżej walczącego męża, przy teściowej i Ninie, którą pokochała jak siostrę i szczerze podziwiała, nie biorąc sobie do serca jej krytycznych wypowiedzi na temat powstania.

Nina opuszczała Warszawę bez żalu, bo nigdy nie lubiła miasta. Tęskniła do domu i ukochanych Gór Świętokrzyskich. Poza tym stolica przypominała jej Wielenina, a o nim nie chciała i bała się myśleć. Podziwiała męstwo tamtejszych mieszkańców, lecz ciągle miała wrażenie, że życie toczy się tam dwoma nurtami, a całe miasto podminowane jest krecią robotą. Drażniły ją na ulicach patrole kozackie, stójkowi na rogach i żandarmi patrzący podejrzliwie na przechodniów. W poszukiwaniu podziemnego rządu władze carskie ciągle przeprowadzały rewizje w kościołach, klasztorach i na cmentarzach. Szukano w mieszkaniach prywatnych, nie darowano nawet warszawskim przekupkom i domom publicznym, przesłuchując prostytutki.

Przed wyjazdem Nina zamówiła firmę przewozową, która miała dostarczyć do Makowa wybrane przez nią niektóre meble i kosztowne przedmioty, a także rodzinne portrety. Tych rzeczy nie chciała zostawiać nowym lokatorom. Wysłała również do domu depeszę, polecając, żeby w Suchedniowie czekał na nią Maciek z makowskim zaprzęgiem. Podróżowała końmi pocztowymi, obawiając się narazić wspaniałe araby na

rekwizycję przez wojsko carskie czy powstańców, wcale nie lepszych w tej sprawie od Moskali.

W czasie podróży kareta raz tylko została zatrzymana przez niewielki polski oddziałek. Powstańcy na widok dwóch młodych i pięknych dam złożyli im szarmancki ukłon i przepuścili powóz. Siedzący na koźle pocztowiec zatrąbił im na pożegnanie pierwsze takty bojowej pieśni: *Hej, strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały*. Stach, powożący na zmianę z pocztowcem, skrzywił się i zrzędził pod nosem:

– To mają być konie? Aż wstyd człowiekowi siedzieć na koźle, bo jeszcze ktoś pomyśli, że to nasze. O, jak to parska, a ledwie nogi za sobą wlecze. Pokraki, żydowskie chabety...

Nina, zirytowana jego marudzeniem, wychyliła się z okna.

– Stach pewnie wolałby widzieć nasze araby wyprzęgnięte z uprzęży przez Moskali albo ludzi z lasu?

– O, Moskałom to bym koni nie dał! Ale naszym chłopcom kto wie... – Zachichotał pod nosem.

Nina wydała gniewny pomruk, lecz wolała nie komentować jego wypowiedzi. Staremu stangretowi wiele uchodziło na sucho, szczególnie teraz, kiedy po śmierci Kacpra to on był koniuszym i zarządzał stajnią, trzymając masztalerzy twardą ręką.

Pod Rejowem spadło koło. Wprawdzie przytomny Stach natychmiast zatrzymał rozpędzoną karete i nikomu nic się nie stało, ale obie panie bardzo się przestraszyły, a Emilka dodatkowo nabiła sobie guza na czole, uderzywszy głową o ramę okienną. Stanęli na środku pustej drogi pomiędzy dwiema ścianami lasu. Znudzone długą przerwą w podróży młode damy wysiadły i zaczęły się przechadzać, zrywając polne kwiaty. Było dopiero południe i majowe słońce przygrzewało jak w lipcu. Po lazurowym niebie płynęły wolno białe puszyste obłoki. Z wysokości dolatywał śpiew skowronka. Przysiadły na zwalonym pniu, podziwiając piękno krajobrazu. Tymczasem Stach i pocztowiec usiłowali założyć koło, mozolnie dźwigając bok powozu.

– A to pech – westchnęła Nina. – Stachu, czy daleko jeszcze do Suchedniowa?

– Przecie dopiero minęliśmy Rejów – odpowiedział, ocierając pot z czoła. Zmęczył się i głośno oddychał. – Do Suchedniowa jeszcze kawał drogi.

– Do licha, miałam nadzieję, że w nocy dojedziemy do Makowa. – Nina bezwiednie zaczęła skubać zerwane kwiaty. – Może w domu czeka na nas jakaś wiadomość od Alka i Jasia? Taka jestem niespokojna...

– Pan hrabia z pewnością o tym wie i jak tylko będzie to możliwe, dostaniemy od nich listy – pocieszała ją Emilka. – Pan hrabia bardzo cię kocha i wprost stawia cię na piedestale.

Nina roześmiała się filuternie.

– Czy wiesz, dlaczego panowie stawiają kobiety na piedestale?

– Dlaczego? – zaciekała się młoda pani Borutyńska.

– Żeby lepiej widzieć nóżki!

Emilkę zatkało i dopiero po chwili wybuchła serdecznym śmiechem.

– Ninko, jesteś taka oryginalna, absolutnie inna od tych salonowych napuszonych dam. Wyobraź sobie, że jadąc pierwszy raz do Makowa, okropnie się bałam, że zastanę tam jakąś wyniosłą, nieprzystępną piękność. Och, bałam się pani hrabiny Klonowieckiej!

– Bo ja, moja Emilko, wcale nie jestem wielką damą i chyba nie nadaję się na panią hrabinę. Wyszłam za mego męża z wielkiej miłości, nie dlatego, że był hrabią i bogaczem. Jestem prostą dziewczyną i niewiele mam wspólnego z arystokracją.

Mówiąc to, Nina posmutniała, przypomniawszy sobie, że ich małżeństwo uważane było w rodzinie za mezalians.

– To nieprawda! – energicznie zaprzeczyła Emilka. – Ty urodziłaś się już wielką damą. Janusz wspominał, że pochodzisz ze starożytnego rodu.

– No owszem, ale moje zachowanie pozostawia wiele do życzenia. Lubię przeklinać, często wrzeszczę i się złościę. Nienawidzę konwenansów. Wielkie damy w ten sposób się nie zachowują.

– To tylko dodaje ci wdzięku. Nie jesteś sztywna i nienaturalna i wszyscy cię kochają.

– Dziękuję ci, złotko. – Nina pocałowała ją, a potem spojrzała w stronę karety i zawołała: – Stachu, jeżeli pośpieszycie się z naprawą, każdy dostanie ode mnie po dwadzieścia rubli!

– Bóg zapłać, za jakąś godzinkę pojedziemy. – Stach zatarł dłonie i z nowym zapalem wzięli się z pocztowcem do pracy.

Nina wciągnęła w płuca zapach lasu, rozgrzanej słońcem żywicy i drzew iglastych.

– Spójrz, Emilko, jak tu cudownie – odezwała się, unosząc ramię i zakreślając palcem koło. – Nie wyobrażam sobie, że mogłabym na stałe zamieszkać w mieście. Zresztą w Warszawie nie wszystko mi się podoba.

– Na przykład co? – Będąc rodowitą warszawianką, Emilka nie lubiła słuchać krytyki ukochanego miasta.

– Wczoraj, przechodząc przez plac Saski, widziałam, jak jakiś młody człowiek splunął na pomnik generałów zabitych w czasie rewolucji listopadowej.

– To częste zjawisko. – Emilka nie przejęła się tą uwagą. – Pomnik kazał postawić car Mikołaj I, aby uczcić pamięć zdrajców.

Strzepnąwszy ze spódnicy płatki kwiatów, Emilka plotła wianuszek ze stokrotek.

– To nie byli zdrajcy, lecz wyżsi oficerowie, którzy składali przysięgę na wierność – rozsądnie zauważyła Nina.

– Sama sobie odpowiedziałas. Składali dobrowolnie przysięgę carowi! To byli zdrajcy! – Emilka nie lubiła zmieniać zdania.

– Nie zgadzam się z tobą! – Nina była równie uparta i starała się argumentami dowieść swojej racji. – Przecież Mikołaj I był koronowanym królem Polski i to jemu generałowie składali przysięgę, nie carowi Rosji. Nie byli renegatami, jak generał Zajączek, wysługujący się księciu Konstantemu Pawłowiczowi. Nie zapominaj, że społeczeństwo polskie wcale nie protestowało, gdy car Aleksander I koronował się na króla Polski, ale przyjęło ten fakt z entuzjazmem. Po upadku Napoleona car powołał wojsko polskie i większość zasłużonych ojczyźnie oficerów napoleońskich pośpieszyła pod jego sztandary. To byli dobrzy żołnierze i wielokroć dali dowody patriotyzmu, walcząc przeciwko Rosji. Trudno im się dziwić, że nie kwapili się przystąpić do powstania ogłoszonego przez kilku młodych zapaleńców. Moim zdaniem postąpili zgodnie z honorem i stali się ofiarami tragedii narodowej. Nie powinno się opluwać pomnika poświęconego ich pamięci.

– Być może – dla świętego spokoju zgodziła się Emilka.

Nina zamilkła, nie zamierzając dłużej kontynuować przykrego tematu. Wiedziała, że w młodej pani Borutyńskiej nie ma wdzięcznej słuchaczki. Nieprzewidziana przerwa w podróży działała jej na nerwy. Nie mogąc spokojnie usiedzieć, zaczęła spacerować, cisnąwszy z gniewem kilka zgniecionych kwiatów.

– Och, nie miała baba kłopotu! – utyskiwała głośno, przytupując niecierpliwie.

– Zaraz będzie je miała, i to nie byle jakie – zauważyła spokojnie Emilka.
– Spójrz tylko na koniec drogi.

Nina wykonała błyskawiczny obrót i rzuciła okiem na koniec drogi, ginący pomiędzy drzewami. Ostatni kwiat wysunął się z jej palców i w całym ciele poczuła mróz. Z rozchyłonymi ustami wpatrywała się w oddziałek dragonów, zbliżający się prędko w stronę stojącej na środku drogi karety.

– Jezus Maria, Moskale – wydała cichy jęk. – Stachu, nie możemy jeszcze jechać?

– A żeby ich morowe powietrze! – Stary stangret podniósł głowę i zaklął z wściekłością. – Niechże jaśnie panie wsiadają do karety.

– Nie zawali się? – Nina niepewnie postawiła stopę na pierwszym schodku.

– E, nie powinna. Niech jaśnie panie za nic stamtąd nie wychodzą – dodał rozkazująco, usiłując nadludzkim wysiłkiem umocować koło.

Za Niną pośpieszyła Emilka. Usiadły blade i zdenerwowane, zerkając co chwilę w tylne okienko karety i obserwując zbliżających się dragonów. Był to raczej kilkunastoosobowy patrol, ale i tak żołnierzy było stanowczo za wielu jak na gust obu dam. Przez moment Nina zastanawiała się gorączkowo, gdzie schować pieniądze. Najpierw wepchnęła je za stanik sukni, lecz portfel był gruby i zbyt widoczny. Doszła do wniosku, że w tym miejscu pieniądze nie są bynajmniej bezpieczne, i wsunęła portfel pomiędzy poduszki kanapy. Pomyślawszy o rewizji, po raz trzeci zmieniła zamiar i odchyliwszy dywanik na podłodze, wcisnęła pieniądze głęboko pod siedzenie. Tam powinny być bezpieczne, nawet gdyby dragoni zdecydowali się przeszukać karete.

– Matko Boska, torba! – pisnęła naraz Emilka zmienionym głosem. – Gdzie mam schować torbę?

Nina pozieleniała ze strachu. Cały czas obawiała się o swoje pieniądze. Niebezpieczna zawartość torby zupełnie nie zaprzętała jej myśli. Nie pamiętała o niej i dopiero teraz zaczęła marzyć, żeby w jakiś czarodziejski sposób znaleźć się daleko od przeklętej torby, na przykład w Makowie. Mogłaby o tej porze przechadzać się po parku, pogwizdując na bawiącego

się Grota. Niestety, siedziała w uszkodzonej karecie, mając pod nogami torbę wyładowaną bronią i ulotkami.

– Schowaj tę torbę pod krynolinę! – syknęła, oblizując suche wargi i próbując zapanować nad strunami głosowymi.

– Co? – Emilka szeroko otworzyła błękitne oczy.

– Mówię, wsuń torbę pod suknię, między nogi! – warknęła Nina i pochwyciwszy ciężką torbę, jakby to było piórko, wepchnęła ją siłą Emilce pod szeroką krynolinę. – Siedź na niej jak kura na jajach i pod żadnym pozorem nie wstawaj! – rzuciła rozkazującym tonem.

– A jak każą mi wysiąść?

– Powiedziałam: nie ruszaj się z miejsca! Jesteś chora i możesz nawet zemdleć, będę cię cuciała – pouczała ją Nina ze złością.

W głębi duszy życzyła sobie, żeby Emilce zrobiło się słabo i zaczęła wymiotować. Wprawdzie to nie uchodziło damie, ale już lepszy wstyd niż rewizja w karecie. Dragoni właśnie nadjeżdżali. Przez zakurzoną tylną szybkę widziała ich brodate, nieprzyjazne gęby i spienione pyski koni. Otoczyli karete i podoficer o mongolskiej twarzy i skośnych oczkach o nieruchomym spojrzeniu zajrzał do wnętrza.

– *Wy kuda jedziecie? Propusk u was jest*[28](#)? – dopytywał się, mierząc obie kobiety podejrzliwym wzrokiem.

Nina podała mu dokumenty. Dragon wziął je tak ostrożnie, jakby się obawiał, że wybuchną mu w rękach jak granat. Nie patrzył jednak w papiery, lecz nie spuszczał oczu z obu młodych dam, obserwując je z azjatycką nieufnością.

– Wy z Warszawy? – spytał, rzuciwszy nareszcie okiem na przepustki.

– Tak, w interesach majątkowych – odpowiedziała Nina zgodnie z prawdą.

– A ta druga *barynia*[29](#)?

– Jest bardzo chora i była u pana doktora Chałubińskiego. Śpieszymy się do domu, ale koło nam spadło – tłumaczyła Nina cierpliwie, czując w gardle narastającą kulę, która zaczęła ją dławić.

Dragon znowu zajrzał do karety.

– Wsiadajcie, musimy przeszukać powóz! – powiedział całkiem niezłą polszczyzną.

Nina pobladła i wyteżyła całą siłę woli, żeby nie okazać przerażenia.

– Ja chętnie wysiądę, ale moja siostra nie może stanąć na nogi, bo zemdleje. Proszę, zostawcie ją w spokoju. – Posłała dragonowi błagalne spojrzenie. – Nie bój się, Emilko, pan jest dobrym człowiekiem i nie zrobi nam krzywdy. – Zebrała się na odwagę i uśmiechnęła się słodko, pokazując zębki i dołeczki w policzkach.

Zazwyczaj jej uśmiech zmiękczał nawet twarde męskie serca, zamieniając je w wosk, lecz tym razem miała do czynienia z wyjątkowo tępym i nieczułym żołdakiem. Dragon nie zareagował, przypatrując się jej z jawną wrogością. Emilka dyskretnie zaczęła grać rolę osoby ciężko chorej i spoglądała na niego zboląłym wzrokiem, wydając ciche jęki. Nina pospieszyła jej z pomocą.

– Gorzej się czujesz, złotko? – Troskliwie okryła jej nogi pledem i nakropiwszy na chusteczkę wody kolońskiej, zwilżała skronie i policzki „chorej”.

Jednak dragona nie wzruszyły ani jej urocze uśmiechy, ani jęki Emilki. Pragnął wykonać otrzymany rozkaz i nie zamierzał nikomu pobłażać.

– Chora czy nie, a wysiąść trzeba. *Nu, bystro* – oświadczył, ruchem ręki nakazując, aby wyniosły się z karety.

Nina nieznacznie uścisnęła mocno dłoń Emilki, dodając jej otuchy, choć sama jej potrzebowała. Ręka Emilki była lodowato zimna i wilgotna od potu. Zamieniły tylko spojrzenia, porozumiewając się wzrokiem. „Niech nas ta bestia siłą wyciąga, bo same nie wysiadziemy” – postanowiły. Poniewczasie Nina czyniła sobie wyrzuty, że nie włożyła na wierzch torby brudnej bielizny. Może dragoni nie zaglądaliby pod spód, ale tak naprawdę sama w to nie wierzyła.

– Rewidujcie karete, jeżeli musicie, ale moja siostra nie wyjdzie, bo nie może wstać i chodzić – oznajmiła stanowczo.

Uznała, że robienie słodkich oczu do tego azjatyckiego kłoca nie ma sensu. Jednocześnie łamała sobie głowę, w jaki sposób zawiadomić Stacha, żeby przy ewentualnym wynoszeniu Emilki z karety, zabrał nieznacznie torbę, ukrytą pod jej krynoliną. Zadanie było raczej niewykonalne, bowiem dragoni nie spuszczały z nich oczu.

– No, ruszajcie się, *barynie*, bo wyciągniemy was siłą, a wtedy będzie płocho! – zagroził podoficer, rozzłoszczony biernym oporem kobiet.

– Czy nie rozumiecie, że siostra nie może się ruszać?! – wrzasnęła Nina i pożałowała, że nie ma przy sobie pistoletu. Ale tym razem żołnierzy było

za wielu, a kareta stała żałośnie pochylona na bok.

Spostrzegła, że Stach rozejrzał się, obliczając, ilu ma przeciwników. W zasięgu jego ręki leżał gruby drąg, który służył mu do podnoszenia powozu. Nina oczami dała mu znak, żeby nie próbował rzucać się w pojedynkę na żołdatów. Momentalnie zostałby zastrzelony, a one powędrowałyby do więzienia w Radomiu. Wiedziała, że Stach bez wahania poświęciłby własne życie, żeby ją ratować, lecz byłaby to daremna ofiara.

– *Nu, poszły!* – wrzasnął rozwścieczony dragon, dając znak podwładnym, by siłą wyciągnęli kobiety z powozu.

– Ratunku! – krzyknęła Emilka przeraźliwie, czując na ramieniu twardą dłoń dragona. – Nie ruszajcie mnie. O Boże, pomocy!

– Kto tak krzyczy? O co tu chodzi? – rozległ się niespodziewanie rozkazujący głos i do karety podjechał oficer.

Zatrzymał konia, zeskoczył z siodła i podszedł bliżej, chcąc rozeznaczyć się w sytuacji. Dragoni byli tak zajęci kobietami, że nikt nie spostrzegł, kiedy oficer podjechał. Mongoł wyprężony na baczość, zameldował o całym zajściu. Oficer rzucił okiem na przepustki i zajrzał do karety.

– *Madame comtesse* Klonowiecka?

– To ja! – Nina pośpiesznie wstała i stanęła na schodku, zasłaniając sobą Emilkę.

Modliła się, żeby Rosjanin nie zauważył, jaka jest blada i jak drży jej głos. „Jezu, że też to koło musiało spaść przed Suchedniowem. Tak głupio wpadłyśmy im w łapy. Po jakiego diabła Emilka brała ze sobą tę torbę?” – pomyślała z wściekłością i strasznym żalem, że już nigdy nie zobaczy Makowa i uzyskane z takim trudem pieniądze przepadną. Oficer z pewnością każe przeprowadzić rewizję i to będzie początek końca. Jeszcze bardziej pobladła, a jej drobne usta posiniały.

– Ty głupie bydlę, przestraszyłeś te damy! – wybuchnął oficer z gniewem i zwracając się do Niny, rzekł z uśmiechem: – Widzę, że pani hrabina nie raczyła mnie zapamiętać.

„Nie, to nie może się dziać naprawdę. Chyba śnię albo oszalałam i majaczę, bo pomieszało mi się w głowie ze strachu i zwidują mi się cudaniewidy, jakiś ratunek *deus ex machina*³⁰, jak w naiwnym romansie”. Wstrzymała oddech i prędko zamrugęła, aby sprawdzić czy to, co widzi, nie jest urojeniem. Potem roześmiała się perliście i wyciągnęła do oficera obie dłonie.

– Naturalnie, że pana poznaję, tylko że teraz wygląda pan bardziej bojowo i wcale nie spodziewałam się pana tu zobaczyć! – zawołała radośnie. – Emilciu, poznajesz pana kapitana? Pan przybył do Makowa razem z panem pułkownikiem Czengierym!

– Z generałem – poprawił ją oficer, całując jej obie dłonie.

– Ogromnie się cieszę, bo zasłużył na ten awans.

– Pan kapitan Markow! – Emilka uśmiechnęła się słabo. – Jak to się szczęśliwie złożyło, że to pan dowodzi tymi żołnierzami. Są okropnie źle wychowani i brutalni. Chcieli mnie siłą wyciągnąć z karety, a ja mam trudności z chodzeniem, bo jestem bardzo chora – poskarżyła się łzawym głosem.

Nina podziwiała jej pamięć, bo sama kompletnie zapomniała, jak się oficer nazywa.

– Major Markow – poprawił już z wyraźną dumą.

– O, proszę przyjąć nasze gratulacje. Niech nam pan wybaczy, ale my, kobiety, nie znamy się na dystynkcjach wojskowych – zaszczębiotała Nina przymilnie, ucieszona faktem, że jej serce już nie tkwi w gardle, lecz wróciło na swoje miejsce.

Zatrzepotała długimi rzęsami, posyłając mu tak obiecujące spojrzenie, że biedny oficer kompletnie zbaraniał. Ale ostrożna Emilka wbiła jej łokieć pod żebro na znak, aby się trochę opamiętała. Nina doskonale zdawała sobie sprawę, że wprost nieprzyzwoicie wdzięczy się do Markowa, lecz był on ich ostatnią deską ratunku. Gotowa była obiecać mu spotkanie, a nawet ucałować pod warunkiem, że wybawi je z opresji i pomoże bezpiecznie dojechać do Suchedniowa, gdzie już czekał zaprzęg makowski.

– Właśnie wracamy z Warszawy – podjęła Emilka jęklwym tonem, jakim zwykle uskarżają się chorzy. – Jestem bardzo cierpiąca i zasięgałam porady u doktora Chałubińskiego. A ten żołnierz... – Wskazała palcem. – ... potraktował mnie tak brutalnie, że o mało nie zemdlałam... – Na jej rzęsach zawisły duże łzy i wyglądała tak żałośnie, że nawet Ninie zbierało się na płacz. – Szarpał mnie, był taki niegrzeczny, choć tłumaczyłam, że nie mogę chodzić. – Umilkła, a po policzkach spłynęły jej łzy.

Nina także chlipnęła, podziwiając w duchu talent Emilki do gry aktorskiej. Oficer bardzo wzruszył się na myśl, że ta śliczna, delikatna kobieta musiała przeżyć szok, bo jego podwładny zachował się jak zbój.

Zaczął przeproszać, całując dłonie obu pań, a spojrzenie, jakie posłał podoficerowi, nie wróżyło nic dobrego.

– Wachmistrz zostanie ukarany, ale tłumaczy go rozkaz, który otrzymaliśmy od dowódcy. Musimy rewidować każdy pojazd, ponieważ niektórzy wasi rodacy zachowują się nielojalnie, przewożąc broń dla grasujących po lasach band buntowników. Zapewne trudno paniom w to uwierzyć, ale to prawda. Jednak zdaję sobie sprawę, że nawet rozkaz nie usprawiedliwia brutalności względem dam i wachmistrz zostanie pouczony o swoich obowiązkach. Czym mogę jeszcze paniom służyć?

Nina złożyła rączki i posłała mu błagalne spojrzenie i czarujący uśmiech, kokietując bezlitośnie swoją ofiarę.

– Jak pan widzi, spadło nam koło w karecie. Czy możemy liczyć na pańską uprzejmość?

Biedny major Markow nie miał przy niej żadnych szans. Nie spuszczać z niej rozgorzałego wzroku, natychmiast wydał kilka rozkazów. Ośmiu żołnierzy zeskoczyło z koni i na ramionach dźwignęło karete, inni pomogli stangretom zamocować koło. Po kwadransie powóz był gotów do drogi. Oficer zbierał zasłużone podziękowania, tak uszczęśliwiony tymi uprzejmościami, że na krok nie odstępował od drzwiczek karety, nieustannie zaglądając do środka i dopytując się, czy paniom wygodnie i czy może jeszcze coś dla nich zrobić. Ninie niespodziewanie wpadł do głowy znakomity pomysł. Z anielskim uśmiechem zwróciła się do majora:

– Jeżeli to nie jest sprzeczne z rozkazami, byłybyśmy ogromnie wdzięczne, gdyby pan był tak uprzejmy i odprowadził nas do Suchedniowa.

Emilka zrobiła wielkie oczy i najpierw mocno kopnęła ją w kostkę, a potem zmiażdżyła piorunującym spojrzeniem. Ale Nina wiedziała, co robi.

– Oczywiście. Prośba pani hrabiny jest dla mnie rozkazem. – Markow z galanterią zasalutował. – Rad jestem, że mogę się choć trochę zrewanżować za przemiłą gościnę i przepyszne posiłki, którymi nas pani hrabina rozpieszczała. Maków to istny raj, a jego pani to prawdziwa bogini. Biedny książę Rudzkoj pozostawił tam swoje serce. Zresztą nie tylko on... – Westchnął sentymentalnie. – Dobrze się składa, że będą miały panie eskortę wojska – zmienił temat. – Te okolice są niebezpieczne.

– Naprawdę? A co nam zagraża? – Nina spojrzała na niego z obawą.

Major Markow pochylił się jeszcze niżej do okna i szepnął:

– Tu niedaleko grasuje banda tego starego zbója Czachowskiego! – oznajmił, mimo woli rozglądając się dokoła.

Nina skuliła ramiona, przytulając się do równie przerażonej tą wiadomością Emilki.

– Ależ to okropne! – wykrzyknęły niemal równocześnie. – Czy grozi nam napad?

– Niewykluczone. Ale zapewniam, że pod naszą opieką nic złego się paniom nie stanie.

– Dziękujemy panu – szepnęła Emilka i opuściwszy głowę, zaczęła poprawiać pled na „chorych” nogach.

Nina posłała oficerowi tak promienne, pełne wdzięczności spojrzenie, że Markow poczuł się prawdziwym bohaterem i obrońcą słabych kobiet. Patrząc jej w oczy, miał w sobie odwagę młodego lwa.

– Proszę się niczego nie lękać. Wcześniej czy później dopadniemy tego starego drania. *O, pardon!* – Znacząco poklepał się po szabli. – Dlatego patrolujemy drogi, chroniąc spokojnych i lojalnych obywateli przed bandytami.

Emilka załamała drobne rączki.

– A my jechałyśmy tak spokojnie, bo w Radomiu powiedziano nam, że ten Czachowski został rozbity.

Rosjanin się roześmiał, błyskając białymi zębami w złowieszczym uśmiechu.

– Dobrze panie słyszały, bo dostaliśmy tego bandytę i dobraliśmy się mu do skóry pod Rzeczniewem. Jego banda poszła w rozsypkę, bo jedni poginęli, inni poszli w *plen*³¹. Ale część buntowników, razem ze starym, umknęła tchórzliwie i teraz kryją się po lasach, uciekając przed stryczkiem. To im nie pomoże i wkrótce wszyscy będą wisieć. Parol oficerski!

Stach się obejrzał i łypnął na niego wilczym okiem. Potem zamachnął się i tak zdzielił konie batem, że runęły do przodu jak szalone, pozostawiając majora daleko z tyłu. Ale Markow również ponaglił swego wierzchowca i w kilku skokach zrównał się z pędzącą kareta. Nina rozkaszała się gwałtownie, kryjąc twarz w dłoniach. Zaniepokojony oficer dopytywał się, co jej dolega. Widząc jego zatroskaną minę, obdarzyła go uśmiechem cierpiętnicy.

– Fatalnie przeziębiam się w Warszawie lodami – wyjaśniła, pokaszlując.

– Ależ trzeba na siebie uważać – zauważył ciepło. – Pani hrabina taka delikatna, eteryczna, lada podmuch może zaszkodzić. A teraz proszę się mocno trzymać, bo pojedziemy bardzo prędko – ostrzegł i krzyknął do Stacha: – Wypuszczaj konie, galopem!

Kareta potoczyła się naprzód, mknąc z błyskawiczną szybkością. Dragoni cały czas otaczali ją ciasnym kręgiem. Pędzili jak do pożaru i po kilku godzinach wpadli w wąskie uliczki Suchedniowa. Major Markow eskortował damy aż do centrum miasta. Maciek, czekający na nich z makowskim zaprzęgiem, skamieniał z przerażenia, ujrawszy karete zajeżdżającą przed budynek urzędu pocztowego, niby wystrzelony pocisk, otoczoną dokoła oddziałkiem uzbrojonych po zęby dragonów. Nie zbliżał się, drżąc z obawy o swoją panią, i z dala obserwował, co się będzie działo. O mało nie spadł z ławki, zobaczywszy, że rosyjski oficer eskortujący powóz wylewnie żegnał się z damami.

Kiedy Markow odjechał, obie panie długo siedziały w milczeniu, patrząc sobie w oczy. Pierwsza Emilka odrzuciła w tył głowę i zapiąta cienko jak młody kogucik, krztusząc się i chichocząc. Za jej przykładem Nina wybuchła histerycznym śmiechem. Turlały się po kanapie, pokazując spod uniesionych fałd krynolin i krochmalonych halek fikające nieskromnie nogi w długich pantalonach.

– O Matko Święta, Nina, już nie mogę! – piszczała Emilka, trzymając się za brzuch i nie przestając chichotać.

Śmiały się i śmiały, podzwaniając w przerwach zębami. Była to reakcja na strach, długo tłumiony siłą.

– A teraz może mi powiesz, dlaczego kazałaś Markowowi odprowadzić nas aż do Suchedniowa? – spytała Emilka, ocierając mokre policzki i dławiąc się jeszcze nerwowym chichotem.

– Nie słyszałaś, złotko, co mówił pan major? Cały teren jest patrolowany! Po drodze z pewnością wpadłybyśmy na inny patrol, a wtedy... Cuda nigdy dwa razy się nie zdarzają. Obłowiliby się na nas! Pieniądze, broń, dokumenty...

– Najmilsza, jesteś genialna! Pomyślałaś o wszystkim, a ja kopnęłam cię w kostkę. Przepraszam. – Emilka rzuciła się jej na szyję i ucałowała. – Ale panu hrabiemu opowiem, jak uwodziłaś tego biednego majora. Moskala, aha!

– Moskał był przystojnym chłopcem i przyjemnie z nim było trochę poflirtować.

– Ninko, zachowywałaś się skandalicznie, ale i tak cię podziwiam – oświadczyła i cmoknęła ją w policzek. – Wiesz, powiem chłopcom z tej nowej partii, że rewolwery dla nich eskortowali Rosjanie, pilnując, żeby Czachowski ich nie ukradł. A wyobraź sobie tylko, co by się z nami stało, jakby naprawdę zaatakowali nas powstańcy...

Znowu wybuchły śmiechem, piszcząc jak dwie smarkate pensjonarki.

Maciek, zaintrygowany zaobserwowaną sceną, podbiegł do karety.

– Maryjo Święta, Moskale was zagarnęli?! – zawołał, patrząc do wnętrza przez okienko.

– Nie, to myśmy dla bezpieczeństwa zagarnęły Moskali – odpowiedziała roześmiana Nina, czerwona z podniecenia. – Wszystko w porządku, Maciuś. To był znajomy oficer.

– Bogu dzięki! – Odetchnął. – A jużem myślał, że jaśnie paniom przydarzyło się nieszczęście, i aż mnie coś w dołku sparło ze strachu.

– Pan Jezus ustrzegł – mruknął zgryźliwie Stach, zabierając się do przeprzęgania koni.

Stwierdziwszy, że pocztowiec już odszedł, oświadczył złośliwie: – Na drugi raz, jak jaśnie panie będą broń przewoziły, to trzeba mi o tym powiedzieć. Wezmę torbę pod kozioł i sam diabeł nie znajdzie. Mało mnie szlag nie trafił, jakem pomiarkował, co się święci!

– Nie zapomnimy. Stach zachował się po bohatersku – pochwaliła Nina, zbywając uśmiechem jego pretensje. – Maciuś, nie wiesz, czy od pana nie było wiadomości?

– Chyba nie było. Pan pułkownik Czachowski rozbity – powiedział Maciek ponuro.

Nina momentalnie zapomniała o wesołości, skupiając myśli na osobie męża.

– To już wiemy, ale czy nasza partia także była w tej bitwie?

– Nie wiadomo. Nawet nasz nowy karczmarz nic o tym nie wie, choć to mądry Żyd i państwu bardzo oddany. W domu już dach naprawili, a wczoraj wróciła z Lublina nasza panna nauczycielka – opowiadał, pomagając Stachowi przy zmianie zaprzęgu.

Stary koniuszy z dumą przypatrywał się makowskim arabom.

– No, to są konie! Nareszcie pojedziemy jak ludzie. Maciek, nie gadaj tyle, ino włącz na kozioł i jedziemy, bo jaśnie paniom śpieszno.

Dzięki rącości arabów do Makowa przyjechali jeszcze przed północą. Rosnące przy drodze tarniny pachniały odurzająco, a w wilgotnych rowach kumkały żaby. Księżyc świecił tak jasno, że Stach nawet nie zapalał latarni. Kiedy mijali bramę wjazdową, Nina jak zwykle uniosła głowę, wpatrując się w oświetloną miesięcznym blaskiem tarczę herbową i ciesząc się, że szczęśliwie powróciła do domu.

Pewnie sprawiło to złudne światło księżyca, ale nagle wydało się jej, że złocista gwiazda na szyi orła jakby przygasła.

KONIEC TOMU VI

[28](#) ros. Dokąd jedziecie? Macie przepustki?

[29](#) ros. dama

[30](#) łac. tu: nieoczekiwany wybawiciel

[31](#) ros. do niewoli